

Barbara Michaels

Szary brzask

The Grey Beginning

Przełożyła Anna Bańkowska

Lindzie, bez której nie ukończyłabym
w terminie ani tej, ani paru innych książek.

*...znam powrotną drogę —
Tylko mnie nie strasz! Szary wstaje już brzask...*

Robert Browning: „Fra Lippo Lippi”
tłum. Juliusz Żuławski

ROZDZIAŁ 1

1

Z Piazzale Michelangelo całą Florencję widać jak na dłoni. W ukośnych promieniach słońca skrzy się późnym popołudniem jak mozaika z *pietra dura*, jednego z tych arcydzieł, w których celują tutejsi rzemieślnicy. Przypomina obrazek ułożony z kawałeczków starego złota i półszlachetnych kamieni: bursztynów, karneoli, topazów, heliodorów czy chryzoberyli. Mało jest na świecie tak pięknych miast, które w dodatku mogą chlubić się takim dziedzictwem. Nazwiska i imiona Michała Anioła, Leonarda da Vinci, Brunelleschiego czy Fra Angelica rozbrzmiewają tu ciągle w waszej świadomości niczym dźwięk fanfar.

Siedziałam w samochodzie, w ponurym nastroju, odwrócona tyłem do słynnego widoku. Nie chciałam tu być. Zrobiłam wszystko, co w mojej mocy, by trzymać się z daleka od tego miejsca i w ogóle od Florencji. Sądząc z mapy samochodowej, sprawa była prosta: zjechać z Autostrady del Sole na Firenze Est, przeprawić się przez pierwszy lepszy most na Arnie i okrążywszy środek miasta, skierować się na północ, w stronę Fiesole. Tymczasem nie udało mi się nawet sforsować rzeki. Na mapie nie zaznaczono rozległych przedmieść z poplątanymi do niemożliwości uliczkami o niedorzecznych znakach. Dopiero gdy jakimś cudem dotarłam do Piazzale Michelangelo, wiedziałam, gdzie jestem. Zatrzymałam się tu tylko z powodu głębokiego przekonania, że jeśli wykonam jeszcze choćby jeden obrót, to będę się tak kręcić i kręcić w kółko, póki nie najadę na czyjś samochód, drzewo albo nie staranuję drzwi jakiegoś domu.

Z trudem poodrywałam spocone palce od kierownicy. Wcałe nie było gorąco. Mimo ostrego słońca wczesnowiosenne powietrze w Toskanii pozostawało świeże i rześkie. To tylko moje zeszywniałe ręce, zaciśnięte kurczowo na kółku przez całą drogę z Rzymu, lepiły się od potu. Ale udało mi się — jak dotąd. Gdyby parę miesięcy temu ktoś mi powiedział, że po przejechaniu wynajętym samochodem ponad trzystu kilometrów będę patrzeć z wysokiego wzgórza na Florencję — roześmiałabym mu się w nos. Śmiałabym się i śmiała, aż wreszcie przyszłaby pielęgniarka i dałaby mi zastrzyk.

Zdarzyło się to wiele razy, nieważne ile. Nawet teraz nie jestem pewna, co sprawiło, że się otrząsnęłam i wyrwałam z tego, co ciotka Mary nazywała „kosztownym domem wariatów Kathy”. Kochana, taktowna cioteczka Mary! Nikt w naszej rodzinie nie przechodził dotąd załamania nerwowego. Tylko słabeusze miewają jakieś tam depresje. Tak właśnie sądzi ciotka Mary, nie wgłębiając się w nowoczesne określenia psychiatryczne. Jak zwał, tak zwał. Dom wariatów, dom opieki, szpital psychiatryczny... Załamanie nerwowe, ciężka depresja, czy bardziej po staroświecku: melancholia — każde z tych określeń jednakowo boli.

Ciotka Mary, przy swoim drobnomieszczańskim sposobie myślenia, jest święcie przekonana, że to wskutek jej kazania na temat zdrowego rozsądku zawstydziłam się wreszcie bujania w obłokach, zesłam na ziemię i przestałam uważać się nad sobą. Doktor Hochstein skłonny jest ten fakt przypisać swoim nowoczesnym metodom tak zwanego „leczenia”. Natomiast doktor Baldwin wcałe nie uważa mnie za wyleczoną. „Nie dotarliśmy jeszcze do korzeni problemu. Może po czterech czy pięciu latach intensywnej psychoterapii...” Baldwin i Hochstein należą do różnych szkół — pierwszy jest tradycjonalistą, drugi — gorącym zwolennikiem metody opartej na przeciwstawianiu się chorobie. Według niego — bez względu na to, co spowodowało problem, staw mu czoło i naucz się z nim żyć. Zasadniczo nie mam nic przeciwko takiemu podejściu, ale w moim przypadku okazało się ono niemal zabójcze. Kiedy Hochstein po raz

pierwszy wsadził mnie do samochodu, siedziałam tylko bez ruchu za kierownicą i dotąd szlochałam, aż wreszcie mnie wypuścił. Za drugim i trzecim razem było niewiele lepiej. Znienawidziłam doktora Hochsteina, ale terapia poskutkowała. Właśnie teraz sama udowodniłam, że poskutkowała. Nawet w beztróskim okresie przed chorobą czułam mdłości na samą myśl o jeździe wynajętym samochodem po włoskich autostradach.

Ten wynajęłam na lotnisku położonym poza Rzymem, aby uniknąć jazdy przez miasto. Ale i tak nie było mi łatwo. Musiałam bardzo uważać na każdy swój ruch i bacznie śledzić poczynania innych kierowców. Wszyscy oni robili wrażenie bardziej ode mnie szalonych. Skoncentrowawszy cały wysiłek na prowadzeniu samochodu, oderwałam się na jakiś czas od prześladowającego mnie wspomnienia... Jaskrawoczerwone torino, malutkie z daleka niczym dziecinna zabawka, wypada nagle z szosy, wlatuje w górę, choć wydaje się to całkiem niemożliwe, i po chwili spada na rosnące w dole drzewa. Zimową ciszę rozdziera przeraźliwy huk, w niebo strzela słup ognia i dymu...

Sięgnęłam po papierosy. Kilka lat temu rzuciłam wprawdzie palenie, ale potem znowu wróciłam do nałogu. Baldwin protestował. Nie wierzył, by to pomogło. Kiedy zrobił mi wykład na temat rozedmy płuc, chorób serca i raka, wyśmiałam go i zacytowałam Alfreda P. Newmana. O co właściwie chodzi? Czym się mam przejmować? Kto trzydzieści lat temu zawracał sobie głowę szkodliwością palenia? Młode życie tak szybko idzie z dymem... zmiażdżone, okaleczone, spalone... Widziałam to na własne oczy, doktorze Baldwin.

Wysiadłam szybko, jakby mnie kto gonił, ocierając sobie boleśnie rękę. To jedyny sposób, by powstrzymać galop myśli. Zrobić coś, cokolwiek, byle zaraz. Wiedziałam, co zobaczę. Przeczytałam parę broszurek i obejrzałam fotografie. To właśnie ów najstłynniejszy widok na Florencję. Nie zdawałam sobie jednak sprawy, że jest aż tak piękny. Nie widziałam odpadających tynków i luszczącej się farby. Skąd mogłam wiedzieć, że łagodna mgiełka unosząca się nad tym bajkowym miastem, jak wyjętym z kart eposu rycerskiego, to samochodowe spaliny? Nawet gdyby ktoś mi powiedział, i tak bym nie uwierzyła. Przecież to miasto jest całkiem nierealne. To zawieszony nad ziemią, spowity w kłębach chmur legendarny Avalon...*

Na moment stałam się zwykłą turystką i wychyliwszy się jak inni przez balustradę, próbowałam identyfikować różne znane obiekty. Oto ogromna kopuła Brunelleschiego, przy niej dzwonnica Giotto. Smukła, zwieńczona blankami wieża Palazzo Vecchio. Strzelisty dach Santa Croce... Bargello... Łagodne meandry wyzłoconego w słońcu Arna, Ponte Vecchio...

Zachodzące słońce dostarczyło mi pretekstu, którego podświadomie szukałam. Nie mogę pojawić się w obcym domu o tak późnej porze, a już na pewno nie w takiej sprawie, jaką miałam do załatwienia. Nie, nie, w żadnym wypadku. Zważywszy mój kompletny brak orientacji oraz fakt, że miałam tylko niejasne pojęcie, dokąd właściwie jadę, na pewno zgubiłabym się znowu. I to nie raz... A swoją drogą, cóż to za dziki pomysł, żeby porywać się na coś bez uprzedniego przygotowania! Gdybym nie była taka stuknięta, pewnie by mi to nawet nie przyszło do głowy. Mieć to wreszcie za sobą, zrobić z tym raz na zawsze porządek — takie dziecinne podejście do napawającego przerażeniem, ale nieuniknionego zadania. Wyrosłam już z dzieciństwa. Byłam dwudziestotrzyletnią, wolną, niezależną finansowo kobietą. I bez względu na to, co sądził doktor Baldwin — zdrową na umyśle.

Wraz z każdą zmianą oświetlenia miasto stawało się coraz bardziej urzekające. Na dachach kładły się już fiołkoworóżowe, lawendowe i perłowe cienie. Odwróciłam się niechętnie od

* Avalon — wg legend celtyckich: wyspa na zachodnich morzach, raj ziemski, do którego dostał się po śmierci król Artur i jego rycerze (wszystkie przypisy tłumaczkini).

balustrady i pomachałam na pożegnanie ręką dwóm sympatycznym Dunkom, z którymi zabawiałam się w rozpoznawanie zabytków.

— Muszę znaleźć jakiś nocleg — wyjaśniłam. Dunki wyglądały na całkiem zszokowane.

— Ależ moja droga, czy nie ma pani rezerwacji? — spytała jedna z nich. — Trzeba było zamówić hotel zawczasu. Nie podróżuje się bez rezerwacji!

Jeśli nawet nie były czymiś ciotkami, to powinny nimi być. W udzielonej mi reprimendzie dźwięczała znajoma nutka, ale towarzysząca jej prawdziwa troska sprawiła, że nie czułam urazy. Trochę sobie jeszcze pogderały, po czym doszły do wniosku, że nie powinnam tracić czasu na dyskusje, tylko próbować coś załatwić. Zmusiły mnie do zapisania ich nazwisk i adresu *pensione*, w którym się zatrzymały. Wprawdzie ich grupa zajmowała go w całości, ale jeśli znajdę się w prawdziwych opałach, mam przyjść do nich, to coś się wymyśli.

Zapomniałam już, że obce osoby mogą być takie miłe. „Obce” — to kluczowe słowo. Doznałam dotąd zbyt wiele zmasowanej troskliwości ze strony rodziny, lekarzy — wszyscy mnie zagłaskiwali i otaczali ciepłym puchem serdeczności. Łatwiej jest przyjmować przysługi od ludzi, których się już nigdy więcej nie zobaczy. Cześć, do widzenia, miło było was poznać. Podziękowałam Dunkom i ruszyłam, gotowa stawić czoło horrorowi w postaci florenckiego ruchu ulicznego, zapewne najgorszego o tej godzinie, kiedy wszyscy wracają z pracy, podobnie zresztą jak u nas.

Okazało się jednak, że nie istnieje tu coś takiego jak godzina szczytu. We włoskich miastach strumień samochodów zdaje się nie mieć końca o żadnej porze. Właściwie wcale się nie zgubiłam. Cały czas napotykałam znajome budowle. Przypominało to rodzinne spotkanie z osobami znanymi dotąd tylko ze zdjęć w starych albumach. „Dobry Boże, toż to kuzyn Jack!” „Rany, toż to pałac Medyceuszy!” Ale ja nie chciałam do pałacu Medyceuszy, tylko do hotelu. W dwóch, do których zajechałam, nie było wolnych pokoi. Zaczęłam już się zastanawiać, czy przespać się w samochodzie czy też złożyć skołataną głowę na obfitym łonie którejś z Dunek, ale zgubiłam się znowu i tym razem wyszło mi to na dobre. Błądziłam właśnie gdzieś z dala od centrum, koło uniwersytetu i San Marco, gdy natknęłam się na Grande Albergo San Marco e Stella di Firenze. Wąski budynek, wciśnięty między dwa potężne gmachy, które mogły być zarówno średniowiecznymi pałacami, jak nowoczesnymi bankami (we Florencji to naprawdę trudne do odróżnienia), nie dorównywał splendorem swej nazwie. Już w chwili, gdy przekroczyłam próg, wiedziałam, że to właściwe miejsce. Wszystko tam było czerwone albo białe. W holu — czerwone ściany z białymi szlaczkami, w jadalni, widocznej przez łukowate przejście z prawej strony, odwrotnie: ściany białe, szlaczki czerwone.

Podeszłam do recepcji.

— Przyblokowałaś kogoś — powiedziałam zdyszczanym głosem. — Czy jest wolny pokój?

Mężczyzna za biurkiem podniósł wzrok znad kolorowego magazynu. Na okładce zamaskowany facet z nożem trzymał w ciasnym uścisku mocno roznegliżowaną dziewczę.

— Dla pani zawsze. Jaki tylko signorina sobie życzy. Dla jednej osoby? Dla dwóch?

— Wezmę, co jest. Zablokowałam komuś wyjazd i...

Machnął tylko ręką. Najwyraźniej uznał problem za niegodny uwagi.

— Jeśli oczekuje pani przyjaciela, potrzebny będzie pokój dwuosobowy.

Już miałam na końcu języka, że nie oczekuję żadnego przyjaciela, gdy pochwyliłam taksujące spojrzenie jego ciemnych oczu. Trudno by go nazwać mężczyzną, miał jakieś siedemnaście, osiemnaście lat, ale pewien cynizm w wyrazie twarzy znamionował starego wyjadacza. Zawahałam się.

Dlaczego się zawahałam? Sama chciałabym wiedzieć. Znalazłoby się parę teorii. Najbliższa prawdy byłaby ciotka Mary. „Ta dziewczyna to najgorsza kłamczucha, jaką znam”. Siostra

Urszula podeszłaby do sprawy z większą dozą miłosierdzia. To dość miło z jej strony, zważywszy, iż od ponad dwudziestu lat prowadziła walkę z najrozmaitszymi występkami uczennic dziesiątej klasy Liceum Matki Boskiej Bolesnej. Zmarszczywszy z zakłopotaniem swe gładkie, białe czoło, powiedziała: „Jestem pewna, Kathleen, że nie miałaś zamiaru skłamać. Ty po prostu mówisz ludziom to, co, twoim zdaniem, chcieliby usłyszeć. Ale musisz przezwyciężyć tę słabość, naprawdę musisz. Inaczej pewnego dnia wpadniesz w poważne tarapaty”.

Próbowałam. Naprawdę próbowałam i wolę wierzyć, że to siostra Urszula, a nie ciotka Mary miała rację. Czasem jednak kłamałam z tchórzostwa, które nie miało nic wspólnego z uprzejmością. Moją odpowiedź chłopakowi przy biurku podyktowały obydwie przyczyny. Tak bardzo chciał, żebym miała kochanka. Spodziewał się tego po mnie. A ja obawiałam się przyznać, że go nie mam. Czułam, że wtedy młody recepcjonista zechciałby się zająć osobiście uzupełnieniem tego braku. O ileż łatwiej było powiedzieć po prostu:

— Mój przyjaciel się spóźnia. Na dzisiejszą noc wystarczy pojedynczy pokój.

— Spóźnia się? Może wcale nie przyjedzie?

— Przyjedzie, ale nie dzisiaj.

— Jest głupi.

— Dziękuję — odparłam, starając się nie roześmiać. — Jest pan bardzo uprzejmy. Czy jest pan tu kierownikiem, panie...

— Angelo. Dla pani — Angelo. Zajmuję się tu wszystkim, bo chcę się nauczyć hotelarstwa. Kiedyś będę miał własny hotel. Bardzo ekskluzywny i kosztowny.

Kiedy się zameldowałam, zaniósł mi walizkę na górę. W Grande Albergo nie było windy. Może między innymi dlatego udało mi się znaleźć tu pokój. Angelo poprosił mnie o kluczyki. Podobno wiedział o jakimś bliżej nieokreślonym miejscu do parkowania. Rozpakowując rzeczy zastanawiałam się, jakie jeszcze funkcje spełnia ten chłopak poza tym, że jest recepcjonistą, boyem i parkingowym.

Okazało się, że jest jeszcze kelnerem — jedynym kelnerem. Uwijał się jak w ukropie po malutkiej — tylko na sześć stolików — jadalni, serwując bez ustanku aperitify i dania składające się na włoską kolację. Nie spodziewałam się zbyt wiele po tutejszej kuchni — wkrótce się przekonałam, że słusznie — ale teraz jedzenie miało dla mnie urok nowości i nawet mi smakowało. Dopiero kiedy pochłonęłam ogromną porcję spaghetti alla bolognese, scaloppine, sałatę, krem karmelowy i wykończyłam pół karafki wina, zaczęłam zdawać sobie sprawę, jak bardzo jestem zmęczona. A gdy spojrzawszy w okno, zobaczyłam spływające po szybie srebrne strugi deszczu, porzuciłam wszelką myśl o spacerze. Zrzuciłam z siebie ubranie i padłam na łóżko, mając nadzieję, że przynajmniej tej nocy nie będę miała trudności z zaśnięciem.

Tym razem miałam szczęście. Nie pamiętałam, co mi się śniło.

2

Rano okazało się, że wciąż pada. Deszcz spływający po oknie nie wyglądał już jak srebrne strugi. Był zwykłym deszczem, znaczącym ścieżki na brudnych szybach. Czułam się zbyt wyczerpana, by stawić czoło dwunastoosobowemu tłumowi w jadalni, postanowiłam więc skorzystać z „obsługi w pokoju”, o której Angelo wspomniał wczoraj z taką dumą. „Signorina przyciska dzwonek — i *ecco — la colazione*”.

Dzwonki pamiętały zapewne lepsze czasy, kiedy hotel miał liczniejszy personel. Jednym zwywało się pokojówkę, drugim багаżowego, na trzecim widniał bliżej nie sprecyzowany napis

„*tutti lavori*”. Nacisnęłam najwyższy guzik, według instrukcji — i *ecco!* — przyjechało śniadanie, a wraz z nim oczywiście Angelo. Prawdopodobnie obsługiwał wszystkie dzwonki, łącznie z tym dla *tutti lavori*. Obrzucił fachowym okiem mój sprany szlafrok, co zapewne należało do jego obowiązków.

— W jakich godzinach pracujesz? — zainteresowałam się, obserwując, jak kładzie na stoliku przykrytą serwetką tacę.

Angelo znieruchomiał. Nie zrobił właściwie nic, co by świadczyło o zdziwieniu — nie przewrócił oczami, nie zacisnął ust ani nie zmarszczył czoła — widziałam jednak, że pytanie go zaskoczyło.

— Godzinach?

— Mniejsza o to, dziękuję, Angelo.

— *Prego, signorina*.

Posiłek wyglądał wystarczająco „zagranicznie”, by mnie skusić. Dwa parujące dzbanki z mlekiem i z kawą, bułeczki o skórce twardej jak skała, ale miękkie i puszyste w środku, dżem truskawkowy o konsystencji kleju oraz doskonałe, świeże masło. Do tego — jako ustępstwo dla amerykańskich gustów — szklanka soku pomarańczowego z puszki. Wszystko bardzo mi smakowało, nawet ten sok z puszki, ale chciałam jak najprędzej ruszyć w drogę. Gdyby świeciło słońce, mogłoby mnie skusić, żeby jeszcze trochę pobawić się w turystkę i obejrzeć miejsca, które w innych okolicznościach bardzo chciałabym zobaczyć. Ale jeśli sprawy potoczą się zgodnie z moimi oczekiwaniami, będę miała później dość czasu na zwiedzanie. Ona może nie chce ze mną rozmawiać. Nie zdołałam się do niej dodzwonić. Zdobycie zastrzeżonego numeru w obcym kraju nie było zapewne niemożliwe, ale stanowiło utrudnienie, którego nie miałam siły przewyciężyć. Na listy zaś nie odpowiadała. Już to samo sugerowało, że nie potrafiła stawić czoła prawdzie albo po prostu wolała nie mieć do czynienia ze zwariowaną Amerykanką. Rzeczywiście, listy nie były zbyt logiczne. Brałam też pod uwagę, chociaż to raczej mało prawdopodobne, że mogły zaginać, i ona nic nie wie. Musiałam więc podjąć ten ostatni wysiłek, zarówno ze względu na nią, jak i na siebie.

Wszzechwiedzący, niezastąpiony Angelo udzielił mi wreszcie wskazówek. Gdybym wczoraj przez chwilę pomyślała spokojnie, dawno doszłabym do wniosku, że nigdy nie trafię tam sama. Ale ja w ogóle się nie zastanawiałam. Reagowałam impulsywnie jak zwierzę, którego mózg podłączono do prądu. Kiedy wreszcie po długiej, niezrozumiałej rozmowie telefonicznej Angelo odłożył słuchawkę, wyglądał na lekko zmieszanego.

— Po co signorina tam jedzie? Zobaczyć przyjaciela?

Tym razem nie czułam pokusy, by zaspokoić jego wyraźny głód romansu.

— Nie szukam żadnego przyjaciela — odpowiedziałam z kwaśną miną. — Mam coś do załatwienia.

— To bardzo daleko, signorina. Bardzo trudno znaleźć. Lepiej zostać tutaj, zobaczyć piękne miasto. Mogę dać ładniejszy pokój, opuszczę cenę. A jeśli signorina czuje się samotna...

— Jesteś bardzo uprzejmy. Może innym razem. Rozumiesz, Angelo, mam zadanie, muszę je wykonać — to coś jak ta twoja praca po całych dniach, żeby pewnego dnia mieć własny hotel. Jak się tam dostać?

Nie było to zbyt daleko, choć rzeczywiście mogło się okazać, że trudno tam trafić. Miałam niestety świadomość faktu, że mapa jest dość ogólnikowa, ale Angelo udzielił mi paru konkretnych i przejrzystych wskazówek. Nie próbowałam dociekać, czemu chciał mnie zniechęcić. Może gdybym... ale to i tak nie miało znaczenia. Powiedziałam mu, że zatrzymuję pokój. Zostawiłam też bagaż. Jeśli ona wbrew moim oczekiwaniom zaproponuje mi gościnę,

podziękuję i grzecznie odmówię. To nie jest podróż sentymentalna ani próba nawiązania trwałych kontaktów, tylko paskudne zadanie, z którym muszę się uporać, żeby móc dalej żyć.

Zanim opuściłam Florencję, przeprowadziłam mały rekonesans. Przestało wprawdzie padać, ale niebo miało nadal kolor ołowiu i w tym przygnębiającym oświetleniu budynek przypominał raczej więzienie, a nie *palazzo*. Wystawiał na przechodniów swą ponurą fasadę z grubo ciosanych kamiennych bloków. Okna na poziomie ulicy były zabezpieczone solidnymi kratami. Trudno sobie wyobrazić, by ktoś miał tam mieszkać — jeść i pić, zamiatać podłogi, bawić się... Teraz w tym gmaszysku znajdował się bank. Coś mnie podkusiło, by wejść do środka. Zaparkowałam w drugim rzędzie, ignorując wściekle ryki klaksonów aut, które daremnie próbowały mnie wyminąć na wąskiej uliczce. Przypominałam sobie, co mówił Bart.

„Pałac został sprzedany przed laty, praktycznie ze wszystkim, co dało się zamienić na gotówkę. Jeśli poślubiłaś mnie dla pieniędzy, *cara*, to bardzo się przeliczyłaś. Jediną rzeczą, którą mój marnotrawny dziadek zdołał utrzymać, jest willa. Tam, na wzgórzach Toskanii, wzrastało niewinne dziecię szlchetnego rodu — twój obecny małżonek”.

I tam właśnie zmierzałam: do willi Morandinich. Po to, aby zawiadomić babkę Barta, że jej wnuk nie żyje.

3

Odbywszy pielgrzymkę do dawnego pałacu Morandinich, jechałam ku obrzeżom Florencji. Znów parę razy trafiłam w nieodpowiedni zjazd. Nie dlatego, że Angelo dał mi złe wskazówki, tylko dlatego, że ciągle pakowałam się w sytuacje, w których nie mogłam go posłuchać, przyblokowana w jakimś zaułku przez strumień aut. Dużo czasu upłynęło, zanim udało mi się wyjechać z miasta, którego stare granice rozciągnęły się teraz daleko w dolinę, a nawet na okoliczne wzgórza. Przedmieścia były tak samo niemalownicze jak amerykańskie; rzędy podobnych do siebie domków, tanie sklepiki, garaże, magazyny, tereny przemysłowe. Nawet kiedy minęłam Fiesole i skierowałam się na północ, ku górcom, widoki nie stały się bardziej zachęcające. Wyższe szczyty spowijała gęsta mgła, nagie, skaliste zbocza wyglądały ponuro. Różniło się to znacznie od krajobrazów zachwalanych w przewodnikach turystycznych. Żadnych białych wołów poruszających się majestatycznie po świeżo zoranych polach, żadnych winnic rozciągających swe zielone wstążki na łagodnych pagórkach, nawet żadnego zamku zwieńczającego szczyt. Bart mnie ostrzegał; pamiętam jego szydery śmiech, kiedy przeczytałam mu jeden z bardziej soczystych opisów. „Lepiej wyzbądź się tych romantycznych iluzji. Zobaczysz więcej anten telewizyjnych niż średniowiecznych wież i więcej obskurnych domków niż zamków”.

Pogoda odpowiadała stanowi mojego ducha, ten zaś stanowił lustrzane odbicie pogody: szaro, wszędzie szaro i ani jednego promienia słońca. Na sąsiednim fotelu leżała torebka — brązowa konduktorka ze sztucznego tworzywa, znoszona i sfatygowana jak wszystko, co posiadałam, z myślami włącznie. Pod nieprzemakalnym płaszczem miałam na sobie jedyny ciuch, który sprawiłam sobie od miesiący: szyty na miarę brązowy kostium, mający niewątpliwą zaletę: nie wisiał na mnie jak na wieszaku, czego nie można było powiedzieć o pozostałej garderobie. Kolor był fatalny; zamiast dobranego „pod oczy” ciepłego, rdzawego odcienia — paskudny, szarawy brąz, przy którym moja twarz wyglądała jak wyprana z wszelkiego kolorytu. To takie niechętnie ustępowo na rzecz żałoby, którą ona mogłaby uważać za stosowną — fatalne jak każdy kompromis. Mogłam równie dobrze ubrać się na czarno i już.

W torebce spoczywał czarodziejski specyfik, zdolny rozproszyć chmury i przydać moim niewesołym myślom nieco fałszywej pogody ducha. Przysięgłam sobie, że skończę ze środkami uspokajającymi. Wolę już papierosy niż valium, tak powiedziałam Baldwinowi. Jeśli papierosy mnie zabiją, przynajmniej będę wiedziała, że umieram. A jednak zabrałam ze sobą lekarstwo. Gdyby spotkanie okazało się bolesne, a tego właśnie oczekiwałam, będę mogła się pocieszyć. Ale głowa do góry. Nie może być gorzej, niż się spodziewam. Ostrzeżony znaczy uzbrojony.

Mogłabym sypać jak z rękawa wyświechtanymi frazesami. Powinnam zapamiętać jeszcze jeden: najgorsze przede mną. Kiedy dotarłam do małego miasteczka Sanseverino, zatrzymałam się, aby zapytać o dalszą drogę — tak radził Angelo. Posiadłość leżała w promieniu kilku kilometrów, ale dokładnie nie wiedział gdzie. Odkąd opuściłam Florencję, po raz pierwszy znalazłam się w miejscu, które odpowiadało moim wyobrażeniom o malowniczych włoskich miasteczkach. Małe kamieniczki, rynecek z rzeźbioną fontanną, teraz nieczynną z powodu deszczu. No i te nieuniknione symptomy współczesności: czerwony plakat z napisem „Bevete Coca-Cola” i warsztat samochodowy z dwiema pompami paliwowymi.

Na pewno ktoś w tym całym Sanseverino mówi po angielsku, ale nikt taki nie pracuje w warsztacie. Młody człowiek, który napełnił mi bak i próbował pokazać drogę, wyglądał w swych opiętych džinsach i wymiętej koszulce khaki jak typowy amerykański nastolatek. Za pomocą żywej gestykulacji, paru szkiców skreślonych na odwrocie mojej mapy oraz pewnej liczby nie powiązanych z sobą słów zdołał mi wreszcie coś niecoś wytłumaczyć. Przynajmniej jak mi się zdawało do momentu, w którym gwałtownymi okrzykami zawrócił mnie z drogi i wymachując rękami pokazał wprost przeciwny kierunek.

Przewyciężywszy i tę trudność, wyjechałam z miasteczka i zaczęłam rozglądać się za boczną drogą, o której mówił młody człowiek. *Tre chilometri* za ostatnim domem... Prawie ją przegapiłam. Była tak wąska, że z trudem mogłyby się na niej wyminąć dwa samochody, nawet fiaty, a w dodatku wjazd zasłaniał ogromny dąb. Skręciłam ostro, czując, jak gałęzie szorują mi po dachu.

Drzewa i zarośla po obu stronach mocno zasłaniały widok. Pięłam się ostro w górę, pokonując z trudem liczne zakręty. Po chwili droga zaczęła opadać. Biegła teraz wąwozem o stromych zboczach, porośniętych bluszczem i gęstymi kolczastymi pnączami, w których od czasu do czasu ukazywał się kawałek muru z czerwonej cegły, wcale nie trudniejszy do sforsowania niż najeżony kolcami gąszcz. Jeśli ten mur stanowił ogrodzenie posiadłości, to znaczy, że jest ona bardziej rozległa, niżby wynikało ze zdawkowych uwag Barta na temat resztek rodzinnej fortuny.

Droga, choć utwardzona, była w bardzo złym stanie. Musiałam znacznie zwolnić. Wkrótce strome zbocze zostało w tyle, a zarośla po prawej stronie zaczęły się rozrzedzać. Mur był tak wysoki, że widziałam ponad nim tylko chmury i tuman mgły; przypuszczałam jednak, że zbliżam się do głównej bramy. Na długo przedtem wynurzył się z mgły słupek zwieńczony kamienną bryłą, która mogła być kiedyś rzeźbioną figurą heraldyczną. Za słupkiem zobaczyłam ozdobne żelazne wrota, a przed nimi dość miejsca, by wygodnie zjechać z drogi. Mały budynek przy bramie to pewnie domek odźwiernego. Częściowo schowany za ogromnym rododendronem, pod nisko zwieszającymi się gałęziami drzew, przypominał chatkę czarownicy z niemieckiej bajki. Sama czarownica wydawała się nieobecna. Tuż za bramą zakręcała żwirowana aleja, która praktycznie zniknęła jakieś trzysta metrów dalej. Była gęsto wysadzana eleganckimi, strzelistymi cyprysami na przemian z rozrośniętymi drzewami liściastymi.

Wysiadłam z samochodu. Wrota wyglądały na nie do zdobycia. Nawet nie zaskrzypiały, kiedy próbowałam je pchnąć. Jedyнным widocznym środkiem łączności był zardzewiały guzik, który po naciśnięciu nie wydał żadnego odgłosu. Zaczęłam więc trąbić klaksonem, walić pięściami i krzyżeć:

— Hej, jest tam kto?

Żadnej odpowiedzi, żadnego dźwięku z wyjątkiem kapania z drzew i cichego świergotu jakiegoś ptaka ukrytego wysoko na cyprysie. Wróciłam do samochodu, zapaliłam papierosa i zaczęłam obmyślać następny krok. Nie będę przechodzić przez to wszystko po raz drugi. Teraz albo nigdy.

Może rzeczywiście nigdy, jeśli rezydencja jest tak opustoszała, jak na to wygląda. Z samego faktu, że należy do rodziny Morandinich, nie wynika, że ktoś tam mieszka. Bart nie wspominał o braciach, siostrach, kuzynach, ciotkach czy wujkach. Przypuszczam, że on i jego babka byli ostatnimi z rodziny. Stara kobieta mogła nie chcieć mieszkać na takim odludziu. Mogła być w domu opieki, w szpitalu... To by tłumaczyło, dlaczego nie odpowiadała na moje listy.

Już miałam zrezygnować, gdy usłyszałam, że ktoś nadchodzi. Na żwirze, za zakrętem zachrząściły kroki, jakoś dziwnie zniekształcone w tej przesiąkniętej wilgocią ciszy. Jakby zbliżało się coś wielkiego i ciężkiego, raczej dzikie zwierzę niż człowiek.

Co za bzdura. Wsiadłam z auta i podeszłam do bramy. Między drzewami ukazał się mężczyzna. Wysoki, zbudowany jak fullback* — grubokościsty, muskularny, o ramionach jak wykutych w kamieniu i okrągłej jak kula armatnia głowie bez śladu szyi. Miał na sobie znoszone ubranie i czapkę nasuniętą na oczy. W ręku trzymał gruby kij, którym smagał po drodze gałęzie i chwasty. Dopiero kiedy wyszedł pomiędzy drzew na otwartą przestrzeń przy bramie, mogłam się lepiej przyjrzeć jego rysom. Pierwsze wrażenie, że mam do czynienia z brutalną, straszliwą siłą, tylko się wzmogło. Nos mężczyzny wyglądał, jakby mu go złamano i źle zestawiono; rozlewał się na obie strony, przysłaniając grube wargi.

Na mój widok odrzucił na bok kij i przybrał minę, która jeszcze bardziej mi się nie podobała. Cofnęłam się odruchowo, widząc, jak zbliża się niespiesznym, rozkołysanym krokiem. Przesunął po mnie wzrok od góry do dołu i z powrotem. Nie zrozumiałam, co powiedział. Może nawet nie mówił po włosku; słowa miały bardziej chrapliwe, gardłowe brzmienie.

Przygotowałam sobie zawczasu kilka zdań.

— *La contessa Morandini — e a casa?*

— *Si.*

Znałam to słowo. Towarzyszyło mu skinienie głową i grymas, który mógł oznaczać uśmiech. Ale zamiast otworzyć bramę mężczyzna stał nieruchomo i wciąż się na mnie gapił.

Spróbowałam zdania numer dwa.

— *Io desidererei vederla.*

Zdanie pochodziło ze starego podręcznika, a moja wymowa była fatalna, ale facet na pewno zrozumiał, o co mi chodzi. Jego uśmiech stał się bardziej agresywny. Potrząsnął głową i pokiwał w obie strony palcem.

— *No, signorina. La contessa — no. A może ja się nadam? Czy chce pani...*

Mówił wolno jak do dziecka, używając prostych, znanych mi słów. Nie znałam tylko czasownika kończącego ostatnie zdanie, ale towarzyszący mu gest był wystarczająco wymowny.

Każda kobieta, stara czy młoda, brzydka czy ładna, która mieszka odpowiednio długo w dużym mieście, spotyka się z tego typu propozycjami. Nie sposób do nich przywyknąć. Nie sposób przewyciężyć chęci rzucenia w odpowiedzi czymś ciężkim prosto w odnośną część ciała takiego faceta. Po jakimś czasie uczymy się jednak, że gwałtowna reakcja powoduje skutek wręcz przeciwny do oczekiwanego, podobnie jak w przypadku obscenicznych telefonów, a jedyną właściwą postawą okazuje się chłodna obojętność.

* W amerykańskim futbolu: obrońca.

Nie spodziewałam się w tym miejscu tego rodzaju zaczepki. Ów człowiek był służącym w rezydencji hrabiny. Co za zwyczaje panują w tym domu? Żeby odźwierny pozwalał sobie na obrażanie gości swej chlebobawczyni? Poczułam na twarzy gorącą falę krwi. Męczyzna zarechotał i zilustrował swą propozycję jeszcze kilkoma obrazowymi gestami.

Kiedy skierował się do furty, uciekłam czym prędzej do samochodu, rezygnując z resztek godności. Nie wierzyłam wprawdzie, by zdobył się na jakąś akcję, ale przecież już zachował się w niewiarygodny sposób, a znajdowaliśmy się w odludnym miejscu. Przy cofaniu samochodu zauważyłam, że stoi oparty o furtkę i zanosi się od śmiechu.

Byłam tak wściekła i tak bardzo chciałam się stamtąd oddalić, że pojechałam na oślep prosto przed siebie. Po paru minutach dotarłam na szczyt wzgórza. Ochłonawszy nieco, doszłam do wniosku, że powinnam jednak zawrócić. Nie widziałam tu żadnych zabudowań ani dróg dojazdowych. Znalazłam się na drodze prywatnej, która wyraźnie prowadzi do ślepego zakończenia. Wkrótce droga zaczęła opadać i po paru ostrych zakrętach wyjechałam spomiędzy drzew. Miałam przed sobą rozległą dolinę, w której gdzieś widać było domki i gospodarstwa. A więc mimo wszystko jest to droga przelotowa. Mogłam pojechać do odległego o parę kilometrów miasteczka i tam zorientować się w kierunkach.

Ale nie zrobiłam tego. Gdy tylko natrafiłam na miejsce, w którym mogłam zawrócić, ruszyłam w przeciwnym kierunku.

Musiałam spróbować jeszcze raz. Z pewnością hrabina nie wie, jak zachowuje się jej służący. Mówił, że pani jest w domu. Czy była sama, zdana tylko na tego bydlaka? Słyszałam przecież o opuszczonych przez wszystkich, zaniebanych starszych osobach, które padają ofiarą pozbawionej skrupułów służby. Może to właśnie taki przypadek?

W ciągu wielu miesięcy obraz babki Barta przybrał w mej wyobraźni konkretne kształty. Na podstawie komentarzy męża wyrobiłam sobie pogląd, że jest to dostojna arystokratka, wymagająca od wnuka szacunku, ale i miłości. Uważała się za zwolenniczkę surowej dyscypliny, lecz — co Bart wyznawał ze śmiechem — mocno go psuła. Zawsze potrafił zręcznym pochlebstwem wymigać się jakoś od wyznaczonej mu kary. Moja babcia miała dwie pasje: aerobik i pizzę, których wzajemny związek narzuca się sam przez się. Kolor jej włosów przechodził różne metamorfozy — od marchewkowego do kruczoczarnego — w zależności od humoru właścicielki i pomysłów fryzjera. W odniesieniu do hrabiny Morandini nasuwał mi się raczej obraz przypominający malowidło Whistlera „Matka artysty”: krucha siwowłosa staruszka w czarnej bombazynowej sukni i wdowim welonie. Widziałam niemal, jak siedzi, samotna, w swoim pokoju, kołysząc się na bujanym fotelu, a na trzymaną w sękatych palcach robótkę kapią starcze łzy.

Kiedy jechałam z powrotem wyboistą drogą, czułam, że ogarnia mnie uczucie, które mój ojciec zwykł określać jako „misję tygodnia świętej Kathleen”. Jak gdyby akurat on miał największe prawo do krytyki. On, który rozdawał pieniądze na prawo i lewo różnym pijaczkom czy żebrakom, sprowadzał do domu napotkanych włóczęgów — zarówno ludzi, jak zwierzęta — jeśli tylko wyglądali na głodnych... Dobra, dobra, tato. Po prostu nie mogę jej tam zostawić, póki nie przekonam się, że jest bezpieczna.

Nie chciałam po raz drugi podejżdzać do bramy. Musi być jakieś inne wejście. Zapamiętałam przerwę w gąszczu pnączy, w miejscu, gdzie mur kończył się czy też zakręcał. Gdy tam dotarłam, zobaczyłam zarośniętą i zaniebaną alejkę ciągnącą się wzdłuż drugiego boku muru.

Wjechałam w nią i zaparkowałam. Droga mogła być przeznaczona dla służby czy pojazdów gospodarczych, ale od dawna jej nie używano; w miejscach nieporośniętych chwastami leżało zaschnięte błoto. Przebiegała przez rozległe pastwisko, usiane skałkami jak pudding rodzynkami. Suche badyle zeszłorocznych chwastów chrzęściły w podmuchach ostrego wiatru. Przewiesiłam

torebkę przez ramię i wsadziłam ręce do kieszeni. Kto do słonecznej Italii przywozi rękawiczki? Nie ja. Widać wczorajsza ładna pogoda to tylko szczęśliwy traf.

Ruszyłam przed siebie. Już po kilkunastu krokach zupełnie przemoczyłam nogi. Patrzyłam na korony drzew, widoczne ponad murem. Żadnego znaku życia... Dopiero za zakrętem znalazłam to, czego szukałam: nie, nie furtkę, ale miejsce, gdzie parę cegieł pokruszyło się i wypadło na zewnątrz, tworząc coś w rodzaju pochylni, po której mogłam wgramolić się do środka.

Z początku nie widziałam nic poza płataniną gałęzi. Przedzierając się przez nie narobiłam stanowczo za dużo hałasu, choć z drugiej strony cieszyłam się, słysząc jakieś odgłosy poza własnym oddechem. Czułam się tu jak na cmentarzu. Kiedy wyszłam z zarośli, znalazłam się w zamkniętej przestrzeni, która kiedyś była ogrodem. Wydostałam się stamtąd z wielkim trudem. Jeśli kiedyś wytyczono tam jakieś ścieżki czy alejki, teraz porastała je trawa. Następny eksogród okazał się większy i tak samo zapuszczony. Dalej znajdował się jeszcze jeden i jeszcze...

Miałam tylko mgliste pojęcie o tym, jak powinno wyglądać rozplanowanie przestrzeni w wielkich posiadłościach. To, co zobaczyłam, nie pasowało do żadnego z moich wyobrażeń. Nie było tu żadnych opadających tarasów, sadzawek czy rozległych trawników, tylko labirynt ogrodzonych kawałków gruntu, przypominających pokoje bez sufitów. W jednym z nich krzewy powystrzygano w kształty zwierząt i mitologicznych potworów, ale od dawna nikt ich nie przycinał, tak że czasem trzeba było się domyślać pierwotnej formy. Odrastające bujnie gałązki nadawały im jeszcze groźniejszy wygląd.

Po długich poszukiwaniach odnalazłam furtkę, przez którą mogłam wreszcie wydostać się na względnie otwartą przestrzeń. Wprawdzie zwirowane alejki były tak samo zachwaszczone, a krzewy niepoprzycinane, ale w porównaniu z dżunglą, którą musiałam pokonać, dawało się tu dostrzec ślady pielęgnacji. Azalie i rododendrony wypuszczały świeże listki, wyzbywając się niecierpliwie starych i zwiędłych. Ruszyłam przed siebie jedną z alejek, gdy nagle zmroziły mnie czyjeś gwałtowne okrzyki. Coś śmignęło w powietrzu i poleciało prosto na mnie. Odruchowo podniosłam ręce.

4

Co się robi na widok dużego, obłego obiektu w brązowym kolorze, lecącego w waszą stronę? Na takie pytanie istnieje tylko jedna sensowna odpowiedź, zwłaszcza gdy się jest intruzem na cudzym terenie. Robi się unik. Chyba że ma się dwóch starszych braci, kandydatów na quarterbacków*, że w uszach ciągle jeszcze pobrzmiwa ci echo wrzasków na korytarzach: „Dawaj, Kathy, dawaj!”... Wtedy po prostu taki obiekt się łapie.

To rzeczywiście była piłka futbolowa. Rozpoznałam ją instynktownie, jeszcze zanim wpadła mi do rąk. Dopiero wtedy uderzyła mnie cała absurdalność sytuacji. Poczułam się jak Alicja w Krainie Czarów. Klapnęłam ciężko na ziemię, przyciskając piłkę do brzucha („Nie puszczaj przed gwizdkiem, fujaro, bo ktoś ją zaraz przejmie...”). Zza krzaków wyszedł chłopiec i zmierzał w moją stronę. Nie mógł mieć więcej niż dziesięć lat, a wyglądał na jeszcze młodszego. Próbował zachować powagę, ale mu się to nie udało.

— To było dobre! Gdybym wiedział, że jesteś tylko dziewczyną, nie rzucałbym tak mocno.

* Quarterback — w futbolu amerykańskim: rozgrywający, najważniejsza osoba na boisku, mająca istotny wpływ na przebieg gry.

Gapiłam się na niego ze zdumieniem. Mimo tego podkreconego podania nie był Amerykaninem. Mówił po angielsku w sposób sztuczny, jego ubranie wyglądało nie tylko na europejskie, ale wręcz na staromodne. Mimo że dzinsy dawno podbiły cały świat, młody człowiek nosił szare flanelowe spodnie, podkolanówki i szary pulower. Przydałoby mu się coś w weselszym kolorze. Był blady i stanowczo za chudy. Ale nie dlatego się zagapiłam. Miał kędzierzawe ciemne włosy, wąskie wargi i srebrzystoszare oczy o dramatycznie rozszerzonych źrenicach i gęstych, wywiniętych rzęsach tak czarnych i długich, że wyglądały jak pociągnięte tuszem.

Oczy Barta...

Uśmiech znikł z jego twarzy.

— Uderzyłem cię? Świetnie złapałaś, jak na dziewczynę.

Wyrównałam oddech.

— Kapitalne zagranie!

Kucnął przy mnie.

— Masz dobre ręce — rzekł łaskawie. I zaraz dodał z niepokojem: — To odpowiedni zwrot? „Dobre ręce”?

— Zwrot jest poprawny — odparłam ze śmiechem. — Ale moi bracia nie zgodziliby się z tobą. Według nich moje ręce są maślane. Powiedzmy, że miałam szczęście.

— Może spróbujemy jeszcze raz? — spytał z nadzieją w głosie.

— Czemu nie. Ale za chwilę. Trochę się zasapałam.

— Odpocznij sobie na ławce. — Pomógł mi się podnieść ze staroświecką kurtuazją, tak pasującą do jego stroju. Sam przysiadł obok. — Jestem Pete — oznajmił z przekorną miną.

Podaliśmy mu rękę oraz piłkę.

— A ja Kathy. Pete? Ładne imię, ale sądziłam, że młodzieniec z Italii nazywa się raczej Pietro.

— Jestem tylko pół-Włochem. Druga połowa jest amerykańska.

— Która?

— Ta po matce.

Nie jestem pewna, jak się domyśliłam. Może po sposobie, w jaki unikał używania czasownika, nie mogąc się zdecydować na czas przeszły albo teraźniejszy. Może po tym, jak opuszczał rzęsy, by zasłonić oczy...

— A ojciec? — spytałam, odczekawszy chwilę.

— Mieszkałem w Ameryce przez rok — odpowiedział wymijająco.

— Czy to tam nauczyłeś się grać w futbol?

— Tak. A ty gdzie? Myślałem, że dziewczyny nie grywają.

Opowiedziałam mu o Jimie i Michaelu.

— Prawie cały wolny czas od sierpnia do grudnia spędzali na treningach, a kiedy nie mogli znaleźć nikogo lepszego, pozwalali mi łapać. Byłam tak szczęśliwa, że wcale nie dawałam się prosić, zwykle narzekali, kiedy się za nimi snułam. Na szczęście żaden z nich nie chciał być linebackerem.

Musiał to sobie przemyśleć. Po chwili rozchylił wargi w ostrożnym uśmiechu.

— Aha, przetrzymywali cię. To przykre.

— Owszem.

— Wiedziałem, że jesteś Amerykanką — rzekł machając nogami. — Po sposobie, w jaki łapiasz piłkę. Żadna tutejsza dziewczyna tak by nie potrafiła.

Uznałam, że muszę bronić własnej płci.

— Futbol to typowo amerykańska gra. Idę o zakład, że dużo włoskich dziewczyn gra w tutejszą piłkę nożną.

Oczy mu się zaświeciły.

— „Idę o zakład”... Już zapomniałem. To dobre. Tak samo jak „słuszna racja” albo „kiepskawo, chłopie”.

Zeszłoroczny slang. Nie chciałam pytać go wprost, jak dawno temu przebywał w Ameryce. Coś nie tak było z jego rodzicami — z matką na pewno, a może i z ojcem. Uznałam, że bezpieczniej będzie, jeśli powiem:

— Twój angielski jest bardzo dobry. Musisz sporo rozmawiać.

Ale znowu popełniłam błąd. Rzęsy ponownie opadły na oczy.

— Nie pozwalają mi mówić po angielsku. „*Sempre Italiano, Pietro; non parlare inglese*”. — Zeskoczył z ławki i wskazał zapraszająco na piłkę. — Spróbujesz złapać? Odpoczęłaś już?

Właściwie zapomniałam, jak się tu znalazłam i w jakim celu.

— Pete — powiedziałam z westchnieniem — naprawdę chciałabym. Tylko widzisz... nie mam prawa tu być. Przeszłam nielegalnie przez mur.

— Tak myślałem — odparł ze spokojem. — Dobrze, że weszłaś tędy. To moje miejsce do zabawy, więc nie puszczaj tu psa.

— Psa? Jakiego psa?

Nie znał nazwy rasy, więc pokazał rękami.

— O, taaki wielki, czarny, cały czarny, z takimi dużymi zębami.

Miał rację, dobrze, że się na niego nie natknęłam. Wstałam z ławki.

— Cóż, lepiej pójść i przeproszę hrabinę. To do niej przyjechałam. Nie wiesz, czy jest w domu?

— Chyba jest. Musisz pójść tędy... — wskazał furtkę w końcu ogrodu. — Tam są drzwi do kuchni. Nie przeszkadza ci, że wejdiesz kuchennymi drzwiami?

— Nic a nic. — Uśmiechnęłam się na widok jego przeproszającej miny. — Każde drzwi są dobre, byle nie prowadziły na wybieg psa.

— Ja tędy chodzę, więc psa tu nie ma. Poszedłbym z tobą, ale mam się tu bawić przez godzinę. Takie są przepisy. — Spojrzał na zegarek. — Zostało mi jeszcze dwadzieścia minut.

Powiedziałam, że to nic nie szkodzi, zdusiwszy w sobie chęć dodania słowa „kochanie” i uściskania go albo zrobienia czegoś równie głupiego. Przecież wiem, że chłopcy w tym wieku nie znoszą czułości. Był naprawdę uroczy; te dziwne staroświeckie maniery u sfrustrowanego futbolisty... Kiedy doszłam do furtki, obejrzałam się jeszcze. Stał z piłką w ramionach i patrzył za mną. Uśmiechnęłam się i pomachałam mu ręką.

Każdy dom, nieważne jak duży, potrzebuje pewnego zaplecza. Śmieci to śmieci — szczotki oraz inne przybory muszą gdzieś stać. Ścieżka między rzędami zielonych kiełków, które później miały stać się groszkiem, marchewką, sałatą i cebulą, zawiodła mnie na wybrukowane podwórko, gdzie poniewierały się różne przydatne w gospodarstwie przedmioty — wiadra, zmywaki do podłóg, grabie, puste pudła. To skrzydło domu przedstawiało się raczej skromnie; rozłożyste, o niskim dachu i ceglanych ścianach z oblażącą sztukaterią. Kiedy przystanęłam, by zebrać odwagę do następnego kroku, zza chmur wyjrzało słońce.

Zapukałam do drzwi. Nie zdążyłam opuścić ręki, kiedy otworzyły się na oścież i w progu stanęła tęga siwowłosa kobieta w fartuchu. Moje knykcie znalazły się nagle na wysokości jej nosa, co ją na moment zdenerwowało, ale już po chwili niepokój na jej twarzy ustąpił szerokiemu uśmiechowi i wyrazowi rozbawienia, który nasilił się jeszcze, kiedy wyjąkałam słowa przeprosin. Odpowiedziała mi coś, ale oczywiście nic nie zrozumiałam. Zauważyłam tylko, że mówi bardziej miękko, śpiewniej niż mężczyzna przy bramie.

Powtórzyłam wyuczone zdanie:

— *La contessa Morandini — io desidererei vederla.*

I wyciągnęłam wizytówkę.

Bóg jeden wie, co mi strzeliło do głowy, kiedy zamawiałam te karty. Miały co najmniej pięć lat i były wynikiem jakichś młodzieńczych fanaberii. Parę dni przed wyjazdem do Włoch znalazłam dawno zapomniany, zakurzony pakiet o pozaginanych w ośle uszy rogach i wrzuciłam go do torebki. Przyszło mi do głowy, że dzięki wizytówkom potraktują mnie z większym szacunkiem. Kiedy się odwiedza hrabinę, prawdziwą europejską damę w starszym wieku, która w dodatku nie ma zielonego pojęcia o twoim istnieniu, liczy się każdy szczegół.

Naturalnie miałam zamiar wręczyć kartę właściwemu służącemu przy głównym wejściu. Gdybym nie była taka skonsternowana, zrozumiałabym, że zachowuję się co najmniej absurdalnie; co to za gość, który przełazi przez mur, a potem wręcza wizytówkę kucharce!

Mało powiedzieć, że się zdziwiła. Po prostu osłupiała. Wzięła w końcu kartę za sam brzeżek, jakby kartonik miał za chwilę eksplodować, i skinieniem ręki zaprosiła mnie do środka.

Kuchnia była duża, nisko sklepiona, z podłogą z czerwonych płytek. Najwybredniejsza pani domu (moja matka) nie miałaby się tu do czego przyczepić — wszędzie panowała nieskazitelna czystość, a z bulgoczących na płycie kuchennej garnków unosiły się rozkoszne zapachy. A jednak wyczuwało się tu pewną pustkę, może dlatego, że w tak przestronnym pomieszczeniu, przeznaczonym dla liczego personelu, znajdowały się tylko dwie osoby. Młoda dziewczyna, szczupła, czarnowłosa, zajęta przy zlewie skrobaniem jarzyn, obejrzała się przez ramię i przyglądała mi się rozszerzonymi oczami. Kucharka obracała w palcach moją wizytówkę; nigdy nie była w takiej sytuacji i nie wiedziała, co ma robić. W końcu wzruszyła ramionami i wskazała mi krzesło przy długim stole. Potrząsnęłam głową z uśmiechem. Znow wzruszyła ramionami, przyjrzała się karcie i poczłapała do drzwi.

Płynęły minuty. Czułam się jak idiotka, stojąc tam tak potulnie z założonymi rękami, przestępując z nogi na nogę. Dziewczyna przy zlewie ciągle na mnie zerknęła, chichocząc w kułak. W czasach, w których zatrudniano w takich domach tuziny służby, powinna być pomywaczką. Zamiast uniformu służbowego miała na sobie opiętą spódnice, podkreślającą jej obfite kształty i jeszcze ciaśniejszy sweterek. Kiedy uśmiechnęłam się do niej i powiedziałam „*Buon giorno*”, wybuchnęła piskliwym śmiechem.

Na odwrocie wizytówki napisałam: „Muszę się z Panią zobaczyć w sprawie Pani wnuka”. Nie było to zbyt eleganckie, ale krótkie i konkretne. Kiedy kucharka wróciła, już myślałam, że zostanę wyproszona za drzwi. A jednak kiwnęła ręką, bym za nią poszła.

Szłam więc, stukając obcasami po gołych deskach. Po jakimś czasie ich odgłos stłumił dywan, ale wkrótce zastukały jeszcze głośniejszy, tym razem na marmurowej posadzce. Tylko to później pamiętałam — ten odgłos własnych kroków, niczym bicie w bęben. Nie potrafiłabym opisać pokoi, korytarzy ani mebli; serce waliło mi jak młotem i żołądek podchodził do gardła. Spodziewałam się, że kucharka przekaze mnie kamerdynerowi albo pokojówce, ale ona prowadziła mnie po całych kilometrach marmurowych posadzek, aż wreszcie otworzyła jakieś drzwi.

Słoneczny blask zalewał pokój, złocąc białe ściany i framugi, tak jak szampan złoci kryształowe kieliszki. Byłam zbyt zdenerwowana, by zwracać uwagę na szczegóły. Widziałam tylko kobietę siedzącą za biurkiem obok drzwi na taras. Nie podniosła się z miejsca.

Obraz, który powstał kiedyś w mojej wyobraźni, roztrzaskał się w mgnieniu oka jak zbita kamieniem szyba. W dzisiejszych czasach określenie czyjegoś wieku nastęrcza wprawdzie pewne trudności, ale i tak mogłabym przysiąc, że kobieta nie ma ani jednego dnia ponad czterdzieści lat. Bezlitośnie odślaniające prawdę promienie słoneczne padały prosto na jej twarz. Miała

wprawdzie doskonały makijaż, ale trzeba czegoś więcej niż makijażu, aby ukryć zmarszczki wyłobione przez wiek. Tymczasem na jej gładkich skroniach i czole nie było widać nawet najmniejszej kreseczki. Miedziane włosy cudownie połyskiwały srebrem, szare oczy, nie srebrzyste, jak u Barta, lecz ciemniejsze, matowe, przypominały stare zwierciadła.

Jestem pewna, że wyglądałam tak samo głupio, jak się czułam.

Skrzywiła się lekko.

— Przypuszczam, że nie mówi pani po włosku — powiedziała.

— Nie... Przykro mi.

— Wobec tego będziemy rozmawiać po angielsku, choć bardzo tego nie lubię. Pisała pani do mnie, i to kilka razy. Powinna pani zrozumieć, że skoro ktoś nie odpowiada na listy, to znaczy, że nie życzy sobie żadnych kontaktów.

Zaczęłam się tłumaczyć, ale zbyła mnie szybkim ruchem ręki.

— Nie sądziłam, że będzie pani miała czelność zjawić się tu osobiście. Jeśli chodzi o pieniądze, to muszę panią rozczarować. Nie mam zamiaru dać ani centa. Czy wyrażam się jasno?

— Bardzo jasno.

— Doskonale. — Sięgnęła do dzwonka. — Więc już wszystko zostało powiedziane. Do widzenia, panno... — zerknęła na wizytówkę. — Panno Malone.

Mój ojciec zwykł mawiać: „My, Malone’owie, nie dajemy sobie w kaszę dmuchać”. Wprawdzie on ma ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, a ja jestem znacznie niższa i szczuplejsza, ale wzrost nie ma tu nic do rzeczy. Odpowiedziałam wolno i wyraźnie:

— Nie panna Malone, tylko pani Morandini. Byłam żoną pani wnuka, hrabino.

Odchyliła się do tyłu. Końce jej palców stykały się ze sobą, twarz pozostała niewzruszona. Nie sposób określić, jaki skutek odniosły moje słowa, jeśli w ogóle zrobiły jakieś wrażenie. Nim zdążyłam coś dodać, drzwi się otworzyły — w odpowiedzi na dzwonek.

Weszła nie kucharka, tylko inna, krępa i śniada kobieta, z wyraźnym wąsikiem, o czarnych, matowych włosach. Rzuciła mi szybkie, przenikliwe spojrzenie i zaraz odwróciła wzrok.

Hrabina przemówiła do niej po włosku. Kobieta skinęła z szacunkiem głową i wyszła, przesywszy mnie na odchodnym jeszcze raz swymi świdrującymi oczami. Odniosłam niejasne wrażenie, że hrabina z jakiegoś powodu zmieniła zdanie i że polecenie, które wydała, nie było tym, które początkowo miała na myśli.

Do mnie nie odezwała się ani słowem. Ja także milczałam. Czy podejmie moje wyzwanie? Wszystko się we mnie gotowało z oburzenia. Chciałam zrobić coś obraźliwego, popełnić jakąś subtelną niegrzeczność, która odpowiadałaby jej wrednemu zachowaniu. Usiadłam więc, nieproszone, na obitej żółtym brokatem kanapce. Była okropnie niewygodna.

Zdaje się, że hrabinę to rozbawiło. Uniosła odrobinę jedną brew. Spojrzałam jej twardo w oczy i siedziałyśmy tak, jak dwie woskowe figury, póki nie wróciła służąca.

Był z nią Pete. Ledwie go poznałam. Jego szczupła twarzyczka zmieniła się w ponurą maskę. Na mój widok oczy mu rozbłysły i kąciki ust zadrgały, tak samo jak Bartowi, kiedy próbował powstrzymać uśmiech.

Nie uszło to uwagi hrabiny. Odezwała się tonem towarzyskiej pogawędki:

— Zastanawiałam się, jak pani tu weszła. Zdaje się jednak, że nie zostaliście sobie oficjalnie przedstawieni. Oto *il conte* Pietro Francesco Morandini, mój wnuk. Mój jedyny wnuk.

ROZDZIAŁ 2

1

Lekka pogarda w jej głosie nie odnosiła się do mnie. Sens był tak oczywisty, jakby powiedziała jasno i wyraźnie: Ten wymoczek, ten półbarbarzyńca, to było co, jest wszystkim, co posiadam. Sama widzisz, że nie jest wiele wart.

Może była okrutna, ale nie miała sadystycznych skłonności. Pozwoliła chłopcu odejść, odprowadzając go strzepnięciem palców. Podobnym, choć znacznie łaskawszym gestem odesłała służącą.

— I co? — zapytała.

Wstałam.

— Proszę się nie obawiać. Nigdy już mnie pani nie zobaczy ani o mnie nie usłyszysz. Cieszę się, że tu przyjechałam, bo przynajmniej mogłam się przekonać, do jakiego rodzaju rodziny mam przyjemność nie należeć. Nie wiem, dlaczego pani kłamie, i nic mnie to nie obchodzi. Zawarłam związek małżeński z Bartem... z Bartolommeem Morandiniem. Byłam jego żoną przez sześć miesięcy, póki nie zginął w wypadku samochodowym. Powiedział mi, że hrabina Morandini jest jego babką. I przecież na pani biurku stoi jego fotografia. O, tam. To mój mąż. Nie mam zbyt wysokiego mniemania ani o pani manierach, ani o pani moralności, ani też o pani metodach wychowawczych, ale dzięki Bogu nic z tego mnie nie dotyczy. Żegnam panią.

— Chwileczkę. — Byłam już przy drzwiach, gdy smagnęła mnie tym słowem jak batem. — Zaczynam pani wierzyć.

— Serdeczne dzięki.

— Nie nosi pani obrączki.

— Włożyłam ją do... do Barta.

— Czy wzięliście ślub w kościele?

— Nie. W Urzędzie Stanu Cywilnego w New Hampshire.

Z grymasu jej ust wywnioskowałam, że uważa nasz ślub za niewłaściwy, może nawet nielegalny.

— Ale jest pani katoliczką?

Całkiem rozsądnie, zważywszy, że nosiłam stare irlandzkie nazwisko Malone. A jednak uznałam pytanie za obraźliwe.

— Wychowano mnie religijnie — odrzekłam sztywno. Przyglądała mi się uważnie.

— Matka Bartolommea była moją szwagierką, siostrą mojego męża.

W tym momencie zdałam sobie sprawę, że przyczyną moich narastających mdłości wcale nie są czynniki wyłącznie emocjonalnej natury. Zmiana wody, zmiana klimatu, może mleko do śniadania... Musiałam chyba zzielenieć na twarzy, bo hrabina się zaniepokoiła.

— Niechże pani siada — powiedziała szybko. Z trudem dotarłam do krzesła.

— Przepraszam — wykrztusiłam, przetykając ślinę. — Nie czuję się zbyt... Był tylko siostrzeńcem pani męża. Więc czemu mi powiedział...

— Często używał nazwiska Morandini. Bezprawnie, oczywiście. Jego ojciec pochodził z pospolitej rodziny, był lekarzem z Mediolanu. Po śmierci matki chłopiec przeszedł pod moją opiekę. To ja go wychowałam.

Kamienna twarz hrabiny nie złagodniała ani na chwilę. Interesowało mnie, dlaczego Bart wolał podawać się za jej wnuka, a nie syna. Nie przyszło mi jakoś do głowy, żeby podważyć

prawdziwość jej słów, choć natychmiast nasunęło mi się mnóstwo pytań. Nie miałam jednak siły ich zadać. Było mi okropnie niedobrze. Podniosłam się, w nadziei, że zdążę wydostać się z tego domu, nim zwymiotuję.

— Dziękuję, przepraszam, że panią fatygowałam. Do widzenia.

Nagle znalazła się tuż obok, podtrzymując mnie silnymi, chłodnymi dłońmi. Odczułam to bardziej jako odcięcie drogi niż pomoc.

— Proszę zaczekać. Cywilna ceremonia, powiada pani... Ale... Czy to możliwe? Czy przyjechała pani tutaj, ponieważ... Proszę powiedzieć prawdę. Czy jest pani brzemienna?

Mogłabym utrzymywać, że tym pytaniem zadała mojemu rozklekotanemu mózgowi ostateczny cios, który odebrał mu zdolność funkcjonowania. Ale odpowiedź przecież nie wymagała ani głębokich przemyśleń ani dłuższych wyjaśnień. Wystarczyło wymówić jedno słowo złożone z zaledwie trzech liter. Nie wymówiłam go. W szarych oczach hrabiny błysnęło coś, co przypominało niewyraźny obraz widziany w zakurczonym lustrze. A jednak nie dlatego nie wyprowadziłam jej z błędu. Na ów błysk zareagowałam nie uprzejmością, tylko wyrafinowanym okrucieństwem. Gdybym była przesądna... Ale nie byłam.

Dziesięć minut później leżałam w łóżku rozmiarów boiska piłkarskiego, ustawionym w pokoju rozmiarów sali balowej. Miałam na sobie jedwabną nocną koszulę hrabiny, która osobiście trzymała mnie za głowę, kiedy sumiennie i zgoła nieestetycznie pozbywałam się zawartości żołądka.

2

Pewne rodzaje chorób uważa się za romantyczne, jak na przykład suchoty. Cierpiały na nie wszystkie słynne bohaterki tragedii. Niektóre schorzenia mają przynajmniej tyle przyzwoitości, że są śmiertelne. Są też takie, które zasadniczo wzbudzają wesołość. Ludzie zawsze żartowali sobie z morskiej choroby. Gdybym zwichnęła nogę w kostce albo została pogryziona przez psa, gdyby zaniecono mnie do tej wytwornej sypialni zemdloną — mógłby to być stosowny epizod w jednej z owych romantycznych powieści, które cieszą się takim powodzeniem. Gdybym chociaż cierpiała na tak zwane „poranne nudności”, w co wierzyła hrabina... Wówczas mój „błogosławiony stan” dodałby wzniosłości nieprzyjemnym objawom. W mojej niedyspozycji jednak próżno byłoby doszukiwać się czegoś wzniosłego, romantycznego czy godnego. Ostrzegano mnie przed tym, wiedziałam, co to jest, ale na pewno nic śmiesznego. Zapomniałam o takich drobiazgach jak godność i dobre maniery. Chciałam tylko, żeby mnie zostawiono samą i pozwolono umrzeć w spokoju.

I wreszcie tak się stało, ale dopiero gdy zgodziłam się połknąć jakieś świństwo o wyglądzie i smaku kredy. Może zresztą naprawdę była to kreda. Nie umarłam jednak, tylko zapadłam w sen, a po przebudzeniu czułam się znacznie lepiej.

Pokój niezupełnie dorównywał wielkością sali balowej, ale i tak był duży — ze cztery razy większy od salonu Malone'ów. W oknach wisiały ciężkie zasłony w kolorze leśnej zieleni, podobne udrapowano w głowach łóżka, przy którym paliła się mała lampka. Mimo to w pokoju panowała ciemność jak w środku nocy, choć sądząc z wąskiej smużki światła na podłodze, wcale nie spałam zbyt długo.

Przez jakiś czas leżałam nieruchomo, rozkoszując się tą prostą przyjemnością, że przestało mnie mdlić. Dopiero po chwili dotarło do mnie w pełni, ile narozrabiałam. Swoją obecną pozycję, to, że spowita w jedwabie zajmowałam prawdopodobnie najlepszy pokój w całym

domu, zawdzięczałam wyłącznie kłamstwu. Hrabina nie odstawiła miłosiernej Samarytanki tylko dlatego, że się źle poczułam. Zdażyłam przejrzeć ją na tyle, by wiedzieć, że gdyby nie fałszywa interpretacja przyczyn mojej choroby, wypchnęłaby mnie z całą bezwzględnością za drzwi. Nic mnie nie usprawiedliwiało. Nawet siostra Urszula przy całym swoim bezgranicznym miłosierdziu nie darowałaby mi tego, co zrobiłam, a raczej czego nie zrobiłam.

— O Boże! — jęknęłam.

Cienka jak sztylet smużka światła rozszerzyła się nagle. Biegła nie od okna, jak początkowo sądziłam, ale od drzwi. Usłyszałam wylękniiony głosik:

— Czy ty umierasz?

To znaczy, że ktoś tu jednak interesuje się mną, a nie tylko embrionem. Znałam ten głos.

— Wejdz — wydusiłam z siebie.

Wślizgnął się do środka wężowym ruchem i podszedł do łóżka.

— Wszystko słyszałem — szepnął. — Odesłali mnie do mojego pokoju, ale podśluchiwałem. Miotowałeś?

— Wymiotowałam — poprawiłam odruchowo. — Niestety.

— Z „wy” na początku?

— Przepraszam, nie chciałam cię poprawiać.

— Nie, nie, zwracaj mi uwagę, kiedy źle się wyrażę. Nie mogę zapomnieć języka. — Podniósł głos. — I nie zapomnę!

Znałam ten ton w dziecięcym głosie.

— Mam nadzieję, że nie zapomnisz — powiedziała ostrożnie — ponieważ dwujęzyczność to wspaniała sprawa. Chciałabym znać języki. Coś ci powiem: ty będziesz mnie uczył włoskiego, a ja obiecuję, że cię poprawię, gdy popełnisz błąd w angielskim. Dla ciebie to mniej przyjemne niż dla mnie.

Rozjaśnił się.

— Więc nie wyjeżdżasz?

— No cóż. Chyba zostanę tu jakiś czas. Dopóki nie przestanę „miotować”.

Potrafił się z siebie śmiać. Podejrzewam, że to rzadka zaleta wśród Morandinich. Nagle spoważniał.

— Czy to tu cię boli? — wskazał palcem mój brzuch.

— Tak, tu.

— Czy... ja cię tu uderzyłem?

— Piłką? — Udało mi się roześmiać. — Och, nie, Pete, to nie dlatego. Co to za obrońca, który choruje, kiedy oberwie piłką? Bracia wykopaliby mnie z drużyny, gdybym sobie na coś takiego pozwoliła.

— Opowiedz mi o swoich braciach. Gdzie oni grali w futbol?

Musiałam wyznać, że nie należeli ani do Raidersów ani do Redskinów, ani nawet do Patsów. To był dla Pete’a cios, ale zniósł go mężnie. Tkwiłszy właśnie po uszy w dyskusji na temat ubiegłorocznych rozgrywek, kiedy nagle otworzyły się drzwi. Bez pukania ani innego ostrzeżenia. Chłopczyk skurczył się, dosłownie i w przenośni. Podniósł rękę, jakby zasłaniając się przed uderzeniem.

W progu stała ta sama kobieta, która przyprowadziła go do salonu. Ona też pomagała ułożyć mnie w łóżku. Hrabina nazywała ją Emilią.

Dotknęła kontaktu i na odległym o całe galaktyki suficie rozbłysło światło: Siedzący na łóżku Pete próbował schować się za zasłonką, ale kobieta go zobaczyła i przemówiła doń po włosku z tym samym chropawym akcentem co mężczyzna przy bramie.

— Mówi, żebym nie siedział na łóżku — szepnął chłopczyk. — I że nie wolno mi tu być.

— Powiedz, że chcę, abyś został.

Kiedy to zrobił, kobieta nachmurzyła się jeszcze bardziej. Chyba nigdy w życiu nie regulowała sobie brwi. Niektóre włoski miała tak długie, że okręcały się wokół siebie, inne sterczały na wszystkie strony jak czułki owadów. Zakręciła się na pięcie i wyszła zostawiając otwarte drzwi. Pete pośpiesznie zsunął się z łóżka.

— Poszła po hrabinę. Muszę już iść.

Nie próbowałam go zatrzymać. Znowu mnie mdliło.

— Przyjdź do mnie jeszcze, dobrze?

— A naprawdę chcesz?

— Bardzo chcę. Proszę.

— W po — rzędu. — Zmierzał już w stronę drzwi. — Gdybym nie przyszedł, to znaczy, że mnie zamknęli.

Usłyszał jeszcze przede mną zbliżające się kroki i w mgnieniu oka wypadł z pokoju.

Opadłam na poduszkę, próbując opanować fale mdłości i oburzenia. To głupie, że tak przesadnie reaguję. Każdy chłopak w jego wieku potrzebuje pewnego rygoru, a zamykanie w pokoju to stosunkowo łagodna kara. Niewątpliwie hrabina była zwolenniczką sprawdzonych, staroświeckich metod wychowawczych. Mogę się z nimi nie zgadzać, ale to jeszcze nie powód, żeby się złościć jak dziecko.

Przez trzy lata uczyłam w szkole. Niedługo, ale wystarczy. Jeśli w tym czasie nauczyciel nie połapie się we wszystkich uczniowskich sztuczkach, powinien poszukać sobie innej pracy. Dobrze wiem, do jakich podstępów zdolne są dzieci, kiedy chcą wzbudzić w kimś współczucie. Wiem także, że zwykle — nie zawsze, tylko zwykle — istnieją dwie strony medalu. Więc skąd ten niepokój?

Kiedy przyszła hrabina, wstawiłam się za winowajcą. Zbiła mnie z tropu, przyznając, że nie ukarze malca za nieposłuszeństwo.

— Właściwie nie zakazałam mu przychodzenia tutaj. Myślałam tylko, że nie życzy sobie pani go widzieć.

Nietrudno mi było w to uwierzyć, bo przecież ona go nie chciała. Stała przy moim łóżku chłodna i perfekcyjna jak woskowy manekin na wystawie ekskluzywnego sklepu. Fałdy sukni z miękkiej, wełnianej krepy układały się idealnie na jej doskonałej figurze.

Kiedy poruszyłam ostrożnie sprawę mojego wyniesienia się z jej łóżka, domu i życia, zareagowała z nieoczekiwaną serdecznością.

— Pomówimy o tym jutro. Teraz musi pani wypocząć. Gdyby pani czegoś potrzebowała, proszę zawołać Emilię. Rozumie po angielsku, choć mówi bardzo słabo. Widzę, że lepiej się pani czuje, ale nie trzeba niepotrzebnie ryzykować.

To była druga okazja do sprostowania pomyłki. Mogłam wtedy wybrnąć z niezręcznej sytuacji i z odrobiną zażenowania zwalić wszystko na karb podróży... Uśmiechnęłam się blado i powiedziałam, że to bardzo uprzejmie z jej strony.

Pete się nie pokazał. Reszta dnia upłynęła mi na przedzielonych drzemką wyprawach do wykwińskiej łazienki przylegającej do mojego pokoju. Nic dziwnego, że źle spałam tej nocy. Budziłam się kilka razy, wydawało mi się, że słyszę głosy i śmiech. Lecz kiedy uchylałam drzwi na korytarz, nie dobiegał mnie żaden dźwięk.

Moja choroba okazała się po prostu jednodniową infekcją. Trwała wystarczająco długo, by podsycić złudzenia hrabiny, po czym zniknęła tak samo nagle, jak się pojawiła. W południe następnego dnia byłam zupełnie zdrowa. Zastanawiałam się, co sobie hrabina pomyśli, jeżeli „poranne nudności” nie pojawią się zgodnie z oczekiwaniami. Ach, ale przecież takich rzeczy nie da się przewidzieć.

Założenie, że podjęłam przemyślaną, świadomą decyzję, jak rozwiązać trapiący mnie dylemat, byłoby niezupełnie zgodne z prawdą. W pewnym momencie po prostu zrozumiałam, co mam zamiar zrobić.

Nic.

Nie czułam się winna, że ta kobieta wyciągnęła mylne wnioski. Cel mojej podróży do Włoch został już osiągnięty, ale jeśli rodził więcej pytań niż odpowiedzi — to już zupełnie inny problem. Mój własny. Kłamię tylko innym ludziom, wobec siebie jestem szczerą. Wiedziałam, że prawdziwy powód, dla którego zdecydowałam się odwiedzić dom dzieciństwa Barta, nie miał nic wspólnego z potrzebami jego ciotki.

Znałam go tak krótko! Jego wizerunek zacierał mi się już w pamięci, zapadał w otchłań niebytu. Przez całe tygodnie od wypadku nie mogłam zamknąć oczu, bo zaraz widziałam przed sobą jego twarz, tak ostro jak na kolorowej fotografii. Teraz widzę tylko rozmazaną plamę. Właściwie dotąd nie pogodziłam się ze śmiercią Barta. I to był właśnie, jak twierdził z namaszczeniem doktor Baldwin, jeden z moich problemów.

No więc wiedziałam o tym. I o innych problemach też. Ale w przeciwieństwie do pacjentów z podręczników psychologii nie rozwiązałam swoich dylematów poprzez nazwanie ich po imieniu. Jakże zazdrościłam tym pacjentom, którym nagle objawiała się prawda. „Hej’, doktorku, ma pan rację, rzeczywiście rankiem dziesiątego grudnia w tysiąc dziewięćset czteremastym tatulo dał mi w łeb!” Pstryk–pstryk, kawałeczki łamigłówek wpadają na miejsce — i po krzyku. Ja dobrze zdawałam sobie sprawę, co zważyło mi się na głowę, tylko że w moim przypadku nie wchodziło w rachubę żadne pstryk — pstryk. Może tutaj, w świecie Barta, kawałeczki zaczną do siebie pasować. Właśnie po to przyjechałam. Nie żeby pocieszać nieutuloną w żalu staruszkę, ale żeby uzdrowić siebie. Czy ta wizyta odniosła jakikolwiek skutek — przyszłość pokaże. Dużo czasu może upłynąć, nim się przekonam. Ale uczyniłam ten gest, i teraz mogę wyjechać. Kiedy wreszcie wrócę do domu, mogę zawiadomić hrabinę listownie, że poroniłam. Mogę nawet zdobyć się na odwagę i napisać jej prawdę.

Co do jednej rzeczy psychologowie mają rację: każda decyzja, nawet błędna, jest lepsza niż żadna. W południe tego słonecznego dnia stałam przy oknie mojej pałacowej komnaty z uczuciem wprost niewiarygodnej ulgi.

Wiosenna pogoda zdawała się pochwalać stan mego ducha, gdyż wokoło roztaczał się kuszący obraz tego, co Italia ma do zaoferowania. Na tle łagodnego błękitu nieba (tego właśnie odcienia Fra Angelico używał do malowania szat Madonny) unosiło się kilka pulchnych obłoczków przypominających napuszone pióra skrzydeł cherubinów. Okoliczne wzgórza przybrane w świeżą zieleń wyglądały jak na sennych tokańskich pejzażach, które widać w tle malowideł okresu Cinquecenta. Na pierwszym planie wyraźnie zaznaczał się mur otaczający rezydencję i ogrody. Nie powinno go tu być. Nic prostego, geometrycznego nie powinno psuć tego krajobrazu o stonowanym kolorycie z łagodnymi krzywiznami pagórków. W ogrodzie pod moim oknem zauważyłam regularne wzorzyste rabatki i krzewy, których gałązki obsypane różowymi i szkarłatnymi kwiatami zwieszały się nad zachwaszczonymi alejkami. Okna były pozamykane; prawdopodobnie Emilia hołdowała staremu przesądowi, że świeże powietrze jest niebezpieczne dla zdrowia. Uporałam się jednak z zamkiem i wyszłam na nieduży balkon z żelazną balustradą.

Tuż poniżej rozciągał się wyłożony kamieniami taras z wyschniętą fontanną w rogu. W samym jej środku uskrzydłona, stojąca na palcach postać, okryta zielonym nalotem i ptasimi odchodami, podawała misę jakiemuś bożkowi.

Zostawiłam okno otwarte i już miałam się odwrócić, kiedy w krzakach na końcu ogrodu coś zaszeleściło. Z zarośli wyszedł mężczyzna, którego widziałam przy bramie. Po drodze smagał na oślepie kijem gałęzie, że aż płatki opadały z kwiatów, okrywając ziemię delikatnym różowym kobiercem.

Ciemna odzież, chmurna twarz, szara czapka wciśnięta głęboko na oczy... W tym pastelowym, subtelnym ogrodzie wyglądał jak plama z tuszu na chińskiej akwarelce. Chyba ciągnął za sobą coś ciężkiego, gdyż mocno napiętą lewą rękę trzymał w tyle. Kiedy przyjrzałam się bliżej, zobaczyłam gruby łańcuch. Mężczyzna szarpnął nim i warknął jakieś słowo, które zabrzmiało raczej jak epitet niż rozkaz.

Zupełnie zapomniałam o psie. Wynurzył się nagle z krzaków z głuchym pomrukiem. Był wielki jak cielak i cały czarny, z wyjątkiem białej łatki na piersi. Mężczyzna palnął go w łeb kijem. Pies zatrzymał się i skulił. I znowu cios. I szorstki rozkaz. Niechętnie i powoli psisko przysiadło na zadzie i uciхло. Grube wargi mężczyzny rozciągnęły się w triumfalnym uśmiechu. Następną komendą było zapewne: „Do nogi”, gdyż człowiek ruszył naprzód wymachując kijem, a pies trzymał się tuż za nim. Przeszli przez ogród, rozdeptując bezmyślnie żwir i kwiaty, po czym zniknęli.

Odetchnęłam głęboko. Co za obrzydliwa scenka. Pies był większy od dobermana, miał rozrośniętą pierś i potężne szczęki. Gdybym wiedziała, że za murem czyha taki potwór, nie śpieszyłabym się z przechodzeniem górą.

Ale człowiek był jeszcze gorszy. Swego czasu miałam z psami wiele do czynienia. Wszystkie okoliczne przybłędy ciągnęły do naszego domu za Jimem i Michaelem albo i same. „Hej, mamuś, patrz, odprowadził mnie do domu!” Niektóre psiaki zostały porzucone, inne źle traktowano, kilka odnosiło się do rodzaju ludzkiego z usprawiedliwioną podejrzliwością, ale już po paru dniach porządnego karmienia i łagodnego obejścia łąsiły się do nas i łądowały na kolana. Myślę, że istnieją psychopatyczne psy, podobnie jak ludzie, ale w zasadzie nie ma złych psów (ludzi też), chyba że się je stale, rozmyślnie drażni i to przez dłuższy czas. Niewątpliwie ludzie brutale usprawiedliwiają swoje zachowanie „tresurą” psa. Ale to żadna tresura, tylko obrzydliwy, niczym nie uzasadniony sadyzm.

Hrabina zaprosiła mnie na lunch. Formalne zaproszenie, wypisane delikatnym, starannym charakterem pisma na papierze listowym z herbem, przyniosła na srebrnej tacy Emilia. Ubrałabym się stosownie do tej okazji, gdybym tylko miała pod ręką coś innego niż kostium, który nosiłam poprzedniego dnia. Wyczyszczono go i odprasowano, bielizna i bluzka zostały pięknie uprane. Nawet pantofle doprowadzono do połysku — oj, przydało im się, przydało. Nocna koszula, którą miałam teraz na sobie, należała oczywiście do hrabiny. Nosiła ten sam rozmiar co ja, ale była nieco wyższa, więc musiałam unosić koszulę przy chodzeniu, bo ciągnęła się po podłodze. Taką bieliznę jak jej widywałam dotąd tylko na wystawach luksusowych sklepów w Nowym Jorku i Bostonie. Według Barta wszyscy Morandini byli biedni jak myszy kościelne. Zaczynałam podejrzewać, że bieda jest pojęciem względnym. Choć z drugiej strony teren był zaniedbany, personel nieodpowiedni dla posiadłości tych rozmiarów... To pewna anomalia, ale bynajmniej nie jedyna, która mnie intrygowała.

Już ubrana, oczekiwałam, że ktoś przyjdzie i zaprowadzi mnie przed oblicze hrabiny. Nikt się jednak nie zjawił, a ja zaczęłam się nudzić. Obejrzałam już wszystko w pokoju, który przypominał muzealne wnętrze. Łóżko choć naprawdę imponujące, rzeźbione na całej powierzchni, łącznie z kolumnienkami, w skomplikowane wzory, wcale nie było wygodne. Cienki

i twardy materac pachniał stęchlizną. Ciemnozielone zasłony podpięte z tyłu wyglądały elegancko, ale człowiek miał wrażenie, że leży w jaskini o wlocie zarośniętym gęstą trawą, gdzie dawno temu coś zdechło, pozostawiając zapach rozkładu. Mogła to być kiedyś reprezentacyjna sypialnia, w której cały szereg kolejnych hrabiów wydał ostatnie tchnienie. Tego wprawdzie nie byłam pewna, bo przecież eleganckie rezydencje i pałace to nie moje środowisko. O ile mi wiadomo, taki pokój nadawał się także na sypialnię dla starej ciotki albo młodej dziewczyny, córki domu.

Umeblowanie było skąpe albo tak mi się tylko wydawało z powodu rozmiarów pokoju. Potężna szafa z ciemnego, ciężkiego drewna przywoływała na myśl utwory Poego o ukrytych trupach. Na pewno zmieściłby się w niej co najmniej tuzin niepożądanych żon. Dwa krzesła z wyściełanymi siedzeniami i oparciami wyrzeźbionymi tak pracowicie, że nie sposób się o nie oprzeć. Przesadnie wypchany fotel, pokryty wypłowiałym kretonem. Kilka stolików, sekretarzyk intarsjowany kością słoniową, z półką pełną książek, o szklanych, zamkniętych na klucz drzwiczkach. Do tego ze dwa perskie dywaniki — i to już wszystko.

Strasznie mi się już nudziło, bo inaczej nie próbowałabym otwierać szklanych drzwiczek. To bardzo nieładnie myszkować po szafkach i szufladach w cudzych domach. Mama wbiła mi to do głowy w dość młodym wieku, kiedy zabrała mnie z wizytą do ciotki Mary, a ja powywlekałam z szuflad długie damskie desusy i porozwieszałam je na krzesłach. „Patrz, ale nie ruszaj...” Nic dziwnego, że okazałam się niezbyt pojętną uczennicą. Rozmaici mentorzy tak nafaszerowali mój młodzieńczy umysł złotymi myślami i przestrogami, że nie było w nim już miejsca na fakty.

W końcu nie wytrzymałam i ostrożnie wyjrzałam na korytarz. Wyglądał zupełnie obco. Poprzedniego dnia nie zwracałam specjalnie uwagi na otoczenie, ponieważ odholowano mnie do pokoju i zapakowano do łóżka. Teraz zobaczyłam zamknięte drzwi i parę sztuk mebli, ale żadnych schodów. Udałam się na poszukiwania.

Zgubiłam się, nim przeszłam pięćdziesiąt kroków. Jestem w tym dobra, lecz tym razem mam przynajmniej coś na swoje usprawiedliwienie. Dom był duży. Jedne drzwi wyglądały tak, jakby prowadziły na klatkę schodową, ale szybko zorientowałam się, że nie tędy droga. Ta część domu wydawała się starsza od pozostałych, miała nisko sklepiony strop, okna zasłonięte okiennicami. Panowała tu głucha cisza. Już miałam zawrócić, kiedy usłyszałam dźwięk, od którego włos zjeżył mi się na głowie.

Ktoś się śmiał.

Odruchowo ruszyłam naprzód. Jakies drzwi otworzyły się i zamknęły, a w chwilę później zza zakrętu wyszła Emilia. Niosła tacę przykrytą białą serwetką. Kiedy mnie zobaczyła, ręce jej zadrżały tak, że aż zadzwoniła porcelana. Opanowała się jednak i prawie pobiegła w moją stronę.

Rzeczywiście znała trochę angielski. Przedtem jej się nie chciało, ale tym razem znalazła jakos odpowiednie słowa.

— Z powrotem! — syknęła nie zatrzymując się. — Iść sobie! Zaraz! Prędko, prędko!

Wyciągała tacę przed sobą jak broń. Mogłabym stanąć w miejscu albo próbować ją wyminąć, lecz obydwa rozwiązania wydawały mi się jednakowo niezręczne, no i rzeczywiście nie miałam tu nic do roboty, więc pozwoliłam się wyprowadzić. Ten śmiech musiałam słyszeć w wyobraźni. To tylko echo z korytarzy czasu...

Kiedy wyszliśmy z tego pustego skrzydła, starannie zamknęła drzwi i gestem wskazała mi kierunek. Postępowała tuż za mną, bodąc mnie tacą, gdy tylko na chwilę przystanąłam.

Wróciłyśmy do tego korytarza, w którym znajdował się mój pokój. Parę kroków dalej zobaczyłam jasno oświetloną klatkę schodową. Poprzednio musiałam pójść w złym kierunku.

W tym miejscu Emilia uznała, że nie musi mnie już zaganiać i odpędzać od zakazanych rejonów. Poszła przede mną na dół. Zaczynałam rozpoznawać otoczenie. Przez tę pustą

marmurową przestrzeń przechodziłam wczoraj. To pewnie hol, a drzwi z oknami po bokach na wprost klatki schodowej to główne wejście. Hol miał kształt muszli. W ścianach mieściły się podłużne nisze, w których pulchne nimfy wstydliwie próbowały zakryć swą nagość fałdami skąpych szat. Efekt był bardziej żalony niż erotyczny. Wiało od nich chłodem. W pustym, nieogrzewanym wnętrzu panowała arktyczna temperatura, a śnieżna biel posadzki i ścian zdawała się ją jeszcze obniżać.

W tym momencie zobaczyłam coś, co umknęło mojej uwagi podczas wczorajszej wędrówki z kuchni. Posadzka między głównym wejściem a schodami była ozdobiona mozaiką. Żywe, jaskrawe kolory — jedyne w całym pomieszczeniu — biły w oczy na tle białego marmuru. W mojej proletariackiej ignorancji myślałam z początku, że kolorowe kamyczki to też marmur, naturalny lub barwiony, lecz wkrótce przekonałam się, że to półszlachetne kamienie. Ciemnoczerwone jaspisy o odcieniu krwi, malachity zielone jak las w lecie, różowe i żółte agaty tworzyły gałązkę różanego krzewu. Każdy płatek i listek wycięto oddzielnie, kwiaty o odcieniach od łagodnego różu do ciemnego ametystu tworzyły uderzająco realistyczny bukiet. Bart przynosił mi czerwone róże... Musiały mieć dla niego jeszcze jakieś inne znaczenie poza konwencjonalną mową kwiatów, według której czerwone róże są wyrazem namiętności, dojrzałej, spełnionej miłości.

Zapamiętałam, że drzwi po lewej stronie schodów prowadzą do pokoju, w którym hrabina mnie przyjęła. Emilia zatrzymała się tylko na chwilę, żeby odstawić tacę na rzeźbioną szafkę. Następnie otworzyła drzwi i skinęła ręką, bym weszła.

Mały stolik został rozłożony i zastawiony kryształami oraz porcelaną. Doszłam do wniosku, że widać nie uznano mnie za gościa dostatecznie wysokiej rangi, godnego zaproszenia do reprezentacyjnej jadalni, lecz tu okazałam się niesprawiedliwa wobec gospodyni. To był jej ulubiony pokój, w którym spędzała najwięcej czasu. Po obejrzeniu reszty domu uznałam, że podzielam jej gust. Olbrzymie oficjalne salony były zimne i ponure, zresztą większość z nich z oszczędności pozostawała zamknięta.

Hrabina siedziała na brokatowej kanapie i przeglądała kolorowy magazyn. Na stoliku przed nią stała karafka i dwa kieliszki do wina. Powitała mnie chłodnym uśmiechem, który zaraz zmienił się w wyraz troski.

— Może nie powinna pani schodzić na dół. Jest pani bardzo blada.

— Dziękuję, czuję się dobrze.

Nie miałam zamiaru mówić jej o swoich niepokojach. To na pewno słuchowa halucynacja... zresztą nie pierwsza. Ale, odezwał się wewnętrzny głos, skoro nikogo tam nie było, dlaczego Emilia niosła tacę z jedzeniem?

— Obawiam się, że zablądziłam — ciągnęłam, zagłuszając wątpliwości. — Mam nadzieję, że się nie spóźniłam?

— Zablądziła pani? Czemu pani nie zadzwoniła? Któraś ze służących przyszłaby po panią. Czekają, aż pani będzie gotowa.

Nic tak jak ten zdawkowy komentarz nie mogło bardziej podkreślić przepaści między nami. Nawet nie wpadło mi do głowy, że mogłabym dzwonić na służbę. Jeszcze parę pokoleń temu Malone'owie należeli do tych, którzy odpowiadali na takie dzwonki. Nie poczułam się jednak ani poniżona, ani upokorzona, tylko rozbawiona.

— Przepraszam — rzuciłam beztrósco.

Emilia nalała do kieliszków wina, które przypominało chłodne zimowe słońce. Wzięłam z jej rąk kieliszek i łaskawie skinęłam głową. Hrabina mogła mnie onieśmielać, ale prędzej szlag mnie trafi, niż pozwolę się zastraszyć służącej.

Po wyjściu Emilii wymienialiśmy przez chwilę uprzejmości. Następnie rozmowa przekształciła się w monolog hrabiny, która zaznajamiała mnie z wielkością i historią wielce starożytnego i szacownego rodu Morandinich. Słuchając, zaczęłam odnosić wrażenie, że coś przegapiłam — jakieś ukryte założenie, które przebijało przez wszystkie jej uwagi — ale zrozumiałam, o co chodzi, dopiero gdy powiedziała:

— Gdyby pani wolała inny pokój, da się to załatwić. Albo gdyby chciała pani coś zmienić...

Na szczęście wypiliśmy już wino. Kieliszek wypadł mi z ręki, ale w porę go złapałam.

— Proszę sobie nie robić kłopotu. Mam pokój... w Grande Albergo.

— Alberto przywiezie pani bagaż.

— Ale... Ale ja...

— Naturalnie, że zostanie pani tutaj. Żona Bartolommea nie może mieszkać w hotelu, nawet w takim, który nazywa się Grande Albergo. — Kiedy wymawiała nazwę, uśmiechnęła się leciutko. Był to pierwszy przejaw poczucia humoru z jej strony. Spodobało mi się to. — Musi mi pani pozwolić, bym naprawiła moją niegrzeczność. To było nieporozumienie.

Poczułam się winna. Nie znasz nawet połowy prawdy, moja pani. Lecz teraz bardziej niż kiedykolwiek nie miałam ochoty jej wyznawać. Bezwzględne, okrutne słowa strzaskałyby porcelanową fasadę jej dostojeństwa jak kamień rzucony w szybę wystawową. Może i jestem tchórzem — ale tego nie zrobię.

Nie czekając na moją odpowiedź, nacisnęła dzwonek. Natychmiast pojawiła się Emilia z tacą i zaczęła ustawiać naczynia. To nie mogła być ta sama taca, którą niosła, gdy na nią wpadłam. Z wazy jeszcze unosiła się para.

Emilia podawała nam półmiski, mimo że przy tak małym stole można było z łatwością do nich sięgnąć. Hrabina roztaczała przede mną uroki wiosny na tokańskiej wsi. Cytowała Dantego... Przypuszczam, że Dantego. Dopiero gdy Emilia sprzątnęła ze stołu i wyszła ze swoją tacą, gospodyni oparła się wygodnie, założyła nogę na nogę i zapaliła papierosa. Nie

spodziewałam się, że taka wytworna dama z zasadami pali. Gdy wyciągała papierosa ze złotej papierośnicy i pstrykała złotą zapalniczką, zauważyłam, że przynajmniej jej ręce zdradzały wiek. Wyraziste żyłki na wierzchu dłoni przypominały błękitne glisty.

Wreszcie przeszła do spraw praktycznych. Zaczęliśmy od tego, że mam zostać w willi. Nie miałam szans na oprotestowanie tego podstawowego założenia, ponieważ skoncentrowałam się na sprzeciwie wobec wypływających z niego wniosków. Al — berto przywiezie moje rzeczy... Nie, nie przywiezie, bardzo dziękuję, ale wolę sama to zrobić. Alberto zabierze mnie, kiedy zwrócę wynajęty samochód do agencji... Nie, nie zabierze; wolę zatrzymać samochód. Nie dyskutowała więcej. Zamiast tego zaczęła mi opowiadać o domowych zwyczajach i sprawach organizacyjnych. Wyraźnie jej zaświtało, że jestem dzikuską, którą trzeba nauczyć właściwego zachowania wobec służby i korzystania z różnych udogodnień.

Personel składał się z sześciu osób. Nic dziwnego, że nie przyjmowano gości, a ogród był zaniedbany, roboty wystarczyłoby dla czterdzieściorga! Emilia nosiła dumny tytuł gospodyni, pełniła też obowiązki osobistej pokojówki hrabiny. Przypuszczam, że to ostatnie pochłaniało lwią część jej czasu. Mąż Emilii, Alberto, był jednocześnie szoferem i „głównym” ogrodnikiem. Pomagał mu miejscowy „półgłówek”, jak go określiła hrabina. Kucharka miała na imię Rosa, a *tuttofare* — wiejska dziewczyna — Anna. Hrabina nie przetłumaczyła tego określenia, znałam jednak włoski na tyle, by zrozumieć, że znaczy ono „do wszystkiego”. Do cięższych prac porządkowych przychodziła w razie potrzeby jeszcze jedna kobieta. I to wszystko.

Moją główną reakcją było współczucie dla *tuttofare*. Nieznajomość stylu życia wyższych sfer sprawiła, że nie dostrzegłam na tej liście poważnego braku: nikt nie zajmował się chłopcem. Nie miał niani, guwernantki ani nauczyciela-wychowawcy. Zauważyłam to dopiero po pewnym

czasie i doszłam do wniosku, że zapewne Pete chodził do miejscowej szkoły, a był już za duży, by potrzebować niani.

Alberto i Emilia nie pochodzili z tych okolic. Przybyli razem z hrabiną z Rzymu, zaraz po jej ślubie. To tłumaczyło chrapliwy, obcy akcent. Mieszkańcy Florencji mówią pięknym, śpiewnym językiem, dialekt rzymski jest bardziej chropawy. Może i tak, ale nie sędzę, żeby ta para okazała się mniej antypatyczna, gdyby nawet ich mowa brzmiała przyjemniej. Przypomniała mi się scena, którą widziałam przez okno.

— Rozumiem, że Alberto zajmuje się także psem? Moja gospodyni zerknęła dyskretnie na zegarek.

— Dziękuję, że mi pani przypominała. Mam umówioną wizytę u fryzjera i muszę zaraz wyjść, ale przedtem powinna pani zapoznać się z psem.

Jak widać, psa traktowała z większym respektem niż służących, bo jakoś nie zaproponowała, że mi ich przedstawi. Nie miałam nadmiernej ochoty na to spotkanie, lecz jeśli musiało do niego dojść, wolałam, żeby odbyło się w jej obecności.

Na dźwięk dzwonka zjawiła się Emilia, która wysłuchiwała polecenia, pochylając z szacunkiem głowę i wyszła. Po paru minutach hrabina wyjęła z biurka torebkę i rękawiczki, po czym udałyśmy się do głównego wejścia.

Dziwnie się czułam, wychodząc drzwiami, przez które nie weszłam, i oglądając po raz pierwszy dom od frontu. Był dość duży, ale po surowych pałacach Florencji wydał mi się nawet przytulny, jeśli można tak określić budynek o dwudziestu czy trzydziestu sypialniach, nie mówiąc już o niezliczonych salonach. Regularny prostokąt fasady ozdobionej białą sztukaterią podkreślały linie framug okiennych i filary z ciemnoszarego kamienia zwanego *pietra serena*. Nad wysokim tarasem wznosiły się trzy kondygnacje, do których prowadziły dwa rzędy ozdobnych schodów. Przez łukowate przejścia pod tarasem wchodziło się na parter usytuowany na poziomie ziemi, gdzie zapewne znajdowały się pomieszczenia dla służby. Wzdłuż całego tarasu poustawiane były terakotowe donice z niewielkimi krzewami i drzewkami. Zapewne w późniejszych miesiącach kwitły one i owocowały, ale teraz wyglądały dość rachitycznie. Między donicami stały różne posąжки. U podnóża schodów podjazd rozszerzał się w wysypane żwirem półkole z fontanną, której środek zdobiła grupa spiżowych figur. Muskularni mężczyźni dęli bezgłośnie w pokryte grynszpanem muszle albo przyciskali wylęknione syreny do swych metalowych piersi. Fontanna nie działała. Dalej, aż do kępy drzew w oddali ciągnął się rozległy, nieźle utrzymany trawnik i starannie wypielone rabatki z kwiatami. Teraz wiedziałam, dlaczego Alberto i jego pomocnik nie mieli czasu na zajmowanie się resztą posiadłości. Utrzymanie ogromnego trawnika, pielnie i podlewanie rabatki to zajęcie na cały dzień pracy.

Samochód — mercedes, a cóż by innego? — czekał przy schodach. Alberto przebrał się w przepisowy uniform szofera. Niewiele mu to pomogło. Guziki miał ponaciągane, a kołnierzyk za bardzo obcisłał byczy kark. W błyszczących, wysokich butach i wojskowej kurtce mąż Emilii wyglądał jak emerytowany komandos. Trzymał na łańcuchu psa, który na mój widok szarpnął się do przodu. Alberto puścił go na całą długość łańcucha, uśmiechając się, kiedy odskoczyłam. Hrabina wyrzuciła z siebie kilka słów, a może raczej kostek lodu, które natychmiast starły mu ten uśmiech z gęby. Niemal padł na kolana, taki się zaraz zrobił uniżony. Jak pies. Ściągnął łańcuch i przywołał zwierzę do nogi.

— Niech pani powoli podejdzie do psa. Proszę wyciągnąć rękę i dać mu obwąchać.

Znałam tę procedurę, ale nie znałam psa, do którego miałabym mniejszą ochotę podejść. W pozycji siedzącej jego głowa znajdowała się na poziomie mojej klatki piersiowej. Kiedy zbliżałam się bokiem, warczał z cicha. Alberto trzasnął go po pysku łańcuchem.

— Przestań! — krzyknęłam.

Pies i Alberto byli jednakowo zaskoczeni. Paroma krokami pokonałam dzielącą nas przestrzeń i położyłam psu rękę na pysku.

— Dobry piesek, dobry. Na pewno nie chcesz nikogo skrzywdzić... — Tym samym przyciszonym tonem mówiłam dalej: — Alberto, chłopie. Nie wiem, na ile rozumiesz po angielsku, ale założę się, że coś tam kumasz. Masz przestać bić tego psa, jasne? *Stupido, cretino, non batere di cane!*

Nie odwróciłam się, by zobaczyć, jak hrabina zareagowała na moje obcesowe zachowanie, choć wydało mi się, że słyszę ściszony śmieszek. Alberto patrzył na mnie wilkiem. Na pewno zrozumiał inwektywy. Pies zachowywał się obojętnie. Dałam mu rękę do obwąchania — sapał przy tym jak parowóz — i zanim odeszłam, odważyłam się jeszcze poskrobać go pod brodą.

— Ten człowiek tyle wie o tresurze co o równaniach różniczkowych — powiedziałam z gniewem. — Dlaczego pani mu pozwala...

— Ma swoje metody — odparła hrabina lodowatym tonem. Odprawiła Alberta machnięciem ręki i zaczęła naciągać rękawiczki. — Kolacja jest o ósmej. Mam nadzieję, że o siódmej spotkamy się przy koktajlu.

Zeszła wolno po schodach. W momencie gdy znalazła się przy samochodzie, jak spod ziemi wyrósł Alberto — w samą porę, by otworzyć przed nią drzwiczki. Przypomniało mi to starą anegdotkę o królowej Wiktorii, która ponoć nigdy nie oglądała się za siebie, nim usiadła, ponieważ wiedziała, że zawsze czyjaś ręka podstawi jej na czas krzesło.

Patrzyłam, jak auto gładko toczy się po podjeździe i znika za drzewami. Czułam się wyczerpana jak po forsownym marszu pod wiatr. Pomyślałam, że zapewne hrabina zawsze stawia na swoim. A może poddałam się nie dlatego, iż zwyciężyła mnie w walce, tylko dlatego, że nie broniłam się zbyt mocno?

Poszłam do siebie — do siebie! — po torebkę, a następnie udałam się na poszukiwanie mojego samochodu. Zdziwiłam się nieco, gdy się okazało, że nadal stoi tam, gdzie go zostawiłam. Wsiadłam i ruszyłam w kierunku Florencji.

Jazda zajęła mi niemal godzinę, wystarczająco długo, by zastanowić się nad tym, co robię, i dojść do wniosku, że nie postępuję zbyt uczciwie. Rodzicom by się to nie spodobało. I siostrze Urszuli także. Doktorzy Baldwin i Hochstein mieliby na ten temat sprzeczne zdania. Do diabła z nimi. Rzygać mi się chciało od tego gmerania w podświadomości i wyszukiwania motywów.

Czułam, że podjęłam słuszną decyzję. Chodzi przecież tylko o parę dni. Hrabina nie zapytała, jak długo mogę zostać, a ja nie poinformowałam jej z własnej woli. Jeśli zrobi się za gorąco, wymyślę jakiś pretekst i wyjadę.

Dotarwszy do Grande Albergo, zaparkowałam przed głównym wejściem w drugim rzędzie. W recepcji nie było nikogo. Z jadalni dobiegał brzęk naczyń i szmer głosów. Trochę wczesna pora jak na lunch, chociaż Włosi spędzają przy południowym posiłku dużo czasu. Pochłaniają ogromne porcje makaronu, a potem marudzą bez końca przy winie i kawie. Już miałam sama sięgnąć po klucz, kiedy z jadalni wyłonił się Angelo w białym fartuchu kelnera. Niósł przed sobą stos filiżanek o wysokości wieży w Pizie. Na mój widok stanął w miejscu, gapiąc się, jakby mnie pierwszy raz zobaczył.

— Wyjeżdżam — oznajmiłam. — Nie ma pośpiechu, widzę, że jesteś zajęty. Idę się spakować. Jak będziesz miał chwilę czasu, przygotuj mi rachunek, dobrze?

— Ach. — Angelo zamyślił się głęboko. Po chwili postawił filiżanki na podłodze i wszedł za ladę. — Pani przyjaciel przyjechał — rzekł domyślnie, wręczając mi klucz.

— Mój... Och, nie, obawiam się, że nie.

— Nie nocowała pani tutaj. — Było to suche stwierdzenie faktu; wniosek, ale nie osąd, nasuwał się sam. Angelo nie wyrażał żadnych sądów.

— Byłam w tej willi — wyjaśniłam. — Willa Morandinich, pamiętasz? Zatrzymam się tam na kilka dni.

— Ach. — Angelo zakończył pracę myślową. — Mój brat jest policjantem.

— To miło — odparłam, zastanawiając się, o co może mu chodzić.

— Właśnie od niego dowiedziałem się, gdzie jest ta willa. Mój brat wie wszystko. Jeśli przyjaciel nie przyjedzie, polubi pani mojego brata.

— Na pewno go polubię. Ale nie sądzę...

— Jest wyższy ode mnie. Wyższy od pani. Bardzo wysoki.

I pokazał ręką jak bardzo. Gdyby to była prawda, brat Angela mógłby grać w koszykówkę w każdej amerykańskiej drużynie.

— Na pewno jest bardzo wysoki i przystojny. I bardzo mu jestem wdzięczna za pomoc. Skontaktuję się z tobą, Angelo.

— Ach. — Niby mimochodem wyciągnął z szuflady arkusik papieru, podpisał go i podał mi. — *Il conto, signorina.*

Podyskutowaliśmy trochę nad kwotą do zapłacenia. Wydawało mi się, że ceny wymienione na wywieszce na drzwiach mojej szafy nie obejmowały astronomicznych lokalnych podatków ani też kilku innych tajemniczych, rzekomo zgodnych z prawem pozycji. Zapłaciłam jednak rachunek i odsunęłam resztę.

— Dziękuję za pomoc, Angelo. Czy nic się nie stanie, jeśli zostawię tu samochód na parę godzin?

Zapewnił mnie, że mogę go zostawić, gdzie zechcę: na ulicy, w holu.

— Tylko bez walizki, signorina. Zabiorę ją z pokoju i przechowam za ladą. Tu jest pełno złodziei.

Pokręcił smutnie głową, zabrał swoje filiżanki i odszedł.

Pakowanie nie zajęło mi dużo czasu. Kiedy zesłam na dół, Angela nigdzie nie było widać, więc powiesiłam klucz na haczyku i opuściłam hotel.

Żadne zwiedzanie nie leżało w moich planach, ale we Florencji człowiek, chcąc nie chcąc, natyka się co krok na jakieś zabytki. Szłam sobie wolno, nie myśląc o niczym szczególnym, kiedy zza kolejnego zakrętu wyłoniła się katedra. Ogromna kopuła wznosiła się nad nią lekko niczym balon wypełniony gorącym powietrzem. Dawniej marzyłam, że pewnego dnia przyjadę do Florencji z Bartem... Studiowałam przewodniki turystyczne i książki o sztuce, więc wiedziałam, jak wyglądają niektóre obiekty. Jak wyglądają, nie jakie są naprawdę. Rzeczywistość przerosła moje oczekiwania.

Później natknęłam się na kościół Orsanmichele z jego ustawionymi w niszach figurami świętych naturalnej wielkości. Między innymi był tam święty Jerzy wsparty lekko na tarczy, z podniesioną głową, jakby rozglądał się za smokiem. W świętym Jerzym zakochałam się jeszcze na lekcjach historii sztuki, więc teraz gapiłam się na niego jak jakaś fanka w gwiazdę rocka. Nawet ptasie odchody, których ślady bieleły na ramionach i szlachetnej głowie świętego, nie naruszyły jego godności.

Przechodząc obok księgarni, zauważyłam w pudłach wystawionych na ulicę parę książek w języku angielskim. Pomyślałam, że dobrze będzie zaopatrzyć się w coś do czytania. Wieczory w towarzystwie hrabiny mogą za bardzo się dłużyć. Nawet jeśli w willi jest telewizor, niczego nie zrozumie, a choć prawdopodobnie istnieje tam biblioteka — co to za rezydencja bez biblioteki? — nie znajdę w niej zapewne lekkich angielskich powieści.

Grzebałam w bezładnie upchanych w pudle tomikach — starych, popularnych wydaniach z pozawijanymi rogami, niekiedy bez okładek. Była to dziwna zbieranina; rozbitki uratowane z różnych przypadków losowych, książki, których nikt nie potrzebował — trochę kryminałów,

trochę powieści fantastyczno — — naukowych, spory wybór romansideł, poezji, literatury pięknej. Wśród tej ostatniej natrafiłam na egzemplarz „Prostaczków za granicą”. Mój ojciec był wielbicielem twórczości Marka Twaina. Próbował mnie kiedyś zmusić do przeczytania „Prostaczków”, twierdząc, że to najśmieszniejsza książka na świecie. Oczywiście odmówiłam. Teraz wyciągnęłam ją z uczuciem, że trzymam w ręku ogniwo niewidzialnego łańcucha łączącego mnie z domem. Wybrałam jeszcze na chybił trafił pół tuzina innych książek.

Wkrótce potem znalazłam się na uliczce prowadzącej do piazza delia Signoria. Było tam pełno turystów, gołębi, fontann i posągów. Kopię „Dawida” Michała Anioła oblegały tłumy zwiedzających. Jedni się przyglądali, inni wertowali przewodniki. Wszędzie, nawet pod pięknymi średniowiecznymi arkadami stało pełno straganów z pamiątkami. Dziwne, ale te krzykliwe chorągiewki czy tandetne statuetki Dawida (made in Taiwan) wcale tu nie raziły. Przez Piazza delia Signoria zawsze przewalały się tłumy i drobni kupcy zachwalali swoje towary. Dawniej były to gliniane garnki i różne praktyczne drobiazgi, dziś plastikowe Dawidy made in Taiwan.

Kiedy usiadłam przy stoliku w jednym z kawiarnianych ogródków, miałam ze sobą kilka paczuszek, mały przewodnik po Florencji i plik widokówek. Napisałam do paru koleżanek i kolegów z pracy: „Jest cudownie, czy nie zżera was zazdrość?”

Potem przyszła kolej na rodzinę. Moja ukochana (i jak dotąd jedyna) bratanica nie umiała jeszcze czytać, ale może sprawi jej przyjemność obgryzanie kolorowego obrazka. Napisałam jedną kartkę do niej, a drugą do jej rodziców — Jima i jego sympatycznej żony, kolejną do Bostonu, do Mike’a, pozostającego jeszcze w kawalerskim stanie. Ostatnią zaadresowałam „Państwo T. Malone’owie” i pióro zawisło mi w powietrzu. Siedziałam, wpatrując się tępo w pustą część karty.

Nie chcieli, żebym tu przyjechała. Ojciec wrzeszczał jak zwykle i walił pięścią w stół. Według niego powinnam pogrzebać przeszłość, zapomnieć o niej i żyć dniem dzisiejszym. Mama mówiła niewiele. Fakt, że zdecydowałam się przepuć całe ubezpieczenie na podróż, raził jej zapobiegliwą naturę. To było wszystko, co Bart mi zostawił: polisa ubezpieczeniowa samochodu.

Tata nigdy nie lubił Barta. Według niego mój mąż był układny, zbyt dobrze ubrany i o wiele za przystojny. Za dużo się uśmiechał, zwłaszcza w odpowiedzi na pytania, których ojciec wcale nie uważał za śmieszne. Na przykład na pytanie: »W jaki sposób zarabiasz na życie?» Bart odpowiedział: „Staram się pracować jak najmniej”, co oczywiście nie zostało dobrze przyjęte. Kiedy wyjaśniłam, że Bart próbuje odnieść sukces w jednej z najbardziej konkurencyjnych i stresujących dziedzin, że zdobycie pozycji w zawodzie aktora wymaga katorżniczej pracy, talentu, a poza tym szczęścia, mój sceptyczny rodzic wznosił tylko oczy w górę i prychnął z pogardą.

Chyba rozumiałam ten sceptycyzm i wrogość. Niełatwo ojcu oddać jedyną córkę, pupilkę całej rodziny, obcemu mężczyźnie. A kiedy w dodatku ten obcy człowiek, cudzoziemiec, ogłasza po prostu, że właśnie poślubił ukochaną córeczkę tatusia, bez choćby słowa zawiadomienia... Nie mogę winić ojca, że mu się to nie spodobało, ale Bart życzył sobie postąpić właśnie w ten sposób. A ja zapewne zgodziłabym się nawet na podwodny ślub w kostiumach do nurkowania, z Jacques’em Cousteau jako drużbą.

Ujęłam mocniej długopis i napisałam: „Pozdrowienia z pięknej Toskanii. Wszystko w porządku, wspianale się bawie. Całuję...”

To był klasyczny unik. Ale co jeszcze miałam napisać? Nie poinformowałam rodziny, że mam zamiar odwiedzić babkę — jak wtedy przypuszczałam — Barta. Wiedzieli, że pochodził z Włoch, i sądzili, że moja podróż ma charakter sentymalny. I tyle. Nie mieli nawet pojęcia, że owa „babka” jest hrabiną. To by ją wykończyło w oczach mojego ojca, zaprzysięgłego

egalitarysty. Gdy zaczynał wygłaszać tyrady o zgniłych arystokratkach, brzmiało to jak za czasów rewolucji francuskiej. Do wyjaśnienia sytuacji, w jakiej się teraz znajdowałam, na widokówce zabrakłoby miejsca. Poza tym nie chciałam, by czytał o tym listonosz. Jack Wilson zawsze czytał widokówki, zwłaszcza z dalekich, egzotycznych krajów, a potem strzepił sobie język.

Ponieważ ojciec zażądał mojego adresu, załączyłam go, proszę bardzo: „Grande Albergo San Marco e Stella di Firenze”. Zapełniło to resztę miejsca na kartce. Angelo na pewno przechowa moją pocztę, jeśli go poproszę.

Mimo wszystko czułam się tak, jakbym się zatrzymała w połowie zadania. Zamiast schować długopis, wyciągnęłam notes z adresami i wyrwałam z końca dwie kartki. Pisałam przez pięć minut. Potem schowałam arkusiki do torebki, zapłaciłam za espresso i ruszyłam w drogę.

Rozgrzane dachy lśniły w słońcu. Kupcy otwierali sklepy po południowej przerwie. Nie miałam w planie zakupów, ale kiedy znalazłam się przed wystawą ze stosami rękawiczek z najrozmaitszych materiałów, we wszystkich kolorach tęczy, poczułam jakiś magiczny impuls i weszłam do środka. Według przewodnika, we Florencji powinno się koniecznie kupić rękawiczki. Nabyłam zatem dwie pary: brązowych i kremowych. Po powrocie do domu zastanawiałam się, co za diabeł mnie podkusił do wydania tak astronomicznej sumy. Wiedziałam jednak, że owe rękawiczki to pewien symbol; jeśli hrabina za bardzo zalezie mi za skórę, włożę je do następnego lunchu.

Potem coś mi odbiło i miałam ochotę kupić dosłownie wszystko. Mozaikową biżuterię, torebki z rafii, drewniane szkatułki, kopie posągów lub ich części — na przykład głowę czy ręce Dawida, a także inne, przemyślnie skopiowane części jego ciała. Kusiło mnie, żeby kupić coś takiego dla Mike’a.

Ale jedyną rzeczą, oprócz rękawiczek, którą naprawdę kupiłam, była wspaniała elektroniczna gra w futbol dla jednej lub kilku osób. Kosztowała majątek. Pomyślałam sobie jednak, że w końcu oszczędzam na kosztach utrzymania, co przypomniało mi o mojej gospodyni. Jej też powinnam przywieźć jakiś upominek. Ale co? Rękawiczki, które kupiłam dla siebie, choć droższe od wszystkich, jakie kiedykolwiek posiadałam, nie dorównywały jej standardom. Prawda wyglądała tak, że nie stać mnie było na nic, co sprostałoby jej wymaganiom. Fortuna rodzinna może i przepadła, ale hrabina i tak nosiła jedwabne koszule nocne, obszyte prawdziwymi koronkami z Valenciennes. Nawet jej papierosy miały monogramy i złote końcówki.

Snułam się po ulicach, usiłując wpaść na jakiś pomysł, ale nic nie wydawało mi się odpowiednie. Odurzyły mnie zapachy na targu kwiatowym. Wielkie, napuszone bukiety wiosennych kwiatów, różowych jak wschodzące słońce, bladoniebieskich, jaskrawożółtych, śnieżnobiałych roztaczały wprost rajskie wonie. Ona ma także własne kwiaty... prawdopodobnie szklarnię pękającą od orchidei. Targ warzywny wyglądał jeszcze bardziej kolorowo, ale nie mogłam przecież przynieść w prezencie torby pomidorów albo bakłażana. Biżuteria, perfumy, apaszki, szkatułki, chusteczki do nosa... Jak się domyślałam, jej chusteczki haftowały zapewne jakieś wysoko postawione zakonnice z elitarnego zgromadzenia.

W końcu dałam sobie spokój. Jeśli przed wyjazdem coś mnie nie oświeci, pošlę jej po powrocie do Stanów jakiś ciekawy produkt amerykańskiej kultury masowej. Na przykład minutemana na tle *concorde’a* made in Taiwan.*

Kiedy dotarłam do hotelu, Angelo siedział w recepcji z nogami na mojej walizce i czytał chyba ciągle tę samą stronę tego samego magazynu. Zapytałam go, ile kosztuje znaczek do

* Minuteman — amerykański żołnierz pospolitego ruszenia z okresu wojny o niepodległość, gotowy do walki w minutę po sygnale; także nazwa międzykontynentalnej rakiety balistycznej.

Stanów. Nie tylko znał cenę, ale miał znaczki pod ręką. A gdy poszperał chwilę w szufladzie, wyciągnął nawet kopertę. Włożyłam do niej kartki wyrwane z notesu, po czym wypisałam adres.

— Angelo, zrobisz coś dla mnie? To bardzo ważne. — Poparłam swoją prośbę zwitkiem tysiąclirowych banknotów. — Jeśli nie wrócę w ciągu dziesięciu dni i sama nie odbiorę tego listu, to go wyślesz. Zapamiętasz? Dziesięć dni. *Dieci*. — Pokazałam mu dziesięć palców.

Angelo wyglądał przez chwilę jak tknięty paraliżem.

— Dziesięć — wykrztusił z trudem.

— Dziesięć dni. Obiecujesz?

Przyłożył rękę do serca i przysiągł na coś tam. Wyłowiłam słowo *madre* i uznałam, że to wystarczy. Zaniósł mi walizkę do samochodu i stał na schodach, odprowadzając mnie spojrzeniem, dopóki nie odjechałam.

Ciekawe, co sobie pomyślał. Może wziął mnie za szpiega albo szantażystkę, a może po prostu uznał, że jestem lekko stuknięta, jak wszyscy cudzoziemcy? Sama tak właśnie myślałam. Ale wypadki się zdarzają, nawet młodym i zdrowym, nikt nie wiedział tego lepiej ode mnie. Jeśli rzeczywiście coś się stanie — na pewno się nie stanie, ale gdyby — nie chciałabym przenieść się w zaświaty na wzgórzach Toskanii i zostawić moich bliskich w nieświadomości, po co tu przyjechałam. Ten list to akt oczyszczenia. Dokonałam pełnej spowiedzi, jakby to określiła siostra Urszula, albo mówiąc językiem mojego brata Mike'a — wywaliłam kawę na ławę. Napisałam wszystko — to, co podejrzewali, ale czego nie wiedzieli na pewno, i to, czego się nawet nie domyślali. Spowiedź to dobra rzecz dla duszy.

I specjalnie oddałam ten list Angelowi. Wiedziałam, że jeśli zabiorę kopertę, mogę w pewnym momencie stchórzyć i ją podrzeć.

Zresztą nie chodziło mi tylko o spowiedź. Był jeszcze inny powód — dość zwariowany. Wśród książek, które kupiłam, znajdowało się dziełko zatytułowane „Oblubienica szaleńca”. Na okładce dziewczyna w długiej białej szacie zbiegała z góry na łeb na szyję (normalnie zaplatałaby się w tę kieckę już po paru krokach). Na szczycie tej góry była włoska willa otoczona cyprysami. Wypisz, wymaluj willa Morandinich.

— Suń się, makaroniarzu — mruknęłam pod nosem i wepchnęłam się na chama w strumień aut zmierzających w stronę mostu.

4

Kiedy wjechałam — tym razem bez kłopotów — na szosę prowadzącą do willi, czułam na plecach promienie zachodzącego słońca. Po raz pierwszy jechałam tą drogą nie w napięciu, całkowicie rozluźniona. Pewnie dlatego dopiero teraz zauważyłam, jaka jest malownicza i — odludna. Niższe partie wzgórz doliny Arna były gęsto zabudowane — obrastały je stare rezydencje, współczesne osiedla, gospodarstwa oraz domki letniskowe otoczone ogrodami i strzelistymi cyprysami. Ta lokalna droga należała jakby do innego świata. Gałęzie rosnących po obu stronach drzew stykały się niemal ze sobą, a podświetlone słońcem liście rzucały na samochód zielonozłote cienie. Jeśli nawet krył się w pobliżu jakiś dom, nie zdradzał go nawet dym z komina.

Brama była zamknięta, ale gdy tylko podjechałam, Alberto wyszedł z domku i odrzuciwszy papierosa, otworzył mi ją na oścież. Trwało to dobrą chwilę. Kiedy go mijałam, przyłożył palce do czapki niedbałym gestem pozdrowienia. Potraktowałam go jak powietrze. Może za pierwszym

razem nie wiedział, kim jestem, ale to i tak nie usprawiedliwia jego zachowania. No i nie mogłam mu darować okrucieństwa wobec psa.

Frontowe drzwi otworzyły się natychmiast, gdy wysiadłam. Tym razem honory domu pełniła Emilia, choć z jeszcze mniejszym entuzjazmem niż jej mąż. Dobrana z nich para, pasowali do siebie jak ulał. Nic dziwnego, że Alberto wyżywał się na psie, z Emilią wiele by nie zwojował; była niska, ale muskularna jak mężczyzna. Zapytałam, gdzie mam postawić samochód. W odpowiedzi obrzuciła mnie pogardliwie zdziwionym spojrzeniem. Zupełnie jak hrabina, gdy przyznałam, że nie wpadłam na pomysł zadzwonienia na służbę. Wkrótce miałam się bliżej zaznajomić z tego typu spojrzeniami.

— Alberto odprowadzi samochód, signora.

Wręczyłam jej kluczyki i pozwoliłam zabrać walizkę na górę.

Teraz, kiedy ten pokój oficjalnie mi przydzielono, zasady mojej matki nie miały już zastosowania. Bez cienia skrupułów przetrząsnęłam szuflady i szafę. Drzwi szafy wprawdzie stawiały opór, ale w środku nie znalazłam żadnego trupa, ani nawet splamionej krwią sukni czy pukla włosów. Szuflady toaletki były prozaicznie wyłożone gazetą „La Nazione”. Cóż to, pomyślałam, żadnego welinowego, perfumowanego papieru? Odłożyłam na bok moje trzy komplety bielizny razem z zapasową nocną koszulą i porozwieszałam w szafie ubrania. Wyglądały smutno i samotnie jak sieroty w nieprzyjaznym świetle.

Odkryłam z rozbawieniem, że książki nie były już zamknięte na klucz. Kiedy je przejrzałam, pogratulowałam sobie, że przywiozłam własne. Wszystkie były napisane po włosku, a najnowsza pochodziła z roku 1933. Zauważyłam także pewne dowody uprzejmości: na toalecie ustawiono wazon z hiacyntami i narcyzami oraz karafkę z wodą.

Koktajl o siódmej, powiedziała. Mam nadzieję, że nie będzie tak oficjalnie, jak się na to zanosilo. Nie przywiozłam strojów odpowiednich na cocktail party. Przebrałam się w bawełnianą bluzkę i denimową spódnicę, po czym wzięłam się do „Oblubienicy szaleńca”. Do siódmej brakowało godziny, ale jeszcze przed jej upływem życzyłam szaleńcowi, by wreszcie uduśli dziewczynę i miał ją z głowy. Zasłużyła sobie na to. Cisnęłam książkę w kąt, poprawiłam makijaż i ruszyłam na dół.

Hrabina miała na sobie długą jedwabną suknię w pięknym i rzadkim odcieniu, który znakomicie pasował do jej włosów — była to mieszanina miedzi i połyskliwego srebra. Poza pierwszym krytycznym spojrzeniem nie opatrzyła żadnym komentarzem mojej zgrzebnej kreacji, a kiedy zająknęłam się przy powitaniu, kazała nazywać się Francescą. Tym razem kolacja miała charakter oficjalny i odbywała się w komnacie, przy której moja okazała sypialnia wyglądała jak garderoba, świece na stole tworzyły wysepkę światła na tle czarnego morza cienia. Na wysokim suficie wymalowany był obraz — błękitne niebo, chmurki, wśród nich jakieś postacie: bogowie, święci, aniołowie? Z tej odległości nie potrafiłam rozpoznać, przy stole śmiało mogłoby się zmieścić czterdzieści osób. Usiadłyśmy w jednym końcu i Emilia zaczęła podawać niekończące się dania. Jedzenie było wyśmienite, wino także. „To z naszych winnic”, poinformowała Francesca, kiedy je pochwaliłam.

Nie spodziewałam się Pete’a przy koktajlu, ale gdy wkroczyłyśmy uroczyście do jadalni, zobaczyłam tylko dwa nakrycia. Oczywiście musiałam zapytać dlaczego i zainkasowałam jeszcze jedno wiadome spojrzenie.

— Słyszałam, że w Ameryce dzieci jadają z dorosłymi. Obawiam się, że pod tym względem jestem staroświecka.

Ciekawe, gdzie Pete je swoją kolację? W kuchni z kucharką? Sam w swoim pokoju? Przypomniałam sobie rodzinne obiady, kiedy moi bracia i ja byliśmy dziećmi. Chłopcy toczyli zajadłe dyskusje na temat futbolu i hokeja, później na tematy polityczne, tata ich przekrzykiwał,

mama ciągle zwracała im uwagę na zachowanie przy stole, próbując za wszelką cenę skierować rozmowę na miłe, bezpieczne tematy, które nie kończyłyby się bójką. Ciarki mi przeszły po grzbiecie. Francesca zaraz to zauważyła i zaproponowała, że każe Emilii przynieść mi szal. Powiedziałam, że nic mi nie jest.

— Może później wstąpię do niego na dobranoc — dodałam. — Trochę mu poczytam albo w coś zagramy...

— Nie dziś. Został odesłany wcześniej do łóżka. Nie skończył odrabiać lekcji.

Na kawę przeszliśmy do salonu. Francesca wyciągnęła z brokatowego woreczka robótkę i zabrała się do haftowania. Zapytała, czy miło spędziłam popołudnie.

Nie wspominałam o grze, którą kupiłam dla Pete'a, bo nie miałam nic dla niej. Mamrotałam coś tam o cudach Florencji, a ona słuchała z leciutkim uśmiechem. Miała przy tym minę, jakbym wychwalała jej własność. Wkrótce umilkłam i zapadła niezręczna cisza.

— Niestety wieczory spędzamy tu dość spokojnie — odezwała się po chwili. — Może masz ze sobą jakąś robótkę?

Podziwiałam migającą w jej ręku igłę, kiedy zręcznym ruchem wbijała ją i wyciągała z przejrzystego jak mgiełka materiału.

Propozycja rozśmieszyła mnie do łez. Mój ostatni wyczyn z tej dziedziny to sweter dla Mike'a. Prułam go już trzy razy.

— Mam dwie lewe ręce, jeśli chodzi o robótki — wyjaśniłam, widząc jej podejrzliwe spojrzenie. — U nas to bardzo popularne i wszystkie moje przyjaciółki coś dłubią. Haftują, robią na drutach, liczą oczka. Próbowałam tego wszystkiego, ale nic mi nie wychodzi.

— Ale przecież uczono cię w klasztorze?

W klasztorze? W zgromadzeniu Matki Boskiej Bolesnej? Siostry uważały rok za udany, jeśli żadna uczennica nie zaszła w ciążę ani nie została aresztowana za narkotyki. Pomyślałam o siostrze Urszuli walącej linijką w stół i próbowałam wyobrazić sobie, jak siedzi otoczona wianuszkiem dobrze ułożonych panienek z pochylonymi główkami, zajętych haftowaniem obrusa na ołtarz. Zawirowało mi w głowie.

— Niezupełnie — odparłam. — To wyglądało nieco inaczej.

— Powinnaś nauczyć się haftu. To pożyteczna sztuka.

— Wiem, bardzo ją podziwiam. Niestety sama nie potrafię.

Próbowałam zobaczyć, co ona właściwie haftuje. Stokrotki? Białe płatki na białym muslinie, delikatne, splecione ze sobą łądżyki...

— Nigdy nie jest za późno na naukę. — Odłożyła robótkę i sięgnęła do woreczka. — Pozwól, że ci pokażę.

Nawlekła igłę czerwoną nitką — oczywiście nie dla mnie subtelności białego na białym — i pokazała mi ścieg. Okazałam się jeszcze bardziej tępą niż zazwyczaj. Ale w końcu doszło do mnie, co ona wyszywa. Była to długa sukienka, jaką wkłada się niemowlakom do chrztu.

5

Dzięki Ci, Boże, za Marka Twaina! Widok zwiewnej białej szatki naruszył moje samozadowolenie i sprawił, że poczułam się nagle jak pełzający robak. Pod pierwszym lepszym pretekstem uciekłam do siebie i sięgnęłam po książkę, obojętnie jaką, byle tylko oderwać myśli od własnej podłogi.

„Prostaczkowie za granicą”. Nie mogłam trafić lepiej. Oto, czego potrzebowałam: pogodnej nonszalancji Sama Clemensa*, który udawał, że cuda Starego Świata nie robią na nim wrażenia. „A teraz, kiedy mam po temu humor, mogę pójść za ciosem i złorzeczyć każdemu, kto mi przyjdzie do głowy”. Tak napisał po oskarżeniu Kościoła o to, że pobudował wielkie katedry, podczas gdy biedni ludzie mrą z głodu na ulicach. „We Florencji mają ogromne mauzoleum, które wystawili, by pochować tam naszego Pana i Zbawcę oraz członków rodu Medyceuszy. To brzmi jak bluźnierstwo, a jednak to prawda...”

Czytałam chichocząc w kułak, póki nie zmorzył mnie sen. Kiedy wreszcie zgasiałam światło, nie czułam się już tak paskudnie. Malutkie ciuszki wyszywane przez Francescę nie wydawały mi się już żałosne. To przecież tylko przykład wyrafinowanego snobizmu. Haftowała sukieneczkę dla dziecka Morandinich, ale nie poświęciłaby nawet pięciu minut, by uszyć coś opuszczoneму dziecku, które umiera z zimna.

Miałam tej nocy sen. Ten sam, który dręczył mnie od miesiący. Sceneria i szczegóły różniły się, ale temat pozostawał bez zmian. Szukałam Barta. Powiedzieli mi, że nie żyje, ale ja wiedziałam swoje. Żył, tylko nie mogłam go znaleźć. Siedział w więzieniu, pod strażą ludzi bez twarzy, był w szpitalu i cierpiał na amnezję, uciekał przed jakimiś niesamowitymi zagrożeniami — wybuchem wulkanu, falą powodziową, wynajętym mordercą. Ściagałam po ciemnych ulicach jakieś cienie, które czasem przystawały na tyle, bym mogła dostrzec błysk szarych oczu albo wychwycić uchem dalekie echo szyderczego śmiechu. I nigdy go nie odnalazłam. Nigdy go nie dotknęłam. Zawsze budziłam się złana potem, jakbym rzeczywiście biegła przez całą noc.

Tej nocy było chyba najgorzej, bo widziałam go i słyszałam. Pamiętam zarys wysokiej sylwetki o wąskich biodrach i zwinności węgorza, znajomy śmiech... Był tak blisko, że mogłam go dosięgnąć ręką, ale gdy spróbowałam, straciłam grunt pod nogami i poleciałam w dół, przez gęstą mgłę ku jakiejś niezmierzonej otchłani połyskującej złowrogim ogniem.

Kiedy się obudziłam, miałam prześcieradła okręcone wokół ciała jak węże, a twarz mokrą od łez... nie, nie żalu — złości. Niech go cholera — waliłam zaciśniętymi pięściami w poduszkę — niech go cholera za to, że zostawił mnie w taki sposób! Cholerny Bóg, że mnie tak pokarał, cholerna siostra Urszula, że wpoila we mnie wiarę w ogień piekielny, który płonie wiecznie na zgubę grzeszników!

Tak jak Mark Twain, zaczęłam psioczyć na każdego, kto wpadł mi na myśl. Wreszcie się uspokoiłam, odrzuciłam prześcieradła i leżałam dysząc ciężko. Nocne powietrze chłodziło moje rozpalone ciało. Wdychałam woń jodłowych igieł, mokrej ziemi... i czegoś jeszcze. Usiadłam prosto i pociągnęłam nosem. Jakiś zapach cierpkosłodki, kojarzący się z czymś nieprzyjemnym...

Podniosłam się z łóżka i boso, na palcach podeszłam do okna. W otwartych drzwiach balkonowych kołysała się lekko firanka. Poruszałam się bezszelestnie, wyłożona płytkami podłoga nawet nie skrzypnęła.

Księżyc już zaszedł, zostawiając po sobie srebrzystą poświatę za wyostrzonymi kształtami cyprysów. Wszędzie panowała cisza, przerywana tylko lekkim szmerem gałęzi.

Nagle zobaczyłam mały czerwony punkcik. Poruszał się w ciemności jak jakiś szatański ognik.

Ktoś był na tarasie, koło fontanny. Stałam bez ruchu, wstrzymując oddech, i obserwowałam, jak koniuszek papierosa to rozżarzał się mocniej, to słabł, przesuwał się w górę, w dół i znowu w górę...

* Mark Twain to pseudonim literacki Samuela Langhorne'a Clemensa.

Wreszcie rozbłysnął niczym spadająca gwiazda i zgasł. Od strony fontanny, w kierunku jaśniejszej powierzchni tarasu, sunął cień. Wynurzył się z mroku jak pływak z wody. Wysoki, smukły, gibki... Przeszedł przez trawnik i zniknął.

ROZDZIAŁ 3

1

Jest tutaj. Widziałam go z okna. Słyszałam jego śmiech.

Przez resztę niekończącej się nocy wmawiałam sobie, że muszę traktować swój przypadek tak chłodno i beznamyślnie jak sędzia ferujący wyrok. Jedynie siłą woli doczekałam ranka bez konfrontacji z hrabiną. Układałam sobie słowo po słowie, co jej powiem. Ale wbrew wszelkim postanowieniom nie potrafiłam zapanować nad głosem i wiedziałam, że napięcie bezsennych godzin mam wypisane na twarzy.

Przez chwilę widziałam w jej oczach odbicie swojego szoku.

— Ależ to... — wybuchnęła i zaraz się opanowała. — Przyśniło ci się, nie przyszłaś jeszcze do siebie. Twój stan...

Czułam, że jeszcze chwila, a upiorny śmiech, który bulgotał mi w gardle, wydobędzie się na zewnątrz. Zaciśnęłam mocno usta i jakoś go stłumiłam. Mój stan? Gdybyż ona wiedziała, że dopiero co wypuszczono mnie z wariatkowa doktora Baldwina! Nie zamierzałam wspominać o tym epizodzie. Utwierdziłby ją tylko w przekonaniu, że ma przed sobą pogrążoną w żałobie, znerwicowaną wdowę. Powiedziałam spokojnie:

— Nie spałam, nic mi się nie śniło. Obudziłam się w środku nocy i podeszłam do okna. Przy fontannie stał jakiś człowiek. Przeszedł przez taras i...

Rozpłynął się w powietrzu? Zniknął? Nie potrafiłam znaleźć odpowiedniego słowa.

Twarz hrabiny nagle się rozpogodziła.

— Jakiś człowiek, powiadasz? No oczywiście! To na pewno profesor Brown!

— Profesor...?

Obrazy narzucone przez słowa są nieraz dość sugestywne. Miałam wprawdzie do czynienia z profesorami różnego autoramentu i w różnym wieku, ale mimo to wyobraziłam sobie przygarbionego starca o siwych włosach. Ten którego widziałam, nikogo takiego nie przypominał.

— Powinam cię uprzedzić. — Uśmiechała się teraz, mówiła pośpiesznie, żywo. — Konserwuje pewne przedmioty z rodzinnych zbiorów. Pozwoliłam mu spacerować nocą po ogrodzie.

Siedziałyśmy przy śniadaniu w jej saloniku. Zaczęła się rozwódzić na temat profesora Browna. Od czasu do czasu do mego mózgu ogłuszonego mieszaniną nadziei, strachu i wątpliwości docierały poszczególne frazy: „...upiera się przy swoich żądaniach... rodzinne zbiory... obowiązek wobec sztuki i nauki... zapomniałam, że on w ogóle tu jest... tak rzadko go widuję...” Nagle spoważniała i chyba mnie dotknęła. Poczułam na grzbiecie dłoni coś w rodzaju muśnięcia wymanikiowanego palca.

— Powinam cię ostrzec — powiedziała miękko. — Powinam pamiętać... Kiedy odszedł mój mąż, często go widywałam — na ulicy, w sklepie... Przypadkowe podobieństwo, wyolbrzymione przez silne emocje... to zupełnie normalne i zrozumiałe.

Nie mówiła do mnie jeszcze takim tonem — ciepło, ze współczuciem. Miała rację, inni także opowiadali mi o tego typu przeżyciach. Zupełnie normalne... Chciałam w to wierzyć. Chciałam tak rozpaczliwie, że odsunęłam od siebie wspomnienie tamtego śmiechu w opuszczonym skrzydle domu. Od tego czasu słyszałam ten śmiech setki razy — we śnie i na jawie.

— Pewnie zechcesz poznać profesora — ciągnęła Francesca. — Wtedy wyzbędziesz się resztek wątpliwości.

— Nie, naprawdę, to nie jest konieczne. Na pewno masz rację.

— Ależ musisz go poznać. To zabawny ekscentryk, rozerwiesz się trochę. Większość czasu spędza w magazynach. Ja tam nie chodzę ze względu na kurz, ale ty jesteś odpowiednio ubrana.

Zarówno w słowach, jak i w chłodnym spojrzeniu, którym obrzuciła moje dzinsy i koszulę, kryła się szpila. W eleganckim osiemnastowiecznym saloniku strój ten zdecydowanie raził, ale przecież nie mogłam nosić w kółko brązowego kostiumu.

Skończyłyśmy śniadanie. Francesca brzęknęła dzwonkiem, a gdy weszła Emilia, poleciła:

— Zaprowadź signorę Morandini do *il professore*.

Tytuł zazgrzytał mi nieprzyjemnie w uszach. Signora Morandini... Takie nazwisko widniało w mojej metryce ślubu, ale sama mówiła, że Bart go nie nosił. Więc jak ono brzmiało? Jak się nazywałam? Nie zamierzałam wpadać w kompleksy z powodu braku tożsamości. Miałam nazwisko, porządne nazwisko, i gdy tylko wrócę do domu, podejmę kroki, aby je nosić legalnie.

Szłam za Emilią przez dwie kondygnacje do miejsca, które w amerykańskich domach nazywa się strychem. Tutaj znajdowało się ono nad sypialniami i właściwie nie zasługiwało na miano strychu. Był to istny labirynt tajemniczych pomieszczeń o dziwacznych kształtach. Mijałyśmy bezsensownie usytuowane schodki, zygzaki korytarzy, osobliwe małe drzwiczki, izby duże, przestronne, to znów małe, wąskie i tandetnie umeblowane — pewnie mieściły się tam kwatery służby. W niektórych były magazyny, czy po prostu składy rupieci — nieraz najbardziej zdumiewających. Jeśli to właśnie Francesca określała mianem „rodziny zbiorów”, to wybrała wyjątkowo nieodpowiedni i pretensjonalny termin.

Kiedyśmy pokonały ostatnią część wąskich, niepokrytych chodnikiem schodów i stanęły przed zamkniętymi drzwiami, Emilia z trudem łapała oddech. Otworzyła drzwi i stanęła z boku.

— *Il professore*.

Jak okiem sięgnąć, straszliwy rozgardiasz. Góry i pagórki pudeł, kufrów, beczek i starych mebli tworzyły krajobraz tak samo trudny do przebycia, jak ten na zewnątrz. Jedyne źródło światła stanowiły zakurzone okienka i drzwi. Te ostatnie zamknęły się za mną, gdy tylko postąpiłam krok do przodu. Otoczył mnie głęboki mrok, z którego zewsząd wyłaniały się ciemne kształty.

Nie miałam najmniejszych wątpliwości: Emilia mnie nie lubiła. Nie mogąc sobie pozwolić na jawną wrogość, jak zwykle w takich wypadkach nie szczędziła mi subtelnych złośliwości. Osoba cierpiąca na klaustrofobię zemdlałaby, gdyby ją zamknięto w tej zatłoczonej przestrzeni. Ja też czułam się nie najlepiej i nawet sprawdziłam, czy drzwi nie są zamknięte na klucz.

Prawdopodobnie gdzieś w tym bałaganie tkwił *Il professore*. Bałam się poruszyć lub zawołać, żeby czasem coś mi nie spadło na głowę. Żeby ją szlag, tę Emilię, nawet nie dała mi latarki!

Stopniowo mój wzrok przyzwyczaił się do mroku i wtedy dostrzegłam w oddali smużkę światła. Zaczęłam torować sobie drogę wśród stosów rupieci, co okazało się prawdziwym wyzwaniem. A swoją drogą — cóż to za wspaniałe miejsce do zabawy w chowanego, jeśli oczywiście zaryzykować przywalenie jakimś gratem. Tylko ktoś młody i zwinny mógłby się przez to wszystko przedrzeć, a już na pewno nie gruba Emilia.

Kiedy podeszłam bliżej światła, usłyszałam dźwięki: cichutki chichot i stłumione słowa. *Il professore* gadał do siebie! Nic dziwnego, że Francesca nigdy tu nie zachodziła — bałagan, brud, kurz i na dobitkę ekscentryczny profesor mamroczący do siebie — czy też może do szcurków? Myszy, no tak, w starych domach zawsze są myszy. Nie boję się ich — na dobrą sprawę zaczynało mnie to wszystko bawić.

W końcu dotarłam do barykady, która wydała mi się nie do sforsowania. Po bliższym kontakcie z chropowatą tylną ścianką potężnej szafy zostało mi na rękach kilka drzazg. Mamroczący głos się nasilał, jakby dobiegał z drugiej strony mebla. Nagle podniósł się jeszcze bardziej:

— „Moja skrofuliczna francuska powieść na szarym papierze z rozmazaną czcionką!... Dwadzieścia dziewięć różnych przekleństw...”*

Między szafą a stosem pudeł dostrzegłam szczelinę, lecz kiedy spróbowałam się precyzyjnie, utknęłam w środku. Za to zdołałam zajrzeć za szafę.

Mamrotanie i chichoty utwierdziły mnie w przekonaniu, że mam do czynienia z zasuszonego staruszkiem, a ten ostatni popis — najwyraźniej cytując — przesądził sprawę ostatecznie. Skulona postać, jaką zobaczyłam, miała siwe pasemka w gęstych, czarnych włosach. Siedział w kucki na podłodze, tyłem do mnie, ze zgarbionymi plecami i badał jakiś niewidoczny dla mnie obiekt. Jak mogłam wziąć tego dziwaka w średnim wieku za swojego męża? Póki co, postanowiłam dać mu znać o swej obecności. Wprawdzie nie poruszałam się bezszelestnie, ale on wyraźnie mnie nie słyszał. Odchrząknęłam i powiedziałam głośno:

— Dzień dobry.

Pokurcz podskoczył jak na sprężynie. Posuwał się z godną podziwu oszczędnością ruchu, nie przemieszczając niczego poza sobą samym i tumanem kurzu. Owszem, miał szare włosy. Szare od kurzu, nie siwe. Niski staruszek zniknął i nigdy już nie wrócił. Miałam przed sobą mężczyznę o budowie podobnej do Barta — może odrobinę niższego, ale tak samo szczupłego i szerokiego w barach. Na tym podobieństwo się kończyło. Twarz profesora była komicznie swojska, jak twarz gнома — zadarty nos, szerokie usta, puciołowate policzki. Miał odstające uszy i ciemny zarost. Ubrany był w sfatygowane dżinsy i koszulkę ze spranym obrazkiem na piersi. Nosił też rogowe okulary, które przy gwałtownym ruchu ześliznęły mu się z nosa. Złapał je w ostatniej chwili, przesunął na miejsce i spojrzał na mnie krzywo przez brudne szkła.

— Przepraszam, że pana wystraszyłam — powiedziałam, podejmując daremną próbę uwolnienia się z pułapki. — Jestem Kathleen Malone... — I tu utknęłam na dobre, zarówno dosłownie, jak w przenośni. Jak się naprawdę nazywałam?

Profesor podniósł rękę dramatycznym gestem.

— Oczywiście. Kathleen Malone. Czemu nie? Tu przecież jest wszystko, więc dlaczego nie zagubione irlandzkie dziewczę? Czy za Dublinem skęciłaś w złą stronę, moje kochanie, moja wężowa piękność?

— Co?

— Browning. Przepadam wprost za Brownie. A ty naprawdę wiesz się jak wąż w tym przejściu.

Przesunął jakieś pudło, wziął mnie za rękę i wyszarpnął z uwięzi przy akompaniamencie złowieszczonego odgłosu rozdzieranego materiału.

— Niech to szlag — powiedziałam, klepiąc się po siedzeniu.

— Przykro mi. To moja robota?

Wcale nie było mu przykro. Szerzył się od ucha do ucha. I tak miał dość szerokie usta, ale uśmiech zdawał się je rozciągać w nieskończoność, jakby były z gumy. Gdyby szerokością uśmiechu mierzyć radość życia, można by mego rozmówcę uznać za najszcześniejszego człowieka na ziemi.

— Natrafiłam na przeszkodę. Chciałam o tym wspomnieć, ale nie dał mi pan szansy. Zawsze pan taki prędki?

* Urywane zdania z wiersza Roberta Browninga „Soliloquy of the Spanish Cloister”.

— Nie, nie. Gdybym się ruszał za szybko, leżałbym teraz pod zwałami pudeł i skrzyń, w charakterze wiecznego eksponatu kolekcji Morandini. Wątpię, czy komukolwiek chciałoby się mnie szukać. Proszę, niech pani siada.

Klepnął drewnianą skrzynię. Usiadłam i rozejrzałam się dookoła.

Oczyścił kawałek podłogi. W jednym końcu była ścianka działowa z drzwiami, w drugim stół zawalony papierami i sprzętem biurowym, włącznie z metalową kartoteką. Światło pochodziło z lampy na baterię.

— Przepraszam, że panu przeszkodziłam, profesorze — zaczęłam się tłumaczyć.

Przerwał mi ochryply rechot, który przedtem wydał mi się cokolwiek złowrogi, ale teraz, kiedy patrzyłam na te szerokie wargi, mógł mnie tylko śmieszyć.

— Żaden ze mnie profesor, kiciu. Jestem tylko skromnym doktorantem, który próbuje wykrobać jakieś materiały do swojej pracy. Uznałem, że tytuł może zrobić dobre wrażenie na hrabinie, ale tobie nie będę kłamał. Jak to się stało, że cię* nie zauważyłem? A może potknąłem się niechcący o lampę Aladyna i wypuściłem geniusza?

Chyba brał mnie za służącą. Nie mogłabym go za to winić, ale przynajmniej tutaj musiałam się zdobyć na szczerość. Zbyt wielu ludziom zamydliłam oczy, nie wyprowadzając ich z błędu.

— Jestem spowinowacona z hrabiną. Mój mąż był jej siostrzeńcem.

Uśmiech zgasł.

— Był?

— Zginął w wypadku samochodowym kilka miesięcy temu.

— Zginął w... Ale ty... — Zatkanął sobie usta. — Przepraszam. Naprawdę. Czasem moje usta tracą kontakt z mózgiem.

Wcale się nie przejęłam. To dziwnie szczere zmieszanie przypadło mi do gustu daleko bardziej niż gładkie frazesy formalnych kondolencji. Pełna godności rezygnacja, z jaką Francesca przyjęła śmierć Barta, niewątpliwie budziła podziw, ale na mnie robiło to wrażenie czegoś płaskiego i niepokojącego. Malone'owie nigdy nie doceniali tego, co określa się mianem powściągliwości.

— Nie szkodzi — powiedziałam. — Przyszłabym wcześniej się przedstawić, gdybym wiedziała, że tu jesteś. Myślałam... Ja... widziałam cię tej nocy w ogrodzie. Koło tej małej fontanny.

— Wolno mi spacerować po ogrodach, kiedy jaśnie państwo bezpiecznie spoczywa w łózkach. Mam nadzieję, że cię nie obudziłem.

— Nie. To nie ty mnie obudziłeś. A poza tym nie należę do jaśnie państwa.

— Więc jest nas już dwoje. — Wyciągnął rękę, w błogiej nieświadomości faktu, że jest czarna jak u górnika. — Mam na imię Dawid.

— Kathy. — Uścisnęliśmy sobie ręce. — Co, u diabła, tu robisz?

— To długa i nudna historia, którą ci wyłożę z dokładnością co do jednego szczegółu.

— Bardzo proszę.

— Jestem tu właściwie pod fałszywym pretekstem. Naprawdę poszukuję dziewiętnastowiecznych dzienników i dokumentów, dotyczących Anglików i Amerykanów, którzy odbywali podróże do Włoch.

— To brzmi bardzo pompatycznie.

— Tak? No i dobrze. Dysertacje doktorskie mają zwykle pompatyczne tytuły. Powinny zawierać nowe wyniki badań, poglądy i interpretacje. Teraz ja ci zadam pytanie: Jak, do stu diabłów, można znaleźć nowy temat z dziedziny angielskiej dziewiętnastowiecznej literatury? To znaczy... mój Boże, przecież nawet istnieją poważne opracowania dotyczące względnej liczby samogłosek i spółgłosek w utworach Jane Austen! Jeśli tylko wyjdzie na jaw jakiś

nieopublikowany dotąd strzęp informacji, każdy uczony rzuca się na niego jak pies na kość i rozdziera na drobne kawałki. Stąd ten mój błyskotliwy pomysł. Postanowiłem... Jesteś pewna, że chcesz tego słuchać?

— Nie mam nie lepszego do roboty.

— Jeśli myślisz, że ta daleka od entuzjazmu odpowiedź powstrzyma mnie od wykładu, to nie znasz akademików. Otóż postanowiłem sam dotrzeć do takich niepublikowanych informacji. Jak prawdopodobnie wiesz — a jeśli nie, to zaraz ci powiem — Włochy były mekką dziewiętnastowiecznych pisarzy angielskich i amerykańskich. Każdy, kto miał jakiegokolwiek Pretensje do kultury, wyruszał w Wielką Trasę: Henry James, James Fenimore Cooper, Hawthorne, Browningowie...

Nie wiedząc, jak długo zamierza ciągnąć ten katalog, zauważyłam inteligentnie:

— Rozumiem. Piszesz pracę doktorską o Browningu.

— Nie urągaj mi, paniusiu. — Kąciki szerokich ust opadły, tworząc przesadną podkówkę. — Och, na pewno marzę o odnalezieniu pakietu listów czy pamiętnika z podróży Roberta i Elizabeth... mieszkali w Casa Guidi we Florencji przez prawie piętnaście lat... Ale Browningowie zostali wielokrotnie poddani drobiazgowej sekcji. Ja szukam Margaret Fuller.

— Kogo?

— Nigdy nie słyszałaś o Margaret Fuller? Dobry Boże, oto niedostatki naszego systemu edukacji! Była jedną z pierwszych korespondentek zagranicznych i wybitną uczoną w czasach, kiedy nikt nie oczekiwał od kobiet epatowania inteligencją. Horace Greeley zatrudnił ją jako korespondentkę nowojorskiej „Tribune”. Przebywała we Włoszech, kiedy wybuchła wojna o niepodległość, zakochała się w markizie Ossoli i miała z nim dziecko. Jak to się ma do wyzwolenia kobiet? W przeciwieństwie do innych arystokratów markiz wspierał ruch wyzwoleniczy, podobnie jak Margaret. Podczas oblężenia Rzymu Ossoli walczył na murach, a ona prowadziła szpital i wysyłała Greeleyowi sprawozdania po dziesięć doliczów za sztukę. Musiał jej podnieść honoraria z ośmiu do dziesięciu, bo groziła, że rzuci robotę. Walczyła też, co chyba oczywiste, o prawa kobiet, ale to cię może nie interesuje?

— Skąd to przypuszczenie? — oburzyłam się.

Zrobił skruszoną minę.

— Ignorancja i męski szowinizm, tak? Podświadomie przyjmujemy, że młoda i piękna kobieta...

— ...lubi, kiedy się ją traktuje jak słodką idiotkę? Obudź się, chłopie. Poza tym nie jestem piękna.

Poprawił okulary i przyjrzał mi się uważnie.

— Fakt, nie jesteś. Dolną wargę masz za grubą, nos za długi i podbródek ci wystaje...

— Tylko gdy jestem wściekła. Dawid uśmiechnął się szeroko.

— Mniejsza o podbródek. Sam nie wiem, co nasunęło mi wrażenie, że jesteś piękna. Ciekawe. Może to kwestia kolorów. Jasne włosy przy brązowych oczach... w dodatku o takim przyjemnym odcieniu lisiego futra. „Jej loki żółte niczym złoto, jej skóra biała jak...” O, psiakrew.

— Biała jak co?

— To nieodpowiedni wiersz. * Chorowałaś?

— Wracajmy do Margaret Fuller.

— Och, no tak, dobry pomysł. Uch...

* Cytat z „Rymów o sędziwym marynarzu” Samuela T. Coleridge’a: „Jej loki żółte niczym złoto / Jej skóra biała jak trąd”.

— Chciałabym dowiedzieć się o niej czegoś więcej — powiedziałam ustępliwie.

— Przyślę ci egzemplarz mojej książki.

— Sądząc z tempa twojej pracy, będę wtedy cierpieła na uwiad starczy. Posortowanie tego wszystkiego zabierze ci co najmniej dziesięć lat. Czy masz jakieś podstawy, by sądzić, że znajdziesz tu materiały na temat Margaret, czy też po prostu się bawisz?

— Nie tyle podstawy, co daleko idące przecucia. Podobnie jak kochanek Margaret, ówczesny hrabia Morandini popierał Mazziniego i Garibaldiego. Po upadku Rzymu Margaret z Ossolim przyjechali do Florencji i pobrali się w wiejskim kościółku gdzieś w Toskanii. Morandini mógł ich znać, ponieważ obracali się w tych samych kręgach towarzyskich i politycznych. Może wspomniał o nich w swych listach lub zapiskach. Nikt nie wie, gdzie i kiedy odbył się ślub. Wyobraź sobie, jaka to byłaby sensacja, gdybym natrafił na pisemne sprawozdanie! Ten Morandini mógł być ich družbą albo świadkiem.

— To mi wygląda na przysłowiową igłę w stogu siana. Będziesz musiał prześledzić zawartość każdej skrzyni czy pudła.

— Masz rację.

Nie przerażała go jakoś ta perspektywa. Przeciwnie, uśmiechał się promiennie.

— Może powinieneś porzucić literaturę i zająć się zbieraniem śmieci.

— Lepiej bym na tym wyszedł niż na stypendium — brzmiała ironiczna odpowiedź. — Pamiętasz tę powieść Dickensa, w której śmieciarz zostaje milionerem?

— W ogóle jej nie czytałam.

— Widzę, że twoja edukacja jest okropnie zaniedbana. Nie rozpoznać Browninga to hańba. W tej willi są góry śmieci — ciągnął z rosnącym entuzjazmem. — Mam tu zapewnione wszystkie uroki poszukiwania skarbów bez fizycznego dyskomfortu. Nigdy nie wiesz, na co nagle natrafisz. Zeszłej jesieni w pałacu niedaleko Rzymu znalazłem aztecką maskę; jeden z przodków markiza podróżował do Meksyku i przywiózł sobie pamiątkę. Siedzę tu raptem dwa tygodnie i już wyszperałem pudło z drobiazgami, jakie jeden z Morandiniów zbierał w Egipcie w latach osiemdziesiątych ubiegłego stulecia. Większość z nich to falsyfikaty, ale jest i kilka oryginalnych dzieł sztuki. Wcale bym się nie zdziwił, gdybym nagle wpadł na upchniętą w kącie mumię.

Rozśmieszył mnie ten zachwyt w jego głosie.

— Nigdy nie napiszesz tej dysertacji. Za dobrze się tu bawisz.

— Pewnego dnia znudzi mnie to dziadostwo. Ale na razie... czy masz lepszy pomysł na spędzenie czasu?

— Prawdę mówiąc, mam.

— Ależ to tani sposób na wakacje w Europie. Darmowe zakwaterowanie, a czasem także wyżerka. Jestem w dobrych stosunkach z Rosą. Dwa razy dziennie wkraczam do kuchni błady i mizerny, a ona zaraz napycha mnie makaronem.

— Ale jak to się dzieje, że ludzie wpuszczają cię na swoje strychy? Gadane to ty masz, chociaż nie sądzę, żeby Francescę cokolwiek obchodziła Margaret Fuller. Zwłaszcza ona!

— Och, no tak. Cóż, będę z tobą szczerzy. — Zdjął okulary i spojrzał na mnie z powagą. — Zagalopowałem się trochę w tej rozmowie. Pewnie ta twoja miła, niewinna buźka tak na mnie wpływa. Nie sypniesz mnie, co?

— To zależy od tego, jaki mroczny sekret ukrywasz.

— Już go poznałaś. Ale hrabina nic nie wie. Myśli, że szukam skarbów o rynkowej wartości, jak ta maska Azteków. Albo jeszcze lepiej — jakiegoś zapomnianego Belliniego, przeoczonego Boticellego czy solniczki Celliniego, którą poprzedni hrabia zastąpił prasowanym szkłem z Manchesteru. Zauważyłaś chyba, że dom jest zapuszczony, teren zaniedbany, personelu brakuje, więc zapewne pani nie cierpi na nadmiar gotówki. To samo dotyczy wielu starych rodów, z

wyjątkiem spryciarzy, którzy zajęli się produkcją samochodów lub konfekcji. Niektórzy dawno pozastawiali w lombardach obrazy, antyki i rzeźby. Dopóki im tego nie uświadomiłem, nie mieli pojęcia, że na ich strychach mogą jeszcze znajdować się jakieś skarby. Facet, którego przodek przywiózł tę aztecką maskę, jest przyjacielem hrabiny. Pewne amerykańskie muzeum zaferowało za ów eksponat okazałą sumę, która oszołomiła jego prostą, arystokratyczną duszę, więc i twoja przyjaciółka ma nadzieję, że znajdziesz tu coś podobnego.

— Też tak uważasz?

— To raczej nieprawdopodobne. Chociaż nigdy nic nie wiadomo.

Obrzucił łakomym wzrokiem stopy pudeł. Wstałam.

— Widzę, że umierasz z chęci do pracy. Nie będę ci dłużej przeszkadzać.

— Nie tędy. — Wyciągnął niedbale rękę, by mnie powstrzymać, bo znów zmierzałam w stronę wąskiego przejścia. — Nie wiem, jak ci się udało przedostać przez to wszystko. Pokażę ci moje drzwi.

— Nie chcę cię odrywać od twojej ukochanej pracy.

— I tak już czas na poranną przerwę. — Rozprostował długie nogi i wstał. — Szybka przebieżka po ogrodzie, a potem wizyta w kuchni. Idziemy.

Droga powrotna okazała się o wiele mniej skomplikowana. Drewniane schody i proste pasáže doprowadziły nas przez cztery kondygnacje do korytarza z ceglana podłogą i ścianami z łuszczącą się sztukaterią.

— Kuchnia jest tam — rzekł Dawid, pokazując kciukiem w prawo. — Pomieszczenia kredensowe i magazyny są po drugiej stronie. Wszystkie świecą pustkami. A to... — otworzył jakieś drzwi — to mój spacerniak.

Był to mały dziedziniec otoczony wysokim murem i obrzeżony chwastami, w których pewnie sam wydeptał ścieżkę. Kilka splątanych róż wyrwało się z zarośli, by ucześcić się pękniętej cegły. Pod murem stała drewniana, na pół spróchniała ławka. Na tym rozkosze się kończyły.

— „Przebieżka” to chyba przesada — prychnęłam. — Chcesz powiedzieć, że to jedyne miejsce, po którym wolno ci się poruszać w ciągu dnia?

— No, no, nie daj się ponieść demokratycznemu oburzeniu. Jestem tu zaledwie tolerowany i biorę, co mi dają. Zresztą nie narzekam; mam pokój nad garażem, zaraz za tą furtką. Mogę wchodzić i wychodzić, kiedy zechcę. Bynajmniej nie palę się do bliższych stosunków ani z państwem, ani ze służbą, a szczególnie z Albertem.

Twarz ze smugami kurzu spochmurniała. Ciekawe, co ten szoferak zrobił, by zasłużyć na owo milczące potępienie. Dawid jednak nie wdawał się w szczegóły.

— Ta druga furka prowadzi do warzywnika — ciągnął. — Do domu można dostać się tędy albo pójść naokoło do frontowych drzwi.

— Dzięki. Za wykład także.

— Służę w każdej chwili. Jeśli będziesz się nudzić, przychodź. Pomożesz mi grzebać w rupieciach.

— Może skorzystam. A ty, jeśli się zmęczysz przebieżkami, przyjdź zagrać w futbol ze mną i z Pete'em.

— Z jakim Pete'em?

— Powinnam powiedzieć „Pietro”. Hrabina nie lubi amerykańskich zdrobnień. Właściwie jest on hrabią Morandinim, ale głupio mi tytułować dziesięcioletniego chłopaczka.

— Chcesz powiedzieć, że tu jest dzieciak? Dziesięciolatek?

— Nie widziałeś go dotąd?

Dawid pokręcił głową.

Zostawiłam Dawida, który zawzięcie truchtał wokół dziedzińca. Cztery okrążenia dawały ze dwie trzecie kilometra, obliczył to sobie na krokomierzu.

Kiedy zobaczyłam go przy dziennym świetle, przekonałam się, jak wiele brakowało do podobieństwa, które sobie wmówiłam. W ogóle nie przypominał Barta. Owszem, byli tego samego wzrostu i budowy — dość, by mnie oszukać. Dawid jednak, pomijając warstwę kurzu, miał włosy o kilka tonów brązu jaśniejsze i poruszał się bez aktorskiej gracji Barta. W biegu wyglądał jak marionetka o luźno połączonych długich nogach — istny baletowy Pietruszka o wesołej twarzy clowna. Powinien mieć piegi, może zresztą miał je pod smugami brudu. Ale gdyby nawet się domyśl, jego oblicze nie należało do tych, na które pewne kobiety tylko zerkają, co śmielsze wręcz się gapią, a te dobrze wychowane rzucają z ukosa powłóczyście spojrzenia. Tak właśnie zachowywały się wobec Barta. Pamiętam drobnomieszczańską satysfakcję, z jaką trzymałam go pod ramię, obserwując tęskne spojrzenia innych kobiet na moją własność.

Ruszyłam w stronę otoczonego murem ogrodu, gdzie poprzednio zastałam Pete'a. Było tam cicho i pusto; nic nie wskazywało, że kiedykolwiek bawiło się tam dziecko. Żadnych porzuconych w wysokiej trawie piłek czy innych zabawek, żadnej huśtawki czy zawieszzonego na drzewie trapezu.

Kompletne zaskoczenie Dawida wzmianką o dziecku zrobiło na mnie dziwne wrażenie. Oczywiście trzymał się wyznaczonych części domu i gruntów, a większość dnia spędzał na strychu. A jednak niepokoiła mnie myśl, że chłopiec był aż tak niewidzialny. Może dopiero co przyjechał na wakacje ze szkoły z internatem, może spędzał w willi tylko weekendy.

Właściwie mogłabym przeprowadzić mały rekonesans. Jak zauważyła Francesca, byłam ubrana w sam raz do czegoś takiego, a po wizycie na strychu nie mogłam zabrudzić się bardziej. Poza tym chciałam sprawdzić, gdzie się mieszczą garaże, żebym miała w każdej chwili dostęp do samochodu bez nagabywania Alberta. I koniecznie zabrać mu kluczyki.

Wróciłam na wybieg Dawida. Skończył jogging i poszedł sobie, pewnie na przekąskę do Rosy. Przez furtkę, którą wcześniej mi wskazał, zobaczyłam wybrukowane podwórko ze starymi stajniami w drugim końcu. Stanowiły część domu — niższy poziom wydłużonego skrzydła. Dawną wozownię zamieniono w garaż, dalej ciągnęły się rzędy pustych boksów.

Nie przeszłam przez furtkę. Na podjeździe stał mercedes, a Alberto pracowicie go polerował. Od błyszczącej chromowej chłodnicy odbijały się promienie słoneczne. Szkoda, że z taką skrupulatnością nie zajmował się psem.

No właśnie, pies. Zastanawiałam się, gdzie go trzymają. Pewnie gdzieś niedaleko, w części gospodarczej. Może warto by to sprawdzić, żebym niechcący nie znalazła się na jego wybiegu. Formalna prezentacja nie przekonała mnie jakoś do dobrych chęci zwierzaka.

Oczywiście najłatwiej byłoby zapytać Alberta. Zamiast tego wycofałam się chyłkiem z furtki i zaczęłam szukać na własną rękę. Nie zabrało mi to wiele czasu. Wyczułam owo miejsce, jeszcze zanim je zobaczyłam — niezbyt daleko od stajennego podwórka i — moim zdaniem — stanowczo za blisko drogi, którą Pete chadzał na swój obskurny plac zabaw. Psi wybieg był gorzej niż obskurny — po prostu haniebny. Stało tam coś w rodzaju budy o blaszanym, wyraźnie nieszczelnym dachu. Mimo bardzo wysokiego ogrodzenia pies był uwiązany na łańcuchu. Granicę jego nerwowych spacerów wyznaczał wąski pas ubitej ziemi, usiany obficie odchodami. Teraz jednak pies leżał z łbem na wyciągniętych łapach obok tandetnej plastikowej miski z odrobiną mętnej wody.

Wyglądał tak żałośnie, że omal nie zrobiłam czegoś bardzo głupiego. Gdy dotknęłam furtki, poderwał się raptownie. Wiatr musiał dąć w złym kierunku, bo pies wyraźnie nie złapał mojego zapachu. Czy skoczył z radości na widok jedynej osoby, która go broniła i łagodnie do niego przemawiała? Skądże. Rzucił się prosto na mnie z wyszczerzonymi zębami, warcząc i napinając łańcuch.

— Masz kiepską pamięć — powiedziałam. — Uspokój się, piesku. Nie musisz mnie zjadać, mieszkam tu, pamiętasz?

Mówiłam do niego przez jakiś czas, póki nie przestał warczeć. Usiadł i wpatrywał się we mnie, jakby usiłował przypomnieć sobie moją twarz. Odchodząc stamtąd trzęsłam się ze złości. Owszem, psa trzeba wiązać, prawdopodobnie przeskoczyłby tę furtkę bez problemu, ale łańcuch był stanowczo za krótki i Alberto nie zadawał sobie trudu utrzymywania wybiegu w czystości. Zastanawiałam się, jak często pies jest karmiony. Z tego, jak ślinił się na mój widok, wywnioskowałam, że chyba nie za często.

Wróciłam do warzywnika i dotarłam do kolejnej furtki. Jeszcze nigdy nie widziałam, żeby duży teren grodzono na tak małe przedziały. Kiedyś te ogrody musiały robić imponujące wrażenie. Nawet teraz, po latach zaniedbania, istniały pewne ślady, świadczące o odrębnym charakterze każdego z nich — w jednym walczyły o przetrwanie róże, w drugim cebulki dzielnie przebijają wśród chwastów szmaragdowe szpikulce, w jeszcze innym chyliła się ku ruinie fontanna, osadzona w wykończonej mozaiką grocie. Kawaleczki połyskliwej miki i kolorowe kamyczki zatopione były w betonie, ale korzenie dzikiego wina wetknęły w dno swe nieustępliwe palce i leżało tam mnóstwo popękanych płytek o wyblakłych barwach. Mur jednego z ogrodów wyłożono marmurem. Stała tam maleńka rotunda z kolumnami, która służyła pewnie za punkt widokowy. Dwie kolumny leżały przewrócone, doszłam do wniosku,

że specjalnie — takie sztuczne ruiny, popularne wśród dziewiętnastowiecznych architektów krajobrazu. Wszystko to zarastała trawa, a wybijały chwasty przysłaniały kwiaty i spękane kamienie.

Przez ostatnią furtkę z misternie kutego, lecz zardzewiałego żelaza weszłam do głównego, frontowego ogrodu. Za czasów dawnej świetności musiał być olśniewający. Fontanna chlustała ze wszystkich rogów trytona strumieniami krystalicznej wody, trawniki przypominały szmaragdowy aksamit, rabatki biły w oczy kolorami kwiatów. Nad jedną z grządek pochylała się jakaś postać. To pewnie pomocnik Alberta, o którym wspominała mi Francesca. Chyba plewił, chociaż nie sprawiał wrażenia ciężko pracującego. Zawahałam się, czy do niego podejść. Niewiele mogłam powiedzieć oprócz „*buon giorno*” i niewiele miałam do zaoferowania oprócz uśmiechu, a i jemu pewnie nie zależało na dowodach mojej łaskawości. Kiedy przyglądałam mu się z daleka, podniósł się z wysiłkiem na nogi i dopiero wtedy zauważyłam, że jest kaleką. Utykając na nogę, z jednym ramieniem wyższym, powlókł się w przeciwnym kierunku.

Było później, niż myślałam. Rzut oka na zegarek potwierdził czas, jaki wydedukowałam z wysokości słońca. Musiałam wziąć prysznic i przebrać się do obiadu. Obiecałam sobie solennie, że wypytam Francescę, gdzie ukrywa swego wnuka. Mogła odsuwać go od siebie i nie chcieć go oglądać, ale nie było powodu, dla którego ja miałabym traktować dzieciaka jak trędowatego.

Kiedy jednak zeszałam na dół ubrana w stosowną spódnicę i bluzkę, nie zastałam tam Franceski. Emilia nalała mi tradycyjną lampkę wina, a gdy powiedziałam, że zaczekam na panią domu, wyciągnęła z kieszeni bilecik. Hrabina swym delikatnym pismem zawiadamiła mnie, że obiad mam zjeść sama. Jej wypadło spotkanie, którego nie może odwołać. „Chciałam Ci powiedzieć o tym przy śniadaniu. Mam nadzieję, że wybaczysz mi tę niegrzeczność”.

Nie mogłam jej winić o takie głupstwo, skoro sama tyle narozrabiałam.

Zaczekałam, aż Emilia naleje mi kawę, i dopiero wtedy zapytałam o Pete'a, a właściwie Pietra.

Powtórzyła kluczowe słowo:

— Szkoła?

— *La scuola*. Czy *il conte* jest dziś w szkole?

Pokręciła głową.

— Dlaczego?

Patrzyła na mnie tępym wzrokiem. Spróbowałam jeszcze raz.

— Gdzie on jest?

Wzruszyła ramionami. Przypuszczam, że nie pozwoliłaby sobie na to w obecności hrabiny, ale afront nic mnie nie obchodził. Natomiast zaciekawiła mnie absolutna obojętność, jaką sugerował ów gest.

— Nie wie pani, gdzie on jest? Ponowne wzruszenie ramionami.

— W swoim pokoju? — Cisnęłam na stół serwetkę z miną godną hrabiny. — Gdzie jest jego pokój?

Ktoś by mógł pomyśleć, że zapytałam o drogę do jaskini Iwa. Emilia nie próbowała mnie powstrzymać ani odwieść od zamiaru, po prostu nie mogła pojąć, dlaczego chcę z własnej woli zobaczyć się z chłopcem.

Weszłyśmy na schody. Postanowiłam, że mogę równie dobrze wykorzystać tę sytuację i dowiedzieć się paru rzeczy, więc zasypałam Emilię pytaniami. Owszem, powiedziała, pokój hrabiny też jest na Pietrze, w drugim końcu tego samego korytarza co moja sypialnia, przy drzwiach prowadzących do nie zamieszkanego obecnie zachodniego skrzydła1. Szcątkowy angielski Emilii stał się teraz zaskakująco płynny. Zaczęła mi wyjaśniać, że zachodnie skrzydło jest w stanie ruiny — niebezpieczne, niehigieniczne i w ogóle lepiej tam nie chodzić.

Ale to właśnie stamtąd wyszła wtedy z tacą nakrytą serwetką. Kusiło mnie, by zapytać, czy trzymają tam starego, znikowanego wujka Giovanniego, lecz pewnie nie poznałaby się na żarcie, skądinąd i tak niezbyt śmiesznym.

Mój pokój nie był sypialnią małżeńską. Apartament aktualnego hrabiego i jego połowicy zajmował cały front piętra.

Jednakże aktualny hrabia mieszkał gdzie indziej. Uznałam za naturalne, że pokój dziecka jest na tym samym Pietrze co inne sypialnie, ale kiedy zabrałam z mojego pokoju zakupioną grę, Emilia poprowadziła mnie jeszcze wyżej. A więc zapakowali go na strych, razem ze służbą i starymi rupieciami. Byłam obeznana z dawnym zwyczajem, który nakazywał trzymać dzieci możliwie jak najdalej od dorosłych, ale w tym przypadku wydało mi się to poważnym błędem, nie mówiąc o bezpieczeństwie chłopca. Skoro Francesca nie wspomniała o żadnej guwernantce czy bonie, to kto zajmował się dzieckiem, kto czuwał nad nim w nocy?

Kiedy doszłyśmy do szczytu schodów, Emilia skrzyła w kierunku przeciwnym do części magazynowej, gdzie pracował Dawid. Pokój Pete'a znajdował się w korytarzu biegnącym wzdłuż frontu domu, dość blisko schodów, ale bardzo daleko od sypialni Franceski. Nie mogłaby go usłyszeć, gdyby zachorował w nocy, i pewnie o to chodziło.

Zapytałam Emilię, gdzie ona sypia. Pokazała mi — tuż obok Franceski.

— *A tuttofare?* — drążyłam dalej.

Tym razem wskazała drzwi w pobliżu pokoju chłopca, po czym dodała z krzywym uśmiechem:

— Jeśli w ogóle wróci na noc. Często sypia poza domem.

Nie zadałam już ani jednego pytania. Kiedy podniosłam rękę, by zapukać, Emilia sięgnęła po klucz. Zauważyłam go już wcześniej, ale sobie nie skojarzyłam. Właściwe miejsce dla klucza to dziurka w drzwiach.

— Chce pani wejść? — spytała.

Wolałam się nie odzywać, bo nie ręczyłam za siebie. Skinęłam głową. Emilia przekreśliła klucz.

— Gdy będzie pani chciała wracać, proszę...

Pokazała mi na palcach, że mam zamknąć pokój na klucz. Spojrzałam na nią tak, że wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się z wyższością.

— *Bene, signora*. Jak pani sobie życzy.

Zaczekałam, aż zniknie mi z oczu. Wydało mi się, że słyszę za drzwiami jakiś ruch — ciche, oddalające się chyłkiem kroki, jakby szczur uciekał. Wtedy zapukałam.

— To ja, Kathy. Mogę wejść?

Po chwili odpowiedział:

— Proszę.

Pokój był urządzony tak, jak urządzano pokoje dziecinne trzydzieści lat temu. Można by go nawet uznać za przyjemny — półki z książkami i zabawkami, kominiek z kratą ochronną i ekranem, koń na biegunach, mosiężne łóżeczko. Niby w porządku, poza tym, że wszystko to było mocno zużyte. No i próżno by szukać czegoś, co mogłoby zabawić współczesnego dziesięciolatka. Okno zabezpieczała sztaba.

Pete siedział w łóżku z otwartą książką na kolanach. Dopóki nie zamknęłam drzwi, nie odzywał się i nie poruszał. Zacisnął szczelnie usta i obserwował mnie rozszerzonymi oczami.

— Nie powiedzieli mi, że jesteś chory. Gdybym wiedziała, przyszedłbym wcześniej.

— Jest pani sama, signora?

— Tak. — Przysunęłam sobie krzesło i usiadłam. — Jak się czujesz?

— Dobrze, zupełnie dobrze. Nie jestem chory.

— Przestraszyłam się, że złapałeś coś ode mnie, chociaż nie sądzę, by to było zaraźliwe.

Zdumiał mnie wyraz jego twarzy — chytry, niemal lubieżny. Wyglądało to koszmarnie, jeszcze gorzej niż poprzednia pełna dystansu ostrożność.

Nie uszedł mojej uwagi sposób, w jaki się do mnie zwracał. Przedtem nazywał mnie signoriną. Ktoś musiał mu opowiedzieć część całej historii i napomknąć coś o reszcie.

— Wiesz, że byłam żoną twojego... kuzyna, czy tak? — zapytałam impulsywnie.

— Tak, signora.

— Ale nie jestem w ciąży.

Przebiegły uśmiezek zniknął, a na jego miejscu pojawił się wyraz zaskoczenia. Znał to słowo, w końcu spędził jakiś czas w amerykańskiej szkole, gdzie dzieciaki są dokładnie uświadomione.

— Wiesz, kiedy kobieta spodziewa się dziecka — ciągnęłam swobodnie — cierpi czasem na dolegliwości żołądkowe. Ja wczoraj miałam torsje, to się zdarza w podróży, ale obawiam się, że ktoś wysnuł z tego fałszywe wnioski.

Nie sądziłam, by zrozumiał ostatnie słowa, ale uchwycił sens. Zmarszczył brwi.

— Pani nie... Pani nie jest...

— Nie, w ciąży — nie. A ktoś ci powiedział, że jestem?

Policzki wciąż miał zaczerwienione, ale na jego twarzy malowała się już tylko zwykła dziecięca ciekawość. Rzucił książkę i podciągnął kolana.

— Słyszałem, jak Emilia z Rosą gadały. Kiedy Emilia zobaczyła, że słucham, powiedziała, że jestem niegrzeczny. To sprawa nie dla dzieci...

— Mniejsza o to, domyślałam się, co powiedziała. Myliła się z kretesem. — Uśmiechnęłam się.
— Do pewnego stopnia żałuję, że nie jestem w ciąży. Chciałabym mieć dziecko.

— Lubi pani dzieci?

— Tak, oczywiście. Zarabiam na życie, ucząc dzieci.

— Takie jak ja?

— Może trochę starsze. Z młodszych klas szkoły średniej. Moi uczniowie mają od dwunastu do piętnastu lat.

— A czego pani uczy?

— Historii.

Wyraźnie go to zmartwiło.

— Nie futbolu...

— Wiesz, nie jestem specjalnie dobra w futbolu. Och, to mi przypomina... Coś ci przyniosłam.

Rzucił się na grę jak wygłodniały włóczęga na miskę zupy.

— Miałem taką... podobną... przedtem. Ale nie była dość...

— Skomplikowana?

Zastanawiał się chwilę nad tym słowem, jakby je sobie dopasowywał.

— Skomplikowana... Tak, nie tak skomplikowana. I w ogóle jest popsuta. Zagrajmy w tę.

Szybko się połapał. Co do mnie, to już dawno pogodziłam się z upokarzającym faktem, że większość moich uczniów bije mnie na głowę w elektronicznych grach. Pete wygrał cztery z sześciu partii i grałby cały dzień, gdybym nie poprosiła go o litość.

— Może teraz spróbujemy czegoś innego. Chciałabym wygrać dla odmiany.

— Nie mam nic innego.

— Jak to? Żadnych gier? Warcabów, szachów?

— Tylko takie dla małych dzieci — zatoczył krąg po pokoju pogardliwym gestem.

— Więc co robisz przez cały dzień?

Próbowałam utrzymać neutralny ton, ale chyba mi się nie udało.

— Mam radio, czasem słucham muzyki. I wciąż się muszę uczyć.

Pokazał mi książkę, którą czytał, a właściwie, której nie czytał. Był to opasty tom historii Włoch, przeznaczony dla dorosłych, z kilkoma czarno — białymi fotografiami.

Nie mogłam dłużej ciągnąć tego przesłuchania. Kompletnie straciłam poczucie perspektywy, a to niedobrze. Wysłuchałam tylko jednej ze stron. Trudno było sobie wyobrazić, by istniał jeszcze inny punkt widzenia, ale na własnej skórze się przekonałam, jak łatwo pobłądzić w ocenie, zwłaszcza gdy chodzi o dziecko.

Pete wyraźnie posmutniał, kiedy podniosłam się z krzesła, ale nie poprosił, żebym została.

— Może jutro wstaniesz — próbowałam go pocieszyć. — Zagramy w prawdziwy futbol.

— Mogę zaraz wstać. Nie jestem chory.

Dotknęłam jego czoła.

— Nie masz gorączki.

Na chwilę przycisnął twarz do mojej dłoni i zaraz się odsunął.

— Nie jestem chory. Każą mi leżeć, ale nic mi nie jest. Tylko... tylko czasem mam złe sny.

Musiał poznać po mojej minie, jak mnie to przeraziło. Moje własne koszmary to mało, ale jeszcze wspomnienie głosu — aksamitnego, wyszkolonego: „Mój Boże! Zamknięty w skorupce orzecha, jeszcze czułbym się władcą nieskończonych przestrzeni — gdyby mnie tylko nie dręczyły złe sny”.* Bart zawsze chciał grać Hamleta. Który aktor o tym nie marzy? I jakimż

* William Szekspir „Hamlet”, akt II, sc. II, tłum. Stanisław Barańczak.

byłby wspaniałym duńskim królewiczem w czarnym aksamitnym kubraku i obcisłych spodniach, z tą burzą czarnych włosów nad srebrzystymi oczami, z pociągłą twarzą o wystających kościach policzkowych i giętkimi dłońmi...

Usłyszałam cichutki, niepewny głosik:

— Powiedziałem coś złego.

— Nie, nie. — Przyciągnęłam go do siebie. Potrzebowałam ciepła i bliskości tak samo jak to dziecko. — Ja też miewam złe sny, Pete. Wiem, jakie to okropne, ale kiedyś się kończy. Kiedy tracisz bliską osobę... kogoś, kogo kochasz, z początku czujesz tylko gniew. Z czasem to wszystko przechodzi — złość, żal, złe sny...

Brnąc przez ów chaotyczny wywód, czułam, że doktor Baldwin zawyłyby ze zgrozy na tak nieprofesjonalną próbę terapii. Jak ja śmiem gmerać w czymś tak głęboko zakorzenionym jak poczucie zagubienia u dziecka? Czyżbym była na tyle naiwna, by sądzić, że moje amatorskie wysiłki coś pomogą?

Owszem, byłam naiwna. I myślałam, że te wysiłki naprawdę pomogą. Nie dojrzał jeszcze do płaczu, ale przez kilka sekund kurczowo się mnie trzymał. Dopiero potem przypomniał sobie o swym poważnym wieku i godności, więc odsunął się czym prędzej.

— Sprawilo to pani przykrość? Przepraszam.

— Nie tak wielką jak tobie. — Odgarnęłam mu włosy z czoła. — Myślę, że jesteś bardzo dzielny.

To otworzyło śluzy. Zaczął mówić, wyrzucać z siebie dziwną mieszaninę włoskiego i angielskiego. Otrzymałam obraz życia całkowicie odmiennego niż moje — stylu, jaki w myśli nazywałam „odlotowym”, bo rodzice Pete’a bez przerwy podróżowali do różnych modnych miejsc. Albo w rodzinie było więcej pieniędzy, niż przypuszczałam, albo mama i tata wiedzieli, jak uzyskać maksymalny dochód ze swych zasobów, bo Pete wciąż napomykał o pokojówkach, prywatnych opiekunach, nauczycielach i tak dalej. Nie zostawiano go jednak tylko na łasce służby. Ojciec uczył go pływać i jeździć na nartach. Matka zabierała do wesółych miasteczek, na baliki karnawałowe i do zoo. Sama uwielbiała karuzele.

— Zawsze wybierała białego konia. Jak byłem mały, siadała razem ze mną, kiedy podrostem, jeździłem na innym koniu, na lwie albo słoniu.

Miał też psa. Na imię było mu Bruno. Oczy zwilgotniały mu, kiedy je wymawiał, chociaż o rodzicach mówił z suchymi. Widząc jego zdenerwowanie, przygotowałam się na najgorsze. Niepotrzebnie, Bruna nie spotkał tragiczny koniec, po prostu został w Ameryce.

— Może dostaniesz innego — powiedziałam, doskonale wiedząc, jak sama zareagowałabym na taki pomysł.

— Nie chcę innego psa. A poza tym ona nie pozwoliłaby mi na żadne zwierzę. Nawet na ptaka.

Wiedziałam, kogo ma na myśli.

Kiedy wreszcie wyrzucił z siebie wszystkie wspomnienia, chyba się zmęczył i osłabł. Wiedziałam, jak się czuje, sama przeżywałam kilka razy coś podobnego. Ale na chorego nie wyglądał. Owszem, był blady i wychudzony — prawdopodobnie od tych przykrych przeżyć i braku ruchu na świeżym powietrzu. Ponownie zaczęłam się zbierać do wyjścia.

— Jutro zagramy — obiecałam. — Dziś wieczorem poproszę twoją babcie.

— W po — rządku — rozjaśnił się. Odwróciłam się od drzwi. — Pete?

— Tak, signora Kathy?

— Nie chcę zamykać cię na klucz. Czy zostaniesz w swoim pokoju?

Zastanowił się przez chwilę.

— A jeśli nie, to będą na panią źli?

Roześmiałam się.

— Tak sędzę.

— W takim razie zostanę. Słowo Morandiniego! — obiecał, prostując się z błyskiem w oczach.

Przypominał Barta. Straszliwie, koszmarnie wprost. Zmusiłam się do uśmiechu.

— Więc do jutra, Pete. Śpij dobrze, i żadnych złych snów, zgoda?

— Zgoda! I pani też!

Poszłam do swojego pokoju. Po dziesięciu minutach spacerowania w kółko usiadłam i palnęłam sobie kazanie, którym z pewnością uczyłoby mnie tata. „Niech mnie diabli, jeśli znów nie angażujesz się w ratowanie z opresji ludzi, chociaż wcale tego nie potrzebują, a może i sobie nie życzą. Przypominasz harcerzyka, który wlecze przez jezdnię staruszkę, podczas gdy ona okłada go parasolką, bo wcale nie chce przechodzić na cholerną drugą stronę. Czy nigdy nie pojmiesz, że najpierw trzeba zebrać fakty, a dopiero potem działać?”

Chyba nigdy się tego nie nauczę, podobnie jak tata. Ale doktor Baldwin i wszyscy inni specjaliści, z którymi pracowałam w szkole, powiedzieliby to samo: „Nie wtrącaj się, możesz zrobić więcej złego niż dobrego. Przestań wysnuwać pochopne wnioski i robić z igły widły”.

Chłopca fizycznie nikt nie krzywdzi. Miałam do czynienia z takimi przypadkami, oznaki są nie do pomylenia. Zresztą nie sędzę, by Francesca była zdolna do tego rodzaju brutalnych czynów. Jej grzechy to zaniedbanie i chłód. Próbowałam przyjąć jej punkt widzenia. Ona też wie, co to ból. Straciła jedyne syna, a potem w jej spokojnym, uporządkowanym życiu znalazło się krnąbrne, odporne dziecko, z którym miała mnóstwo kłopotów. Może próbowała jakoś do chłopca dotrzeć i została odtrącona. Trudno się pogodzić z takim nastawieniem, nawet jeśli się rozumie powody. Jej metody wychowawcze były beznadziejne, chociaż prawdopodobnie miała dobre chęci.

Włożyłam do kolacji brązowy kostium. Przynajmniej wyglądał godnie, a wiedziałam, jak ważny jest stosowny ubiór, gdy się planuje batalię. Chciałam uzyskać kilka prostych odpowiedzi na proste pytania. Zamierzałam zachować bezstronność, ale...

Znów mi pokrzyżowała plany. Kiedy wkroczyłam do kremowo-złotego salonu, zastałam tam gości.

Była to para w średnim wieku — doktor Condotti z żoną. On wyglądał jak prosiak — tak samo tłusty i różowy. Kosmyki siwiejących włosów zaczesywał starannie w poprzek wysokiego czoła. Natomiast żona była przeraźliwie chuda, o połyskliwych blond włosach, które robiły wrażenie zaondulowanej peruki.

Przekonałam się już dawniej, że Włosi dość niefrasobliwie szafują takimi tytułami jak „doktor” i „profesor”. Doktor Condotti wcale nie musiał być lekarzem, ale przypuszczałam, że jednak nim jest. Niezbyt dyskretne spojrzenia, jakimi jego żona obrzucała mój brzuch, wyglądały na zwykłą babską ciekawość, natomiast w oczach doktora dostrzegłam profesjonalny błysk.

Oboje byli okropnie nudni. Tylko dzięki gładkim manierom Franceski udało się podtrzymać rozmowę do końca posiłku. Na szczęście wyszli dość wcześnie. Ledwie drzwi się za nimi zamknęły, Francesca wyciągnęła się z westchnieniem w fotelu. Mniej powściągliwa kobieta zrzuciłaby pantofle, przejechała ręką po włosach i wydała z siebie donośne „uff!”.

— Mam nadzieję, że nie wynudziłaś się za bardzo — powiedziała. — Państwo Condotti mówią dobrze po angielsku, dlatego ich zaprosiłam, ale to nie żadni intelektualści.

— Nie szkodzi — bąknęłam.

— Powinnaś też przeprosić cię, że na cały dzień zostałaś sama. Może jutro pokażę ci okolicę. To dało mi punkt wyjścia.

— Obiecałam Pe... Pietrowi, że spędzę z nim część dnia. Wiedziała, że go odwiedziłam. W jej głosie nie było zdziwienia, tylko umiarkowana ciekawość.

— Nie zamknęłaś drzwi na klucz.

— Nie.

— Jeszcze trochę kawy?

Pewnym chwytem podniosła ciężki, srebrny imbryk. Nie zawołała do tego Emilii, uznała więc, że nic jej nie uratuje od tej rozmowy.

— Nie, dziękuję. — Myślałam, że jestem dostatecznie wkurzona, by postawić sprawę jasno, a jednak jej doskonałe opanowanie osłabiło moją stanowczość. — Pewnie uważasz, że wtykam nos w nie swoje sprawy, ale...

— Podobno uczysz. Nie mówiłam jej tego.

— Przeprowadziłaś dochodzenie.

— Oczywiście. Ty na moim miejscu zrobiłabyś to samo. Kiedy otrzymałam twoje listy, nie wiedziałam, że Bartolommeo się ożenił. Mogłaś być... kimkolwiek.

— Przynajmniej szczerze. Ale...

— Dowiedziałam się, że jesteś dokładnie tą osobą, za którą się podajesz: legalną żoną Bartolommea. Stąd twoja pozycja w tym domu. Nie, wcale nie uważam, że interesując się stanem zdrowia Pietra „wtykasz nos w nie swoje sprawy”, jak to ujęłaś. Miałam nadzieję, że nie posuniesz się do interwencji, ale teraz wiem, że nie potrafisz postępować inaczej. Przymioty, które cię ku temu popychają, są charakterystyczne dla młodości i szanuję je, chociaż bez zachwyty.

Jeszcze nikt, włączając w to doktora Baldwina, nie poddał mojego charakteru tak chłodnej i akuranej analizie. Gdyby Francesca okazała mi pogardę lub oburzenie, potrafiłabym jej odpowiedzieć. Przeciwno tej beznamietnej i jakże trafnej ocenie zabrakło mi argumentów.

— Uważasz, że jestem zbyt surowa dla chłopca — ciągnęła ze spokojem. — Mam inne metody niż twoje i nie czuję się w obowiązku ich bronić. Teorie pojawiają się i przemijają jak damska moda. Prawdy, których trzymasz się dzisiaj, jutro mogą być uznane za relikty przeszłości. Zamknięcie dziecka w pokoju nie jest karą ani okrutną, ani niezwykłą. Ale wcale nie dlatego zamykam drzwi Pietra na klucz. Robię tak dla jego bezpieczeństwa. W ciągu ostatnich tygodni dwa razy próbował się zabić. Rodzina Morandinich jest dotknięta dziedzicznym obłędem. Zauważyłam go także u Pietra. To dziecko jest nienormalne.

ROZDZIAŁ 4

1

— Nie wierzę — powiedziałam.

— W co nie wierzysz? Że istnieje coś takiego jak dziedziczny obłąd czy że Pietro próbował się zabić?

— W jedno i drugie.

Uśmiechnęła się. Zęby lśniły jej jak sople lodu.

— Przynajmniej szczerze, co?

— Przepraszam. Może ty tak to widzisz, ale... Jesteś w błędzie, to wszystko.

— Mój mąż zmarł w szpitalu w Vicenzie. Był mordercą i furiatem. Jego wuj... właściwie wujeczny dziadek...

Atmosfera grozy tak się zagęściła, że można by ją krajać nożem. Zaraz wtargnie tu pani Rochester i zacznie miotać przekleństwami.*

— Posłuchaj — podjęłam desperacko. — Nie wiem zbyt wiele o chorobach psychicznych... Wolę określenie „chory” niż „furiat”, chyba nie masz obiekcji? Natomiast wiem na pewno, że nie ma pewniej szlej drogi, by zaszkodzić umysłowi dziecka, niż wmówić mu, że jest skazany na obłąd.

— Też o tym wiem. Gdybym nie wiedziała, psychiatra Pietra dopilnowałby...

— Byłaś z nim u psychiatry? Lodowaty chłód prysnął.

— Może nie odpowiadam twojemu ideałowi zaślepionej babuni, ale nie jestem potworem. Jeśli pozwolisz, opowiem ci wszystko po kolei, tylko nie przerywaj mi wybuchami emocji.

— To ty użyłaś słów „obłąd” i „furiat”, więc nie mów mi o emocjach.

— Cicho bądź. — Spodziewałam się niechętnego grymasu, ale Francesca uśmiechała się niemal przyjaźnie. — Postaram się unikać drastycznych określeń. Ojciec Pietra był moim synem. Moim jedynym synem. Był dzieckiem praktycznym, o dostatecznej inteligencji, ale bez cienia wyobraźni — zupełnie nie jak Morandini, chociaż pewnie się skrzywisz na tę wzmiankę o cechach dziedzicznych. W każdym razie Guido przejawiał pewien talent do interesów — inwestycji i tak dalej. Ja nigdy nie interesowałam się tymi sprawami. Dostał się na studia w Bolonii, ale chciał iść do szkoły biznesu. Wysłałam go do Stanów, do Columbii. Tam właśnie poznał swoją żonę. Nie podobało mi się to małżeństwo, przyznaję sama, bo pewnie i tak mnie o to podejrzewasz. Ale z innych, niż sądzisz, powodów. Nie lubiłam tej kobiety nie za to, że była Amerykanką, tylko dlatego, że połączyły się w niej największe amerykańskie wady: powierzchowność, pospolitość, niezdolność docenienia innego stylu życia. Mimo to sprawdziła się jako żona. Towarzyszyła Guidowi we wszystkich podróżach w interesach.

Tak więc moje wyobrażenie o frywolnych arystokratkach hulających po świecie okazało się bezpodstawne. Powinno to być dla mnie nauczka.

— Zginęli właśnie w jednej z takich podróży — ciągnęła beznamiętnie Francesca. — Może czytałaś o tym wypadku, była to jedna z największych katastrof lotniczych ostatnich czasów. Samolot spadł na szkołę w małym szwajcarskim miasteczku. Dzieci odbywały właśnie próbę widowiska gwiazdkowego.

* Pani Rochester — obłąkana żona pana Rochester, bohatera powieści Charlotty Brontë „Dziwne losy Jane Eyre”.

Pamiętałam, oczywiście. Media nie oszczędziły czytelnikom ani widzom żadnego szczegółu. Bez końca publikowano fotografie zrozpaczonych rodziców, rozgarniających kawałki poskręcane metalu, by dotrzeć do zwłok swoich dzieci. Nawet wystudiowanym chłodem Barta wstrząsnęła ta historia. Zapamiętałam urywane okrzyki grozy i przerażenia... Czy wiedział, że tym samolotem leciał jego kuzyn?

— Pietro chodził do szkoły w Ameryce. Wbrew mojemu życzeniu, oczywiście. Nie muszę chyba mówić, jak bolesne były dla mnie pierwsze tygodnie po jego przyjeździe...

— Czy twój syn wyznaczył cię w testamencie opiekunką chłopca?

— Nie istniał żaden testament. Ilu młodych, zdrowych ludzi dopuszcza do siebie myśl o śmierci?

Odpowiedź nasuwała się sama. W utkwionych we mnie oczach nie dostrzegłam żadnej zmiany, ale po raz pierwszy wyczułam jakiś fałsz. Nie, nie nazwałabym tego kłamstwem, a jednak Francesca coś przede mną ukrywała.

Nie mogłam jej prowokować. Skinęłam głową i po chwili podjęła swą opowieść.

— Natychmiast zaaplikowałam mu kurację psychiatryczną. Nie zachowywał się normalnie. Gwałtowne ataki złości, potem długie okresy urażonego milczenia. Przez jakiś czas wykazywał — drobne bo drobne — oznaki poprawy. I nagle po przeszło miesiącu wybiegł w środku nocy ze swojego pokoju. Obudziły mnie przeraźliwe, nieartykułowane krzyki i śmiech. Zanim zdążyłam wstać i zawołać służbę, wypadł z domu i wspiął się na drzewo — jeden z tych wielkich dębów przy domku odźwiernego. Kazałam mu zejść, a on na to, że zaraz sfrunie. Zamachał rękami, roześmiał się i zawołał: „Zrobię to! Umiem latać! Zaraz ci pokażę!”

Podniosła swą robótkę. Zapytałam niespokojnie:

— I jak go przekonaliście?

— Wcałaliśmy go nie przekonali. Alberto wszedł na drzewo, ale kiedy wyciągnął po niego ręce, Pietro skoczył. Spadł w zarośla i cała przygoda skończyła się na paru zadrapaniach.

Nie wiedziałam, co powiedzieć. Dzieci rzeczywiście podejmują próby samobójcze. Czasem im się udaje. Było gorzej, niż myślałam.

— Pietro chyba w ogóle nie zapamiętał tego incydentu. Parę tygodni temu nastąpił drugi atak. Drzwi jego pokoju były zamknięte — zaczęłam go zamykać po tamtej historii. *Tuttofare* spała obok. Obudziły ją krzyki, więc przyszła po mnie. Pietro zbił lustro. Wszędzie leżały odłamki, a on tłukł pięścią w pustą ramę. Na podłodze były krwawe ślady stóp. Miotał się między oknem, lustrem a drzwiami i oczywiście musiał się skaleczyć. Gdyby przeciął tętnicę albo gdyby stłukł lustro ręką, a nie książką, mógł się wykrwawić na śmierć, zanim ktokolwiek by przyszedł.

Teraz może rozumiesz, dlaczego go zamykam, kiedy nikogo nie ma w pobliżu, i dlaczego jest tak rygorystycznie pilnowany. Trzy razy w tygodniu wozimy go do Florencji na wizytę u lekarza, poza tym bierze proszki. — Urwała, by zakończyć szew — delikatnie i precyzyjnie. Potem dodała: — Mogę ci chyba powiedzieć, że lekarstwo podaje mu się w jedzeniu, bez jego wiedzy. Urządzał takie awantury, że uznaliśmy to za konieczność. Jestem pewna, Kathleen, że nie podobają ci się moje metody, ale może okażesz mi choć tyle grzeczności, by nie kwestionować moich motywów.

2

Trzeba było ogromnej dawki Marka Twaina, by uśpić mnie tej nocy, ale przynajmniej raz rozmyślałam o cudzych, a nie własnych problemach. Może dlatego spałam potem jak kamień,

bez żadnych snów. Do rana jeszcze raz utwierdziłam się w mym idiotycznym optymizmie. Niech to szlag, przecież nie mogę tak po prostu zgodzić się z diagnozą Franceski, choćby się pod nią podpisał każdy konował Europy i Ameryki. To dziecko do śmierci rodziców nie wykazywało żadnego symptomu choroby umysłowej. Francesca na pewno by o tym wspomniała, choćby dla poparcia swej teorii. Równowaga emocjonalna Pete'a została poważnie naruszona — co do tego nie miałam wątpliwości. Ale dziedziczne obciążenie? Byłam dziwnie pewna, że lekarz chłopca nie podziela tego średniowiecznego przesądu. Przynajmniej miałam taką nadzieję.

Podczas rozmowy wyjaśniła się jeszcze jedna sprawa, nad którą się zastanawiałam. Pietro był ostatnim z rodu Morandinich, jeśli nie liczyć embrionu, który rzekomo nosiłam. Nic dziwnego, że Francesca tolerowała zarówno moją obecność, jak krytyczne nastawienie. Nie uważała mnie tylko za daleką powinowatą — dla niej byłam matką dziedzica Morandinich, którego od tytułu dzielił tylko „szaleniec”.

Myślałam akurat zęby w łazience, gdy przyszło mi to na myśl, i na widok swojej miny w lustrze nie mogłam powstrzymać uśmiechu.

— Rozchmurz się, kretynko — powiedziałam do mojego odbicia. — Ze wszystkich kłopotów, w jakie zdarzyło ci się wpadać — a było tego sporo — ten znajduje się prawie na czele listy.

Nie mogłam jednak długo wytrwać w uśmiechu, sytuacja była zbyt poważna. Miałam paskudne podejrzenie, że wiem, do czego zmierza Francesca. A co dziwniejsze, po wczorajszej rozmowie poczułam do niej coś w rodzaju niechętnego szacunku. Szczerze uwierzyłam w jej najlepsze chęci. Wprawdzie na dłuższą metę okazały się niewystarczające, ale to nie zbrodnia, tylko słabość. Miała tych słabości więcej — wynikały wcale nie z charakteru, ale z uprzedzeń i niewiedzy. Była inteligentna, lecz pozbawiona wrażliwości, subtelna, chociaż nieskomplikowana. Kiedy raz się rozpoznało podstawowe zasady rządzące jej zachowaniem, można było zrozumieć i nawet przewidzieć następny ruch. Byłam tak pewna jej zamiarów, jakby mi je sama wyłożyła.

Chciała, żebym tu została. Chciała, aby dziedzic Morandinich urodził się w rodzinnej rezydencji, pod jej macierzyńskim okiem. Gdyby ów dziedzic okazał się dziewczynką albo „szaleńcem”, mogłam razem z nim iść do diabła czy gdziekolwiek indziej. Gdyby jednak spełniał nadzieje, wówczas rozpoczęłaby następną fazę swej kampanii. Oczywiście kampania polegałaby raczej na propozycjach i sugestiach niż żądaniach. Francesca zdążyła się już przekonać, że nie dam się tak łatwo zastraszyć, a sam pomysł fizycznego przymusu to w dzisiejszych czasach czysty absurd. Nie, ona rozegrałaby to subtelniej: wejdź do środowiska arystokracji, ciesz się łatwym życiem bez potrzeby zarabiania, ze służbą gotową na każde twe skinienie. Teraz zdobyła jeszcze jeden środek nacisku: chłopiec. Gdybym została, mogłabym mu pomóc.

Twarz w lustrze miała wyraz zdecydowanie ponury. Jakby przeczuwała, co zamierzam zrobić.

Pytanie brzmiało, czy ten numer przejdzie. Przyjrzałam się sobie krytycznie. Jeśli istnieje coś takiego jak blask przyszłego macierzyństwa, to go nie dostrzegłam. Moje włosy były w strasznym stanie. Kiedy poznałam Barta, sięgały mi prawie do pasa i to mu się podobało. Owijał je sobie wokół rąk, rozrzucał na swojej piersi... Następnego dnia po wypadku wzięłam nożyczki i ostrzygłam się na krótko. Teraz włosy mi odrastały — były za krótkie, by móc je związać lub zapleść, a za długie na jakąś ondulację. Twarz mi się wypełniła — to zasługa Rosy, naprawdę wspaniała z niej kucharka. Problem dotyczył jednak nie twarzy czy włosów, tylko figury. Bart nie żył od trzech miesięcy, więc moja ciąża musiałaby trwać co najmniej tyle samo. W ciągu kilku tygodni powinno być po mnie widać coś więcej niż tylko dodatkowe kalorie czy zimowy brak ruchu.

Miałam miesiąc, góra sześć tygodni. A więc — zapytało trwożnie moje oblicze — zostajesz? Jako ta święta Jerzyna na białej myszy zamierzasz pokonać smoka i uratować nieszczęśliwe

dziecko? Doktor Baldwin miał rację: trzeba ci intensywnej psychoterapii. Albo izolatki w szpitalu dla wariatów.

Gdyby hrabina odkryła, że nie jestem w ciąży, wyleciałabym z willi Morandinich w try miga i jeszcze usłyszałabym parę ciepłych słów na pożegnanie. Zaraz, przecież powiedziałam Pete'owi... Czy powtórzył babce? Wątpię, czy z kimkolwiek rozmawiałby na ten temat. Raz go już ostrzeżono, że to nie jest sprawa dla dzieci. Jeśli jednak powiedział... no to zabawa skończona. Mogę pakować manatki i spływać. Ale nie posunę się do tego, by prosić go o trzymanie języka za zębami.

Che sera, sera. Wzruszyłam ramionami prawie tak wymownie jak Emilia i odwróciłam się od lustra.

Francesca powiedziała przy śniadaniu coś, co utwierdziło mnie w złych przeczeniach. Gawędziłyśmy sobie niezobowiązująco, a Emilia nas obsługiwała. Dopiero gdy kończyłyśmy kawę, Francesca rzuciła mimochodem:

— Pietro ma dziś wizytę u lekarza. Chciałabyś z nami pojechać? — po czym dodała ze słabym, lecz cynicznym uśmiechem: — Załatwię, żeby porozmawiał z tobą w cztery oczy.

— Dziękuję — odrzekłam, starając się uśmiechnąć tak samo. — Będę bardzo wdzięczna.

Coraz głębiej i głębiej, myślałam. Wszystko, co robię, wciąga mnie coraz głębiej, wszystko, co ona robi, popycha mnie naprzód. Już miałam wyjść z pokoju, gdy zadała następny sztych:

— Idę teraz przepytac Pietra z lekcji. Jeśli się dobrze czuje, o jedenastej ma czas na ćwiczenia fizyczne. Wiesz, gdzie, prawda?

* * *

Udałam się na poszukiwanie Dawida. Nie próbowałam pójść drogą, którą prowadziła mnie Emilia. Zamiast tego obeszałam dom i odnalazłam tylne schody. Dawid tkwił po uszy w robocie. Jeszcze zanim otworzyłam drzwi, usłyszałam, jak uprzejmie przemawia do siebie samego. Kiedy mnie zobaczył, gładko przeszedł w deklamację — musiał to być jakiś cytat, normalni ludzie nie mówią w ten sposób:

— „Dama, ta w kwiecie najpierwszej młodości / Mądrze stroniła od szerokiej drogi i zieleni...” Chociaż nie wiem, czy to naprawdę takie mądre. Czemu nie dokazujesz na zielonej murawie w ten piękny poranek?

— Przyszłam cię prosić, abys ze mną... z nami zagrał w futbol. Dziś o jedenastej.

— Ach, tak? Widzę, że znalazłaś sobie mężczyznę. Czekam z niecierpliwością na spotkanie z *il conte*.

— To słodki dzieciak. Samotny. Niedawno stracił rodziców w katastrofie lotniczej.

— Wiem.

— Jeszcze wczoraj mówiłaś, że nigdy o nim nie słyszałaś.

— Dobry Boże, co za podejrzliwa dziewczyna! Po naszej rozmowie wziąłem na spytki Rosę.

— Och. Przepraszam.

— To mi się należy. Każdy, kto ma taką twarz jak twoja, powinien być otwarty, szczerzy i idiotycznie ufny. Czemu jesteś taka... — Urwał i spoważniał. — Teraz ja przepraszam. Że też zawsze muszę pchać się komuś z kaloszami do duszy...

— Nie szkodzi. Co to za paskudztwa?

Stół tonął w różnej wielkości skrawkach ciemnobrązowego i czarnego materiału.

— Paskudztwa? Paskudztwa? To są, moja Bogu ducha winna ignorantko, koptyjskie i wczesnoarabskie hafty. Może niewarte swej wagi w złocie, ale na pewno warte okrągłej sumki w

srebrze. Część egipskich łupów hrabiego. Te skrawki nie cieszyły się popularnością za jego czasów, ale pan hrabia wyraźnie miał oko do osobliwości.

— Wyglądają ohydnie.

— Dla mnie są piękne niczym wschód słońca nad Duomo. — Wybrał jeden ze skrawków. — Najlepsze jest to, że hrabia wykazał się zdrowym rozsądkiem i nie kazał ich wyprać. Poczekaj, aż się z nimi uporam.

Usiadłam na moim starym miejscu.

— Co chcesz z nimi zrobić?

— Uprać, oczywiście, ale nie zwykłym mydłem i bez tarcia szczotką. Będę musiał wybrać się do miasta po kilka środków chemicznych i destylowaną wodę. Chcesz pojechać ze mną?

— Coś ty powiedział?

— Może masz po dziurki w nosie widoków Florencji. — Nie patrzył na mnie, tylko nadal przyglądał się z podziwem brudnej szmatce. — Bo jeśli nie, to... no cóż, jestem całkiem niezłym przewodnikiem. Wiem to i owo o wielu rzeczach.

— Chciałabym, ale dziś nie mogę.

— Nie ma sprawy, zaczekam do jutra.

— To dobrze. Czy zamierzasz iść pieszo?

— Nie, na miły Bóg. Jako dodatkową atrakcję proponuję ci przejażdżkę moim jednośladowym BMW, lekko przechodzonym, ale w świetnym stanie.

Pomyślałam o krętej, wyboistej drodze i beztrójce włoskich kierowców. W zasadzie wyleczyłam się już z samochodowej fobii, ale...

— Mam wynajęty samochód — powiedziałam stanowczo. — Pozwolę ci nawet prowadzić.

— W porządku, jak sobie życzysz.

— Więc do zobaczenia o jedenastej. — Wytłumaczyłam mu, gdzie jest ten ogród, i dodałam z wahaniem: — Ale nie ugrzęźniesz w tej parszywej kolekcji i nie nawalisz?

— Pani, dotknęłaś mnie do żywego. Stawię się na czas.

* * *

W gruncie rzeczy przyszedł jeszcze przede mną. Siedziałam w swoim pokoju i pisałam list do rodziców. Przy najbliższym pobycie we Florencji muszę wycofać chaotyczną kartkę, którą zostawiłam u Angela. Nie pamiętałam dokładnie, co tam powypisywałam, za to doskonale pamiętałam ówczesny stan swego umysłu.

List zajął mi więcej czasu, niż się spodziewałam. Było tyle spraw, o których nie mogłam wspominać, na przykład mój „stan” i wiele innych, wymagających ostrożności — na przykład choroba Pete’a. Musiałam przedstawić Francescę jako nieszkodliwą, samotną panią, która przyjęła mnie z otwartymi ramionami, lejąc łzy wzruszenia. Rodzice powinni uwierzyć, że jestem szczęśliwa, zadowolona i przy zdrowych zmysłach. Trzy razy zaczynałam, zanim udało mi się wysmażyć coś przynajmniej częściowo odpowiedniego. Złożyłam delikatny papier listowy o złożonych brzegach i umieściłam go w równie wytwornej kopercie z herbem Morandinich. Papeteria pojawiła się jak diabeł z pudełka w jednej z szuflad sekretarzyka — ot, jeszcze jedna drobna uprzejmość. Francescę najwyraźniej zależało, bym przywykła do tego rodzaju gestów.

Kiedy dotarłam do ogrodu, zastałam tam obu panów na marmurowej ławce. Pete machał nogami i buzia mu się nie zamykała, Dawid, pochylony do przodu, z rękami na kolanach, słuchał uważnie, od czasu do czasu potakując. Na mój widok Pete podskoczył:

— Gazu do podania! — wrzasnął.

Musiałam pobiec naprzód i złapać.

— Nieźle — ocenił Dawid.

— Ma dobre ręce — dodał Pete. — Teraz do mnie, signora.

— Poczekaj chwilę, musimy trzymać się reguł — orzekł Dawid. — Chłopaki przeciwko dziewczynom? — zaproponował złośliwie.

— Chytrus z ciebie! — powiedziałam.

Pete zachichotał.

— Chytrus, chytrus! Pewnie, że chytrus. Jak może być dwóch na jedną?

Dawid wytłumaczył mu z kamienną twarzą:

— Normalnie. Ona rzuca piłkę, potem biegnie ją złapać, a my próbujemy przeszkadzać.

Pete pękł. Śmiał się tak, że aż musiał usiąść. Dawid dał mu sójkę w bok.

— Nie śmieć się, może ją jakoś zmanipulujemy.

Po kilku dalszych wygłupach na poziomie podstawówki ustaliliśmy, że Pete zagra w ataku przeciwko nam obojgu. Oczywiście miał być quarterbackiem. A także runningbackiem i wszystkimi frontowymi linesmanami. Raz popełnił błąd i próbował uciec z piłką, a wtedy Dawid przyblokował go z takim impetem, że aż krzyknęłam, ale Pete był w siódmym niebie. Przerwaliśmy grę dopiero, kiedyśmy się wszyscy porządnie zziązali. Głównym zwycięzcą został Pete — zdobył pięćdziesiąt cztery punkty (bez dwóch punktów dodatkowych), a przeciwnicy — czternaście.

Po ostatniej rozgrywce Dawid położył się na boisku ze wzrokiem utkwionym w niebo. Pete siadł mu na brzuchu.

— Nic ci nie jest? Nie zrobiłem ci krzywdy?

— Lepiej by mi się oddychało, gdybyś zlał z mojej przepony — odparł Dawid, zrzucając go nagłym ruchem na trawę.

Chłopiec usiadł przy nim po turecku. Dyskutowaliśmy o kilku ostatnich punktach meczu i Dawid obiecał dać mu parę wskazówek co do kopania. Pete przyznał szlachetnie, że kopanie nie jest jego najmocniejszą stroną. W końcu Dawid powiedział:

— Lepiej wróć do roboty. Dzięki za trening, to o wiele przyjemniejsze od joggingu.

— Zagramy jutro? — spytał Pete z nadzieją w głosie.

— Jasne. To samo miejsce, ta sama pora.

Odszedł spokojnym krokiem, nie oglądając się.

— Chyba powinnam się przebrać przed obiadem. Ty też, chłopie.

— „Chłopie”, to ładne.

Minę miał jednak nietęgą i wiedziałam, że myśli o wizycie u lekarza. Miałam nadzieję, że napomknie o tym, ale nie zrobił tego, więc wzięłam głęboki oddech i przygotowałam się na znacznie cięższą blokadę niż ta, z którą spotkałam się dopiero co na boisku.

— Pete, mam do ciebie prośbę.

— Oczywiście, signora.

Wyraźnie się ucieszył, że może coś dla mnie zrobić. Z największą niechęcią powiedziałam mu, o co chodzi:

— Czy mogę pojechać z wami do Florencji? Jakby ktoś zaciągnął zasłonę na jego twarz.

— Czy ona powiedziała, że powinna pani?

— Tak. Widzisz... — Chciałam go dotknąć, ale był tak daleko, że niemal na drugiej planecie.

— Widzisz, po śmierci Barta zachorowałam. Kilka miesięcy spędziłam w szpitalu i musiałam codziennie widywać się z lekarzem... psychiatrą. Potem wyjechałam i straciłam z nim kontakt, więc pomyślałam, że... jeśli nie masz nic przeciwko temu...

— Byłaś chora? Na... — popukał się w czoło.

Nie nauczył się tego gestu od Franceski. Może od *tuttofare* czy Emilii albo kucharki.

— Owszem. Na głowę. Ludzie chorują na głowę tak samo jak na żołądek czy nogi.

— Ale im się poprawia — odparł Pete z wolna. Podniósł patyk i zaczął wiercić dziury w ziemi.

— Och, oczywiście, że tak. Czasem ma się wrażenie, że trwa to bardzo długo. Ja jestem już zdrowsza, ale pomyślałam sobie, że skoro ty jedziesz do lekarza, to mogłabym się zabrać przy okazji. Po prostu, żeby się upewnić... rozumiesz...

Kiwnął głową. Byłam zadowolona, że rozumie. Sama nie wiedziałam, o czym, u diabła, mówię, ale musiałam podać mu jakiś powód, dla którego miałam się spotkać z lekarzem na osobności. Nie chciałam, by pomyślał, że spiskuję za jego plecami, że należę do zmywy dorosłych. Aż za dobrze wiedziałam, jak to smakuje.

Dalej wiercił dziury — ładne, równe otworki tworzące symetryczny wzór.

— Jeśli sobie nie życzysz, Pete, to nie pojedę.

— Chcę, żeby pani pojechała.

— Dziękuję.

Mówił dalej, nie zważając na moją odpowiedź.

— Chcę, żeby pani się polepszyło.

Oddech uwiązł mi w gardle. Z trudem zdobyłam się na lekki ton:

— No to lepiej się już zbierajmy. Zgłodniałam po tej grze. Mogłabym zjeść konia z kopytami.

— Nie, to niemożliwe! Prawda? Wyciągnęłam rękę.

— Tak osłabłam, że musisz pomóc mi wstać.

Zrobił to, puszając się jak paw. Teraz miałam pretekst, by go trzymać za rękę po drodze do furtki. Francesca nie była jedyną osobą, która wpychała mnie głębiej w tę sytuację. Już teraz czułam skurcz w sercu na myśl o pożegnaniu z Pete'em. I co za ironia losu, że jedynym człowiekiem w tym domu, który znał prawdę o mnie, był dziesięcioletni chłopiec!

3

Było za ciepło na wełniany kostium, więc włożyłam bawełnianą bluzkę i spódnicę. Przy Francesce, chłodnej i smukłej w bladozielonym lnieniu, wyglądałam jak *tuttofare*.

Pod koniec obiadu Emilia przyprowadziła Pete'a, traktując go jak paczkę, która ma być nadana na poczcie. Zupełnie nie przypominał dziecka, które dopiero co wśród żartów i śmiechów tarzało się po trawie. Niechęć i uraza nałożyły się na jego rysy niczym cienka warstewka lodu.

Zeszliśmy do samochodu i Alberto wyskoczył, by otworzyć nam drzwiczki. Płaszczył się teraz przede mną niemal tak samo jak przed Francescą. Ten jej styl życia naprawdę miał w sobie jakiś podstępny urok. Tak łatwo popaść w zwyczaj traktowania ludzi jak przedmioty, zwłaszcza gdy się ich nie lubi. Zauważyłam, że Pete przy wsiadaniu do samochodu trzymał się jak najdalej od Alberta. Wyglądało to bardziej na odrzucenie niż strach, ale zdenerwowało mnie i sprowokowało do kolejnej impertynencji. Kiedy Pete, sztywny i milczący jak kukielka, kulił się między mną a Francescą, zapytałam:

— Czy Alberto ma jakieś szczególne zalety, których dotąd nie zauważyłam? Jestem zaskoczona, że masz wśród personelu tak antypatycznego człowieka.

Pete rzucił mi spłoszone spojrzenie. Francescą uśmiechnęła się, jakby słowne potyczki ze mną sprawiały jej przyjemność. No i dobrze, pomyślałam. Postaram się, żeby nie zabrakło jej okazji.

— Owszem, ma kilka godnych podziwu cech. Po pierwsze — lojalność. Po drugie — ślepe posłuszeństwo. To dla mnie znacznie ważniejsze od przystojnej twarzy i gładkich manier. Zresztą nie siedzę z nim przy stole.

— Dałby się posiekać za Morandinich? — spytałam z pewną ironią.

— Tak — brzmiała zdecydowana odpowiedź.

— Jakie to średniowieczne!

— Z pewnością. Rozumiem, że kiedy tu przyjechałaś, potraktował cię trochę szorstko. To się nie powtórzy. Oczywiście, jeśli masz jakieś zastrzeżenia, powinnaś mi powiedzieć.

Zastanawiałam się, czy jest coś, o czym ona nie wie. No tak, jest kilka takich rzeczy. Pete wpatrywał się we mnie z niemym podziwem. Puściłam do niego oko.

Francesca rozmawiała ze mną i od czasu do czasu kierowała jakieś zdanie do Pete'a. Ja zwracałam się i do niej, i do niego. Pete czasem odzywał się do mnie, ale ani razu do Franceski. Nie potrafiłam sobie wyobrazić, jak wyglądają te przejażdżki, kiedy są sami. Pete boi się ich pewnie tak samo jak lekarza.

Gabinet doktora Manettiego znajdował się w dawnym renesansowym pałacu, ale urządzony był tak samo nowocześnie jak te, które widywałam w Stanach. Podobnie jak jego koledzy w świecie, pan doktor żył na wysokiej stopie. W poczekalni stały bujne rośliny i podrabiane (może zresztą prawdziwe, skąd mogłam wiedzieć?) antyki. Poza nami nie było tam nikogo. Z gabinetu wyszła pielęgniarka i wprowadziła Pete'a do środka. Poprzedni pacjent wyszedł zapewne tylnymi drzwiami, podobnie jak u doktora Baldwina.

Pete, wchodząc, lekko rozprostował ramiona, co wydało mi się niezwykle wzruszające. Nie obejrzał się na mnie.

Czekałyśmy przepisowych pięćdziesiąt minut. Francesca przeglądała magazyny ze stolika, komentując czasem jakiś artykuł lub zdjęcie. Dopiero pod koniec godziny powiedziała:

— Zaczekam na Pietra po drugiej stronie. Wyjaśniłam doktorowi Manettiemu, dlaczego przyjechałaś. Nie śpiesz się i wypytaj go o wszystko, co chcesz wiedzieć. Został poinstruowany, że ma odpowiedzieć na każde pytanie.

Idealnie dobrała czas. Ledwie wypowiedziała ostatnie słowa, gdy pojawiła się pielęgniarka.

— Signora?

Francesca odłożyła magazyn, wygładziła rękawiczki i wyszła.

Domyśliłam się, że doktor Manetti mówi po angielsku, inaczej moja wizyta nie miałaby sensu. Powitał mnie mało powiedzieć płynnie, słowa łąły się wprost potokiem z jego ust, z lekkim tylko obcym akcentem.

— Miło mi panią poznać, pani Morandini. Zechce pani przyjąć moje kondolencje? Nie miałem przyjemności znać pani męża, ale hrabina często o nim wspominała.

Był znacznie młodszy, niż się spodziewałam, i niezupełnie przypominał stereotypowego psychiatrę — przynajmniej nie takiego z filmów w telewizji. Nosił luźne spodnie i białą koszulę z odpiętym kołnierzykiem oraz emblematem na kieszonce. Opinała jego muskularne ciało jak druga skóra. Twarz, szyję i ramiona miał opalone na złocisty brąz, włosy ciemniejsze o kilka odcieni. Był prawie tak przystojny jak Bart.

Przytrzymał mi krzesło, a sam, zamiast wycofać się za bezpieczną barierę biurka, usiadł na kanapce w dość swobodnej pozie.

— To bardzo pocziwie, że zainteresowała się pani tym chłopcem. Czy dobrze zrozumiałem, że pracowała pani z dziećmi z zaburzeniami emocjonalnymi?

Przyznałam, że mam niewielkie doświadczenie, i wspomniałam o obsesji Franceski na punkcie dziedzicznej choroby umysłowej. Manetti roześmiał się dobrodusznie.

— To niezwykła kobieta. Pod wieloma względami bardzo nowoczesna, a jednak nie wyzbyła się do reszty starych przesądów.

Nim upłynęła godzina, byliśmy z sobą na „ty”. Bardzo łatwo mi się z nim rozmawiało — traktował mnie z pewną przypochebną atencją, szybko godził się z moimi stwierdzeniami, a potem dyskretnie i z ujmującą rezerwą „redefiniował” je, jak to określał. Zmierzając w stronę drzwi, zorientowałam się, że poświęcił mi standardowych pięćdziesiąt minut. Niewątpliwie Francesca za nie zapłaciła i nie mogę powiedzieć, by sprawiło mi to przykrość.

Zaczął otwierać mi drzwi, ale nagle znieruchomiał i powiedział już bez tamtej profesjonalnej gładkości:

— Tak się zastanawiam... Czy zechciałabyś... Czy wyświadczyłabyś mi ten zaszczyt i wybrała się ze mną któregoś wieczoru na kolację? Jestem bardzo dumny z mego rodzinnego miasta i chętnie pokazuję je gościom zza granicy.

Zaskoczył mnie tą propozycją, ale nie wzbudził niechęci. Odpowiedziałam, że będę zachwycona. On na to, że jestem bardzo uprzejma. Ja — że to miło z jego strony. Powiedział, że zatelefonuje. Postanowiłam nie wspominać Francesce o tym zaproszeniu, bo pewnie i tak wcale nie zadzwoni.

Kiedy wyszliśmy na ulicę, nigdzie nie było widać samochodu. Francesca wyglądała na zdenerwowaną.

— Kazałam Albertowi podjechać o czwartej.

— Pewnie utknął w korku — próbowałam ją pocieszyć. — Tu jest kawiarenka, może wstąpimy na lody? Chyba zasłużyliśmy, prawda, Pete... Pietro?

Francesca miała taką minę, jakbym zaproponowała jej półmisek marynowanych myszy, i nie zmieniła jej nawet, kiedyśmy usiedli przy rachitycznym stoliku pod splewiąta markizą. Muszę przyznać, że specjalnie ją wrobiłam, żeby przekonać się, jak daleko mogę się posunąć, ale dzielnie próbowała sprostać sytuacji. Nawet zamówiła kawę, chociaż jej nie wypiła.

Za to Pete i ja wzięliśmy największe z całego menu lody z kremem i owocami. Nazywały się jakoś inaczej niż u nas, zapomniałam jak. Wybraliśmy je z karty wywieszanej obok drzwi wraz z kolorową fotografią. Miały trochę dziwnie dobrane smaki jak na amerykański gust — odrobina czarnej porzeczki, odrobina kokosa i jakiś likier. Nie skończyłam swojej porcji, ale Pete łaskawie zgodził się mnie wyręczyć. Pozwolił też wielkodusznie wytrzeć sobie brodę serwetką umoczoną w szklance z wodą, o którą poprosiłam. Francesca wstrząsnęła się, ale nic nie powiedziała.

Nie licząc jednego czujnego spojrzenia w stronę babki, Pete zachowywał się w kawiarni jak normalne dziecko. Ale gdy tylko wsiedliśmy do samochodu, znowu popadł w milczenie. Alberto próbował bełkotliwie usprawiedliwić się ze spóźnienia, ale Francesca uciszyła go gestem.

W drodze do domu to ja mówiłam najwięcej. Francesca odpowiadała grzecznie na moje pytania o mijane miejsca, ale sama nie udzielała żadnych informacji. Dopiero kiedy skręciliśmy w wąską, prowadzącą pod górę drogę i powiedziałam coś na temat pustkowie, wyjaśniła:

— To należy do posiadłości. Od zakrętu do wzgórza i jeszcze dalej.

— Wszystko? Przecież to setki akrów!

— Póki co nie zmuszono nas jeszcze do rezygnacji z naszej własności. Wiele innych rodzin posprzedawało ziemię, teraz są tam tanie domki i sklepy. Być może pewnego dnia i tutaj tak będzie, ale mam nadzieję, że tego nie dożyję.

Przynajmniej raz usłyszałam w jej głosie prawdziwą emocję. Bardziej zależało jej na ziemi niż na ludziach.

Sebastiano — czyli doktor Manetti — jednak zadzwonił, i to następnego ranka, jeszcze przed dziewiątą. Przeprosił, że tak wcześnie. Był w tym ślad pochlebstwa — że niby zbudził się o świcie, drżąc z pożądania, i z trudem się zmusił, by poczekać do przyzwoitej godziny. Przyjęłam zaproszenie na następny wieczór.

— Ale nie mam żadnej wieczorowej sukni — ostrzegłam go. Roześmiał się perliście.

— Już czas, Kathleen, żebyś się dowiedziała czegoś o współczesnych Włoszech. Wkładam wieczorowy strój tylko na jakieś nudne kolacje w gronie kolegów po fachu.

Powiedziałam, że cieszę się na spotkanie, i rzeczywiście się cieszyłam. Moje życie towarzyskie z pewnością ostatnio się rozwinęło: najpierw futbol i gmeranie w starych szmatach z Dawidem, potem kolacja z lekarzem od czubków.

Francesca oczywiście zainteresowała się, kto dzwonił, tym bardziej że telefon zastał nas przy śniadaniu, ale była zbyt dobrze wychowana, by zapytać wprost. Zamiast tego rzuciła chytrą uwagę:

— Byłoby miło, Kathleen, gdybyś uprzedzała Emilię, jeśli planujesz posiłek poza domem. Nie prosiłabym cię o to, ale przy tych brakach w personelu...

— Rozumiem. Będę o tym pamiętać.

— Doktor Manetti mówił mi, że masz dobry wpływ na Pietra. Musiał zatelefonować zaraz po naszym powrocie. Uśmiechnęłam się skromnie.

— Podoba mu się, że spędzasz z nim czas i grasz w różne gry — ciągnęła Francesca. — Mówił też, że ostrzegł cię co do pewnych spraw...

— Będę ostrożna, Francesco. Nie jestem taka głupia, na jaką wyglądam, naprawdę.

— Nigdy nie uważałam cię za głupią.

* * *

Po śniadaniu powędrowałam na strych przypomnieć Dawidowi, że o jedenastej czekają nas kolejne rozgrywki. Przynajmniej taki był jeden z powodów. Nie miałam nic specjalnego do roboty. Haftowanie mnie znudziło, większość zakupionych książek już przeczytałam, a wyprawy odkrywcze w głąb zapuszczonych ogrodów pociągały mnie tylko do pewnych granic, więc postanowiłam wprosić się na asystentkę.

Patrzył na mnie z powątpiewaniem, skrobiąc się w podbródek. Ogolił się wprawdzie tego ranka, ale i tak był zakurzony.

— Jeśli robisz to w nadziei na wykopanie pudełka rubinów czy brylantów, to lepiej daj sobie spokój. W tym wyraźnym szaleństwie jest pewna metoda i nalegam na przestrzeganie odpowiednich procedur.

— Będę posłuszna co do joty.

— W porządku. Szukam pewnych listów. Znalazłem pudło różnych papierów, które trzeba posortować. Są tam wycinki z gazet, wzory damskich czepków, rachunki i tak dalej. Chcę, żebyś to uporządkowała — po pierwsze według kategorii, po drugie według dat. Gdybyś nie wiedziała, co zrobić z jakimś papierkiem, odkładaj go do tego właśnie pudła.

Kiedy skończyłam, pudło było przepełnione po brzegi. Przeprosiłam za mój brak wprawy, ale Dawid oznajmił, że mam do tego dryg, w co mocno wątpiłam. Potem poszliśmy odszukać Pete'a. Malec spóźnił się trochę tego ranka — jak się domyślałam z powodu nieprzyjemnego

posiedzenia nad historią Włoch — ale rozjaśnił się, gdy zobaczył, że czekamy, i dał nam niezły wycisk. W południe Dawid ogłosił koniec meczu.

— Muszę jechać do Florencji po materiały, o których ci mówiłem — tłumaczył jak mężczyzna mężczyźnie. — Zobaczymy się jutro?

— Nie mogę — odparł Pete, zerkając na mnie z ukosa.

Domyśliłam się, że zmieniono mu termin wizyty i że jutro ma się spotkać z lekarzem.

— No to pojutrze — rzekł Dawid. — To jest sobota. Chyba nie masz lekcji w sobotę? Zaczniemy z samego rana i potrenujemy do woli.

— W po-rządku.

Kiedy Pete odszedł, Dawid zwrócił się do mnie:

— Zamierzam cię uhonorować zmianą ubrania. Spotkamy się za piętnaście minut.

— Ale ja myślałam...

— Zapomniałaś, tak? Czy się rozmyśliłaś?

— Ani jedno, ani drugie. Myślałam, że ty zapomniałeś.

— Chciałem wyruszyć wcześniej, ale żal mi było rozczarować dzieciaka. Mniejsza z tym; zjemy obiad we Florencji, a potem pójdziemy na zakupy. Znam fantastyczną trattorię. Tanią!

— W po — rządku. Ciekawe, gdzie Alberto trzyma mój samochód? Dałam mu kluczyki.

— Auto stoi w garażu. Wyciągnę kluczyki od Alberta i podjadę od frontu, jak porządny szofer. Chyba że nie chcesz się spoufalać z wynajętą siłą roboczą.

— Głupi jesteś. Za dwadzieścia minut.

W holu spotkałam Emilię i z przyjemnością poinformowałam ją, że nie będę na obiedzie. Zbyłam ją krótko; gdybym zachowała się tak wobec matki, ojciec dałby mi szkołę! Emilia mruknęła tylko potulnie: „Dziękuję”.

Przygotowania zajęły mi więcej niż dwadzieścia minut. Dawid czekał. Kiedy się pojawiłam, zsalutował, ale minę miał kwaśną.

— Co się stało? — spytałam.

— Nic. Zawsze tak wyglądam po pogawędce z Albertem.

— Co ci powiedział?

— Mniejsza o to.

— Coś o mnie?

— Nie chodzi o to, co powiedział, ale jak.

— Och. Rozumiem, że dałeś mu fangę w nos za obrazę damy?

— Żartujesz? Taki kurczak jak ja? Może jest ode mnie starszy o dwadzieścia lat, ale także waży o dwadzieścia kilo więcej. No i ma łapska długie niczym goryl. Prawdopodobnie za czasów *il duce* prowadził musztrę.

— Myślisz, że jest taki stary?

— Nie wiem i nic mnie to nie obchodzi. Nie mówmy już o nim.

Spędziłam tak miły dzień, że nawet nie zdawałam sobie sprawy, jak dobrze się bawię. Dawid znał we Florencji różne boczne uliczki, podobnie jak ja znałam zaułki Wayfordu w stanie Massachusetts. Sądząc z pozdrowień, jakie rzucał na prawo i lewo, znał też połowę mieszkańców — żebraków, zamiataczy ulic, kelnerów, przewodników... Kiedy to skomentowałam, odrzekł z powagą:

— Jestem przysięgłym członkiem bractwa biedaków. To międzynarodowe stowarzyszenie ludzi, którzy wiedzą, co to głód — prawdziwy głód, nie tylko słabe burczenie w brzuchu. Zawsze mogę liczyć na pomoc któregoś z konfratrów. Wspaniałomyślność to zaleta spotykana wyłącznie wśród biedaków. Bogaci rozrzucają pieniądze w lud, kiedy potrzebują ulgi podatkowej, a potem

wygłaszają pobożne uwagi na temat swojej wyższości nad leniwymi cwaniakami, którzy korzystają z ich miłosierdzia.

Było to jedno z jego najdłuższych przemówień na temat inny niż Margaret Fuller.

— Podejrzewam, że jesteś radykalnym socjalistą — zauważyłam.

— Absolutnie.

— Powinieneś poznać mojego ojca.

Zjedliśmy obiad w jego ulubionej trattorii, gdzie kelner powitał go jak starego, dawno nie widzianego kumpla. Obejrzelśmy kilka standardowych turystycznych widoków, i kilka bynajmniej niestandardowych. Przy Akademii urządził mi wykład na temat florenckiej rzeźby, a kiedy przystanęliśmy przed słynnym „Dawidem”, rozciągnął muskuły i spytał, czy dostrzegam podobieństwo. Wcale nie szarżował, mówiąc, że zna się trochę na wielu rzeczach, a jego entuzjazm okazał się zaraźliwy. Dopiero późnym popołudniem zaczęliśmy załatwiać sprawunki. W tym celu udaliśmy się do małego, mrocznego sklepiku w bocznej uliczce, skąd po długiej dyskusji Dawid wyniósł i załadował do samochodu całe naręcza butelek i pakunków.

— Z nieba mi spadłaś z tym samochodem. Pewnie mimo wszystko upchnąłbym to na motorower, ale mój bagażnik...

— Masz zapewnioną dostawę, kiedy tylko zechcesz.

— Dzięki, może skorzystam. To wprawdzie nie mój interes, ale czy mimo skromnej aparycji jesteś bogatą dziedziczką? To znaczy... gdybyś odstawiła samochód, mogłabyś oszczędzić trochę forsy, a ja chętnie bym cię podrzucił, ilekroć zechcesz uniknąć usług Alberta.

Była to przemyślana i wspaniałomyślna oferta. Po co miałabym zatrzymywać samochód, już mnie kosztował małą fortunę, a właściwie go nie potrzebowałam. Cóż... nie wiem dlaczego, ale wciąż czułam panikę na myśl, że mogłabym się wyzbyć środka ucieczki... Ucieczki? Powiedzmy raczej, lokomocji, niezależności.

— Zastanowię się nad tym — odpowiedziałam.

Wyraźnie mi ulżyło, że nie próbował drać z owego tematu.

Powiedziałam, że muszę coś zabrać z hotelu, więc gdy skończyliśmy z chemikiem, pojechaliśmy do Grande Albergo. W recepcji nie było nikogo. Dopiero kiedy zaczęłam walić pięścią w biurko i wołać, z pomieszczenia na zapleczu przyczłapała sprzątaczką i poinformowała mnie, że Angela nie ma. Zdążyłam to już przedtem wydedukować. Dzięki Dawida znakomitej znajomości włoskiego dowiedzieliśmy się, że Angelo przebywa w sąsiednim barze kawowym, więc poszliśmy go szukać.

Pił sobie w najlepszą kawę, jakby mu za to płacono. Pewnie potrzebował całych galonów kofeiny, żeby uporać się ze swym rozkładem zajęć. Na mój widok twarz nie tyle mu się rozjaśniła, co stała się odrobinę mniej melancholijna.

— Ach! — powiedział. — Przyjechał przyjaciel.

Zerknęłam na Dawida, który odwzajemnił się rozbawionym, ale i zaciekawionym spojrzeniem. Postanowiłam niczego nie wyjaśniać. Uśmiechnęłam się tylko sztywno i przedstawiłam ich sobie. Tytuł *il professore* nie wywarł na Angelu wrażenia. W końcu jego brat był policjantem.

Spytałam o mój list. Angelo przycisnął rękę do kieszeni koszuli.

— Jest tutaj, signorina. Cały czas na moim sercu.

— Możesz mi go oddać. Jestem ci bardzo wdzięczna za pomoc.

— Chce go pani zabrać? Mam nie wysyłać?

— Nie. Ale dziękuję.

Twarz Angela stała się — jeśli to możliwe — jeszcze bardziej nieprzenikniona. Wykonywał ciężką pracę myślową. Po chwili doszedł widocznie do jakiegoś wniosku — nie zapytałam, do jakiego, nie chciałam wiedzieć. Kiwnął głową:

— Ach. Więc jest już przyjaciel...

Wręczył mi cokolwiek sfatygowany list. Widać nie przesadzał, mówiąc, że nosił go na sercu.

Dawid zaproponował następną filiżankę kawy, na co Angelo czym prędzej wyraził zgodę. Nie chciał jednak usiąść przy stoliku.

— To drożej kosztuje, *professore*. Kawa przy barze smakuje tak samo, więc po co więcej płacić?

Wszczęli ożywioną dyskusję, podczas gdy ja, przestępując z nogi na nogę, usiłowałam zrozumieć choć kilka słów. Nie winiłam Dawida, że jest ciekaw, o co chodzi z tym listem, ale przypadkowo zrozumiane słowo nasunęło mi myśl, iż rozmowa dotyczy czego innego. Rozstaliśmy się, wymieniwszy przyjacielskie pozdrowienia. Angelo zapewnił, że jeśli jeszcze kiedyś zechcę zostawić sekretną wiadomość, to jest gotów do usług.

W drodze powrotnej przepychaliśmy się przez strumień pojazdów na Piazza della Indipendenza, kiedy Dawid pomachał ręką policjantowi w białym uniformie, sterczącemu na niebezpiecznie małej wysepce pośrodku jezdni.

— Czy to brat Angela? — zapytałam.

— Skąd ten pomysł?

— Usłyszałam w waszej rozmowie słowo *fratello*. Angelo jest bardzo dumny ze swego brata.

— I ma rację. To nie jest jakiś tam gliniarz z drogówki, tylko detektyw całą gębą.

Może to wyjaśniało obsesję Angela na punkcie sekretów, ale na pewno nie wyjaśniało gestu Dawida.

— Czy zawsze machasz policjantom regulującym ruch?

— Tak się składa, że znam tego faceta — odrzekł z uśmiechem. — Takie drobne uchybienie z pierwszeństwem przejazdu na rondzie... Ale ja zawsze staram się być w przyjaźni z glinami, nigdy nie wiadomo, kiedy przyda się wsparcie kogoś dysponującego siłą.

Kiedy przyjechaliśmy do willi, zastaliśmy zamkniętą bramę. Dawid zatrzymał samochód.

— Co teraz zrobimy?

— A co zwykle robisz w takiej sytuacji?

— Podjeżdżam do tylnego wejścia, oczywiście. Od północy jest furka, w sam raz na motorower.

— Uważaj.

Oparłam się o klakson.

Z początku obawiałam się, że mój gest nic nie da. Potem zarośla za domkiem odzwiernego zaszeleściły gwałtownie, jakby przeszła przez nie niewidzialna trąba powietrzna w miniaturze, i wychynęła jakaś groteskowa postać. Podskakując i zawodząc monotonicznie ruszyła chwiejnym krokiem przez żwir.

— Dobry Boże! — sapał Dawid. — Kto to jest, u diabła?

— Pomocnik Alberta. Nigdy go nie widziałeś?

— Nie z tak bliska. Myślisz, że nam otworzy?

Zgarbiony człowiek miał na sobie ubranie, które chyba dostał w spadku po Albercie. Wisiało na nim jak na wieszaku, a czapka spadała aż na nos. Spod czapki opadały na kark i twarz długie, proste kosmyki. Nie przerywając swej żalostnej parodii tańca, otworzył najpierw jedną połowę bramy, a po kolejnej serii podskoków i zawodzenia zajął się drugą.

Dawid sięgnął do kieszeni, ale kiedy podjechał bliżej i podał odzwiernemu zmięty banknot, ten wydał okrzyk strachu i umknął.

— Nie goń go — powiedziałam, kiedy Dawid otworzył drzwi. — Tylko się bardziej wystraszy.

— Chyba masz rację.

Jechaliśmy w milczeniu. Myśli Dawida biegły chyba w tym samym kierunku, co moje: zastanawiał się, jak też Alberto musi traktować tego biedaka, i pewnie podejrzewał najgorsze.

Dawid ustawił samochód w garażu obok mercedesa i oddał mi kluczyki. Nie przyjąłem ich.

— Może najpierw rozładujesz bagażnik? Pomogę ci z pakunkami.

— Dam sobie radę.

— Dziękuję za ten dzień. Było cudownie.

— Mnie także.

Wyładował zakupy i wręczył mi kluczyki. Nasze palce się zetknęły i przez chwilę staliśmy nieruchomo, bez słowa. Jaka szkoda, że to miłe popołudnie dobiegło końca! Malone'owie są dość kordialni w obejściu i szczerze szafują pocałunkami, ale jakoś nie mogłam się zdobyć na zwykły, przyjacielski uścisk. Rozstaliśmy się na stopie oficjalnej, po wymianie dziwnie sztwywnych podziękowań.

W rozmowie z Francescą poddałam miazdzącej krytyce jej służącego, opisując psi wybieg i kwestionując kwalifikacje Alberta do nadzorowania umysłowo chorego człowieka. Wydawała się lekko ubawiona moim — jakby to zapewne określiła — „młodzieńczym idealizmem”.

— Zapewniam cię, że osoba, o której mówisz, nie jest szykanowana przez Alberta. A co do psa, to pilnuje posiadłości i wymaga stosownej dyscypliny. Nie jest kanapowym pieszczołkiem.

— Dyscyplina i okrucieństwo to dwie różne sprawy. Żeby pies był dobrym stróżem, niekoniecznie musi być zły.

Obiecała, że porozmawia z Albertem, a potem zgrabnie zmieniła temat na taki, który jej zdaniem powinien mnie zainteresować. Jak to miło z mojej strony, że tak interesuję się Piętrzem. Na pewno spotkałam się w mojej nauczycielskiej praktyce z innymi upośledzonymi dziećmi. Ona, Francesca, chętnie wysłucha każdej mojej rady, jeśli tylko zechce jej udzielić.

Istnieje pewna forma pochlebstwa, której wszyscy ulegamy: to prośba o radę. Francescą pozwoliła mi gadać, co tylko chciałam, przerywając mi z rzadka pytaniami świadczącymi, że słuchała mnie z uwagą. Kładąc się spać, wprost pękałam z poczucia ważności. Samozadowolenie... nie, to nie to słowo. Jeszcze parę tygodni i wszyscy będą jeść mi z ręki, a wtedy odejdę z podniesionym czołem, kłaniając się wiwatującym tłumom. Pies będzie się do mnie łąsił, Alberto się pokaja i przysięgnie poprawę, Francesca podziękuje, że ją oświeciłam, a Pete... Nie chcę rozstawać się z Pete'em. Ale z nim też wszystko będzie w porządku. Dzięki mnie.

Nawet młodość nie usprawiedliwia aż takiej pychy.

Skończyłam Marka Twaina. Przejrzałam resztę książek i przekonałam się, że większość już przeczytałam. Powinnam we Florencji kupić następną partię. Nie, żadnych gotyckich romansów. Bohaterka „Oblubienicy szaleńca” to czysta idiotka. Trwa uparcie na swojej posiadłości, chociaż kamienie walą się ze skały o milimetr od jej głowy, chociaż gospodyni domu jest mocno podejrzana i chociaż pokiereszowany i smętny bohater to typ, z którym nie miałabym ochoty spędzić nawet jednego popołudnia, a co dopiero całego życia. Odrzuciłam książkę z pogardą.

Później często wracałam myślą do tego gestu. Jak powiedziałam: dobrze, że nie jestem przesądna.

Materac ugiął się lekko. Siedział przy mnie Bart. W sączącym się przez okno świetle księżycy widać było dokładnie każdy szczegół. Błysk białych, równych zębów, wyszczerzonych w uśmiechu, pieprzyk na łuku lewej kości policzkowej i wgłębienie poniżej, zmierzwiłone czarne włosy na piersi.

Musnął palcami moją pierś i ramię w sposób boleśnie znajomy. Miał takie gładkie ręce... Nie miękkie — jak u kobiety — ale gładkie niczym ciepła kość słoniowa, bez drobnych zgrubień i szorstkości normalnego ciała. Gładził mnie i dotykał, z początku delikatnie, potem coraz mocniej, naciskając w znajomy sposób to jedno, to drugie miejsce... Przesuwał dłoń po szyi, twarzy, przeczesywał włosy.

Czasem śniło mi się, że budzę się w samym środku koszmarnej rzeczywistości i ze wszystkich sił próbuję przedostać się na jawę. Szłam wtedy za jego oddalającą się sylwetką przez niekończące się mroczne ulice i budziłam się, płacząc z rozczarowania. Teraz go odnalazłam — i to było jeszcze gorsze. Moje wargi rozchyliły się, gardło napięło się do krzyku, ale jego usta stłumiły go w zarodku. Na ułamek sekundy poczułam je, poczułam ich smak. Potem całe wrażenie prysło.

Obudziło mnie echo przeraźliwego krzyku i wiedziałam, że to ja go wydałam. Pokój tonął w ciemności, rozjaśnionej tylko bladą poświatą księżycy. Gazowe firanki były zasunięte. Koszula nocna opadła mi do pasa, bo miałam ściągnięte ramiączka. Minęło dobrych pięć minut, nim znalazłam torebkę, a w niej buteleczkę ukrytą pod innymi rzeczami. Połknęłam dwie kapsułki i usiadłam w fotelu, czekając, aż zaczną działać. Pozapalałam wszystkie lampy, ale nie potrafiłam się zmusić do powrotu do łóżka. Wciąż wydawało mi się, że czuję wokół niego smużkę zapachu — zapachu płynu po goleniu Barta.

Dlaczego doktor Baldwin nie ostrzegł mnie przed czymś takim? No cóż, właściwie napomknął o tym, kiedy wypytywał mnie o bodźce seksualne. Wtedy nic podobnego nie odczuwałam. Nic dziwnego, powiedział uspokajająco. Psychiatrów nigdy nic nie dziwi. Byłam młodą, zdrową kobietą. Kiedyś...

Świetnie. Ale nie spodziewałam się, że gdy to nastąpi, tym, co mnie podnieci, będzie duch Barta.

W miarę jak lekarstwo zaczynało skutkować, rozluźniając napięte mięśnie i odsuwając koszmar, zdecydowałam, że przeżyję to jakoś. Może to stadium rekonwalescencji. Może musiałam przeżyć tego rodzaju sen z Bartem, zanim zacznę śnić o kimś innym? Może mój zmarły mąż symbolizował tego kogoś... Dawida? Sebastiana? Nie uświadamiałam sobie dotąd chęci pójścia do łóżka z którymś z nich, ale obaj byli dość pociągający, chociaż w różny sposób. Wielu znajomych powiedziałoby mi, że tego właśnie potrzebuję: porządnego, satysfakcjonującego seksu, bez żadnych uczuciowych zobowiązań.

I może mieliby rację.

Podeszłam do okna. Księżyc zaplątał się w czuby cyprysów, przechylony niczym elipsoidalna piłka do futbolu. Nie mogłam stąd widzieć okna Dawida, ale wyobraziłam sobie, jak skrobie te swoje brudne kawałki materii albo czyta w łóżku, wybierając strzępki informacji na temat dziewiętnastowiecznych poetów. Poczułam się lepiej, wiedząc, że gdzieś tam jest.

Ale resztę nocy spędziłam w fotelu.

ROZDZIAŁ 5

1

Może słońce za oknem wpłynęłoby dodatnio na stan mojego umysłu, ale rano go zabrakło. Niebo było zabarwione na łagodny, perłowoszary kolor. Francesca powiedziała, że na wieczór przewidywany jest deszcz.

Była lekko roztargniona — nie potrafiłabym określić, na czym to polegało, ale nie zachowywała się jak zwykle. Zawsze idealna gospodyni, zauważyła oczywiście mój pusty wzrok, chociaż myślałam, że udało mi się dość dobrze zamaskować oznaki bezsenności.

Przyznałam, iż nie spałam zbyt dobrze. Nie zamierzałam wyjawić powodu, ale jej troska wydała mi się szczerą, a ja tak desperacko pragnęłam zwierzyć komuś może nie całą prawdę, ale przynajmniej część.

— Miałam zły sen — wyjaśniłam. — Właściwie koszmar. O Barcie.

Zmarszczka na jej czole pogłębiła się nieco.

— Sen o kochanej osobie to dla ciebie koszmar?

— Bywa i tak.

— Czy to ci pomoże, jeśli mi opowiesz? Nie pytałam cię dotąd o niego ani o wypadek...

— Tak naprawdę to nie pomaga. Już przedtem... — Odsunęłam krzesło i podeszłam do okna.

— Chociaż masz prawo wiedzieć. Lubiałś go przecież.

— Tak.

Nie odwróciłam się.

— Po ślubie Bart się do mnie przeprowadził. — W gruncie rzeczy przeprowadził się już wcześniej, ale po co o tym wspominać? — Miałam mały domek, właściwie był to domek gościnny na terenie pewnej posiadłości. Tylko dwa pokoje, kuchnia i łazienka, ale ogromnie się nim cieszyłam — na wsi, a mimo to z dobrą komunikacją. Czasem przy złej pogodzie korzystałam z autobusu. Do mojego domku prowadziła prywatna droga — wąska i stroma. Kiedy napadało śniegu, mogła być niebezpieczna. Bart... Bart uwielbiał po niej jeździć, traktował to jak wyzwanie, zwłaszcza jeśli była oblodzona.

— Był znakomitym kierowcą — usłyszałam spokojny głos z tyłu.

— Wiem. Mówił mi, że prowadził wyścigowe wozy. Pierwszy raz wioził mnie tamtą drogą w czasie burzy śnieżnej i śmiertelnie mnie wystraszył. Sam tylko się śmiał.

— 1 wypadek miał miejsce także podczas śnieżycy?

— Poprzedniego dnia mieliśmy kilkanaście centymetrów śniegu. Był mokry i zbity, a w nocy zamarzył na kamień. Bart... przebywał poza domem. Wrócił tamtego ranka tylko po to, by zabrać kilka rzeczy. Ja akurat uprzątałam chodnik. Kiedy odjeżdżał, stałam i patrzyłam...

Widziałam to i teraz — jakby działo się naprawdę. Oślepiające słońce na pokrytych śniegiem stokach, ciemna obręcz drzew u stóp wzgórza. Jaskrawoczerwony samochód na tle czarno — białego krajobrazu to pojawiał się, to znikał, coraz mniejszy za kolejnym zakrętem. Pusta droga skrzyła się bezbarwnym blaskiem. I finał: autko wielkości zabawki wyjeżdża zza góry zygzakiem, za szybko... kierowca wyraźnie traci kontrolę nad pojazdem... po czym koziołkuje z góry na główną drogę.

Odwróciłam się od okna.

— Pokłóciliśmy się tego ranka. Byłam na niego wściekła za to, że nie wrócił na noc. Bart tłumaczył się, że próbował dzwonić, ale burza zerwała linię. Złościłam się dalej, mówiłam różne

rzeczy... On nie należał do mężczyzn, którzy potulnie znoszą krytykę. Na koniec powiedziałam coś... coś naprawdę okropnego. Bart w furii zawsze prowadził za szybko, tamtego dnia także. Zwykle lepiej lub gorzej dawał sobie radę ze złymi warunkami. Gdyby nie był taki rozwścieczony... Gdybyśmy się nie pokłócili...

Nie oczekiwałam od niej rozgrzeszenia. Kiedy się odezwała, w jej głosie nie brzmiało ani współczucie, ani potępienie.

— Tak właśnie myślałam. Nie zamierzam cię obrażać, twierdząc, że twoje poczucie winy jest jednocześnie i normalne, i niepotrzebne. Lekarze na pewno mówili ci to samo.

— I o tym także wiesz.

— Oczywiście. Czy się tego wstydzisz? — Wskazała mi krzesło. — Siadaj i skończ kawę.

Potrzebowałam kofeiny. Lekarstwo wzięłam dopiero nad ranem i jeszcze męciło mi się w głowie.

Zamiast zadawać kolejne pytania, zaczęła opowiadać o Barcie. Nie wyciągnęła fotografii rozkosznego bobaska na niedźwiedziej skórze ani nie szczebiotała, jaki był z niego słodki dzidzius, ale w miarę jej słów coraz ostrzej widziałam ich wzajemne stosunki, które dotąd tylko sobie wyobrażałam. Bart był o kilka lat młodszy od swego kuzyna Guida, lecz ze wszystkich potyczek wychodził zwycięsko. Jego powiedzonka były dowcipniejsze, śmiech bardziej zaraźliwy. Szybciej biegał, lepiej trafiał w piłkę tenisową, wykazywał więcej energii w pływaniu. Guido na jego tle wypadał blado i przeciętnie. Na moją prośbę Francesca pokazała mi jego zdjęcie. Musiała wyciągnąć je z szuflady. Jediną fotografią wystawioną na wierzch była fotografia Barta.

Kuzyni stali obok siebie, ale się nie dotykali. Bart, który musiał mieć wtedy ze dwanaście lat, niemal dorównywał wzrostem Guidowi. Kontrast między nimi aż bił w oczy. Guido w najmniejszym stopniu nie przypominał przystojnych Morandinich. Ze swą pociągłą, ściągniętą twarzą robił wrażenie poczciwego konia. Stał sztywno, bez uśmiechu, z równo opuszczonymi rękami. Bart natomiast śmiał się z odrzuconą w tył głową.

Nie mogłam się bardziej mylić co do Guida. Był prawdopodobnie tak nudny, jak na to wyglądał — stateczny, godny zaufania, solidny — same tego rodzaju cnoty. Pete w ogóle go nie przypominał. Nie przypominał też — może z wyjątkiem tych dziwnych, srebrzystych oczu — żadnego z Morandinich. Może dlatego Francesca traktowała go z taką obojętnością.

Tym razem nie zaproponowała mi, żebym pojechała z nimi do lekarza, chociaż poruszyła kwestię transportu. Alberto ma być na moje usługi, kiedy tylko zapragnę jechać do Florencji.

Czy chcę sama oddać mój wynajęty samochód, czy też on ma to zrobić?

Udzieliłam wymijającej odpowiedzi, ale poczułam niepokój. Już drugi raz w ciągu ostatniej doby ktoś interesuje się tym samochodem. To zupełnie nie w stylu Franceski; czemu tak się troszczy o moje finanse?

Kiedy pojechała, biegałam wokół podjazdu, żeby zażyć trochę jakże potrzebnego ruchu. W powietrzu wisała duszna cisza, jaka zwykle poprzedza burzę, ale gatunek chmur wcale tego nie zapowiadał. To wrażenie duchoty i niepokoju tkwiło we mnie, nie w powietrzu. Chciałam coś zrobić, ale nie mogłam wymyślić niczego, na co naprawdę miałabym ochotę. Zresztą wybór był ograniczony: sortowanie szpargałów z Dawidem, bieganie w kółko po podjeździe, badanie terenu. Ostatecznie poszłam do swojego pokoju dokonać przeglądu garderoby. Na to także nie miałam chęci, ale musiałam wybrać coś na wieczór. Moje rzeczy zabierano do prania niemal natychmiast po zdjęciu; wracały błyskawicznie, ale i tak nie było tego dużo. Przy pakowaniu nie myślałam o ciuchach, a już na pewno nie zaprzętałam sobie głowy porami roku. Mogłam się spodziewać, że w kwietniu we Florencji będzie chłodno, przynajmniej przez jakiś czas. Wszystkie rzeczy były za duże albo za lekkie, albo za bardzo znoszone. Powinnam pojechać z

Francescą do miasta i kupić sobie coś porządnego. Teraz powinnam pojechać. Ale i na to nie miałam ochoty.

Przepełniona obrzydzeniem do siebie, zatrzasnęłam z hukiem szafę. Wiedziałam, co mi jest. Moje zdradzieckie ciało nadal czuło dreszcz na wspomnienie snu.

Na tego rodzaju zmartwienia nie ma jak zimny prysznic. Nie byłam aż taką Spartanką, więc postanowiłam spróbować zimnego powietrza. Zbliżał się czas porannej przerwy Dawida. Jeśli biega po tym swoim „spacerniaku”, to się do niego przyłączę.

Wysłałam frontowymi drzwiami i okrążyłam dom, ale Dawida nigdzie niebyło. Czując się jak dziecko, które nie ma się z kim bawić, zawędrowałam na miejsce zabaw Pete’a. Nagle drgnęłam. Gdzieś od strony psiego wybiegu rozległ się przeraźliwy wrzask. Usłyszałam głos Alberta, a potem wybuch entuzjastycznego szczekania. Nigdy dotąd nie słyszałam głosu tego psa, więc zaciekawiona podeszłam bliżej. Kiedy pies umilkł, by zaczerpnąć tchu, Alberto zarechotał. Przypominało to tarcie zardzewiałego metalu o kamień. Chyba obaj świetnie się bawili, ale coś w tym szczekaniu mnie zaniepokoiło — jakieś szaleństwo, ekscytacja... No, jeśli Alberto go drażni, to zaraz mu powiem kilka ciepłych słów!

W tym momencie usłyszałam coś, co sprawiło, że rzuciłam się na oślep przed siebie — wysoki, świdrujący w uszach pisk dręczonego albo śmiertelnie przerażonego zwierzęcia.

Bramka była otwarta. Wpadłam w nią niczym kula armatnia i zaryłam w miejscu. Łańcuch leżał na ziemi, a pies, odwrócony do mnie tyłem, czał się na coś na przykurczonych łapach, drżąc z niecierpliwości. Parę kroków dalej stał Alberto i powstrzymywał psa kijem. Z drugiej ręki, uniesionej wysoko nad głową, zwisał mu mały kłębuszek zmierzwionego futerka. To właśnie ten kłębuszek wydawał takie wrzaski. Kapąła mu z boku krew — więc pies musiał go już raz dopaść.

Następnych kilku sekund nie pamiętam. Kiedy oprzytomniałam, stałam obok Alberta z przyciśniętym do piersi kociakiem, czując na ciele igielki wszystkich dwudziestu pazurków. Alberto się nie ruszał. Nie wypuszczał kija z ręki i nadal trzymał rękę nad głową. Często grałam z braćmi w koszykówkę, ale nigdy jeszcze nie wykonałam takiego skoku.

Nie wiem, jak długo trwał ten „żywy obraz”. Alberta poraziło zaskoczenie, pies nie miał pojęcia, czego, u diabła, ci ludzie od niego chcą, ja byłam tak wściekła, że aż nie mogłam złapać oddechu. Ów stan został przerwany rykiem zgrozy. Jakies ciało frunęło w powietrzu, jakies wyciągnięte ramię odepchnęło mnie do tyłu tak, że się zachwiałam. Pies zaczął szczekać, kociak darł się wniebogłosy, wbijając jeszcze głębiej pazury. Dawid wytrącił Albertowi kij z ręki, po czym tamten zdzielił go pięścią w twarz i powalił na ziemię. Jednocześnie pies skoczył mu do gardła.

Bałam się puścić kociaka albo podejść z nim bliżej do psa. Kopnęłam Alberta w nogę.

— Zabierz go — wrzasnęłam. — *Avanti, pronto*, zabieraj go, ty... ty...

Nie umiałam na poczekaniu wymyślić dostatecznie obelżywego zwrotu. Alberto rzucił mi zdziwione spojrzenie i złapał psa za obrożę, podnosząc go bez najmniejszego wysiłku, tak jak ja kociaka.

Dawid leżał na plecach z podciągniętymi kolanami i osłaniał skrzyżowanymi ramionami twarz i gardło.

— Złazł? — zapytał.

— Tak, już go nie ma. Nic ci się nie stało?

Dawid gramolił się na nogi. Przyjrzał się rękawowi koszuli i rzekł z oburzeniem:

— Mam rozdartą koszulę.

— Mała strata — odparłam, zerkając na wyświechtany materiał. Kątem oka widziałam, jak Alberto wycofuje się po cichu, ciągnąc za sobą psa. Nagle świadomość tego, co się naprawdę

stało, spłynęła na mnie potężną falą. Z trudem panując nad głosem, wyjąkałam: — N–naprawdę n–nic ci nie jest? Aż trudno uwierzyć...

— Pies mnie zna. Podejrzewam, że szybko zapomina starych znajomych, ale jednak trochę się zmieszał i zatrzymał na kilka sekund. Co za kretynizm!

— Masz rację. W końcu Alberto w niczym mi nie zagrażał...

— Nie mówię o sobie, tylko o tobie — prychnął Dawid. — Usłyszałem, co się dzieje, i pośpieszyłem na ratunek. Cholerna furtka się zacięła i właśnie próbowałem ją otworzyć, kiedy wpadłaś tu jak pocisk. Mój Boże, Kathy, dzieliło cię od jego pyska parę centymetrów! Jak mogłaś ploszyć tak neurotycznego zwierzaka! Nie wspominając o Albercie. Przecież mógł...

— Ale tego nie zrobił.

— Czy ty nigdy nie zastanawiasz się, gdzie skaczesz?

— Nie za często. Twarz mu złagodniała.

— Do diabła z tym! Lepiej sprawdźmy, co my tu mamy. Wyciągnął ręce.

— Wbił we mnie wszystkie pazury i nie puszcza. Och, Dawid, obawiam się, że...

— Nie przywarłby tak mocno, gdyby coś mu się stało — pocieszał mnie. — Chodźmy do mojego pokoju. Mam trochę środków opatrunkowych i zostało mi mleko ze śniadania.

Kojący ton jego głosu i dotknięcie ręki sprawiły, że puściłam stworzonko na ziemię. Mleko także się przydało — kociak był tak głodny, że omal nie wpadł do spodka.

Mógł się podobać tylko ze względu na mikroskopijne rozmiary. Poza tym był wychudzony, brudny, miał zmatowiałe i pełne rzepów futerko. Nie potrafił nawet porządnie pić — wciąż prychnął i pakował łapki do mleka. Kiedy wylizał je do czysta, Dawid napełnił spodek po raz drugi i wreszcie oszalałe chłeptanie ucichło. Kociak podniósł umazaną mlekiem mordkę i po chwili usłyszeliśmy słabe, niepewne jeszcze mruczenie. Wybuchnęłam płaczem.

Po pewnym czasie Dawid zauważył:

— „Księga kobiecej logiki jest cała poplamiona łzami”.

— Nie wiedziałam, że Browning był takim męskim szowinistą — wymamrotałam mu w ramię.

— To Thackeray, nie Browning. Ani nie Brown. Po prostu chciałem powiedzieć, że teraz już nie ma powodu do płaczu.

Odsunęłam się od niego i powiedziałam przez nos:

— Przepraszam. To dlatego, że...

— Wiem. — Wciąż obejmował mnie jedną ręką. Ścisnął mnie za ramiona szybko, po bratersku i puścił. — Zobaczmy, co z tymi opatrunkami.

Zanim skończył, kot rozmiauczał się znowu, ale raczej z oburzenia niż z bólu. Rana na boku nie wyglądała tak groźnie, jak się obawiałam. Dawid posmarował ją antyseptycznym preparatem, po czym wpakował wrywającego się wściekle kociaka aż po nos do miski z wodą. Kiedy go wyjął — woda była czarna i pełna potopionych pcheł.

— Gdzie się tego nauczyłeś? — spytałam, gdy suszył i czesał biedną ofiarę.

— Och, zawsze mieliśmy jakieś zwierzęta. Moje siostry i ja znosiliśmy do domu wszystkie znajdy z sąsiedztwa.

— Zupełnie jak moja rodzinka. Czy to twój grzebień?

— Nie mam innego — odparł beztrzesko. — Szkoda, że nie posiadam suszarki do włosów. Nigdy nie zależało mi na eleganckiej fryzurze. Ale dziś jest ciepło, na pewno się nie przeziębi. Już wygląda lepiej, prawda?

Zawinał kociaka w ręcznik, tak że wystawała tylko trójkątna mordka o wielkich uszach. Z oczu wyzierała zdecydowana niechęć, ale sam pyszczyk był ładnie umaszczony. Na tle

srebrzystoszarego futerka ciemne prążki tworzyły duże M, różowy nosek i ostre wąsiki sterczały z symetrycznej białej mordki. Ślepka mrugały i zaczynały się już zamykać.

— Zachlapał się wodą. Chyba zaraz zabiorę go do weterynarza, jest za słaby, żeby protestować.

— Jesteś sprytniejszy ode mnie. Co zamierzasz z nim zrobić?

— Zatrzymam go, jak sądzę. Bo co mógłbym zrobić?

— Przynieś mi go, jak wrócisz.

— Ale przecież...

— Dam go Pete'owi.

Ledwie znalazłam kluczyki do samochodu dla Dawida i zmieniłam ubranie, okazało się, że jestem spóźniona na obiad. Wcale się nie przejęłam. Czułam się fantastycznie. Nic tak błyskawicznie nie rozpędza chmur depresji jak porządna awantura.

Opowiedziałam Francesce całe wydarzenie, nie licząc się specjalnie ze słowami.

— Nie sądzę, aby to się stało pierwszy raz. Słyszałam o ludziach, którzy tresują psy do walki, pozwalając im zabijać mniejsze zwierzęta.

Przyoblekła twarz w wyraz najwyższego niesmaku.

— Oczywiście, gdybym wiedziała, nigdy bym na to nie pozwoliła.

Uwierzyłam jej. Ale chyba nie chciała o tym wiedzieć, a przynajmniej nie podjęła żadnego wysiłku w tym kierunku.

— Czy mogę być obecna przy twojej rozmowie z Albertem?

— Myślisz, że nie będę dostatecznie stanowcza?

— Po prostu chcę zobaczyć, jak się będzie wił. Uśmiechnęła się słabo.

— Zaraz jak skończymy, powiem Emilii, żeby go sprowadziła.

Był to zachwycający dialog. Rozkoszowałam się każdą minutą. Nie rozumiałam, co Francesca mówi, ale jej głos kipiał gniewem i zanim skończyła, Alberto praktycznie się czołgał. W moją stronę nie spojrzął ani razu.

— Zadowolona? — spytała Francesca.

— Jeszcze jedno. Powiedz mu, że odpowiada za tego kota. Jeśli cokolwiek mu się stanie... cokolwiek... uznam, że to wina Alberta.

Uniosła brwi, ale zrobiła, o co prosiłam. Dopiero wtedy Alberto rzucił mi szybkie spojrzenie spod krzaczastych brwi. Spodziewałam się przejawów niechęci, w końcu to przeze mnie ma kłopoty, i niezbyt to sprawiedliwie czynić go odpowiedzialnym za kota, który może uciec albo wpaść w łapy innego zwierzęcia. Ale nie dostrzegłam w twarzy Alberta urazy, tylko tę samą uniozoną służalczość, jaką okazywał Francesce.

Odprawiła go w końcu krótkim zdaniem, a potem spojrzała na mnie:

— Chcesz zatrzymać to zwierzę?

— Przepraszam, zapomniałam o dobrym wychowaniu. Czasem mi się to zdarza, kiedy coś mnie rozżłości. Jeśli nie masz nic przeciwko temu, zamierzam dać go Pete'owi.

— Tylko niech go trzyma z daleka ode mnie. Nie przepadam za kotami. Myślisz, że to mądre?

— Co masz na myśli?

— Przecież lubisz zwierzęta. Uważasz, że ten kociak będzie bezpieczny z Pięciem?

— Wiem, że to nierealne, aby dziecko w tym wieku potrafiło się dobrze opiekować zwierzęciem, ale wszystko mu wytłumaczę, a kucharka — to chyba sympatyczna osoba — też może trochę pomóc...

— Wcale nie o to mi chodzi. Uważasz, że moje obawy o zdrowie psychiczne Pietra są nieuzasadnione i że trzeba mu tylko prostych środków — dać zwierzątko, pogłaskać po główce i

tak dalej. A jeśli się mylisz? Pietro już dwa razy próbował sobie zaszkodzić. Kiedy znów dostanie ataku — co niewątpliwie nastąpi — może skrzywdzić nie tylko siebie.

2

Naturalnie — jakżeby inaczej? — puściłam tę uwagę mimo uszu. Czekałam na tarasie, aż Dawid podjedzie. Otworzył mi drzwi, nie wysiadając z auta. Wsunęłam się na fotel obok śpiącego kota.

— Oto łupy — rzekł, wskazując brezentową torbę. — Kocie żarcie, lekarstwa i tak dalej. Chcesz od razu dać go Pete'owi?

— Czemu nie?

— Mogę pójść z tobą?

— Czemu nie? — odpowiedziałam ze śmiechem.

Kociak obudził się, kiedy go podniosłam. Nie był piękny, ale wyglądał sto procent lepiej niż przedtem. Weszliśmy do domu przez kuchnię, gdzie spędziliśmy trochę czasu, prezentując nowego lokatora Rosie. Zareagowała tak, jak się spodziewałam: podrapała go pod brodką i dała nam spodek oraz szklanek mleka do zabrania na górę. Dawid przetłumaczył, co powiedziała:

— Dobrze, jeśli w domu jest kot. To lepsze niż pułapki na myszy.

— Myszy?

— Tu jest mnóstwo myszy. Boisz się?

— Nie, ale nie lubię znajdować po drzwiach mysich trupów. — Lepiej się na to przygotuj. Podobno to demonstracja uczuć, a ten facecik jest ci coś winien.

Nie potrafię opisać miny Pete'a, kiedy zobaczył kota i zrozumiał, że zwierzątko należy do niego. Wciąż jeszcze coś mnie dławi w gardle na samo wspomnienie tej sceny. Ale udało mi się jakoś opanować.

Kot nie miał nic przeciwko następnej porcji mleka, więc Pete go nakarmił, a Dawid wyjaśnił mu, jak posługiwać się utensyliami, które zakupił.

— Nie próbuj sam zakrapiać mu uszu, Pete. To robota dla dwóch osób. Koty tego nie znoszą.

— W po-rządku.

Pogłaskał go po grzbiecie. Kociak usiłował mruzczyć i chleptać jednocześnie, kichał, pluł i ocierał z irytacją nos. Pete się roześmiał.

— To chłopczyk czy dziewczynka? W jakim wieku? Jak ma na imię?

— Chłopczyk — odparł Dawid. — Około sześciu tygodni. To twój kotek, więc sam wybierz mu imię.

Pete się zawahał.

— Joe — rzekł po chwili. — Ma na imię Joe.

— Namath? — odgadłam. — Jeśli chcesz go nazwać na cześć jakiegoś quarterbacka, to są jeszcze inni...

— Nie na cześć quarterbacka. Tak przyjaciele wołali na mojego tatusia. Nie miał na imię „Joe”, ale w Ameryce tak go nazywali.

— To bardzo dobre imię — przyznałam, pokonując atak kaszlu.

— Nie ma w tym nic niewłaściwego, prawda? Że się nazywa zwierzę imieniem ojca?

— Myślę, że to wielki komplement — odrzekł poważnie Dawid. — Ja, na przykład, miałem prosiaka, który nosił moje imię.

— Więc nazwę go Joe Dawid. Ja mam dwa imiona, to i on może mieć dwa. Nie mogę nazwać go Kathy, bo nie jest dziewczynką. Ale jeśli kiedyś będę miał kotka albo pieska dziewczynkę...

— Trzymam cię za słowo — powiedziałam. — Pamiętaj.

— Przyniosłem też kilka zabawek — rzekł Dawid, który też się dziwnie rozkaszał. — Piłeczkę, sztuczną myszkę... Masz tu kawałek sznurka. Wystarczy uwiązać coś na końcu i...

— Wiem. — Pete rzucił się z zapalem na sznurek. — Ciocia Vera miała dwa koty, często się z nimi bawiłem, o tak.

Pomachał sznurkiem. Kiedy odchodziliśmy, zaśmiewał się, patrząc, jak kociak czai się i poluje na koniuszek ogona. Pierwszy raz nie czułam się podle, że muszę go zostawić.

Ciotka Vera... Siostra matki? Nie przyszło mi jakoś do głowy, że mógłby mieć krewnych z tamtej strony rodziny. Na aż za dobrze nawiezionej glebie mojego mózgu ziarenko pomysłu wypuściło wąty, zielony kiełek.

— Hej — wyrwał mnie z zadumy głos Dawida. — Zapomnieliśmy o czymś.

— No o czym?

— O kuwecie.

— O Boże, masz rację! Nie mam wprawdzie nic przeciwko temu, żeby Emilia miała co sprzątać, ale...

— Wykopię coś — rzekł Dawid. — Dosłownie.

Rozstaliśmy się z wyrazami wzajemnego szacunku, umówieni na jutro na grę w futbol.

Dawid zszedł tylnymi schodami, ja udałam się w stronę frontowych, aby dostać się do swojego pokoju. Kiedy skręcałam na podest, zobaczyłam Emilię, która właśnie schodziła. Skąd się tam, u diabła, wzięła? Na pewno nie była u Pete'a, więc co robiła na poddaszu?

Krzyknęłam, żeby na mnie zaczekała. Miałam absolutną pewność, że szpiegowała albo mnie, albo dziecko. Niektórzy ludzie są urodzonymi szpiegami, a Emilia prawdopodobnie działała w przekonaniu, że jej pani powinna wiedzieć, co się dzieje w jej własnym domu. Oczywiście nie było sensu, bym oskarżała Emilię. Zamiast tego oświadczyłam, że nie będę na kolacji, i zapytałam, o której zamykają drzwi.

— Późno pani wróci?

— Nie wiem. Dlatego właśnie pytam.

— *Naturalmente*, nie zamknę drzwi, póki signora nie wróci.

Podziękowałam i poszłam na dół. Alberto na pewno jej opowiadał, jak został przyłapany na gorącym uczynku. Może nie miał do mnie pretensji, ale ona — tak. Zamiast skrywanej, jak dotąd, dostrzegłam w jej oczach jawną wrogość.

Ciekawe, czy włożyłaby mi węża do łóżka albo nie posprzątała pokoju? Raczej nie — póki byłam w dobrych stosunkach z Francesca, nie miałam się czego obawiać. Znienawidzona, ale nietykalna. Ale i tak sprawdzę pościel, zanim się położę.

3

Sebastiano miał przyjechać po mnie o siódmej. Postanowiłam, że zaczekam na niego na dole. Nie miałam jakoś ochoty, żeby Emilia mnie wzywała i może jeszcze zapraszała w imieniu Franceski na drinka przed wyjazdem.

Zastanawiałam się właśnie, co wybrać: trząść się z zimna w letniej sukni z odsłoniętymi ramionami czy włożyć nieśmiertelny brązowy kostium, w którym wyglądałam o dziesięć lat starzej, gdy zapukano do drzwi.

— Kto tam?

— Francesca.

— Och... Proszę! — zawołałam, wciągając przez głowę suknię. Palący problem, co włożyć, rozwiązał się sam. Jak zwykle, w chwili pośpiechu zaciął mi się zamek i gdy weszła Francesca, wykręcałam rozpaczliwie do tyłu obie ręce, niczym Laokoon walczący z niewidzialnymi węzami.

— Pozwolisz? — spytała.

— Och, dziękuję! Chyba się zaciął.

Uwolnienie mnie z matni zajęło jej około dwóch sekund. Podziękowałam jeszcze raz i zapięłam pasek. Nic już nie mówiła, po prostu mnie obserwowała. Wiedziałam, czego chce, ale — naiwna dziewczyna — złożyłam to na karb ciekawości, a także przyzwyczajenia do sprawowania władzy.

— Mam nadzieję, że dostatecznie wcześniej uprzedziłam Emilię? — odezwałam się, gdy cisza stała się krepująca.

— Tak.

Czekała. Zapytanie o coś wprost było sprzeczne z jej zasadami, ale tym razem nie zamierzałam jej niczego ułatwiać.

— Znosi się na deszcz — powiedziała w końcu. — Może wolisz, żeby Alberto cię odwiózł?

— Nie, dziękuję. — Nie ma co chować głowy w piasek. Sebastiano będzie tu za niecałe pół godziny. — Doktor Manetti po mnie przyjedzie.

— Manetti!

Postanowiłam iść za ciosem.

— Czy jest coś, co powinnam o nim wiedzieć? Niemoralne obyczaje, jazda po pijanemu, trupy żon w szafie jak u Sinobrodego?

Nie rozbawił jej ten żart.

— Bart jest... — zaczęła.

— Martwy — dokończyłam. — Nie żyje od trzech miesięcy. Przykro mi, jeśli obrażam twoje poczucie przyzwoitości, Francesco, ale u nas nie obowiązuje formalny okres żałoby, a ja osobiście uważam to za hipokryzję. Nie masz się czego obawiać, nie zamierzam... robić nic, czego byś nie pochwałała. Poznałam tego człowieka zaledwie dwa dni temu. Prawdopodobnie przez cały wieczór będziemy rozmawiać o Pe... o Pietrze.

— Czy to jedyny powód twego zainteresowania doktorem Manettim?

— Skłamałabym, gdybym odpowiedziała „tak”, a ty okazałabyś naiwność, wierząc. To przystojny, interesujący mężczyzna. Ale nie mam zwyczaju wskakiwać facetom do łóżka po pierwszej randce... a nawet i po drugiej.

— Rozumiem. — Była wyraźnie zmartwiona. Powiedziała na pół do siebie: — To beznadziejne. Nie potrafię cię od tego odwieść. Nie umiem podać żadnego powodu...

— Chyba rzeczywiście mnie nie zniechęcis. Mogłabym spotkać się z nim w sekrecie, ale nie chcę tak postępować.

— Rozumiem — powtórzyła. — No cóż, w takim razie... Może to będzie do zaakceptowania...

I po tej dziwnej uwadze wyszła, zamykając cicho drzwi.

Przypomniało mi się stare powiedzenie: „Fakt, że jesteś paranoikiem, nie oznacza, iż cię nie śledzą”. Cóż to za osobliwa rozmowa! Nie przyszło mi do głowy, że Francesca mogłaby potępić kobietę, która wybiera się na randkę, chociaż dopiero co owdowiała... Cóż; jeśli mam być szczerą, to jednak przyszło. Spodziewałam się pewnej dezaprobaty, ale nie aż takiej. A jednak była bardziej zmartwiona niż oburzona. Może ten Manetti naprawdę ma kiepską opinię? Dusiciel

z Florencji? Toskański markiz de Sade? Z pewnością nie poskapiłaby mi informacji, żeby tylko go zdyskredytować.

Wzięłam torebkę i mój sfatygowany płaszcz od deszczu, jedyny, jaki posiadałam, po czym zbiegłam ze schodów. Po drodze mignął mi z daleka rąbek czarnej spódnicy. Znowu Emilia!

Niech piekło pochłonie tę kobietę! Kiedy ona znajduje czas na pracę? A może jej główne zajęcie to szpiegowanie?

Po wyjściu z domu zaraz się lepiej poczułam, chociaż cienie gęstniały, a powietrze było ciężkie od wilgoci. Z początku zamierzałam pójść pieszo do bramy, ale ciemności odwiodły mnie od tego pomysłu. Miałam pantofle na dość wysokich obcasach i wołałam nie chodzić po żwirze.

Przyjechał za wcześnie. Już z daleka widziałam, jak światła reflektorów wyłaniają się zza zakrętu i rozbłyskują pełną mocą. Oświetliły całą moją sylwetkę i musiałam osłonić oczy ręką. Wskoczył z samochodu, gdy wciąż jeszcze walczyłam z osłepieniem.

— Co ty tu robisz? — zapytał, pomagając mi wsiąść. — Jest paskudnie i zimno...

— Atmosfera w domu jest jeszcze chłodniejsza — odparłam, sadowiąc się wygodnie na szarym, aksamitnym fotelu.

— Tak? Powinienem to przewidzieć. Francesca jest zła?

— Nie tyle zła, co zmartwiona. Zresztą nieważne.

— Czasem trudno ją zrozumieć — przyznał Sebastiano. — Taka wyrafinowana, taka nowoczesna, a jednak wciąż z niej wyłażą tradycyjne poglądy. Mam nadzieję, że cię to nie denerwuje?

— To profesjonalne pytanie, doktorze? Roześmiał się ponuro.

— Ciężki jest ten mój zawód. Wystarczy zadać proste, przyjacielskie pytanie, a już człowieka oskarżają o badanie. Ale jeśli nie pytam o nic, mówią, że jestem zimnym egoistą.

— Punkt dla ciebie.

Samochód — wielki, lśniący nowiutkim lakierem cadillac — tak lekko sunął po stromej drodze, że prawie nie czułam wybojów. Kiedy ktoś z przeciwka gniewnie błysnął światłami, Sebastiano gwałtownie szarpnął w prawo, żeby go przepuścić. Zaklął po włosku, po czym dodał:

— Mam nadzieję, że nie zrozumiałaś. Jechał stanowczo za szybko jak na tak wąską drogę. Ale nie martw się, jestem ostrożnym kierowcą.

— Mam lekką fobię na punkcie szybkiej jazdy.

— Nie pytam, dlaczego.

— Tym lepiej dla ciebie.

Roześmiał się, a ja mu zawtórowałam. Nie sądziłam, że będę się tak swobodnie przy nim czuła. Po chwili powiedział:

— Jeśli nie masz ochoty rozmawiać, to nie szkodzi. Jeśli masz, to mów do mnie jak do zwykłego przyjaciela. Nie bój się, nie przyślę ci rachunku.

Kiedy przejeżdżaliśmy przez miasteczko, zaczął padać drobny deszczyk, ledwie widoczny na przedniej szybie. Sebastiano prowadził wóz po mistrzowsku. Nie pamiętam, o czym rozmawialiśmy, ale pamiętam, że było mnóstwo śmiechu. Ale naprawdę zaczęłam go doceniać, kiedy dotarliśmy do restauracji i oddaliśmy nasze płaszcze. Doskonale zdawałam sobie sprawę, że moja bawełniana sukienka nie pasuje do tego miejsca. Sebastiano jednak także miał na sobie zwykły garnitur i koszulę z odpiętym kołnierzykiem. Kiedy zobaczyłam, że pozostali goście są w wieczorowych strojach, zrozumiałam, że specjalnie tak się ubrał, żeby nie wprawiać mnie w zakłopotanie.

Główny kelner powitał go z wylewnością, zarezerwowaną dla starych i cennych gości, po czym zaprowadził nas do stolika w mrocznym kącie. W kwestii dań zdałam się na wybór Sebastiana. Wszystko było wyśmienite — jedzenie, sprawna, dyskretna obsługa, pięknie

udekorowany stolik. Nie mogłam się powstrzymać od porównania z posiłkiem, na który zaprosił mnie Dawid: tam plastikowe obrusy, tu — śnieżnobiały len, tam pospolite, białe talerze, tu — piękna porcelana, tam cierpkie chianti, tu — produkt jakiejś wspaniałej winnicy. Natomiast obaj panowie mieli z pewnością jedną wspólną cechę: potrafili mnie wprawić w dobry humor i rozśmieszyć. I jeśli nawet urok Sebastiana był wyćwiczonym urokiem profesjonalisty, nic mnie to nie obchodziło.

Podziękowałam za deser, chociaż usilnie mnie namawiał.

— Jesteś za chuda — zauważył, przeciągając palcem po wewnętrznej stronie mego ramienia.

— Mówię to jako lekarz, rozumiesz? Czy Francesca cię głodzi?

— Skąd, karmi mnie aż za dobrze. Rosa jest znakomitą kucharką.

Istniał jednak powód, dla którego wszystko smakowało mi tu bardziej niż zwykle. Każdy kęs w tamtym domu stawał mi kością w gardle. Nie myślałam o tym dotąd, ale taka była prawda. Przełamywanie się chlebem z drugą osobą ma pewne uświęcone przez tradycję, emocjonalne konotacje. Poczestunek jest gestem przyjaźni, a przyjęcie go oznaką zaufania.

— Myślisz o czymś nieprzyjemnym — odezwał się cicho Sebastiano. — Nie pytam, o czym. Co zrobimy, żeby cię oderwać od przykrych spraw? Może pójdziemy potańczyć?

— Nie, wolałabym nie, jeśli ci specjalnie nie zależy.

— W ogóle mi nie zależy. Ale tańczę dobrze, chociaż może nie tak dobrze jak twój mąż.

Podniosłam wzrok znad talerza. Sebastiano przytknął rękę do ust udając konsternację.

— Wybacz, tak mi się wyrwało.

— Wybaczam. Bart rzeczywiście uwielbiał tańczyć i robił to cudownie. Był aktorem, wiesz? Poruszał się z wystudiowaną gracją.

— Nie wiedziałem. Francesca opowiadała mi o nim, ale tylko o dzieciństwie i wieku dojrzewania. Jestem kinomanem, to dziwne, że nie wpadło mi w oko nazwisko Morandini ani podobne rysy.

— Grał kilka pomniejszych ról w widowiskach telewizyjnych, ale przeważnie występował na scenie.

— Aha. W Nowym Jorku?

— Cóż... To były głównie sezonowe występy w miejscowościach letniskowych, w restauracjach i tak dalej. Na szczęście miał własne dochody, inaczej przymierałby głodem. Żeby coś osiągnąć w tym zawodzie, nie wystarczy mieć talent, potrzeba jeszcze łutu szczęścia i kontaktów.

— Racja. — Odczekał chwilę i powiedział ostrożnie: — Czy gdybym zaproponował ci kino, nie byłoby to...

— Nie, w porządku. Ale mój włoski praktycznie nie istnieje.

— Mamy tu kino, które wyświetla stare filmy angielskie i amerykańskie. Nie wiem, co tam idzie, ale moglibyśmy się przekonać.

Była to „Noc w operze” braci Marx. Sebastiano wcale się nie umartwiał na mój rachunek; rechotał tak głośno, że bałam się, czy się nie zakrztusi. Wyszliśmy z kina prosto w straszny deszcz. Zaproponował drinka lub kawę.

— Lepiej nie — odpowiedziałam. — Emilia będzie czekać, póki nie wrócę. Nie cierpię tej baby, ale nie chcę, żeby czuwała przeze mnie do późnej nocy.

Na ulicy było ślisko. Wziął mnie pod rękę i ścisnął ją lekko.

— Jesteś bardzo uprzejma, moja Kathy. Roześmiałam się z więcej niż odrobiną przymusu.

Brama była zamknięta, ale zanim Sebastiano nacisnął klakson, z domku wyszedł Alberto i otworzył. Nie padało już tak mocno, ale i tak wyglądał na porządnie zmokniętego.

— Czy twoje czułe serce obejmuje także Alberta?

— Życzę mu, by z nieba padał wrzący olej!

— *Dio mio!* Cóż za okrucieństwo! Czym sobie na to zasłużył?

— Wieloma rzeczami. Nie rozumiem, dlaczego Francesca zatrudnia tego faceta.

— Nie interesuje się jego osobistymi nawykami, póki jest wobec niej lojalny. Zdaje się, że on i jego żona pracują tu od lat. Trudno jest utrzymać służbę, jeśli się porządnie nie płaci.

Zatrzymał wóz przed schodkami.

— Nie, nie wchodź — powiedziałam szybko. — Przykro mi, Sebastiano... Nie chciałam, żeby to zabrzmiało tak szorstko...

— Wcale nie brzmiało szorstko i wiem, czemu to powiedziałaś. Ale muszę cię odprowadzić aż do drzwi.

— Przestało padać. Wolałabym nie, naprawdę.

— Aż tak źle? — Usiadł z powrotem, opierając ręce na kierownicy. — Pozwolisz, że zapalę? A może i ty?

— I to mówi lekarz! Bardzo sobie szkodzisz.

— Wiem, że to zły nałóg, i staram się ograniczać — to mój pierwszy dzisiejszego wieczoru, jeśli zauważyłaś.

Wzięłam jednak papierosa. Nie miałam ochoty, ale jakoś wydało mi się niegrzecznie, żeby po tak miłym wieczorze po prostu podziękować i odejść.

— Nie paliłam, odkąd tu przyjechałam — rzekłam dumnie. — Nie chcę znowu zaczynać, przez jakiś czas paliłam za dużo.

— Jak długo to trwało?

— Jak długo nie palę? Właściwie zaledwie parę dni.

— Dobrze wiesz, o co mi chodzi. I że nie pytam jako lekarz.

— Sebastiano...

— Pół roku? Rok?

— Trzy miesiące.

Zakrztusiłam się dymem jak nastolatka przy pierwszej próbie palenia.

— Nie wiedziałem.

— Francesca ci nie powiedziała?

— Nie. I wcale mnie to nie dziwi, gdyż nie rozmawiamy zbyt często o rodzinnych sprawach. Kiedy zadzwoniła z prośbą, żebym cię przyjął, powiadomiła mnie tylko, że jesteś wdową po jej siostrzeńcu. Kompletnie osłupiałem, widząc tak młodą osobę. Wiedziałem wprawdzie, że nie mogłaś być zbyt długo mężatką, ale nie miałem pojęcia...

— Nie zaprosiłbyś mnie na kolację, gdybyś wiedział?

— Ależ zaprosiłbym — odpowiedział bez namysłu i z tak wyraźną szczerością, że aż się roześmiałam.

— Może mimo wszystko podzielasz poglądy Franceski na temat życia towarzyskiego świeżej wdowy.

— Nie ustanawiam zasad. Każdy przypadek jest inny. U ciebie to zdrowy objaw. Nie można wiecznie trwać w żałobie.

— Jakież to prawdziwe. — Odłożyłam papierosa. — Lepiej już pójde.

— Jasne, biedni służący, których tak nie znosisz, nie mogą czekać w nieskończoność — odparł drwiąco.

— Dziękuję za cudowny wieczór, Sebastiano. Naprawdę było mi bardzo miło.

— Więc musimy go powtórzyć. Jutro? — Zanim zdążyłam odpowiedzieć, cmoknął z irytacją.

— Zapomniałem. Wyjeżdżam na weekend. Poniedziałek... wtorek... Kolacja we wtorek?

— Z przyjemnością.

— Świetnie. Zadzwoń. — I po ułamku sekundy dodał: — Gdybym spróbował cię pocałować, uznałabyś to za afront wobec swojej gospodyni?

Śmiałam się, kiedy wziął mnie w ramiona. Pocałunek był intensywniejszy i dłuższy, niż zaplanowałam. Zupełnie niepodobny do pocałunków Barta... Już sam fakt, że to pomyślałam w trakcie zdecydowanie przyjemnego uścisku, nie oznaczał niczego dobrego, ale nie pozwoliłam sobie na uchylenie się od odpowiedzi. Odsunęłam się dopiero wtedy, gdy poczułam pod związanym luźno płaszczem jego ręce.

— Właściwy krok, niewłaściwe miejsce — odparłam z trudem łapiąc oddech. — Emilia na pewno podgląda przez dziurkę od klucza, a Alberto liczy minuty do twego odjazdu.

— Skoro i tak uznają nas za winnych, czemu tego nie wykorzystać?

Pierwsza chwila beztroskiego uniesienia jednak minęła. Miałam dziwne wrażenie, że jesteśmy pod ścisłą obserwacją, co było śmieszne. Oświetlone boczną lampą drzwi willi znajdowały się w pewnej odległości, a wewnątrz samochodu panowała ciemność. Kiedy odsunęłam się po raz drugi, Sebastiano więcej nie nalegał. Podziękowałam za kolejnego papierosa, ale on zapalił. Płomyk wyraźnie drżał.

— No to wysiadaj — rzekł Sebastiano lekkim tonem. — Nie chcesz, żebym cię odprowadził, nie chcesz... Następnym razem tak łatwo się nie wywiniesz.

Mimo tego tonu i towarzyszącego mu uśmiechu wiedziałam, że się zdenerwował. Na mnie, na Francescę, może na nas obie? Nie winiłam go za to. Zaczekał, póki nie otworzyłam drzwi, i odjechał z rykiem silnika.

Emilia rzeczywiście na mnie czekała. Otworzyła drzwi, jeszcze zanim dotarłam do szczytu schodów. Czulałam się jak dorastająca panienka, która spóźniła się na wyznaczoną godzinę. Kiedy szłam przez taras, przyłapałam się na podświadomym wygładzaniu płaszcza i zaciskaniu paska. Deszcz ustał, ale mokre kamienie były dość śliskie.

Emilia cofnęła się o krok i z przesadną kurtuazją przytrzymała mi drzwi. Ledwie przekroczyłam próg, usłyszałam straszliwy zgrzyt metalu, który zdawał się ciągnąć w nieskończoność, a potem tępy trzask.

Przez kilka sekund stałam jak skamieniała, bo nagle znalazłam się znów w koszmarze przeszłości. Ale kiedy się odwróciłam, nie dostrzegłam ani płomieni, ani słupa dymu. Puściłam się biegiem, a Emilia za mną. Usłyszałam, że ktoś woła:

— Co to jest? Co się stało?

Głos należał do Franceski. A więc i ona na mnie czekała. Nie zatrzymałam się, żeby jej odpowiedzieć.

Cadillac stał w połowie drogi do bramy, w miejscu, gdzie podjazd zakręcał. Maskę była zmiażdżona o pień drzewa. Reflektory wciąż się świeciły — jeden przekreślił się pod jakimś zwariowanym kątem, kierując — jak w teatrze — strumień światła w górę, prosto w liście.

Do auta od strony kierowcy zaglądał jakiś mężczyzna. Z początku pomyślałam, że to Alberto, ale odzwiertny nadbiegł dopiero po chwili, głośno coś wołając. Sebastiano się wyprostował, powiedział parę słów do Alberta i nagle drgnął, bo chwyciłam go za ramię. Wyjąkałam kilka pytań — dość konwencjonalnych — i otrzymałam odpowiedź, że nie Jest ranny.

Francesca zjawiała się ostatnia. Musiała najpierw włożyć Płaszcz i — jak zwykle rozsądna — znaleźć latarkę. Skierowała ją na Sebastiana. Był blady, włosy miał w nieładzie, ale rzeczywiście wyszedł bez szwanku.

Upierał się, by przed podjęciem jakichkolwiek kroków obejrzeć dokładnie samochód. Mogło być gorzej. Poza zwichrowanym reflektorem i uszkodzeniami maski nic się nie stało i silnik pracował normalnie. Ale naprawa karoserii na pewno będzie sporo kosztowała.

Alberto zabrał się do ustawiania reflektora, a my wróciliśmy do willi. Francesca przyjrzała się bacznie Sebastianowi i zauważyła beznamiętnie:

— Masz pęknięte żebro. Lepiej zostań tu na noc, zaraz wezwę lekarza.

— Sam jestem lekarzem — rzekł Sebastiano z wymuszonym uśmiechem. — Nie złamałem żebra, potłukłem się tylko. Rzuciło mnie na kierownicę.

Nie zgodził się zostać na noc, nie pozwolił też, żeby Alberto odwiózł go do Florencji. Ku memu lekkiemu zdumieniu, Francesca nie nalegała.

— Ale nie powinieneś prowadzić — zaprotestowałam. — Samochód może mieć uszkodzone hamulce albo układ sterowniczy, albo...

Przerwał mi z niezwykłą u niego oschłością:

— Będę jechał ostrożnie. O tej porze jest mały ruch. Dobranoc, Karny... Francesco. Przepraszam za kłopot.

— To ja jestem ci winna przeprosiny — rzekła Francesca bez serdeczności w głosie. — Podjazd jest pewnie w złym stanie. Powiem Albertowi, żeby się tym zajął.

Nie wiem, jak zdołała tymi niewinnymi słowami wywołać wrażenie, że Sebastiano sam jest sobie winien. Był pijany, śpiący, roztargniony? To oczywiście nieprawda, ale nie mogłam zrozumieć, co się właściwie stało. Podjazd rzeczywiście nie był w najlepszym stanie — miał śliskie miejsca, tam gdzie zabrakło żwiru, ale tylko przy wariackiej prędkości wóz mógł wypaść z drogi.

Sebastiano pocałował Francescę w rękę, krzywiąc się z bólu przy schylaniu. Ze mną pożegnał się demonstracyjnie oficjalnym uściskiem dłoni, nie patrząc mi w oczy. Godzinę później zadzwonił (na prośbę Franceski), żeby nas zawiadomić, iż dotarł bez przeszkód. Wiadomość przekazała Emilia; mnie nie poprosił do telefonu.

ROZDZIAŁ 6

1

Obudziłam się, kichając. Nie, wcale się nie przeziębiam, tylko na mojej twarzy siedział kot. Ktoś zachichotał, a potem powiedział:

— Pani ma wąsy. Czarno-białe, pasiaste wąsy.

Usunęłam koci ogon spod nosa i usiadłam. Kociak się przeturlał i zaatakował moje kolano. Wyciągnęłam rękę, ale Pete złapał go szybciej i przytulił opiekuńczo do piersi.

— Joe nie chciał pani skrzywdzić.

— Chodziło mi o pościel. — Przyjrzałam się krytycznie dziurkom na jedwabiu. — Twoja babcia nie będzie tym zachwycona. Obawiam się, że Joemu trzeba obciąć pazurki.

— Obciąć?

Srebrzystoszare oczy rozszerzyły się ze zgrozy.

— To nie boli. Ale można pomyśleć o słupku do drapania. — Opadłam na poduszki i ziewnęłam. — Ty mały potworku, nie wiesz, że nie budzi się przyjaciół, kładąc im kota na twarzy?

— Ale pani zasnęła. Mamy dziś grać w futbol, a potem pomagać Dawidowi w praniu. Powiedział, że możemy. Jak one się nazywają — te rzeczy ze strychu?

— Diabli wiedzą. — To prawda, późno się wczoraj położyłam, zważywszy na wypadek i jego reperkusje, ale rozpromieniona buzia i oczy zerkające znad kociej mordki kompletnie mnie rozbroiły. Pete cieszył się na sobotnią labę jak każde dziecko uwolnione od ewidentnie nudnej nauki. — Teraz ty masz wąsy — zauważyłam. — No dobra, chłopie, zmiataj stąd i daj mi się ubrać. Niedługo się spotkamy. Czy mogę najpierw zjeść śniadanie?

Zapukano do drzwi i chłopiec tak się zmienił na twarzy, że wyciągnęłam do niego rękę. Nim zdążyłam odpowiedzieć, weszła Emilia.

— Można podać śniadanie? — spytała. — Mam...

W tym momencie zauważyła chłopca, który skrył się za zasłoną, i wybuchnęła całą tyradą po włosku.

— Prosiłam, żeby mnie obudził — powiedziałam ostro. — To wszystko, Emilio. Zejdę za kwadrans.

— Hrabina skończyła jeść godzinę temu. Przyniosę pani tacę. Pete wyszedł z kryjówki, dopiero gdy zamknęła za sobą drzwi.

— Nie musisz iść — powiedziałam. — Zaczekaj, jeśli chcesz.

— Nie, odniosę Joego do mojego pokoju, a potem pójdę do Dawida. Jest u siebie, przy garażu. Przyjdzie pani?

— Postaram się jak najszybciej.

Wymknął się, tuląc kociaka w ramionach. Nie chciał spotkać się znowu z Emilią, nawet w mojej obecności.

Kiedy wyszłam z łazienki, taca ze śniadaniem stała na biurku. Mimo swojej masy Emilia, jeśli jej zależało, poruszała się bezszelestnie. Nie byłam pewna, czy mi się to podoba.

Naukowcy, gdy się do nich przyłączyłam, tkwili po uszy w robocie. Dawid wcześniej namoczył swoje szmatki i teraz na stole leżał rząd kuwet wypełnionych mętnym płynem. Pete przyglądał się jednej z nich, najwyraźniej spodziewając się zobaczyć coś ciekawego, na co

jednak, moim zdaniem, raczej się nie zanościło. Ja widziałam w tym wszystkim tylko brudną wodę.

— W samą porę — powitał mnie Dawid. — Lada chwila nastąpi wielkie odsłonięcie. Niczego nie wytrząsnę z rękawa, panie i panowie...

Wygiął dłoń, sięgnął do jednej z tacek i wyciągnął kawałek tkaniny o rozmiarach mniej więcej trzydzieści na trzydzieści centymetrów. Następnie wypłukał go w kuwecie z czystą wodą.

— *Voilà.*

Powierzchnia wody rozbłysła nagle feerią barw — jaskrawa czerwień, czysta zieleń i płowa żółtość na tle głębokiego granatu. Starannymi ściegami zaznaczono twarz i ramiona kobiety. Miała wielkie oczy, a jej rysy cechowała pewna sztywność, charakterystyczna dla malarstwa bizantyjskiego. Włosy w kolorze łagodnego brązu podtrzymywała przepaska ze złotych nitok. Cały portret — przynajmniej Dawid uważał to za portret — obramowany był girlandą liści i kwiatów.

— Piąty wiek i ani dnia więcej — mruknął z zachwytem. — I w jakim znakomitym stanie!

— Co nazywasz znakomitym stanem? Ścieg wyraźnie tu puszcza...

Aż się cofnął ze zgrozy na widok mojej wyciągniętej ręki.

— Nie ruszaj!

— Tylko pokazuję. Boże, zachowujesz się jak stara baba!

— Przezywano mnie jeszcze gorzej.

Ułożył ostrożnie swój skarb na bibule i zajął się następnym fragmentem. Kawałki tkanin — jedne tkane, inne haftowane — miały pewien urok, zwłaszcza kwadraty i krążki ze zwierzętami w biegu — kotami, zającami, psami gończymi. Według Dawida przyszywano je do ubrania. Dla mnie były umiarkowanie interesujące, a Pete szybko się nimi znudził.

— Chodźmy grać w futbol — poprosił.

— Chyba nie powiesz, że się źle bawiłeś? — spytał Dawid, uśmiechając się szeroko.

— Podoba mi się to — pokazał wyhaftowanego kota. — Ale pranie to babska robota.

— Męski szowinista! — wykrzyknęłam.

— Kto to taki?

— No... To tak jakbyś powiedział, że dziewczyny nie mogą grać w futbol, bo są dziewczynami.

— Fakt, że nie mogą. Oprócz pani — dodał łaskawie.

— Lepiej zostaw to teraz, sporo już zrobiłeś — doradził mu Dawid. — Skończę za minutę, Pete, nie mogę rzucić roboty w połowie. Może wylejesz ten zużyty roztwór? Nie, nie przez okno, ty leniwy potworze! Do zlewu.

Wskazał mu drzwi za swoimi plecami.

— Masz tu kanalizację? — spytałam, gdy Pete posłusznie podniósł kuwetę, rozlewając tylko ćwierć zawartości.

— Wszelkie domowe wygody. Normalnie mieszka tu szofer, ale Alberto jest szczęśliwym małżonkiem, a Emilia dla wygody hrabiny musi być gotowa na każde skinienie, więc oboje mieszkają w willi.

Pomogłam Pete'owi opróżnić i wypłukać kuwety. Dawid napełnił je destylowaną wodą i domieszał trochę chemikaliów.

— Następną partia — obwieścił, zanurzając kolejną porcję skrawków. — Teraz możemy zająć się najważniejszym punktem dnia.

Pete oczywiście miał przy sobie piłkę. Zbiegł ze schodów przed nami, a ja zapytałam Dawida:

— Kto cię jeszcze gorzej nazywał?

— Co?

— Mówiąc, że jesteś stara baba, sama okazałam się szowinistką. Przepraszam. Ty powiedziałaś na to...

— Ach! To nic takiego, złociutka. Mój stary pozwolił sobie na znacznie gorsze komentarze, kiedy wybrałam zawód. Zakwestionował nawet moją męskość, jeśli potrafisz w to uwierzyć.

— A czego się po tobie spodziewał?

— Żebym poszedł w jego ojcowskie ślady. Produkuje zasuw — takie pięćdziesięciocentowe zasuw, które Pentagon kupuje po dziewięćset dolców.

— Ach, tak.

Kolejny stereotyp odpłynął w siną dal. Przymierający głodem akademik należał — bądź mógł należeć — do klasy bogatych krwiopijców.

— Nie lubię zasuw — powiedział Dawid.

Pete postanowił, że dziś będzie trenował kopanie. Pozwoliłam Dawidowi zrobić się w przetrzymywanie piłki, chociaż powinnam mieć więcej rozumu. Pete kopał moją rękę niemal tak często jak piłkę, więc szybko mu wyperswadowałam, że nie powinnam przez cały czas piastować tak zaszczytnej funkcji, po czym zamieniłam się miejscami z Dawidem.

Kiedy udało nam się namówić chłopca do zakończenia gry, słońce stało już wysoko na niebie. Przypomniałam Pete'owi o kociaku, więc w końcu się poddał.

— Drzemka z Joe nie jest taka zła — przyznał. — Joe musi dużo spać, bo jest mały.

Kiedy odszedł, opadłam ciężko na ławkę. Dawid usiadł obok.

— Drzemka? — zdziwił się. — Czy Pete nie jest za duży na spanie w dzień?

— Też mi się tak wydaje. Ale jego babka wbiła sobie do głowy, że on jest delikatny.

— Delikatny, też coś! — Zakończyliśmy sesję na wrywaniu sobie piłki. Dawid przegrał. — Czy dlatego nie jest w szkole?

— Chyba tak.

Wiedziałam, że nie pyta z czystej ciekawości, ale nie czułam się upoważniona do udzielania mu bliższych informacji na temat problemów Pete'a.

— To parszywe miejsce dla dzieciaka — mruknął. — Znacznie lepiej byłoby mu w szkole. Przecież on w ogóle nie ma się z kim bawić, a zanim przyniosłaś mu kota, nie miał nawet zwierzaka.

— Pracuję nad tym. Wyszczerył się jak Pietruszka.

— Nie wątpię, panno Porządnicka.

— Gorzej mnie przezywano.

— Kto cię przezywał? Twój stary?

— On przede wszystkim. — I po chwili dodałam: — Pewnie byś go polubił.

— Może rzucę na niego okiem po powrocie.

— To znaczy kiedy?

— Czerwiec, lipiec... dopóki nie wyprztykam się z forsy.

— Aha.

— Jest jakaś szansa, że też tam będziesz?

— W domu, u rodziców? Zależy od sytuacji w pracy. Jeśli się załapię do letniej szkoły, to będę; potrzebuję pieniędzy. Jeśli nie, to może ściągnę ich do siebie i upichcę jakiś obiad.

— Więc nie zostaniesz tutaj?

— Tutaj? W życiu! — Odwrócił wzrok, ale nie dość szybko. Łypnęłam na niego ze złością. — Z kim gadałeś? Z Rosą?

— Wcale nie wścibiam nosa w twoje osobiste sprawy, jeśli mnie o to posądzasz. Rosa sama mi powiedziała. Jest bardzo podekscytowana.

— Cholera.

— Bez przerwy gada, jaka to będzie radość, kiedy dziecko się urodzi i tak dalej. Odniosłem wrażenie, że zamierzasz tu zostać, dopóki... no, że tu zostaniesz.

— Nie.

— Ja naprawdę nie chciałem...

— Nie mówmy o tym.

— W porządku. — Wstał. — No to cześć.

Kiedy odmaszerował sztywno, wyraźnie obrażony, pożałowałam swej szorstkości. Widocznie mój interesujący, choć fikcyjny stan był teraz publiczną tajemnicą, a cóż Dawid zawinił, że Rosa lubi plotkować? Nie mieściło mi się w głowie, by Francesca odbywała pogawędki z kucharką, więc pewnie Rosa usłyszała nowinę od Emilii. Powinnam to przewidzieć. Wprawdzie sytuacja się nie zmieni, ale fakt, że Dawid także należy do oszukanej większości, stawiał całą tę wątpliwą sprawę w ostrzejszym, jeszcze bardziej parszywym świetle.

Oszukiwałam sama siebie, sądząc, że uda mi się ciągnąć to kłamstwo przez kolejny miesiąc. Każdy dzień zbliżał mnie do przykrej konfrontacji. Gdyby Francesca spytała mnie wprost, wyznałabym jej prawdę. Kiedy pierwszy raz wypłynął ten problem, była dla mnie obcą osobą i niespecjalnie ją lubiłam. Teraz stała się znajomą, posiadającą uczucia, które mogłabym zranić. Wprawdzie zbytnio jej nie współczuję, nawet nie mogę powiedzieć, że ją lubię, ale kiedy pomyślę, jak zmieniłaby się na twarzy, jak jej oczy stwardniałyby z pogardy... nie, dziękuję. Muszę niebawem wyjechać. Zrobiłam już dla Pete'a wszystko, co w mojej mocy, Bóg wie, że to niezbyt wiele, ale cóż ja mogę poza gadaniem? A nagałam już dużo.

Kiedy brałam prysznic i przebierałam się, przepowiadałam sobie mowę do Franceski. Serdeczne podziękowanie za gościnę, przeprosiny, że zostałam dłużej, niż zamierałam. Wtedy ona powie coś w rodzaju: „Nic nie szkodzi, było mi bardzo miło”, a ja na to: „Cieszę się, że cię poznałam, ale...” Ale co? Muszę wracać do pracy? Moja matka złamała nogę i muszę się nią zaopiekować? Czuję, że zbliża się kolejne załamanie nerwowe?

Nie. To moje chore sumienie uważa, że potrzebuję pretekstu do wyjazdu. Zamiast tego powinnam się usprawiedliwić, dlaczego tu tak długo siedzę. Uprzejma gospodyni nie pyta gościa, kiedy zamierza wyjechać. Może moje cyniczne i melodramatyczne teorie na temat dziedzica Morandinich były mylne? Może ona liczy dni do mojego wyjazdu?

Zrewidowałam planowany dialog.

„Bardzo dziękuję za gościnę, Francesco”.

„Nie ma za co. Cieszyłam się, że tu jesteś”.

„Mnie też było miło. Ale już za długo ci się naprzykrzam” —

„Szkoda, że mnie opuszczasz. Kiedy chcesz jechać?”

„W końcu przyszłego tygodnia”.

Koniec przyszłego tygodnia. Wyznacz sobie ostateczny termin i trzymaj się go za wszelką cenę. Nie pozwól się zatrzymać ani nieszczęśliwemu dziecku, ani przystojnemu lekarzowi.

Jedyny kłopot z planowaniem rozmowy polega na tym, że nigdy nie wiadomo, co powie ta druga osoba.

Zeszłam na dół wcześniej, bo chciałam mieć to wreszcie za sobą. Nie zastałam Franceski w jej saloniku. Chodziłam nerwowo tam i z powrotem, biorąc do ręki różne przedmioty i natychmiast je odkładając. Towarzyszyły mi z fotografii uśmiechnięte oczy Barta. Staralam się w nie patrzeć.

Usłyszałam dzwonek telefonu. Aparat stał na stoliku w holu, przypuszczałam, że Francesca nie życzyła sobie w swoim ślicznym pokoju czegoś tak nachalnie nowoczesnego. Musiałaby wtedy sama odbierać telefony, zamiast wyręczać się Emilią.

Drzwi się otworzyły.

— Telefon do signory — powiedziała Emilia.

To na pewno Sebastiano, bo któżby inny? Podniosłam słuchawkę i zawołałam wesoło:

— Jak tam twoje żebro?

Po drugiej stronie zapadła chwila ciszy.

— Które? — spytał w końcu znajomy głos. — Bo mam jedenaście czy dwanaście tych skurkawańców. Chyba wszystkie są na miejscach, ale mam ważniejsze sprawy na głowie niż sprawdzać, jak się miewają.

— Tato!

— A więc znasz mnie, co? Ale nie spodziewałaś się usłyszeć swojego starego, o nie! O czyjeż to żebra dopytujesz się takim słodkim głosem?

— Och, tato, jak dobrze cię słyszeć! Jak mnie tu znalazłeś?

— Po wielu trudnościach. I mimo sobotniej zniżki kosztuje mnie to sporo szmalu, więc nie trać mojego czasu na głupoty.

— Kto tu marnuje czyj czas? Jak się miewasz? Czy wszystko w porządku? Czy coś się stało?

— Tutaj nic się nie stało — odparł mój ojciec, akcentując pierwsze słowo. — To z tobą musi być coś nie tak, skoro wpychasz się do biednej kobiety, która nie miała pojęcia o twoim istnieniu, póki nie zjawiłaś się nagle na jej progu. Co ci odbiło, u diabła? Zresztą mniejsza o to, wolę o tym nie myśleć. Kiedy wracasz?

— Niedługo. Dostałeś mój list?

— Jaki list? Dostałem pocztówkę z paroma słowami na odwrocie i dziękuję ci za fatywę. Kiedy zadzwoniłem do hotelu, odbyłem bardzo dziwną rozmowę z jakimś młodym człowiekiem, który zdawał się wiedzieć o twoich sprawach więcej niż ja. Co znaczy „niedługo”?

— Nie znam dokładnej daty.

— Aha. Jesteś kompletnie spłukana i nie masz na bilet.

— Na miłość boską, tato, nie jestem głupią osiemnastolatką! Mam bilet powrotny i...

— Więc go wykorzystaj. Kiedy?

— W końcu przyszłego tygodnia.

— Serio?

— Tak. Piątek, sobota, może niedziela. Zadzwonię, jak tylko załatwię rezerwację. Słowo. i

— Hmm.

— Daj mi mamę na chwilę.

— Nie ma jej.

— Głowę dam, że nie wie o tym telefonie. Na pewno by powiedziała: „Zostaw dziewczynę w spokoju i nie traktuj jej jak dziecko”.

— Hmm...

— Uwielbiam cię, tato. Zadzwonię za parę dni.

— Tylko spróbuj skrewić — pogroził mi na pożegnanie. Usłyszałam trzask słuchawki odłożonej o jakieś siedem

i pół tysiąca kilometrów stąd. Ogarnęła mnie taka tęsknota, że aż zakręciło mi się w głowie. Piątek. Spróbuję zdobyć miejsce na piątek.

Podniosłam głowę i zobaczyłam, że ze szczytu schodów przygląda mi się Francesca.

— Dzwonił mój ojciec — powiedziałam głupio.

— Tak myślałam. — Zeszła na dół. — Przepraszam, nie chciałam podsłuchiwać.

Skierowała się na prawo, do swego pokoju. Emilia wyrosła jak spod ziemi w samą porę, by otworzyć jej drzwi. Weszłam także, choć pierwszy tchórzliwy impuls nakazywał mi ucieczkę.

Usiadłyśmy przy stole, Emilia nalała wino.

— Jest na mnie wściekły, bo siedzę tu dłużej, niż zaplanowałam — wyjaśniłam z wymuszoną swobodą. — Jak zapewne słyszałaś, kazał mi wracać.

— Powiedziałaś, że w piątek albo sobotę.

— Jeśli dostanę rezerwację. Za długo nadużywam twojej gościnności.

Udało mi się wrócić na szlak. Niestety Francesca nie zastosowała się do scenariusza.

— Sądziłam, że zechcesz zostać na dłużej.

— Och, na miły Bóg, nie wiem, co nasunęło ci takie wrażenie. Nie miałam najmniejszego...

— Jesteś żoną Bartolommea. To jest jego dom, a więc i twój, na jak długo zechcesz. — Na jej pogodnym czole pojawiła się lekka zmarszczka. — Może powinnam od razu postawić sprawę jasno, ale myślałam, że sama to rozumiesz.

Coraz gorzej. Przemawiała do mnie jak do upośledzonego dziecka. I ta uprzejmość, ta serdeczna wspaniałomyślność... Nie bądź idiotką, powiedziałam sobie. To nie żadna wspaniałomyślność, tylko stary, europejski pogląd, że kobieta jest własnością swego męża, który może ją ciągnąć z miejsca na miejsce, jeśli tak mu wygodnie. Że dziecko należy do rodziny męża, nie żony.

— Jesteś bardzo uprzejma — wyjąkałam. — Ale muszę wracać do domu. Moja... moja matka...

Naprawdę wierzyłam, że wyjadę z tym głupim kłamstwem, ale mi przerwała:

— No tak. Chcesz mieć przy sobie matkę, nie sądzę, bym potrafiła ją zastąpić w takim czasie. Oczywiście, gdyby Bartolommeo tu był, to co innego...

— Och, tak, oczywiście. — Teraz już sama nie wiedziałam, co gadam. Uchwyciłam się pretekstu, jaki mi podsuwała: — Tak, to byłoby co innego. Ale skoro...

— Piątek?

— Jeśli dostanę rezerwację. Czy będę mogła zadzwonić po południu?

— Emilia to załatwi — powiedziała z roztargnieniem. — System telefoniczny jest skomplikowany.

Nie miałam specjalnego apetytu. Francesca nie poruszała więcej tamtego tematu, ale spodziewałam się, że zrobi to lada chwila i mój żołądek przypominał kłęb trzepoczących motyli. Nie polepszyło sprawy wejście Emilii z długim białym pudłem z kwiaciarni. Francesca wyciągnęła ręce, ale tamta oznajmiła z naburmuszoną miną:

— Dla pani.

Musiałam to rozpakować tutaj i teraz. W środku był pęk frezji we wszystkich kolorach tęczy — brzoskwiniowe, blade — niebieskie, różowe i żółte. W pokoju zapachniało wiosną. Na bileciku widniały dwa słowa: „Do wtorku”.

— Jakie to urocze — mruknęła Francesca. — Przekaż kwiaty Emilii, zanieś je do twojego pokoju i wstaw do wody.

Gospodyni zabrała frezje z krzywym uśmiechem, który wyraźnie zdradzał, co myśli o ofiarodawcy, podarunku i jego odbiorczyni. Niewątpliwie konwencjonalne czerwone róże wywarłyby na niej większe wrażenie, ale mnie te delikatne, wonne kwiaty bardziej przypadły do gustu. Fakt, że Sebastiano to odgadł, że nie był na mnie zły, znacznie poprawił mi humor.

Powiedziałam Francesce, że dam jej znać w sprawie rezerwacji. Przyjęła to w milczeniu, skinąwszy tylko głową. Już miałam wyjść, gdy nagle coś mi się przypomniało.

— Francesco...

— Tak?

— Byłabym wdzięczna, gdybyś nie wspominała Pietrowi o moim wyjeździe. Może to próżność z mojej strony, myśleć, że go to zmartwi, ale...

— Na pewno się zmartwi.

— Ale musi zrozumieć, że nie mogę... Tak czy inaczej wolę powiedzieć mu sama, jeśli pozwolisz.

— Oczywiście — uśmiechnęła się. — Ale wciąż mam nadzieję, że zmienisz zdanie.

2

„Witaj z powrotem, Jane Eyre”, pomyślałam. Ale to tylko moje neurotyczne sumienie reagowało na to, co wypływało z czystej kurtuazji. Takie słowa wychodzące z ust złowrogiej gospodyni albo podkręcającego węża czarnego charakteru, albo pokiereszowanego bohatera „Oblubienicy szaleńca” mogłyby zabrzmieć naprawdę groźnie.

Postanowiłam pojechać do Florencji. Była piękna pogoda, wymarzony dzień na zakupy i podziwianie widoków, a także świetny pretekst, by uciec domownikom. Nie miałam ochoty oglądać nikogo z nich, nawet Dawida potraktowałam niegrzecznie.

W moim pokoju stały już kwiaty, napełniając powietrze słodkim aromatem. Wzięłam torebkę i płaszcz, po czym wyszłam. W holu na dole stała Emilia. Ta cholerna baba jest dosłownie wszędzie! Coś mnie tknęło, by jej powiedzieć, że nie wrócę na kolację. Nie mogłabym znieść jeszcze jednego posiłku takiego jak ostatni.

Na stajennym podwórku nie było nikogo, w oknie Dawida także ani śladu jego obecności. Pewnie siedzi w tej swojej zakurzonej graciarni. Jak dobrze znów usiąść za kierownicą! Jeśli nawet wizyta nie zaowocuje innym pozytywnym skutkiem, to przynajmniej z jednej fobii się wyleczę. Samochód oznaczał wolność, niezależność, ruch, możliwość ucieczki... Od mojego szaleństwa czy od czegoś jeszcze?

Kiedy dojechałam do bramy, zobaczyłam, że jest zamknięta, a Alberta nigdzie nie widać. Zresztą dlaczego miałby tu dyżurować, przecież nie uprzedzałam go, że wyjeżdżam. Wysiadłam z samochodu.

Brama od wewnątrz zabezpieczona była sztabą, ale kiedy wydzwignęłam żelastwo ze wsporników, nadal nie dawała się otworzyć. Na próżno pchałam i szarpałam — musiała być zamknięta na klucz.

Na pewno Alberto nosi ów klucz przy sobie, a więc trzeba wracać do garażu i udać się na poszukiwania. Wolałabym tego uniknąć i to z więcej niż jednego powodu. Nagle w krzakach za domkiem coś zaszeleściło.

— Alberto? — zawołałam, obchodząc domek.

Ale to nie był Alberto. Mężczyzna za krzakami czał się na czworakach jak zwierzę. Na twarz opadały mu tłuste kosmyki jasnych włosów. Na mój widok zaczął coś jękliwie zawodzić.

Wzięłam się w garść. Co ten biedak zawinił, że wygląda jak postać z horroru? Nie znałam jego imienia.

— *Pardone, signore* — powiedziałam wolno. — *La porta e chiusa. Io desidererei...* — Nie wiedziałam, jak po włosku jest „klucz”.

Nie podniósł głowy. Zaczął przesuwac się na czworakach w tył i w przód, węsząc jak pies na tropie. Było to naprawdę upiorne przedstawienie i głos mi nieco drżał, gdy znów spróbowałam:

— *Scusi...*

Więcej nie potrafiłam wykrztusić. Mężczyzna zerwał się na nogi i wymachując dziko rękami, ruszył prosto na mnie. Mignęła mi wykrzywiona — chyba strachem — twarz o zamkniętych oczach, z ziejącą dziurą rozdziawionych szeroko ust. Przemknął obok mnie i biegł dalej, straszliwie kulejąc, ale ze zdumiewającą szybkością. Po chwili dobiegł mnie ochryply, maniackalny śmiech.

W końcu znalazłam klucz sama. Wisiał na gwoździu po wewnętrznej stronie drzwi domku. Był bardzo długi i musiałam go przekreślać obiema rękami. Potem odłożyłam go na miejsce, wyjechałam za bramę, wysiadłam, zamknęłam ją, ale oczywiście nie na klucz. Uznałam, że tego już za wiele. Po co tyle tych środków bezpieczeństwa? Sztaba na bramie, pies o morderczych skłonnościach, oczywisty brutal strzegący zaniedbanej rezydencji, z której wszystkie dające się wynieść skarby dawno powędrowały do lombardu...

Zielone cienie przypominającej tunel drogi uświadomiły mi, że jestem niesprawiedliwa wobec Franceski. Przecież dom naprawdę leżał na odludziu. Z tego, co wiedziałam, właśnie taka cicha, wiejska okolica mogła stać się kolebką występku i zbrodni. Może więc pies i brama naprawdę były koniecznością.

Gdy tylko wyjechałam spod drzew, nastrój mi się poprawił. Pod wiosennym słońcem uśmiechał się do mnie śliczny pejzaż jak z fotografii i obrazów. Wzgórza okrywał dywan młodej, jasnozielonej roślinności, ciemne sylwetki cyprysów wyglądały jak ozdobny szlak, zbyt symetryczny, by mógł uchodzić za naturalny. Na małym rynku miasteczka panował tłok — kobiety robiły zakupy, woziły dzieci w wózkach, mężczyźni wysiadali przy stolikach w kawiarnianych ogródkach. Jechałam wolno wśród tłumu, uśmiechając się w odpowiedzi na przyjazne ukłony, uśmiechy i ciekawe spojrzenia przechodniów.

Jaka szkoda, że tę podróż popsowały osobiste kłopoty, z których zresztą większość sama spowodowałam! Może jednak pewnego dnia tu wrócę. Chciałabym znów zobaczyć Pete'a, ale Francesca prawdopodobnie nigdy mi nie wybaczy, kiedy dowie się prawdy.

Zmusiłam się, by nie myśleć o Francesce. To moje wolne popołudnie. Zamierzałam przedzierzgnąć się w turystkę, odwiedzać sklepy z pamiątkami, podziwiać widoki. Nie zostało mi wiele czasu: pięć, sześć dni.

Dopiero urzędnik w American Express przypomniał mi o pewnym szczególe, który kompletnie wyleciał mi z pamięci.

Otóż mogę dostać miejsce na piątkowy lot z Rzymu, ale pod warunkiem, że dopłacę ponad sto dolarów. Mam bowiem tak zwany bilet wycieczkowy z określonym minimum pobytu. Jeśli chcę skorzystać ze zniżki, muszę zaczekać do poniedziałku.

Zycie w luksusie nie wpłynęło negatywnie na moją zapobiegliwość. Co znaczą, mimo wszystko, dwa dodatkowe dni? Zarezerwowałam więc jeden bilet na niedzielny popołudniowy pociąg do Rzymu i drugi — na poniedziałkowy samolot z Rzymu do Nowego Jorku. Z Nowego Jorku do Bostonu było mnóstwo połączeń, więc nie potrzebowałam rezerwacji. Spełniwszy obowiązek, zajęłam się tym, co mnie sprowadziło do miasta. Nie miałam zamiaru spędzać tych cudownych, słonecznych godzin w Uffizi ani w pałacu Pittich. Chciałam buszować po sklepach.

Wiele sklepików było pozamykanych. Otwierano je ponownie pod wieczór. Ale stoiska na Piazza San Lorenzo nie zasypiały gruszek w popiele, więc kupiłam prezenty dla wszystkich: torebkę z prawdziwej skóry dla mamy, jedwabną koszulę dla ojca (nie włoży jej, ale będzie się chwalił), zabawki dla maleństwa, pamiątki dla braci i szwagierki oraz sukienkę dla siebie. Zamierzałam olśnić Sebastiana na naszej następnej i ostatniej randce. Sukienka była z jedwabiu w kolorze brzoskwini z żakietem obszytym lamówką z tego samego materiału. Moja pamiątka z Florencji!

Pod wieczór znalazłam się koło starych kątów i postanowiłam wstąpić na capuccino do barku przy hotelu. Angelo nie dał na siebie długo czekać. Zaprosiłam go, by się do mnie przyłączył. Spojrzał z wahaniem na stolik i krzesło, więc powiedziałam wylewnie:

- Ja stawiam, Angelo. Dziś jest pierwszy dzień reszty mego życia.
- Słucham?
- To taka przenośnia.

— Ach. — Spojrzał na prawo, na lewo, a potem — z sobie tylko wiadomych powodów — ponad swoją głowę. — Nie ma przyjaciela.

— Nie.

— Odszedł? Mój brat...

— Twój brat na pewno jest bardzo miły. Ale nie mam szans spotkać się z nim w czasie tej podróży. Wkrótce wracam do domu.

— Jest przystojniejszy od przyjaciela. Przyjaciel miły facet, ale niezbyt przystojny. Wraca pani do domu?

— Ja też muszę zarabiać na życie.

— No tak. Może znów mam wziąć jakieś sekretne listy?

Chciałam wyjaśnić Angelowi, że nie jestem agentką wywiadu ani policjantką w cywilu, ale po namyśle postanowiłam nie pozbawiać go złudzeń. Niech dalej zabawia się fantazjowaniem.

— Nie, Angelo, na razie nie. Ale doceniam twój gest.

— *Pręgo, signorina*, zawsze do usług. Sekretna wiadomość, pokój, jeśli zależy pani na dyskrecji albo żeby się ukryć...

— Kto wie, może wezmę to pod uwagę.

Połknął dwie filiżanki espresso, jedną po drugiej, i oświadczył, że musi wracać do pracy.

— W każdej chwili, signorina. Proszę mną dysponować. Miło mieć przyjaciela, nawet jeśli się co do mnie myli, jak większość ostatnio poznanych ludzi. Angelo uważa mnie za szpiega, Francesca myśli, że jestem w ciąży, a Dawid i Sebastiano... Z żadnym z nich nie byłam do końca szczerą. Może wcale by mnie nie lubili, gdyby wiedzieli, co ukrywam. Dzięki Ci Boże, za Pete'a. On mnie naprawdę lubi.

Co ani trochę mnie nie pocieszało.

Zaniosłam paczki do samochodu, pozostawionego na publicznym parkingu. Nie mogłam jeszcze wracać, bo powiedziałam Emilii, że nie będę na kolacji. Na posiłek było jeszcze za wcześnie, za to pootwierano sklepy. Nadal potrzebowałam prezentu dla mojej gospodyni oraz czegoś do czytania. Może Pete'owi także kupię jakąś książkę.

Bez trudu znalazłam sklepik ze starymi książkami, ale musiałam jeszcze pójść do eleganckiej, międzynarodowej księgarni, gdzie mają angielskie wydawnictwa dla dzieci. Nie miałam pojęcia o poziomie lektur Pete'a, więc pominęłam ciężkich klasyków i zdecydowałam się na „The Hardy Boys”^{*}, bogato ilustrowaną książkę o kotach oraz jeden wspaniały prezent: „Sławni quarterbackowie National Football League”. Byłam pewna, że chłopiec przebrnie przez to opracowanie, nawet jeśli okaże się dla niego za trudne.

Jakiś czas później zagubiłam się beztrudno w plątaniu wąskich uliczek za katedrą. Największa z nich miała szerokość chodnika i tu po raz pierwszy zaczęłam się czuć jak w średniowiecznym mieście. Domy stały przy samym chodniku i od czasu do czasu przez łukowate wejścia mogłam dostrzec kwiaty i fontanny. Zdarzały się i zgrzyty nowoczesności — przez otwarte okna wydobywały się bynajmniej nie dźwięki lutni, tylko rock and rolla z rozkręconego na cały regulator radia.

Wędrowałam przed siebie, przyciskając się do ściany, gdy mijał mnie rozszalały motorower. Nagle promień słońca pomiędzy wysokich budynków po drugiej stronie oświetlił na wystawie coś, co zwróciło moją uwagę. Był to skrawek haftowanego materiału, który sprawiał wrażenie fragmentu większej całości — gałązka srebrzystozielonych listków i łuk bladioróżowych kwiatów na tle jedwabiu w kolorze kości słoniowej. Kwiaty wycieniowano tak kunsztownie, że

^{*} Popularna seria książek dla młodzieży Edwarda L. Stratemeyera (1862–1930), traktująca o przygodach dwóch młodocianych detektywów — Franka i Joego Hardych.

pojedyncze ściegi były nie do odróżnienia — jak na obrazie. Jakiś impuls kazał mi otworzyć drzwi i wejść do sklepu.

Wiedziałam, że zgodnie z tradycją w małych sklepikach należy się targować, chociaż jak dotąd nie mogłam się pochwalić sukcesami. Tym razem jednak nie potrafiłam ukryć popłochu, gdy uprzejma sprzedawczyni wymieniła cenę.

— Lyoński jedwab, signorina, ma ponad dwieście lat. Wielka rzadkość.

— To zaledwie skrawek — protestowałam. — Nie starczy nawet na wieczorową torebkę ani...

Wyglądała na zszokowaną.

— Takich rarytasów się nie używa, tylko eksponuje. To próbka rękodzieła, nie żaden skrawek!

Kupiłam to za trochę mniej niż połowę pierwotnej ceny, tylko dlatego, że w gruncie rzeczy mi nie zależało i ona o tym wiedziała. Wychodziłam już, kiedy podała ostateczną cenę. Pożałowałam zakupu już w chwili, kiedy wypełniałam czek. Haft musiał mi paść na mózg; bez wykładów Dawida i wysiłków Franceski, żeby mnie nauczyć wyszywania, nawet nie zauważyłabym tego koszmarnie drogiego drobiazgu. W dodatku Francesca uzna go za pewne za marny i nieodpowiedni prezent.

3

Kiedy wróciłam do willi, było już ciemno. Wjeżdżając do garażu, zauważyłam, że u Dawida się świeci. To mnie zaskoczyło; myślałam, że sobotni wieczór spędza w mieście. Właśnie wyładowywałam zakupy, gdy usłyszałam skrzypnięcie drzwi i tupot nóg na schodach.

— Cześć — powiedział ostrożnie.

— Cześć.

— Jeszcze jesteś zła?

— Nie. Zachowałam się nieładnie, przepraszam.

— W porządku. Hej, co za szaleństwo zakupów! Oni tu nie dają... — Stare książki, które próbowałam wyjąć, wymknęły mi się z rąk i spadły. Dawid schylił się, by je pozbiierać. Zostawiłam włączone światła, więc przy okazji mógł przyrzeć się tytułom. Jedna okładka była wyjątkowo niesamowita: oderwana od tułowia głowa z wywalonym językiem i oczami wywróconymi do góry tak, że widać było tylko białka. — Cs, cs — zacmokał Dawid. — Twoje gusty literackie są wprost żalodne.

— Nie pytam cię o zdanie.

Kiedy zśliśmy w stronę tylnych drzwi, powiedział:

— Pete cię szukał.

— Nie umawiałam się z nim na dzisiejsze popołudnie.

— Czemu tak defensywnie? Wiem, że się nie umawiałaś. Dzieciak jest samotny i tyle. Wydawał się zmartwiony.

— Dzięki za wiadomość.

Dawid otworzył ostatnią bramkę i znaleźliśmy się w warzywniku.

— Jutro jest festyn w Fiesole. Moglibyśmy zabrać małego.

— Co za ciekawa propozycja.

— Na pewno już się nie gniewasz? — spytał łagodnie.

— Cholera! — Skurczył się z udawanej zgrozy i musiałam się roześmiać. — Przepraszam jeszcze raz. Chyba nie jestem w najlepszym nastroju. Z przyjemnością pojechałabym na festyn i wiem, że Pete szalałby ze szczęścia. Zapytam jeszcze Francescę. — Po chwili dodałam: — Dzięki.

— *Prego, signora.*

Otworzył przede mną kuchenne drzwi.

W kuchni było ciemno, z wyjątkiem niebieskawej poświaty od telewizora, ustawionego na końcu długiego stołu. Obok siedziała Rosa, mając przed sobą butelkę i szklanki. Zawołała coś po włosku, ale kiedy mnie zobaczyła, zerwała się chwiejnie od stołu. Dawid pstryknął wyłącznikiem.

— Ach więc to tu spędzasz wieczory! — powiedziałam. — Zabawiasz się z Rosą, tak? Na miłość boską, każ jej usiąść. I oddaj mi książki, Francesca kręciłaby nosem, gdybyś je zaniósł na górę.

— Nie bój się, znam swoje miejsce — odparł, wręczając mi podniszczone tomiki. — Na pewno nie chcesz dzielić naszych plebejskich rozrywek? Nie zaznasz smaku życia, póki nie obejrzysz „Dallas” po włosku.

— Każdemu według jego własnych plebejskich gustów. Dziękuję, wolę kryminał i czekoladki. Może się poczęstujesz? — Potrząsnął głową, więc podsunęłam torebkę Rosie, która zdążyła już wrócić na miejsce i przyglądała mi się trochę podejrzliwie. Wzięła jednak cukierka i chrupała go z tak rozanieloną miną, że wsypałam do salaterki pełną garść. — Widzę, Roso, że należysz do czekoladowego bractwa.

Dawid przetłumaczył i twarz kucharki rozciągnęła się w szerokim uśmiechu.

— *Grazie, signora... molto grazie.*

Klepnęłam ją w ramię.

— Bawcie się dobrze. *Buona notte*, Roso. Dobranoc, Dawidzie. Jeszcze nim zamknęłam drzwi, tkwili po uszy w akcji. Obraz był niewyraźny i migał, ale żadnemu z nich to nie przeszkadzało. Rosa trzęsła się ze śmiechu z dykteryjek J. R.^{*} i trącała Dawida łokciem. Kusiło mnie, by zostać. Tak im było dobrze... szczęśliwi ludzie o niewybrednych gustach, tacy jak ja.

W domu było pusto i cicho. Ledwie zauważyłam rąbek fartucha Emilii, znikający za zakrętem.

Żeby przekręcić gałkę w drzwiach, musiałam przełożyć paczki. Książki znów zaczęły wymykać mi się z rąk, więc jednym skokiem dopadłam łóżka i w tym momencie wszystko mi się rozsypało na kapę. Nagle moje palce natrafiły na coś mokrego i śliskiego. Odskoczyłam do tyłu wciągając gwałtownie powietrze.

Przy łóżku była lampka, ale chciałam znaleźć się jak najdalej od tego paskudztwa. A przecież sama sobie nawymyślałam od wariatek, kiedy przemknęła mi myśl o węzach w łóżku! Znalazłam wyłącznik przy drzwiach i zapaliłam światło.

To wcale nie był wąż. Okazało się, że to smętne resztki moich ślicznych kwiatów — poszarpanych, zmiażdżonych, broczących niczym krwią sokiem z połamanych łodyg.

* J.R. — jeden z głównych bohaterów serialu „Dallas”.

ROZDZIAŁ 7

1

Tym razem nie odjęto mi mowy ze złości. Puściłam długą wiązankę, używając kilku wyrażen, jakich mój ojciec na pewno by nie pochwalił. („Może duża urosłaś, ale niech ci się nie zdaje, że masz prawo przeklinać w mojej obecności, młoda damo, zresztą co z ciebie za dama, skoro mówisz takie rzeczy”).

Francesce nie podobało się, że wychodzę z Sebastianem, ale nie podejrzewałam jej o tak prostacki postępek. Więcej niż prostacki — obsceniczny. Te kwiaty, takie piękne i delikatne, zostały nie tylko połamane — czyjeś wstrętne łapy umyślnie się nad nimi pastwiły. Byłam pewna, że to sprawka Emilii, ale czy Francesca jej nie namówiła? Jak Henryk II i Thomas a Becket: „Kto mnie uwolni od tego uprzykrzonego klechy?”

Nie mogłam zostawić nieporządku, a miazga leżała na samym środku aksamitnej kapy. Usunęłam ją, ale i tak został paskudny zaciek, zupełnie jak nie dająca się wywabić plama pamięci na moim umyśle.

Atak furii na zakończenie pełnego zajęć dnia wyczerpał mnie kompletnie, tym bardziej że poprzedniej nocy mało spałam. Rozebrałam się i włożyłam do łóżka razem z moim stosem książek. Na stoliku przygotowałam sobie czekoladki i karafkę z wodą. Po czekoladkach zawsze mam pragnienie, a zamierzałam zjeść je co do jednej. Woda wyglądała na stęchłą i zmętniała od osadu, więc ją wylałam i wypłukawszy karafkę, nabrałam świeżej.

Porządny angielski kryminał czy historia o obciętej głowie? Przeglądałam książki, próbując coś wybrać, gdy nagle zauważyłam, że mam o jedną więcej. Spojrzałam na tytuł i już wiedziałam, skąd się wzięła: Roberta Browninga „Wiersze zebrane”. Dawid musiał zabrać ją na dół i wsunąć chyłkiem między te, które kupiłam. Co za spryciarz!

Odrzuciłam jednak poezje i wybrałam kryminał. Obcięte głowy zbyt nachalnie kojarzyły mi się z zamordowanymi kwiatami. Powieść jednak okazała się nudna i gdy wykończyłam czekoladki (nadziewane dziwną kombinacją likieru, nugatu i marcepana), doszłam do wniosku, że wcale mnie nie obchodzi, kto zabił lorda Billingsgate’a.

Z utworów Browninga przypominałam sobie tylko „Moją ostatnią Księżnę”. Wiersz ten należał do lektur obowiązkowych w średniej szkole i wydawał mi się okropny, ale wtedy nie rozumiałam, dlaczego. Aby w pełni pojąć zimne, wysublimowane zło księcia, należało nabrać trochę doświadczenia. Kartkując książkę, znalazłam też inne wiersze, które znałam, ale nie wiedziałam, że napisał je Browning. „Bóg w niebie schowany / Świat jest urządzony”.^{*} Kto tak powiedział, Robercie Browningu? Rozpoznałam cytat, który podsłuchałam, kiedy poznałam Dawida: „Moja skrofuliczna francuska powieść / Na szarym papierze z rozmazaną czcionką...” Biedny brat Lawrence w swoim hiszpańskim klasztorze!

Przypominałam sobie, że Dawid mówił, jakoby Browningo — wie mieszkali we Florencji. Muszę go poprosić, aby pokazał mi ten dom, o ile jeszcze istnieje. Chociaż nigdy nie zależało mi na Robercie, uwielbiałam Elizabeth, zwłaszcza co bardziej sentymentalne sonety: „Jak cię kocham? — Poczekaj, wszystko ci wyłożę”.^{*} Robert musiał mieć jakieś wielkie zalety, by stać się inspiracją do takich słów.

^{*} „Piosenka Pippy” z dramatu „Pippa przechodzi”, tłum. Juliusz Żuławski

^{*} Tłum. Stanisław Barańczak.

Niebawem doszłam do wniosku, że sam też był całkiem niezłym poetą. Przeczytałam „Andrea del Sarto” i „Fra Lippo Lippi”, bo ich nazwiska coś mi mówiły — obaj byli florenckimi malarzami. Sporo opuściłam, wiersze wydały mi się strasznie rozwlekłe, ale znalazłam kilka naprawdę dobrych linijek. Zakończenie „Fra Lippo Lippi” wręcz podziało mi na wyobraźnię: stary łajdak wraca do klasztoru po nocy spędzonej w mieście bynajmniej nie na ćwiczeniach duchowych, kiedy zatrzymuje go straż. „Nie świeć, światła nie trzeba”, błaga. „Ulica jest już cicha i znam powrotną drogę. — Tylko mnie nie strasz! Szary wstaje już brzask...”*

Jakżebym chciała mieć pewność, że znam powrotną drogę. Zrobiłam już kilka chwiejnych kroków, ale koniec gubił się w ciemności i nic nie zapowiadało szarego brzasku.

Kiedy te odgłosy mnie obudziły, był sam środek głuchej nocy. Świecił księżyc, podkreślając kontury okna. Dźwięki dobiegały z wnętrza pokoju. Słuchałam, czując, jak włosy powstają mi na głowie.

W końcu usiadłam i zapaliłam lampę. Kulił się na podłodze tuż za progiem. Tak mocno ścisnął oburącz nogę krzesła, że aż mu knykcie zbieleły. Piżama uwydatniała każdą kruchą kosteczkę — była tak mokra, jakby stał w niej pod prysznicem. Nagły atak światła rozszerzył mu źrenice, zakrywając srebrzystoszare tęczęwki. Z wykrzywionych spazmatycznie ust wydobyło się tylko jedno słowo:

— Ratunku...

Podbiegłam i porwałam go w ramiona. Miał kości lekkie jak u ptaka i całym jego ciałem wstrząsały dreszcze.

— Pete! Na miłość boską, co z tobą, kochany? Co się stało?

— Nie pozwól im... Zęby dzwoniły mu tak mocno, że nie mógł wykrztusić nic więcej. Zakrzywione palce wpijały się we mnie jak pazurki kociaka.

— Nie bój się, nie pozwolę nikomu cię skrzywdzić. Już dobrze...

Niosąc go do łóżka szeptałam jakieś uspokajające słowa bez ładu i składu. Chciałam zawinąć chłopca w koc i na szczęście trzymałam go mocno, kiedy to się stało. Nagle wszystkie mięśnie zeszywniały mu w gwałtownym skurczu, twardej jak drewno. Ręce, dotąd we mnie wczepione, teraz zaczęły mnie bić. Płaska dłoń wymierzyła mi silny cios w policzek. W pierwszej chwili myślałam, że to atak epilepsji. Potem zobaczyłam jego twarz i aż się zachwiałam. Mało brakowało, a bym go wypuściła, gdy trafił mnie pięścią w głowę.

Upadliśmy na materac, przy czym ja znalazłam się na górze. Moje ciało unieruchamiało mu ramiona, ale nie przestawał walczyć, wijąc się i kopiąc z nadnaturalną siłą. Byłam cięższa o jakieś dwadzieścia pięć kilogramów, ale utrzymywałam go z najwyższym trudem. Nic więcej nie potrafiłam wymyślić ani zdziałać — tylko go trzymać i pilnować, żeby nie zranił mnie ani siebie, zanim atak minie. Ale w pewnych odstępach czasu — mogłabym na to przysiąc — w jego zwężonych w złości oczach pojawiał się błysk strachu czy zmieszania, jakby bezgłośnie błaganie o pomoc.

Atak przeszedł tak samo nagle, jak się pojawił. Pete zamknął oczy. Myślałam, że stracił przytomność, i już chciałam go uwolnić od mojego ciężaru, gdy czarne rzęsy zatrzepotały.

— Poszli? — zapytał. — Poszli?

— Nikogo poza mną tu nie było — odpowiedziałam, siląc się na spokój.

— Signora?

— Tak. Już dobrze, kochanie.

Mokre rzęsy zacisnęły się znowu. Przekreśliłam się i wzięłam go w ramiona.

— Wszystko w porządku. Teraz już wszystko w porządku.

* Tłum. Juliusz Żuławski.

Ale nie było w porządku. Nie patrzył na mnie. Zaryzykował tylko jedno szybkie spojrzenie, a potem przeczołgał się w najdalszy koniec łóżka i skulił się tam z rękami przyciśniętymi do oczu. Kiedy spróbowałam go dotknąć, wydał z siebie przeraźliwy pisk, jak królik osaczony przez psy.

Od czasu do czasu zerkałam na zegarek. Pete nie odrywał rąk od twarzy. Za oknem było jeszcze ciemno, gdy wreszcie zdecydował się otworzyć oczy. Siedziałam tak blisko, na ile się odważyłam, gotowa w każdej chwili go złapać w razie powtórnego ataku. Ale cokolwiek to było — przeszło. Jego pierś uniosła się w gwałtownym westchnieniu.

— Signora.

— Jestem.

Bolesnie wolno podniósł rękę. Ujęłam ją — ale nie o to mu chodziło. Wyszarpnął się i sięgnął mi do twarzy. Zaczął wodzić palcami, badając każdy rys, jak robią to niewidomi. On jednak widział. Jego oczy były skupione i czujne.

— To pani. Jestem bardzo śpiący...

— Ja także. Włóż pod kołdrę. Możesz tu zostać do rana.

Tarł niespokojnie oczy.

— Nie. Muszę być tam, u siebie. Muszę sprawdzić, gdzie jest Joe.

Poczułam bolesny skurcz w sercu. A jeśli Francesca miała rację? Jeśli uderzył kociaka tak samo jak mnie?

— Dobrze — powiedziałam. — Zaniosę cię.

Nie dałam jednak rady. Okazał się za ciężki, a schody za strome. Pokonaliśmy je wspólnie, wspierając się wzajemnie. Drzwi jego pokoju były zamknięte, ale nie na klucz. Kociaka nigdzie nie zauważyłam.

Pete podszedł prosto do szafy, a gdy ją otworzył, powitało go pełne wyrzutu miauknięcie. Niczym prawdziwy filozof, Joe spędził czas przymusowego zamknięcia na spaniu. Teraz wstał, przeciągając się tak, jak tylko koty potrafią — wygiął grzbiet w pałąk i usztywnił ogon. Pete opadł na podłogę.

— Nic mu się nie stało — mruknął. — Joe jest w po-rządku. Oni nie...

I w tym momencie zasnął. Złapałam go, gdy się osuwał, i zaniiosłam do łóżka. Joe z ważną miną udał się w stronę kuwety. Znalazłam w szufladzie czyste rzeczy i zmieniłam Pete'owi piżamę. Mięśnie miał rozluźnione jak każde śpiące dziecko. Rzęsy opadły miękko na policzki. Musiałam go podnieść, żeby włożyć mu ręce do rękawów i wtedy oczy na chwilę się uchyliły, a na ustach wykwitł uśmiech.

— Przyszedłem do ciebie — wymamrotał. — Zrobiłem to. Do ciebie.

Reszkę nocy spędziłam na dywaniku przy jego łóżku. Joe pomagał mi zachować przytomność, spacerując po mnie i skubiąc mi włosy. Dopiero gdy nastał świt, podniosłam się na ze — sztywniałe nogi. Dziecko spało głębokim, spokojnym snem, z kotem zwiniętym w kłębek za plecami. Przez zabezpieczone sztabą okno patrzyłam, jak cyprysy odcinają się coraz wyraźniej na tle szarego nieba. „Szary wstaje już brzask...” Ale nie tu. Nie w tym pokoju.

2

Nie spodziewałam się, że jeszcze zasnę, a jednak zasnąłam i to w jednej chwili, jakby mnie ktoś dzielił po głowie. Kiedy się obudziłam, poznałam z kąta padania promieni słonecznych, że musi być późno. Zaraz też przypomniałam sobie wszystkie koszarne wydarzenia minionej

nocy. Wskoczyłam z łóżka tak raptownie, że zakręciło mi się w głowie i musiałam na chwilę usiąść.

W końcu otworzyłam drzwi i wyjrzałam na korytarz. W domu panowała grobowa cisza, ale Emilia musiała wyczekiwać jakichś oznak życia z mojej strony, bo zjawiała się prawie natychmiast.

— Widzę, że signora się obudziła. Podać śniadanie?

— Proszę. Gdzie... gdzie są wszyscy?

— *Alla chiesa, signora.*

Z jej miny i tonu wynikało, że ja także powinnam być *alla chiesa*, ale ani mi się śniło przejmować zdaniem Emilii na temat mojej pobożności.

— A Pete... *il conte* także jest w kościele?

— *Si, signora. Naturalmente.*

Zamknęłam drzwi praktycznie przed samym jej nosem i opadłam na fotel. Oczywiście, *il conte* jest w kościele. Jakżeby inaczej.

Skoro tak, to wszystko w porządku. Dzieciak funkcjonuje normalnie. Nikt niczego nie zauważył.

Siedziałam, gapiąc się bezmyślnie w swoje bose stopy, póki Emilia nie wróciła z tacą. Kawa przywróciła mi zdolność rozumowania. Czyżby ten cały koszmarny incydent mi się przyśnił? Niestety moje obolałe mięśnie przeczyły temu wygodnemu rozwiązaniu. Na łydkach miałam sińce — ślady po kopniakach, a za uchem bolało mnie przy dotknięciu. Nie, to nie sen. Ale które dziecko po takim ataku potrafiłoby rano w pełni odzyskać siły? Jeśli wierzyć Francesce, Pete miał dotąd tylko dwa podobne napady, oddzielone od siebie kilkutygodniową przerwą. Czy były też jakieś inne, o których ona nie wiedziała? Może zwalczył je w samotności, zamknięty w swoim pokoju, albo szukał ratunku i pociechy u...

Właśnie: u kogo? „Przyszedłem do ciebie”, tak powiedział. Zdawał sobie sprawę, że nadchodzi atak. Zamknął kota w szafie, żeby nic mu się nie stało, i z trudem dowłókł się do mojego pokoju.

Chyba nie muszę tłumaczyć, że gdy doszłam do tego miejsca w swoich rozważaniach, łyzy od dłuższego czasu kapały mi do kawy. Otarłam twarz, krzywiąc się, gdy natrafiłam na następne czułe miejsce: ślad po wymierzonym ciosie.

Wiedziałam, że muszę zawiadomić Francescę. Wiedziałam — a jednak nie zamierzałam tego zrobić. Powinnam się wstydzić owego wyznania, nawet w świetle tego, co wydarzyło się później. Przecież to ni mniej, ni więcej tylko przestępcze zaniedbanie. Mimo to nie mogłam się zmusić, by zdradzić chłopca. To właśnie słowo wciąż nie dawało mi spokoju: zdrada. Przyszedł do mnie z Bóg wie jak wielkim wysiłkiem i odwagą. Co by zrobiła Francesca, gdyby dowiedziała się prawdy? Zamknęłaby go w pokoju, zwiększyła dawkę leków, tych samych starych środków, które już brał? Nie zauważyłam dotąd, aby jej metody okazały się szczególnie skuteczne.

Co za dziwny zbieg okoliczności, że nikt wczoraj nie zamknął drzwi. Ale takie rzeczy się zdarzają. Ktoś zapomniał — i tyle. Dzięki Bogu, że Pete o mnie pomyślał. Dzięki Bogu, że przyszedł do mnie, a nie do...

Za pięć dni miałam wyjechać.

Kiedy się wzięłam w garść, kawa była tak słona, że nie dało się jej pić. Uświadomiłam sobie, że sytuacja bynajmniej się nie zmieniła. Pete jest w nie gorszym stanie niż przed moim przyjazdem, a może nawet i w lepszym. Nawrotów choroby należało oczekiwać. To czysty egoizm z mojej strony, spodziewać się, że moja na pół amatorska terapia przywróci mu pełne zdrowie w ciągu jednej nocy. Takie rzeczy zdarzają się w filach, ale nie w realnym życiu. Dobrze by było pogadać z Sebastianem — poważnie, bez wymiany komplementów. To wszystko, co

mogłam zrobić, z wyjątkiem dołożenia wszelkich starań, by następnych kilka dni upłynęło Pete'owi jak najprzyjemniej.

Po czym wyjechać w poczuciu dobrze spełnionego obowiązku, zakpiło moje sumienie.

Co, u diabła, mogę zdziałać, pytał zdrowy rozsądek. Zabrałabym go ze sobą w jednej sekundzie, gdybym mogła. Ale nie mogę. Nie mam do tego prawa.

Sumienie nie miało na to odpowiedzi, ale nadal nie było zadowolone. Czułam niemal, jak rozpaczliwie burczy, niczym pusty żołądek. Puste sumienie jest znacznie bardziej kłopotliwe.

Ubierałam się właśnie, kiedy wrócili z kościoła. O ich przybyciu świadczyła awantura w holu — piskliwy głos Pete'a na przemian z powarkiwaniem Emilii.

Rzuciłam się do drzwi. Ścisnęła go za ramię, chociaż nie robił nic złego — tylko się wykłócał. Wyglądał jak mały model z kosztownego katalogu — koszula i krawat, wypolerowane buty, trzyczęściowy garnitur z białego lnu.

— Co tu się dzieje? — spytałam.

— Chciałem się z panią zobaczyć, skoro pani już nie śpi — odparł Pete.

— Zabroniłam mu przeszkadzać — tłumaczyła się Emilia.

— Wiedziałaś, że już nie śpię. Puść go.

— *Si, signora*. Jak pani sobie życzy.

Spojrzenie, jakim mnie obrzuciła, nie pasowało do tej potulnej odpowiedzi. Odeszła.

Wyglądał na zmęczonego. Pod oczami miał sińce. Patrzył na mnie nieśmiało spod tych fantastycznych rzęs.

— Wczoraj mi się pani śniła.

— Tak? Co to za sen?

Z trudem udało mi się wydobyć ten zdawkowy ton. Pete zmierzył mnie kolejnym przeciągłym spojrzeniem i wrzucił ramionami.

— A taki tam, śmieszny. Nie pamiętam. Co dziś robimy?

Wysłałam ostrożność i zdrowy rozsądek do diabła.

— Może wypuścimy się na festyn?

3

Francesca przychyliła się do mojej prośby i pozwoliła mi zabrać Pete'a na festyn, wyraziła tylko obawę, czy dam sobie radę w tłumie. Słyszała, że panuje tam ścisk, ludzie się popychają, używają wulgarnych słów, zaczepiają młode kobiety i tak dalej.

Jakbym słyszała Jima i Michaela, zanoszących się od śmiechu. Po meczach Celtics i Red Sox oglądanych z butelkami piwa, wśród wygrażania pięściami i fruujących w powietrzu epitetów mogłam śmiało stawić czoło rozbawionym tłumom. Wyjaśniłam, że wybiera się z nami Dawid.

Francesca skinęła głową z aprobatą.

— Tak, on się znakomicie nadaje. Dopilnuję, żeby został stosownie wynagrodzony.

Usuając się sprzed jej oczu, postanowiłam powtórzyć tę łaskawą uwagę Dawidowi. Na pewno setnie się ubawi.

Snuł się po kuchni, co bynajmniej mnie nie zdziwiło. Rosa piekła ciastka — kruche, brązowe, o boskim zapachu — on zaś wyjadał je gorące, wprost z blachy.

— Nie można powiedzieć, żeby ci się śpieszyło — powiedział kiedy weszłam. — Czy Pete... — urwał i utkwiał oczy w mojej twarzy.

— Co, aż tak źle? — spytałam.

— Wyglądasz jak ranek po wczorajszej nocy.

— Zbytek galanterii! Żle spałam.

— Hm.

— Wszystko załatwione. — Wręczyłam mu kluczyki. — Pójdę po Pete’a i spotkamy się przed frontowym wejściem.

Pete był tak podniecony, że Dawid nie zauważył jego zmęczenia. Jedliśmy najbardziej niestrawne paskudztwa — rzekomo amerykańskie „hot dogi” z jakiejś podejrzaną kiełbasą, przeróżne pizze, cukierki w kształcie biało — czerwonych, spiralnych pałeczek, piliśmy lemoniadę i inne słodkie napoje. Większość straganów i mechanicznych urządzeń rozrywkowych była jak zwykle w fatalnym guście, ale karuzela wyglądała wspaniale: prawdziwe drewniane koniki (w Stanach spotyka się takie tylko w muzeach), pieczołowicie wymalowane i pozłoczone. W ogóle nie przyszło mi na myśl, że będzie tam karuzela. Darłam się i okręcałam na swoim koniu, dzięki czemu udało mi się nie popaść w sentymentalny, nastrój, a Pete — jeśli nawet przypomniła mu się matka — to lepiej ode mnie potrafił trzymać swe uczucia na wodzy. Na karuzeli nie było żyraf, słoni czy lwów — same konie, niektóre białe.

Odbyłam dzielnie kilka przejażdżek, w tym na platformie z małymi autkami, które na siebie wpadały, kręcąc się rzygliwie wokół osi, po czym dałam za wygraną. Kiedy oświadczyłam obłudnie, że wolę teraz chwilę posiedzieć, Dawid rzucił mi znaczące spojrzenie, ale nic nie powiedział.

Pete oczywiście nie chciał słyszeć o powrocie. Jęczał i narzekał jak każdy normalny, niezdolny dzieciak, póki Dawid nie ostrzegł go spokojnie:

— Uspokój się, albo ci wleję.

Pete wyszczerzył zęby w uśmiechu.

— Zrobiłbyś to?

— Jasne.

— W po — rządku.

Nim zdążyliśmy ujechać dwa kilometry, zasnął jak kamień, zwinięty w kłębek, z głową na moich kolanach.

— Teraz będziesz mogła opowiedzieć wszystkim w domu, że oglądałaś słynne widoki z Fiesole. To bardzo popularne wśród turystów miejsce.

— Co tam jest do obejrzenia poza wesołym miasteczkiem?

— Nic specjalnego. Słynna katedra z freskami Rossello, nagrobki Mina da Fiesole i inne nudziarstwa.

— Jasne. Każda rozsądna kobieta wybrałaby podniebną kolejkę i obrzydliwe hot dogi.

— Możemy tam wrócić wieczorem. Zjemy kolację w jakimś cichym zakątku, powłóczymy się po placu w świetle księżycy...

— Nie mogę, naprawdę. I tak parszywy ze mnie gość, ale dziś muszę być miła dla gospodyni.

— No to kiedy indziej.

Po następnym kilometrze ja także spałam.

4

Obudziłam się, kiedy samochód stanął. Pierwszą osobą, na którą padły moje zaspane oczy, był Alberto otwierający bramę. Nie najlepszy to omen.

Podczas przejażdżki na drewnianym koniu oraz innych rozrywek udało mi się uśpić moje złe przeczucia. Teraz wróciły w pełnym wymiarze i musiałam sobie bez przerwy powtarzać, że staję się nadopiekuńcza. Nic nie wskazywało, że następny atak zdarzy się tak szybko po ostatnim ani że w ogóle musi nastąpić w nocy.

Kiedy Dawid zatrzymał się przed frontem, drzwi natychmiast się otworzyły. Stała w nich Emilia, ale nie była sama. Smukła, wyprostowana postać Franceski przecięła taras i zeszła ze schodów. Dawid mruknął:

— No tak.

Ona jednak zwróciła się z uśmiechem do Pete'a:

— Dobrze się bawiłeś?

Skinął głową. Nigdy się do niej nie odzywał, jeśli nie musiał. Z pewnością nie wystawiał mi dobrego świadectwa jako opiekunce: zaspany, ponury, z licznymi śladami po różnych „pysznościach”. Francesca obrzuciła go przeciągłym spojrzeniem.

— To widać — rzekła sucho. — Podziękuj pani i *il professore*, a potem idź z Emilią. Będziesz dziś dobrze spał.

— Nie wiem, czy zje coś na kolację — powiedziałam, obserwując małą figurkę, wchodzącą sztywno na schody.

— Myślę, że każdemu należy się czasem odrobina rozpusty — zauważyła Francesca. — Przyszedłam, żeby osobiście podziękować panu profesorowi za uprzejmość. Zapraszam pana na koktajl dziś wieczór.

Zabrzmiało to bardziej jak rozkaz niż zaproszenie. Zrozumiałam, że to właśnie miała być ta „odpowiednia” nagroda.

— Dobrze, proszę pani — odrzekł potulnie Dawid. — Bardzo dziękuję.

— O siódmej.

Odprowadziła go gestem tylko trochę mniej szorstkim niż Emilię czy Alberta, po czym zawróciła. Dawid mrugnął do mnie i przewrócił oczami, udając przerażenie.

Francesca czekała na mnie przy drzwiach, jakby chciała się upewnić, że nie zatrzymam się na pogawędkę z pomocnikiem. Powiedziałam jej, że mam rezerwację i wyjeżdżam w niedzielę.

— Zwrócę samochód na dworcu — dodałam. — Alberto nie musi mnie odwozić.

— Jak sobie życzysz.

A więc ta gadka, że chciałaby namówić mnie na zmianę zdania, to tylko przejaw kurtuazji. Moje obawy okazały się bezpodstawne. „Widzisz?” — szepnął cię siostry Urszuli. — „Najlepsza polityka to szczerłość. Gdybyś teraz przyznała się do tamtego...”

Zamknij się, siostrzysko Urszulo.

Kiedy wróciłam do mojego pokoju, zastałam niespodziankę. Wazon umieszczono przy oknie i zachodzące słońce padało prosto na kwiaty, nadając im połysk szlifowanych granatów. Nie rubinów; róże miały odcień bardzo ciemnej czerwieni. Nie załączono żadnego bileciku.

Jeśli to przeprosiny, to niewystarczające. Jeśli upomnienie, to ktoś tu sobie stanowczo za dużo pozwala. Przesunęłam wazon w ciemny kąt i padłam na łóżko, by się zdrzemnąć.

Punktualnie o siódmej zeszłam na dół umyta, uczesana i stosownie odziana. Miałam nadzieję, że Dawid dotrzyma mi kroku oraz że powstrzyma nieco swoje kontrowersyjne poczucie humoru.

Przynajmniej się nie spóźnił. Zdażyłyśmy zamienić tylko parę słów, kiedy się zjawił, eskortowany przez Emilię. Trudno byłoby orzec, które z nich miało bardziej ponurą minę. Patrzałam na niego z rozpaczą. Był domyty, ale czy wyglądał porządnie? To zależy, jak się to słowo rozumie. Ze szczątków niegdyś barwnej sceny na jego T-shircie wydedukowałam, że była to pamiątka wizyty w jednym z naszych parków narodowych. Kolory wprawdzie spłowiły, ale pozostał kontur góry.

Francesca nie traciła czasu.

— Jak się posuwa pańska praca, profesorze?

— Och, świetnie. Super. Znajduję najrozmaitsze rzeczy...

— Jakiego rodzaju rzeczy?

W jej głosie pojawił się ton lekkiego zniecierpliwienia. Dawid wyglądał na przerażonego. Wybrał sobie za małe krzesło i usadowił się na samym brzeżku ze ściśniętymi kolanami. Trzymał kieliszek z winem, jakby to była puszka piwa. Poza i mina świadczyły o wręcz przesadnym skrępowaniu — ot prostak ze wsi, jak słoń w składzie porcelany. Zaczynałam podejrzewać, że to tylko gra.

— Hm... No więc... Pracuję teraz nad kolekcją egipską. Jak dotąd nie znalazłem nic ciekawego poza koptyjskimi haftami...

— Haftami? — Twarz Franceski wyraźnie się ożywiła.

— Koptowie to egipscy chrześcijanie. Nosili bogato haftowane szaty, haftami zdobili także poduszki i zasłony. Te kawałki, jakie się zachowały, pochodzą głównie z trzeciego do siódmego wieku, chociaż niektóre nawet z pierwszego. Suchy klimat wyraźnie im służył...

Głędził w tym stylu dalej, tak sztywno i sucho, jakby czytał z podręcznika, póki Francesca mu nie przerwała:

— Chciałabym je obejrzeć.

— Och... no tak, oczywiście. Właśnie je czyszczę, Kathy pani opowie. To powolny proces, trzeba używać specjalnych chemikaliów i destylowanej wody, potem suszyć...

— Ile czasu to panu zajmie?

Nie miałam pretensji, że mu przerwała, bo inaczej gadałby tak bez końca. Co mnie zastanowiło, to jej apodyktyczny ton. Dawid zamrugał oczami.

— Jeszcze kilka dni. Jest jeszcze jeden karton, którego nawet nie otworzyłem i to może...

— Przykro mi, ale cokolwiek pan robi, musi być zakończone do końca tygodnia. Jeszcze trochę wina, profesorze?

— Ee... dziękuję.

— Wyjeżdżam na jakiś czas — wyjaśniła Francesca. — Dom będzie zamknięty.

Zdumiałam się niewiele mniej niż Dawid. Nie wspomniała mi o takich planach. Nagle przemknęło mi przez głowę straszliwe podejrzenie. Chyba nie będzie ścigać mnie i hipotetycznego embriona aż na pustkowie zachodniego Massachusetts!

Francesca mówiła dalej:

— Na początku nie określiliśmy dokładnie czasu pańskiego pobytu. Nie miałam wtedy żadnych planów, ale teraz sytuacja się zmieniła. Mam nadzieję, profesorze, że nie sprawi to panu kłopotu.

— Tak, tak... To znaczy, nie... Jak pani wygodnie, oczywiście. Do końca tygodnia?

— Do tego czasu będzie pan mógł skończyć to, co pan rozpoczął — powiedziała beztrząsko.

— Zawiadomi mnie pan, kiedy te hafty będą gotowe?

— O, z pewnością.

Pozwoliła Dawidowi skończyć wino, po czym doholowała go do drzwi.

Wiedziała, że nie zmrzę oka, póki nie dowiem się, co ona knuje. Moje niespokojne sumienie mogło mnie nawet skłonić do przedwczesnej ucieczki. Wymknąć się o północy na dół z butami w rękę, potem szybka jazda do Florencji, poprosić Angela o pokój, sekret, nikt mnie tam nie znajdzie...

Zaczęłam z subtelną godną Machiavellego:

— Francesco, mam nadzieję, że nie przeszkadzam ci w twoich planach. Jeśli chcesz wyjechać wcześniej, to przecież mogę przenieść się do hotelu.

— Nie, to nie o to chodzi. Ten pomysł przyszedł mi do głowy dopiero, kiedy powiedziałaś, że wracasz do domu.

Niewesoło. Odpuściłam sobie subtelności.

— Dokąd się wybierasz?

— Jeszcze nie wiem. Szwajcaria, może Austria... Paryż jest teraz nie do wytrzymania.

Poczułam tak wielką ulgę, że pozwoliłam sobie na żart:

— Za dużo amerykańskich turystów?

— W ogóle za dużo turystów — poprawiła mnie bez uśmiechu. — Nie jestem uprzedzona do Amerykanów. Znam kilkoro bardzo sympatycznych.

„Paru moich najlepszych przyjaciół...” Nie powiedziałam tego głośno. Jej poczucie humoru nie było zbyt przesadne. Ale moją egoistyczną euforię podkopało nowe zmartwienie.

— A co z Pete’em? — zapytałam.

— Wszystko się załatwi.

Przypuszczam, że zapytałabym z głupia frant, co mianowicie się załatwi, ale nie dała mi czasu. Nacisnęła dzwonek i powiedziała milutko:

— Mam nadzieję, że nie przesadziłaś z jedzeniem w mieście. Rosa przygotowała dziś moje ulubione danie.

W domu nazywaliśmy to danie zapiekanką z owoców morza, ale arcydzieło sztuki kulinarnej, polane delikatnym sosem o zapachu wina, absolutnie nie zasługiwało na tak trywialne miano. Francesca była w znakomitym humorze, wymknęło się jej nawet kilka suchych, cynicznych dowcipów. Właśnie kończyliśmy deser — jeszcze jedno boskie danie na bazie malin i bitej śmietany, kiedy nagle powiedziała:

— To dobrze, że tak bardzo interesujesz się Piętrzem. Masz silny instynkt macierzyński.

Wolałam odwieść ją od tego toku myśli.

— To miłe dziecko — powiedziałam oględnie.

— Chciałabyś się z nim spotkać w przyszłości?

— Tak, bardzo bym chciała.

— Zobaczymy, czy da się to jakoś zorganizować.

Uśmiechała się tak, jakby chowała w zanadrzu jakiś sekret.

Wymówiłam się wcześniej pod pozorem, że jestem zmęczona, i przynajmniej raz powiedziałam prawdę. To był ciężki dzień po jeszcze cięższej nocy. A jednak zamiast udać się prosto do swojego pokoju, powędrowałam na poddasze. Spodziewałam się, że Pete będzie już spał, ale kiedy przytknęłam ucho do drzwi, usłyszałam głosy, więc zapukałam.

Nieznany kobiecy głos odpowiedział mi po włosku. Wydedukowałam, że zaprasza mnie do wejścia, co też uczyniłam.

Była to *tuttofare*, zapomniałam jej imienia. Siedziała na łóżku, obserwując Pete’a, który bawił się zawartością tacy spoczywającej na jego kolanach. Kiedy mnie zobaczyła, szybko wstała.

— Hallo — powitał mnie Pete z wyraźnym zadowoleniem — Pochorowałam się.

— Pocho... och, wcale mnie to nie dziwi. Te wszystkie paskudztwa i jeszcze kolejka.

— Wszystko poo-szło! — podkreślił słowa gestem. — Pizza, hot dog, lody...

— Mniejsza o to, potrafię sobie wyobrazić. Aż za dokładnie.

— Więc teraz kazali mi zjeść to — wykrzywił się do miseczki na tacy. Zawartość była jakąś białawą mazią. — A ja nie chcę.

— Nie winiłabym cię za to. Jest takie niedobre, jak wygląda?

— Proszę spróbować. — Podał mi kopiastą łyżkę.

— Dobrze, ale i ty spróbujesz.

Tuttofare chichotała w kułak, kiedy na zmianę jedliśmy kleik. Nie był taki zły, właściwie w ogóle nie miał smaku. Kiedy została połowa, powiedziałam:

— To powinno wystarczyć. Czy ona czeka na tacę?

Powieki opadły.

— Ona zawsze czeka.

Żadnych noży, żadnego szkła — pokazałam dziewczynie gestem. Podniosła tacę, ruszyła do drzwi, ale nagle odwróciła się i coś jeszcze powiedziała.

— Pyta, czy pani tu zostanie — przetłumaczył Pete.

— Tak. *Si*.

Zaczęła coś mówić, ale urwała i parsknęła nerwowym śmiechem.

— Przypomina, żeby pani na pewno zamknęła drzwi na klucz.

To nie była jej wina. Dziewczyna tylko słuchała poleceń. Odprawiłam ją skinieniem głowy i wymuszonym uśmiechem.

Pete wstał i otworzył szafę. Po chwili wyskoczył stamtąd Joe z wyprostowanym ogonkiem, ruszając z oburzeniem wąsami.

— Kazała mi tam go wsadzić, żeby nie ruszał mojego jedzenia — wyjaśnił Pete.

— Wracaj do łóżka, okryję cię kocem. Na pewno jesteś zmęczony.

— Tak, ale to był dobry dzień.

Joe uznał proces otulania za zaproszenie do jeszcze jednej zabawy. Rzucił się na moje dłonie i przeturlał na koc. Kocie figle nas rozweseliły, ale ja wciąż myślałam o tym cholernym kluczu. Kiedy już pogasiłam światła, zostawiając tylko lampkę przy łóżku, podjęłam decyzję.

— Nie zamknę drzwi na klucz, jeśli nie chcesz.

— Proszę zamknąć.

Nie widziałam jego twarzy oprócz bladego owalu poza kręgiem światła.

— Na pewno tego chcesz?

— Tak. I proszę zabrać klucz.

ROZDZIAŁ 8

1

Rano zadzwoniłam do Sebastiana, żeby mu podziękować za kwiaty... a także z innych powodów. Pielęgniarka poinformowała mnie, że jej szef wraca dopiero we wtorek. Pożegnałam się i odłożyłam słuchawkę, nie podając nazwiska.

Może to i lepiej, pomyślałam sobie. Wiedziałam aż za dobrze, jak trudno jest rozmawiać z psychiatrą podczas godzin pracy. Ja potrzebowałam mnóstwa czasu i niepodzielnej uwagi Sebastiana. We wtorek mieliśmy zjeść razem kolację. To jeszcze jeden dzień. I jedna noc.

Kiedy zesłam na śniadanie, Francesca pracowała przy biurku. Przeprosiła mnie:

— Tyle jest spraw do załatwienia, gdy się wyjeżdża na dłużej. Ale zależy mi, Kathleen, żeby ci pokazać to i owo w mieście. Co byś powiedziała na małe szaleństwo we Florencji — zakupy, fryzjer i tak dalej?

Nigdy nie widziałam jej tak młodzieńczej i beztroskiej. Pomyślałam sobie, że prawdopodobnie cieszy ją perspektywa uwolnienia się od kobiety, która przychodziła na kolację.

— Chyba rzeczywiście powinnam odwiedzić salon piękności — przyznałam, wygładzając niesforne loki. — Muszę obciąć włosy.

— Tylko podstrzyc i wymodelować. Szkoda obcinać na krótko takie piękne włosy.

— Z przyjemnością pojedę z tobą do Florencji — powiedziałam, nie podtrzymując tematu mojej fryzury. — Pozwól, że cię zaproszę na lunch.

— Ty jesteś moim gościem. Więc dziś?

— Świetnie.

Po śniadaniu zostawiłam Francescę przy listach, a sama wywędrowałam na taras. Co za śliczny poranek! Kwiaty wyskakiwały z ziemi niemal na moich oczach i aż mnie palce świerzbiały, żeby dorwać jakąś motylkę. Uwielbiam grzebać się w ziemi, chociaż oskarżano mnie często, że nie odróżniam sadzonki od chwasta. Jeden z uroków mojego małego domku na wzgórzu stanowił miniaturowy ogródek. Spojrzałam na ręce. W ciągu ostatnich miesięcy stały się białe i miękkie — jak u damy.

Widok pomocnika Alberta, który pracował przy frontowych rabatkach, stłumił w zarodku moje ogrodnicze ambicje. To nie jego wina, że jest tak żalostną kreaturą, ale mnie denerwował.

Zwróciłam klucz do pokoju Pete'a jeszcze o świtanie. Nie mogłam się powstrzymać, by przy okazji nie zajrzeć do środka. Spał smacznie, zwinięty w kłębek wokół kota, który — jak to kot — usadowił się na samym środku łóżka.

Postanowiłam wyciągnąć go z domu na dodatkową godzinę futbolu, prania antyków czy na co tam przyjdzie mu ochota. Nie miał dziś wizyty u lekarza i na pewno mu nie zaszkodzi, jeśli opuści godzinę takich lekcji, jakie przewidziała dla niego Francesca.

Rozjaśnił się na mój widok i zdecydowałam, że dziś mu jeszcze nie powiem o swoim wyjeździe. Nie uczył się — gruby tom historii Włoch leżał charakterystycznie powyginany pod ścianą, a Pete bawił się z kotem papierkiem na sznurku.

— Zagramy w futbol? — spytał na powitanie.

— Naprawdę powinieneś się uczyć. A zresztą, do licha z tym. Jest stanowczo za ładnie, by siedzieć w domu.

— Poszukamy Dawida? W trójkę gra się lepiej.

— Prawdopodobnie jest u siebie i pierze szmatki — powiedziałam, przypominając sobie ultimatum Franceski. — Możemy zejść tam i zobaczyć, czy ma czas na zabawę.

Joe na pewno chętnie poszedłby z nami. Kiedy zamknęliśmy mu drzwi przed nosem, zamiauczał rozpaczliwie. Pete wyjaśnił z powagą:

— Nie wypuszczam go z pokoju. Boję się, że ucieknie.

— Świetnie o niego dbasz — pochwaliłam go.

— Dawid mnie nauczył. Dopóki zwierzak jest mały, zachowuje się nierozsądnie. Na dworze jest mnóstwo niebezpieczeństw: samochody na drodze, dzikie zwierzęta w lesie albo nawet...

Nie dokończył zdania. Nie mówiłam mu o Albercie i psie, bo czułam, że to zbyt drastyczna opowieść dla dziecka. Albo Dawid wspomniał o potencjalnym niebezpieczeństwie ze strony zwierzęcia, albo Pete sam potrafił to sobie wyobrazić.

— Dawid mówił także — ciągnął — że Joe mógłby wspiąć się na drzewo, a potem nie umiałby zejść. To prawda? Skoro koty potrafią wchodzić na drzewa, to czemu nie mogą zejść?

Wyjaśniłam mu to, co wiedziałam o fizjologii tego zjawiska, dodając na pociechę, że większość kotów po pewnym czasie jakoś schodzi. Nie opowiedziałam jednak o pewnym naszym słabo rozgarniętym kocie, który naprawdę nie mógł dać sobie rady. Raz trzy dni siedział na wielkim platanie przed domem, uodparniając nasze serca na swoje przeraźliwe piski, kiedy wszystkie starania, by go ściągnąć, zawiodły. Mama upierała się, że zwierzak zejdzie, gdy zgłodnieje, ale nawet ona odetchnęła z ulgą, kiedy ostatecznie Michael zniósł starego Billa, ryzykując życie, a przynajmniej połamanie nóg.

Pete i ja przystanęliśmy na podwórku stajennym, wrzeszcząc na Dawida. Wreszcie w oknie ukazała się jego głowa.

— O co ten hałas? Czemu nie idziecie na górę?

— Myśleliśmy, że jesteś zajęty — wyjaśniłam.

— A poza tym wrzeszczeć jest przyjemniej — dodał Pete.

— Racja. Hej, ludzie, czy nie nazbyt ranne z was ptaszki?

— Szkoda takiego ładnego dnia na siedzenie w domu — odrzekł Pete.

— Racja po raz wtóry. Schodzę za dziesięć minut. Muszę skończyć tę partię.

Przerwa była mi na rękę, ponieważ zyskiwałam czas na zadanie chłopcu kilku pytań. Łamałam sobie głowę nad enigmatyczną uwagą Franceski — że niby będę miała okazję znów spotkać się z Pete'em, a także nad ewentualnym wyjaśnieniem, które przyszło mi na myśl.

Usiadłam na ławce. Pete kręcił się w pobliżu, kopiąc piłkę.

— Mówiłeś coś o swojej ciotce Verze — zagaiłam.

— Tak, to siostra mojej mamy. Idź w tamten koniec, to będę ci podawał.

— Za chwilę. — Złapałam go za rękę i pociągnęłam na ławkę. — Jak ona się nazywa?

— Już mówiłem. Ciotka Vera.

— Czy ona nie ma nazwiska?

— Ależ ma! Takie śmieszne... Hassel — berg. Jej mąż to wujek Ben Hasselberg.

— Gdzie mieszka?

— W Ameryce.

Pete zaczął się wiercić. Chciał już zejść z tej ławki.

— Gdzie w Ameryce?

Wreszcie wycisnęłam to z niego. Ciotka Vera i wujek Ben mieszkali albo w samej Filadelfii, albo gdzieś w pobliżu.

— Tam chodziłem do szkoły — dodał. — Filadelfia. Musiałem zapamiętać numer domu, na wypadek, gdybym się zgubił.

Jakaś rozsądna kobieta, ta ciotka Vera. Zapisałam sobie adres i nazwisko.

— Czy to u nich mieszkałeś? Myślałam, że oddali cię do szkoły z internatem.

— Takiej, co się w niej mieszka? Tak właśnie było, ale wakacje i weekendy spędzałem u cici. — Umilkł na chwilę. Miał smutne oczy i kąciki ust mu opadły, pewnie pod wpływem wspomnień. — Podobało mi się tam. Moi kuzyni są starsi, ale czasem się ze mną bawili. Evan chciał mnie nauczyć gry w koszykówkę, w swojej szkole uchodził za gwiazdę. A kiedy w lecie przyjechał wujek Don, zamierzał uczyć mnie baseballu. On także w swojej szkole był gwiazdą. I ciocia Vera pozwalała mi bawić się z kotami i psami, i tam był Bruno, a ja miałem być szczeniakiem...

Zrozumiałam, że chcieli go zapisać do skautów, więc zapytałam:

— Cub Scout?*

— Tak. Oni noszą wojskowe ciuchy.

— Wieczny samiec! — westchnęłam.

— Co? O, jest Dawid! Szybko, Dawidzie, jesteście gotowi!

Skoczył na powitanie swego partnera, a ja siedziałam, przetrawiając to, co mi powiedział.

To tylko domysł, ale chyba zrozumiałam, dlaczego Francesca odpowiedziała wymijająco na pytanie o testament jej syna. Może sporządził taki dokument, a może nie, ale poważnie wątpiłam, czy chciał, by matka została prawną opiekunką Pete'a. Guido i jego żona mogli przecież posłać chłopca do szkoły we Włoszech, w pobliżu jego babki, tak żeby miał ją przy sobie w razie choroby. A jednak wybrali szkołę w Stanach, niedaleko rodziny ze strony matki. Po śmierci rodziców Francesca zabrała chłopca od Hasselbergów. Zgodzili się dobrowolnie, czy też po prostu go uprowadziła? Zawłaszczenie stwarza korzystną sytuację prawną, a poza tym ekstradycja dziecka z obcego kraju, gdzie przebywa ono pod opieką bliskiej krewnej to bardzo skomplikowana sprawa, zwłaszcza gdy dziecko jest obywatelem tego kraju...

Jak dotąd nie miałam żadnego dowodu, chociaż nasunęło mi to pewien pomysł, który mógł ukoić moje wzburzone sumienie. Zaraz po powrocie nawiążę kontakt z Hasselbergami. Jeśli Pete'a zabrano wbrew ich woli i jeśli chcą go odzyskać, to chętnie w tym pomogę.

Może jednak nie będzie takiej konieczności. Może Francesca sama chce oddać chłopca krewnym i to właśnie miała na myśli. Może działała pod wpływem impulsu, nie zastanawiając się, w co się pakuje. Uznawszy dziecko za dopust boży i niepotrzebny kłopot, z największą chęcią przekaze je komuś innemu.

Tego dnia na boisku przeszłam samą siebie. Nawet Pete był pod wrażeniem.

— Może pewnego dnia zostaniesz quarterbackiem — obiecał łaskawie. — Jak jeszcze trochę poćwiczysz. Patrz, piłkę trzyma się tak, sznurówkami w tę stronę...

Teorię miał w małym palcu, ale ręce zbyt małe, by objąć całą piłkę. Zapamiętał słowo w słowo wykład kuzynów o sporcie, chociaż nie dawał sobie rady z historią. Tacy są chłopcy, niezależnie od wieku i narodowości — niektórzy spośród moich najgorszych uczniów potrafili wyrecytować z pamięci dane na temat meczów rozegranych dawno przed ich urodzeniem, wraz z takimi szczegółami jak wzrost, waga i doroczne wyniki Bronka Nagurskiego.

Zanim skończyliśmy grać, niebo zasnuło się chmurami i na odsłoniętych ramionach poczułam chłodny powiew.

— Znosi się na deszcz — oświadczył Dawid ze złośliwą satysfakcją, jaką niektórzy ludzie wykazują przy ogłaszaniu złych nowin.

— Cholera. Ty pewnie uważasz, że w czasie wakacji zawsze ma świecić słońce?

* Cub (ang.) — szczeniak; Cub Scout — młodszy skauci, zuchy.

— Pogoda jest zupełnie nienormalna — rzekł z namaszczeniem. — Zwykle leje przez cały kwiecień i maj. Naiwnym turystom wydaje się, że Włochy to słoneczny, na pół tropikalny kraj, a tymczasem w północnych rejonach mamy taki sam klimat jak...

— Jak u nas — dokończyłam i zadrżałam. — Chodź, Pete, lepiej wróćmy do domu. Spocieś się i jeszcze się przeziębisz.

— Jeśli nie macie nic lepszego do roboty, to przyjdźcie mi pomóc — zaproponował Dawid. — Mam mnóstwo roboty przed...

Potrząsnęłam ostrzegawczo głową. Chłopiec pobiegł przodem i dopiero po chwili wyjaśniłam po cichu:

— Nie wie, że wyjeżdżamy. Nie chcę mu nic mówić, póki się nie dowiem, co z nim zrobią.

— Jaśnie pani nie raczyła cię poinformować?

— Jeszcze nie.

— To dziwne, co?

— Niezupełnie. Ona tu rządzi, a nie zwykła omawiać z nikim swych planów.

— Hm...

Prawidłowo odczytałam ten dyplomatyczny pomruk.

— Posłuchaj, dowiem się tego. Jeśli mi sama nie powie, zapytam wprost. Ona nie przywykła do dzieci. Nie zdaje sobie sprawy, że powinno się je starannie przygotowywać do drastycznych zmian w ich życiu. Mam wrażenie, że zaplanowała to jako niespodziankę... przyjemność, więc pewnie jest to coś, co chłopiec lubi.

— Hrabina może pojmować przyjemność inaczej niż dziecko — zauważył sucho Dawid.

— Powiedziała, że się dowiem. Chociaż właściwie to nie mój interes.

— Ani mój?

— Jesteś wścibski, apodyktyczny drań, no nie? Porozmawiam z Francescą jeszcze dzisiaj. Jedziemy razem na zakupy... Mój Boże! Jedziemy do miasta, muszę się przebrać.

— Weź płaszcz od deszczu — poradził mi na pożegnanie. Padało, mocno i uporczywie, przez całe popołudnie, ale nie potrzebowałam żadnego płaszcza. Pieniądze i pozycja potrafią ochronić człowieka nawet od złej pogody. Alberto woził nas z miejsca na miejsce, parkując przed samymi drzwiami z jawnym pogwałceniem wszelkich przepisów, którymi we Włoszech i tak nikt się specjalnie nie przejmuje. Jeśli miałyśmy do pokonania choć pół metra wolnej przestrzeni, rozpiął nad nami wielki czarny parasol i przeprowadzał przez niebezpieczną strefę. Zamiast cieszyć się z tego, chciałam wyrwać mu ten parasol, zamknąć go i wystawić twarz na zimne krople.

Obiad zjadłyśmy bez pośpiechu w niewielkiej restauracji. Ta, do której zabrał mnie Sebastian, wyglądała przy niej jak spelunka. Chyba był to jakiś prywatny klub — Francescę witano tam, jakby należała do rodu Medyceuszy. Nie miałam sposobności, by poruszyć temat Pete'a, gdyż w pobliżu ciągle uwijało się co najmniej dwóch kelnerów.

Następny przystanek wypadł u fryzjera. Lokal przypominał bardziej klinikę niż salon piękności. Poważny jegomość w średnim wieku o manierach dyplomaty zlustrował mnie wzrokiem, po czym wdał się w cichą dyskusję z Francescą. Ja siedziałam w tym czasie z boku, czując się jak pacjentka, która zbyt długo zwlekała z rozpoczęciem kuracji. „Gdyby szanowna pani zwróciła się do mnie sześć tygodni temu, mógłbym uratować jej nogę”. Miałam wrażenie, że tych dwoje nie zgadza się ze sobą, chociaż nie nadażalam za potokiem włoskich słów. Ostatecznie dyplomata wyrzucił ręce w górę, a Francesca uśmiechnęła się do mnie i zniknęła w sąsiedniej kabinie.

Kiedy sobie poszła, odważyłam się powiedzieć dyplomacie, że życzę sobie obciąć włosy na krótko. Najwyraźniej nie zrozumiał moich energicznych gestów, bo zostawił je z tyłu długie do

ramion, potrząsając stanowczo głową, gdy sugerowałam na migi użycie nożyczek. Musiałam dać za wygraną. W rezultacie wygląd mojej głowy z pewnością poprawił się o sto procent.

Francesca czekała na mnie przy wyjściu. Wyglądała dokładnie tak samo jak przedtem — każdy włoszek na swoim miejscu. Zrozumiałam, że o to jej właśnie chodziło. Kiedy sięgnęłam po portmonetkę, zacisnęła mi palce na dłoni.

— Pozwól, Kathleen, że sama to załatwię.

W pewnych kręgach (nie moich) nie wypada kłócić się o pieniądze. Nie czułam się tu u siebie, więc ustąpiłam. Dopiero przy następnym punkcie programu, kiedy zrozumiałam, co Francesca zamierza, zapomniałam o dobrych manierach.

Weszłyśmy do sklepu z ubraniami. Z początku nie połąpałam się w tym, bo lokal sprawiał wrażenie wytwornego salonu i w polu widzenia nie dostrzegłam ani jednej sztuki garderoby. Kiedy zajęłyśmy miejsca, z zaplecza wyłoniło się kilka młodych kobiet, które przechadzały się przed nami, prezentując stroje. Lubię ciuchy. Nie są dla mnie tylko osłoną przed zimnem, wilgocią czy aresztowaniem — po prostu lubię ładne rzeczy. Takich jak tu nigdy dotąd nie widziałam. Nawet moje niewycwiczone oko dostrzegło genialny krój i wykończenie najprostszego kostiumu. Tkaniny były wręcz zmysłowe — wełny mięciutkie i lekkie niczym jedwab, jedwabie połyskujące ukrytym światłem, czyste lny, nawet kilka sztuk ze zwykłej bawełny (pewnie jako stroje do szorowania podłóg) odznaczało się gładkością, znamionującą doskonałość gatunku, który kojarzył mi się z firmami w rodzaju Liberty of London.

Tak mnie to wszystko zachwycało, że dopiero po pewnym czasie zorientowałam się, że obok toczy się rozmowa na temat mojego wieku i rozmiarów i że prezentowane stroje nie odpowiadają konserwatywnym gustom Franceski. Podczas parady modelek kilka razy pytała mnie o zdanie, ale wtedy myślałam, że chce wybrać coś dla siebie. Nagle powiedziała tonem nie — znoszącym sprzeciwu:

— Proszę o ten brzoskwiniowy zamsz... to chyba odpowiedni dla ciebie odcień. Poza tym błękitny len, bursztynowy jedwab i aksamitny płaszcz.

— Francesco...

— Przymierzanie to koszmar, wiem. Ale musimy zrobić to dzisiaj, jeśli wszystko ma być gotowe na czas.

— Nie. Ty... twoja hojność mnie przytłacza, naprawdę... Ale nie mogę ci pozwolić...

— To nie jest żaden podarunek, Kathleen. — Umilkła na wystarczająco długą chwilę, bym zdążyła zaczerwienić się z zakłopotania. — Jako żona Bartolommea, masz prawo do wszystkiego, czego wymaga twoja pozycja.

Taka myśl nigdy nie przyszła mi do głowy. Bart zawsze miał dość pieniędzy na wszystkie swoje zachcianki, ale kiedy p^o wypadku ojciec sprawdził w moim imieniu wszystkie aktywa, okazało się, że składają się tylko z paru dolarów na rachunku bankowym i małej polisy ubezpieczeniowej, z której opłaciłam podróż.

— Uważasz, że jego ojciec... — wyjąkałam.

— Później ci wyjaśnię. Idź, proszę, i przymierz te stroje. Jeśli podoba ci się coś jeszcze...

Weszła ze mną do przymierzalni, razem z krawcową i właścicielką salonu. Nie mogłam brnąć dalej w kłótnię przy obcych.

Ciągnęło się to w nieskończoność. Obracałam się w kółko, podnosiłam i opuszczałam ręce, zastanawiając się jednocześnie, co, u diabła, mam robić. To, że nie mogę przyjąć tak hojnego prezentu, pozostawało poza dyskusją. Miałam tylko mgliste pojęcie, ile milionów lirów kosztuje ta kolekcja. Nic dziwnego, że Francesca nie zapraszała żadnych przyjaciół oprócz doktorostwa. Na pewno wstydziła się mojego wyglądu.

Kostium wymagał kilku poprawek. Francesca wypatrzyła prawie niedostrzegalną faldkę w poprzek pleców, zauważyła też, że wcięcie w talii żakietu wypada zbyt nisko. Według mnie leżał idealnie; nigdy dotąd nie mierzyłam, a tym bardziej nie posiadałam tego rodzaju kreacji. Obraz w lustrze spowodował nie jedną, ale kilkadziesiąt zmarszczek na moim postanowieniu. Może Bartowi przypadły w udziale jakieś rodzinne pieniądze. Czemu nie miałabym uwierzyć Francesce na słowo, zwłaszcza że tak bardzo się przy tym upierała?

Kiedy opuszczaliśmy sklep, nadal byłam niezdecydowana. Francesca uznała, że mój otepiąły wyraz twarzy i nieprzytomne zachowanie są wynikiem zmęczenia, i zaproponowała filiżankę kawy.

— Nie cierpię miar — zwierzyła mi się jak koleżance. — Ale to konieczność, przynajmniej ponosisz te rzeczy jakiś czas.

Jak długo? Dopóki nie odwiedzę mojego ulubionego domu mody w Paryżu, żeby uzupełnić letnią garderobę? W każdym razie te miary stanowią dowód, że Francesca wyzbyła się mrzonek na temat mojej rzekomej ciąży. Potrafiła przecież liczyć tak samo jak ja. Gdybym spodziewała się dziecka, stroje, które przed chwilą zamówiła, przestałyby pasować po paru tygodniach. Nikt, nawet zepsuta arystokratka posiadająca coś więcej niż zrujnowaną rezydencję, nie trwoniłby takich sum na ciuchy, które lada chwila staną się za ciasne, a w przyszłym roku wyjdą z mody.

Naprawdę?

Mniejsza o to. Ważne, że pogodziła się z moim nieuchronnym wyjazdem bez dyskusji i pretensji. Czy ma coś na sumieniu, że szarpnęła się na tak kosztowny podarunek? Zaczęłam dla zabawy snuć fantazje. Bart został dziedzicem ogromnej fortuny, którą ona zagarnęła, sprawując funkcję opiekunki Pete'a; arystokratyczny kochanek tylko czeka, żeby się pozbyć intruza... najlepiej za pomocą łapówki, żeby się czasem nie rozmyśliła... Pierwsza część to czyste urojenie, ale kochanek jest całkiem prawdopodobny. Francesca nadal wygląda stosunkowo młodo i bardziej niż stosunkowo atrakcyjnie. Może o to właśnie jej chodzi — ma się spotkać w szwajcarskim zaciszu z jakimś włoskim lub niemieckim hrabią?

Takie oto spekulacje zajmowały mój umysł po drodze do domu. Francesca milczała, prawdopodobnie zmęczona wybieraniem strojów, a gęsta mgła i deszcz wykluczały wychwalanie widoków. Mgła zasnuła ociekające wodą pnie drzew, w zaroślach kłębiły się upiorne pasemka. Przyjemnie wejść z takiego mroku i wilgoci do pokoju, w którym na kominku buzuje ogień. Nie mogłam się wprost doczekać spokojnego wieczoru z książką.

Schodząc na kolację, zabrałam kupiony dla Franceski haft. Kusiło mnie, by go wrzucić do walizki, w końcu to takie byle co, zwłaszcza po dzisiejszym dniu... „To nie podarunek, jest w tym ukryta myśl” — zacytowałam — nie, nie siostrę Urszulę, tylko moją matkę, chociaż tamta pewnie by się z tym zgodziła.

W każdym razie Francesca wydawała się zadowolona. Spodziewałam się zdawkowych podziękowań, ale jej reakcja okazała się nieco serdeczniejsza. Odnalazła kilka technicznych doskonałości w ściegach i zapewniła mnie, że to naprawdę wielka rzadkość.

— Muszę założyć kolekcję — rzekła z uśmiechem. — Koptyjskie znaleziska profesora i twój podarunek to świetny początek.

Była w tak uroczym nastroju, że odważyłam się poruszyć temat, który odsuwałam przez cały dzień.

— Czy podjęłaś już jakieś decyzje w sprawie P... Pietra? — zapytałam, lekko tylko zająknąwszy się przed włoską wersją imienia.

— Pomyślałam, że najlepiej mu będzie w szkole. Są miejsca dla takich jak on.

Zabrzmiało to złowieszczo.

— Tak, ale gdzie?

Skrzywiła się na mój obcesowy ton, więc dodałam:

— Pytam, bo znam w Stanach kilka znakomitych szkół dla dzieci z zaburzeniami emocjonalnymi. Przyszło mi do głowy, że zechcesz wysłać go do ciotki...

— Ciotki! Skąd o niej wiesz?

— Pete... Pietro opowiadał mi o niej. Oczywiście nic nie wiem o siostrze jego matki i jej rodzinie, może to nie są odpowiedni ludzie, by zająć się nim chociaż na pewien czas. Ale jeśli zamierzasz wysłać go do domu... do Stanów, to mogłabym go zabrać. To oszczędziłoby ci wielu kłopotów, prawda?

Zmarszczka na jej czole zniknęła. Słuchała mnie uważnie, kiwając głową od czasu do czasu.

— Naprawdę chciałybyś go zabrać?

— Oczywiście, z przyjemnością.

— Tego nie da się załatwić tak szybko.

Kusiło mnie, by zapytać, czemu nie podjęła dotąd żadnych kroków, ale powiedziałam tylko:

— Mogę zostać... jak długo trzeba.

Kąciki jej ust drgnęły, jakby starała się nie uśmiechnąć. Poczułam, że się czerwienię.

— To brzmi, jakbym szukała pretekstu do przedłużenia pobytu, prawda? Szczerze mówiąc, Francesco...

Uśmiech ujawnił się wreszcie. W oczach Franceski zapaliły się iskierki rozbawienia... większego niż wynikało z sytuacji, ale skoro ją to cieszyło, na co miałabym się skarżyć? W zasadzie byłam przyjemnie zaskoczona jej reakcją na moją arbitralną propozycję. Nie przywykłam, by ludzie odnosili się tak życzliwie do moich prób układania im życia. Francesca musiała być naprawdę zdesperowana i bardzo chciała pozbyć się chłopca.

— Nie musisz się tłumaczyć — powiedziała. — Twoja propozycja ma kilka pozytywnych aspektów. Pozwolisz, że ją przemyślę i podejmę kilka niezbędnych kroków, zanim coś postanowimy?

Podobała mi się ta leciutka ironia, z jaką użyła liczby mnogiej.

— Oczywiście — zgodziłam się pośpiesznie. — To twoja decyzja. Ja tylko chciałam...

— Rozumiem. Doceniam twoją troskę.

Nie wróciła już do tego tematu, ale miałam nadzieję, że zrobiłam pewne wrażenie. Teraz tylko zostawić ją samą i powstrzymać się od namawiania. Cóż to byłoby za cudowne rozwiązanie, nie tylko dla mnie, podłej egoistki, ale przede wszystkim dla chłopca! Nigdzie nie może mu być gorzej niż tutaj. Byłby z rodziną, z ludźmi, którzy otoczyliby go opieką. Ja też wpadałabym od czasu do czasu...

Kiedy podeszłam do jego pokoju, ze środka nie dobiegał ani jeden dźwięk. Drzwi były zamknięte na klucz. Po chwili wahania wyjęłam go i zabrałam ze sobą.

2

Kolejna noc z głowy, pomyślałam, skradając się do swojego pokoju o szarym świetle, kiedy już zajrzałam do śpiącego dziecka i włożyłam klucz na powrót do dziurki. Do odjazdu zostało ich jeszcze kilka. Jeśli Francesca zechce zatrzymać mnie dłużej, to zostanę, ale nie rozumiem, dlaczego załatwianie wyjazdu Pete'a ma się tak przeciągać. Chłopiec na pewno ma ważny paszport, przecież posługiwał się nim zaledwie w zeszłym roku. Z jego ciotką i wujem można skomunikować się w ciągu kilku sekund przez telefon. Może mimo wszystko uda się nam wyjechać w niedzielę. Za cztery dni.

Nie przyjmowałam do wiadomości alternatywnego rozwiązania — żeby po prostu wsiąść do samolotu, tak jak zaplanowałam, i zostawić Pete'a we Włoszech.

Przy śniadaniu byłam dla Franceski tak słodka, że śmiało mogłaby sobie darować cukier do kawy. Nie protestowałam w sprawie strojów, nawet kiedy zawiadomiła mnie chłodno, że w czwartek mam ostatnią miarę. Nie wspomniałam o randce z Sebastianem. Mogłam ją zresztą odwołać — wszystko, żeby tylko poprawić swój wizerunek w oczach Franceski — gdyby nie fakt, że chciałam porozmawiać z Sebastianem na temat Pete'a. Skoro miałam za niego odpowiadać, choćby tylko przez kilka dni, potrzebowałam pełnej informacji. Posunęłam się nawet do tego (dobry Bóg skarże cię za tę hipokryzję, Kathleen Alice Malone), że odnalazłam rozpoczęty haft i poprosiłam Francescę, aby mi pomogła poprawić to, co schrzałam.

Spruła złe ścięgi i pokazała mi, na czym polegał błąd.

— I tak się nie nauczę — powiedziałam smętnie, obserwując jej zwinne palce.

— Jeśli ci na tym nie zależy, to na pewno do niczego nie dojdiesz. Ale wytrwałość i praktyka prowadzą do wprawy. Zapewniam cię, że to przyjemne, uspokajające zajęcie. Dobre na nerwy — dodała z głową pochyloną nad robótką.

Zaskoczyła mnie tym banalnym komentarzem, podobnie jak samą opinią. Dobre na nerwy? Czyje? Jej? Przecież ona nie ma nerwów.

Kazała mi — właściwie powinnam powiedzieć: poprosiła — przynieść tę wstrętną serwetkę wieczorem, żebyśmy mogły razem nad nią popracować. Nie uprzedziłam jej, że wychodzę. Spodziejając się jednak, że zechce skontrolować moje osiągnięcia, spędziłam koszmarną godzinę bardziej na pruciu niż na wyszywaniu. Znałam teorię, ale praktyka nie dawała żadnych efektów przy braku jakichkolwiek zdolności.

Kiedy wreszcie cisnęłam to paskudztwo w ką, zauważyłam, że przestało padać. Niebo wciąż jeszcze zasnuwały chmury, gotowe w każdej chwili pozbyć się swego brzemienia, i dał uporczywy wiatr. Czuby cyprysów raz po raz zginały się w ukłonie. Włożyłam płaszcz i poszłam na górę uwolnić małego więźnia z celi. Odrobina świeżego powietrza dobrze zrobi nam obojgu. Jeśli tylko zdołam go namówić do kopania piłki zamiast przetrzymywania przeciwnika, to na pewno nie przemokniemy.

Zdziwiłam się, kiedy zastałam u niego Emilię. Wbijała go w tyle ciepłych rzeczy, że bardziej by to pasowało do zimy w Montanie.

— Powinien wyjść na powietrze — zawiadomiła mnie, gdy stałam, gapiąc się na nieruchomy tobołek. Między włóczkową czapką a szalikiem zakrywającym usta oczy Pete'a rzucały buntownicze błyski.

— Och tak, masz rację, Emilio. Odrobina wilgoci jeszcze nikomu nie zaszkodziła. Możesz już iść, ja skończę go... eee... ubierać.

Usłuchała i wyszła, trzaskając drzwiami. Pete zerwał szalik i cisnął go na podłogę.

— Eevan nigdy nie nosi szalika. Nawet kiedy pada śnieg.

— Nie jest ci wcale potrzebny — przyznałam. — Czy nie masz lżejszego płaszcza?

Płaszcz podzielił los szalika.

— Nie włożę żadnego płaszcza! To nie zima!

Znalazłam lekką nieprzemakalną kurtkę i poszliśmy na kompromis. Czapka też pewnie sfrunęłaby na podłogę, gdybym nie zgodziła się włożyć jej koleżanki. Była na mnie za mała i musiałam ją przywiązać chustką. Pete na mój widok dostał ataku śmiechu i zapomniał wyklócić się o rękawiczki i wysokie buty.

Spod łóżka wylazł Joe; wyraźnie unikał Emilii, co tylko dowodziło jego inteligencji. Zawłókł wzgardzony szalik do kąta i zaczął go żuć. Pete nie miał nic przeciwko temu, ale wytłumaczyłam mu, że wełna jest niezdrowa dla kotów, i odebrałam łup.

— Robi się coraz ładniejszy — powiedziałam, głaszcząc jedwabiste futerko. — Jeszcze parę tygodni i będzie jak pączek w maśle.

— Szczotkuję go codziennie — rzekł z dumą Pete. — I łapię mu pchły. Przy zgniataniu wydają taki śmieszny trzask...

Wymknęliśmy się na korytarz, kiedy Jo szukał pod łóżkiem piłeczki. Pete upewnił się, czy drzwi są dobrze zamknięte. Bardzo serio traktował swoje obowiązki opiekuna. Ten kociak to istny dar niebios. Miałam nadzieję, że będzie Pete'a bawić — choć nie wzięłam pod uwagę fascynacji trzaskającymi pchłami — zwiększy jego pewność siebie, poczucie własnej wartości i da te wszystkie pożądane skutki, o których trąbią szkolni psychologowie (to nie znaczy, że się z nimi nie zgadzam, tylko czasem mam już dość zawodowego żargonu).

Buty tak pięknie klekotały na schodach, że Pete schodził i wchodził kilka razy. Ja natomiast zastanawiałam się nad problemem, który wyraźnie przeoczyłam. Chodziło o Joego. Bez względu na to, dokąd zabierze się Pete'a, chłopiec podniesie straszny raban, jeśli każą mu zostawić kota. I będzie miał rację. Nie nauczy się dziecka odpowiedzialności za stworzenie, pozwalając mu je porzucić, gdy staje się niewygodne. Nie miałam pojęcia, jakie formalności są wymagane przy transporcie zwierząt za ocean. W Stanach nie obowiązuje — tak jak w Anglii — sześciomiesięczna kwarantanna, ale pewnie trzeba będzie Joego zaszczepić i uzyskać papierek od weterynarza. Bilet nie stanowi problemu, chętnie wybulę, ile trzeba.

Bo widzicie, już przyjełam, że jadę razem z Pete'em. Optymizm to nieuleczalna choroba.

Dawid nie chciał zostawiać pracy.

— Jest mokro — upierał się jak zdzienniała staruszka.

— Odrobina wilgoci jeszcze nikomu nie zaszkodziła — powiedział Pete, który miał pamięć jak słoń do tego rodzaju frazesów.

— Moglibyście przyjść tu i mi pomóc.

— Już ci pomagałem. To nudne — zauważył Pete, przestępując niecierpliwie z nogi na nogę.

Wreszcie Dawid ustąpił. Kiedy zszedł na dół z wyświechtaną wiatrówką, jedynym ustępstwem na rzecz zimna, zapytałam:

— Nie idzie ci dobrze?

— Cholerne skrawki nie chcą schnąć przy takiej wilgoci — narzekał. — Obiecałem jaśnie pani, że jutro urządzę pokaz, a nie mogę ich suszyć w sztuczny sposób, to paczy materiał.

— Niedobrze.

— Ha, trudno.

— Chodźcie już — wołał Pete.

Skoncentrowaliśmy się na kopaniu i odbieraniu piłki, ale i tak przemokliśmy. Od czasu do czasu przez chmury przebijał się słaby promyczek, ale szybko znikał. Dzięki porządnym butom i kurtce Pete nie nasiąknął wilgocią, ale spodnie miał mokre, bo wciąż się przewracał w dramatycznym pościgu za piłką. Ogłosiłam koniec wcześniej, niż zamierzałam, i kazałam chłopcu wracać.

— Poproś Rosę o filiżankę kakao albo czegoś innego na rozgrzewkę — zaproponowałam.

— Ona na pewno coś piecze — dodał zachęcająco Dawid. — Przynajmniej rano tak mówiła.

Pete pomknął do domu, obiecując, że schowa dla nas kilka ciastek.

— Chodź na górę, napijemy się kawy — rzekł Dawid.

Miał mały elektryczny grzejnik. Usiedliśmy przed nim i parowaliśmy z wolna, popijając rozpuszczalną kawę. Smakowała okropnie po espresso, do którego zdążyłam przywyknąć, ale przynajmniej była gorąca.

— Jakies wieści? — spytał po chwili.

— Na temat?

— Twojego nieuchronnego wyjazdu. Naprawdę ruszasz w ten weekend?

— Tak sędzę. Możliwe, że w niedzielę.

— Co z Pete'em?

— Pracuję nad tym.

— Ach tak? Wyglądasz na cholernie zadowoloną z siebie. Co ty kombinujesz?

— Nie mogę ci powiedzieć, póki nie zyskam pewności. Ale tak, jestem zadowolona. Myślę... to znaczy, mam nadzieję, że zdarzy się coś miłego.

— Na tyle miłego, że zapomnisz o swej niedawnej stracie?

Brutalna obcesowość tego pytania odebrała mi na chwilę oddech. Nie zmienił tego tonu, indagując mnie dalej.

— Nie wyglądasz na zbolaną wdowę. Jaki był ten twój mąż? Przystojny, inteligentny, seksowny?

— Wszystko razem. — Rąbnęłam kubkiem o stół i wstałam. — Jak śmiesz?!

— Zaczekaj. — Odwróciłam się do drzwi, ale on zacisnął mi palce na ramieniu. — Przepraszam, Kathy. Usiądź.

Nie miałam wielkiego wyboru. Nie puszczał mnie, nawet gdy usiadłam, ale z jego twarzy zniknął wyraz gniewnej pogardy.

— Zapomnij o tym, dobrze? Przecież wiesz, dlaczego to powiedziałem.

— Z wrodzonego prostactwa, jak sędzę. Puszczaj.

— Najpierw mnie wysłuchasz. Kiedy pojawiłaś się tamtego ranka, nie wierzyłem własnym oczom. Tylko na pół żartowałem, mówiąc o tej magicznej lampie i spełnionym życzeniu. Potem powiedziałaś mi o swoim mężu i postanowiłem wziąć na wstrzymanie. Ale nie minęło wiele czasu, zanim zorientowałem się, że prędzej czy później i tak nic nie zdziałam. Wciąż jesteś w nim zakochana. Nie potrafisz przestać o nim myśleć. On był wszystkim tym, czym ja nie jestem.

— Tak — przyznałam. Nie jesteś ani trochę taki jak on.

— Więc rozumiesz, dlaczego tak się wściekłem? Nie chciałem tego. Zostało jeszcze tylko kilka dni. Prawdopodobnie już nigdy się nie spotkamy. Czy nie moglibyśmy wrócić do punktu wyjścia?

— Nigdy nie wrócimy do punktu wyjścia. Ale rozumiem.

— Więc wszystko w porządku?

— Tak. Chyba już pójdę.

— Zobaczymy się jutro? — spytał nerwowo.

— Jasne.

Ruszyłam w stronę kuchennych drzwi, tak zatopiona w myślach, że ledwie widziałam, gdzie stawiam nogi. Byłam w warzywniku i szłam na oślep po grządkach młodziutkiej sałaty i kiełkach marchewki, kiedy drzwi otworzyły się z impetem i wypadł z nich Pete z twarzą szarą jak jego kurtka.

Rzucił się na mnie z krzykiem:

— Joe! Joe uciekł! Widziała go pani?

— Ależ skąd, Pete. Musi być gdzieś w domu. Pomogę ci szukać...

Pobiegł dalej, rozchlapując kałuże. Zanim zdążyłam zebrać myśli, zniknął mi z oczu.

I nagle usłyszałam dziki wrzask.

Ledwie umilkło echo, znalazłam się na stajennym podwórku. Kociak mknął na przełaj jak żywa futrzana piłka, prawie nie dotykając ziemi. Pies już go doganiał, ale Pete zbliżał się po przekątnej, pędząc jak chyba żaden chłopak w jego wieku. Nie zatrzymując się, porwał z ziemi kamień i zamachnął się od dołu, ale chybił o jakieś pół metra. Wystarczył jednak sam ruch i

krzyk, by zwierzę odskoczyło w bok. Pete w ostatniej chwili wpadł do ogrodu i zatrzasnął za sobą furtkę.

Nie ustawałam w biegu, ale wciąż dzieliło mnie od niego kilka metrów, kiedy pies sprężył się do skoku. To bardzo trudne — biec i drzeć się jednocześnie, a jednak robiłam, co w mojej mocy. Gdzie, u diabła, jest Dawid? Przecież powinien się zjawić już na pierwszy krzyk Pete'a.

Psu nie powiodło się za pierwszym razem, ale za drugim — owszem. Furtka była zbita z drewnianych listew, przez które widziałam, co się dzieje. Sztywnymi palcami zмагаłam się z uchwytem. Pete wspiął się na drzewo, Joego nigdzie nie było widać. Nadal walczyłam z furtką, ale serce biło mi już wolniej. Byli bezpieczni. Kot na pewno wspiął się na to samo drzewo, moje krzyki wreszcie dotarły do czyichś uszu. Słyszałam głosy i tupot nóg.

Pies węszył wokół drzewa. Skoczył raz jeszcze i omal nie sięgnął stopy chłopca, który stracił widocznie głowę, bo włąził coraz wyżej. Nagle ręce ześliznęły mu się po mokrej korze i spadł, lądując na konarze, na którym stał wcześniej, z nogami dyndającymi w powietrzu.

Widziałam krople ściekające z liści, drganie napiętych do skoku mięśni psa, błądny strach na twarzy Pete'a, który próbował się podciągnąć. Widziałam nawet Joego, zamaskowanego częściowo przez liście na wysokiej gałęzi. Wszystkie zmysły odmówiły mi posłuszeństwa. Nie czułam rąk ani nóg, nie słyszałam nic oprócz wysokiego, odległego brzęczenia, nawet własnego głosu, ale musiałam krzyczeć na psa, bo odwrócił się w moją stronę.

Otworzyłam wreszcie furtkę i weszłam do ogrodu, wolno, nie biegiem. Pies wpatrywał się we mnie; znał mój głos, ale to nie był ten, którego nauczono go słuchać. Nie padły też znajome słowa komendy. Zatrzymałam się i podniosłam suchą gałąź. W tej samej chwili wrócił mi słuch, tak samo jak po szybkim przelknięciu śliny na dużej wysokości. Usłyszałam własny głos:

— Dobry pies. Siad. Zostań. Taak, grzeczny chłopczyk... Spokojnie, Pete. Raz tam włąłeś, więc potrafisz i teraz. Siad... Zostań...

Psi zad zaczął opadać, ale nie po to, by usiąść. Zwierzę czaiło się do ataku.

Dziwnie funkcjonuje umysł w takich chwilach. Czułam się tak, jakbym miała całą wieczność na podjęcie decyzji. Chyba nie zdążę do furtki... Lepiej nie ruszać się z miejsca i stawić czoło losowi. Jedną rękę na szyję, drugą osłonić oczy... Spróbować wetknąć mu gałąź do pyska.

Był w trakcie skoku, gdy huknął strzał. Pod wpływem szoku zachwiałam się na nogach, sądząc, że to mnie trafiła kula. Pies drgnął, obrócił się w powietrzu i spadł ze splątanymi bezładnie łapami.

Stałam jak przyrośnięta do ziemi, zbyt wystraszona, by chociaż zemdleć. W uszach ciągle huczało mi echo strzału — czy może było ich kilka? Pete zeskoczył z drzewa i biegł w moją stronę. Dopiero kiedy objął mnie z całej siły, nogi się pode mną ugięły i łagodnie opadłam na ziemię.

ROZDZIAŁ 9

1

Z chaosu powoli wyłaniały się twarze. Alberta — z głupim uśmiechem na ustach i strzelbą w rękach. Dawida — zagapionego wcale nie na mnie, tylko na skręcone ciało psa. Rosy — załamującej ręce i wzywającej pomocy wszystkich świętych. Emilii i wreszcie Franceski z poszarzałą twarzą, kontrastującą z wylakierowaną perfekcją fryzury.

Upewniwszy się, że wyszłam z opresji bez szwanku, Pete wstał.

— Będę wymiotował — oświadczył!

Siedziałam jak połamana lalka z podwiniętymi pod siebie nogami. To Dawid podniósł chłopca i przytulił go mocno do siebie.

— Nie, nie będziesz — powiedział z mocą. — Oddychaj głęboko. Jesteś cały i zdrowy, ja jestem cały i zdrowy, Kathy także, więc o co się martwisz?

Z przyciśniętej do jego koszuli twarzy wydobyło się stłumione słowo:

— Joe.

— Joe?

— Z Joem — wtrąciłam jakimś obcym, nie moim głosem — także wszystko jest w porządku. Ale wątpię, czy zechce zejść z tego drzewa w najbliższej przyszłości.

— Specjalnie mu się nie dziwię — mruknął Dawid. — Trudno, Pete, Joemu na razie nic nie grozi. Może pozwolisz, że zaniosę cię teraz do łóżka, a potem tu wrócę i...

— Nie. Joe ucieknie.

Dawid rzucił mi pytające spojrzenie. Gapiłam się na niego tępym wzrokiem, bo mózg, podobnie jak nogi, odmówił mi posłuszeństwa. Chciałam po prostu siedzieć.

Francesca dotknęła mojego ramienia.

— Kathleen, ten pies nie...

— Wiem, nawet mnie nie drasnął — wpadłam jej w słowo. — Dzięki Albertowi — dodałam z urazą.

Owszem uratował mnie od poważnych obrażeń albo i czegoś gorszego, ale trudno mi było uznać jego zasługi. Zabicie psa to największa uprzejmość, jaką mi dotąd wyświadczył.

— Jak ten pies uwolnił się z łańcucha? — dziwiła się Francesca. — To wprost niesłychane. Po prostu nie mogę uwierzyć...

Przerwało jej kilka głosów naraz. Alberto pokazał koniec łańcucha z rozerwanym ogniwem, Emilia zaczęła wychwalać refleks i znakomitą celność swego męża, Rosa podniosła ręce, głosząc przymioty wszystkich świętych i Matki Bożej. Przychylałam się raczej do tej ostatniej interpretacji; to po prostu cud, że nic się nikomu nie stało.

Francesca ucięła ten jazgot jednym ostrym słowem, po czym zaczęła wydawać rozkazy. Rosa przytuliła Pete'a do swego obfitego łona, Dawid wspiął się na drzewo i zdjął kota, a następnie wszyscy udaliśmy się do domu po pierwszą pomoc i pociechę. Jedyńm, który naprawdę potrzebował opatunku, był Dawid; Joe absolutnie nie chciał opuścić drzewa.

Poszłam na górę, żeby się przebrać. Szczękałam zębami nie tylko z zimna, więc przyjąłm od Franceski ciepły szlafrok, bo sama dysponowałam tylko lekkim, bawełnianym. Ten był aksamitny. Prawdziwy aksamit, nie żaden poliester, w jej ulubionym kolorze kości słoniowej, obsyty bodajże norkami.

Zamiatając futrzaną lamówką schody, udałam się na gore i zapukałam do drzwi Pete'a. Rosa położyła go do łóżka i próbowała namówić do jedzenia. Zawartości tacy starczyłoby dla trzech osób — wszystko świeże i gorące: zupa, spaghetti, mleko, bułeczki.

— *Momentito, momentito* — prosił rozdrażniony chłopiec. Zajmował się gorliwie kotem: wycierał go ręcznikiem i próbowała wyciągnąć kłujące gałazki z ogona. Joe nie ułatwiał mu tego zadania.

— Bardzo dobrze — pochwaliłam Pete'a. — Teraz dokończy już sam. Założę się, że ma chrapkę na twoje mleko.

— Tak, na pewno! — Pete wydał Rosie krótkie polecenie. Ton jego głosu był apodyktyczny jak u Franceski.

Uśmiechnęła się szeroko i nalała mleka na spodek. Natychmiast podniósł się obłoczek pary, więc zaczęła dmuchać z taką energią, że aż na powierzchni utworzyły się białe zmarszczki fal.

— *Eccolo* — powiedziała, stawiając spodek na podłodze. Joe zaraz się do niego przypiął i Rosa zachichotała, opierając pięści na rozłożystych biodrach.

Zanim wyszłam, z satysfakcją obserwowałam, jak Pete wcina swój obiad z wilczym apetytem, co dowodziło, że naprawdę nic mu się nie stało. Nie miałam nic przeciwko temu, by zostawić go z Rosą. Wyraźnie lubił kucharkę, ją zaś bawiły jego autokratyczne zapędy. Szkoda, że to Emilii, a nie Rosie powierzono opiekę nad chłopcem.

Przed zejściem na dół zmieniłam wytworny szlafrok Franceski na własny kostium — jedyną ciepłą rzecz, którą tu miałam. Francesca aż krzyknęła na mój widok.

— Właśnie zamierzałam posłać do ciebie Emilię z tacą. Powinnaś odpoczywać.

Na śmierć zapomniałam o „moim stanie”.

— Nic mi nie jest — zapewniłam ją.

— Chyba rzeczywiście. — Pokręciła głową. — Mnie taki szok kompletnie by ściął z nóg.

— Wątpię — wypaliłam bez zastanowienia, po czym dodałam: — To miał być komplement, Francesco, nawet jeśli wydawało ci się inaczej.

— Dziękuję, Kathleen.

— Przykro mi z powodu psa. Nie chcę być niegrzeczna, ale uważam, że jego następcy nie powinnaś powierzać Albertowi.

— Nie lubisz Alberta. Dlaczego?

— A za co go lubić? To prostak i sadysta. Wybacz, ale pies nie byłby aż tak groźny, gdyby należycie nim pokierować. Pies stróż to niebezpieczna broń; według mnie tego rodzaju zwierząt nie powinno się trzymać w domach, w których są dzieci. Właściwa tresura i postępowanie mogłyby zminimalizować zawożenie, ale pies nie nauczył się tego od Alberta. W jaki sposób się uwolnił?

— Najwyraźniej w łańcuchu przetarło się ogniwo. Na widok kota psu udało się wyrwać...

— A skąd kot się tam wziął?

Nie miałam prawa jej indagować, ale kiedy przypomniałam sobie, jak Pete uciekł dosłownie w ostatniej chwili, zrobiło mi się niedobrze. Kiedy jest mi niedobrze — wrzeszczę.

— Dziecko zapomniało zamknąć drzwi.

— Nieprawda. Byłam przy tym. Widziałam, jak sprawdza klamkę.

— Co ty imputujesz?

— Ktoś wypuścił kota. Może niechący — kociak mógł się wymknąć, kiedy *tuttofare* weszła, by posprzątać. A może komuś zależało, by uciekł.

— Czy oskarżasz Emilię?

— Nikogo nie oskarżam. Teraz, kiedy skutki okazały się niemal tragiczne, winowajca na pewno się nie przyzna. Ale powinnaś dopilnować, by nic podobnego nie zdarzyło się po raz drugi, i to właśnie próbuję ci uświadomić.

— Ja też mogłabym dowieść, że powierzanie Pietrowi kota było błędem, który doprowadził do niebezpieczeństwa.

— Nie musisz mi przypominać — powiedziała smutno. — Nie sądzisz, że i mnie przyszło to na myśl? Ale takie jest życie, Francesco, przynajmniej ja tak na to patrzę. Za każdym razem, kiedy dajesz komuś część swego serca — ryzykujesz. Ten ktoś — albo też Los — może ją zdeptać. Ale jaki mamy wybór? Nie ryzykować, nie przejmować się... nie czuć?

— Nie chciałam cię obwiniać, Kathleen. Twój punkt widzenia podtrzymywali już bardziej elokwentni od ciebie.

Zapadła w milczenie, błędząc gdzieś daleko myślami. Zmusiłam się do śmiechu.

— Ta dyskusja schodzi na manowce. Mimo wszystko, wszystko dobre, co się dobrze kończy.

— Banalne, ale prawdziwe.

— Myślę, że po południu trochę odpocznę — zapowiedziałam. — Mój pokój jest taki miły, z ogniem na kominku i tak dalej.

Właśnie zaczęłyśmy się jakoś dogadywać, gdy zadzwonił cholerny telefon. Ledwie usłyszałam ten daleki, przeraźliwy dźwięk, nabrałam złych przeczuć. To do mnie, jak Bóg na niebie.

Sebastiano przeproszał, że nie odezwał się wcześniej.

— Późno wczoraj dotarłem, a rano miałem prawdziwe urwanie głowy. Ani chwili wolnej. Nie zapomniałaś chyba o dzisiejszym spotkaniu?

— Oczywiście, że nie. Posłuchaj, Sebastiano, pomyślałam sobie, że tym razem ja po ciebie wstąpię. Podjadę do Florencji i...

— Kathy, ja naprawdę rzadko wjeżdżam na drzewo. — Bezosobowość łączy telefonicznych pozbawiła jego ton emocji; nie wiedziałam, czy żartuje czy też się obraził.

— Chodzi o czas — wyjaśniłam. — Godzina drogi w jedną stronę i druga z powrotem...

— To nieważne.

A jednak się obraził.

— No dobrze — zgodziłam się szybko. — Szczerze mówiąc, nie cierpię jeździć w deszczu po nieznanym drogach.

— Może potrzebujesz okularów. Jesteś zbyt próżna, by je nosić? — spytał żartem, wyraźnie w lepszym humorze. — Nie szkodzi, próżność to oznaka zdrowia psychicznego. Przyjadę o siódmej.

Podziękowałam i odwiesiłam słuchawkę. Idąc z powrotem, zobaczyłam w drzwiach salonu Emilię — niosła na tacy zastawę do kawy. To, co słyszała, usłyszy i Francesca. Postanowiłam wyłożyć karty na stół.

— To Sebastiano — powiedziała, siadając na swoim miejscu przy stole. — Zabiera mnie na kolację. Mam nadzieję, że nie pokrzyżowałam ci planów.

— Zrobisz, jak zechcesz.

— To nasze ostatnie spotkanie — wyjaśniłam. — Chcę się z nim pożegnać i podziękować za uprzejmość. Poza tym mam do niego kilka pytań w sprawie Pietra. Skoro miałabym go zabrać do Stanów, powinnam znać zasady postępowania w razie ataku.

— Tak, masz rację.

Stężała twarz wyraźnie się odprężyła.

A jednak później, już w swoim pokoju, poczułam się jak niegrzeczna pensjonarka, która uciekła z gabinetu dyrektorki. Dziwne, ale zaczynałam lubić tę kobietę... a raczej nie lubiłam

jej aż tak jak do tej pory. Nie miałyśmy z sobą nic wspólnego, nie potrafiłybyśmy się zaprzyjaźnić. Ale gdybyśmy się spotkały w innych okolicznościach, czułybyśmy się dość swobodnie w swoim towarzystwie. Muszę przyznać, że za obecne okoliczności największą winę ponosiłam sama.

2

Czekałam na Sebastiana w holu. Lało ja z cebra, więc wola — łam znosić niemal jawnie wrogie spojrzenia Emilii, kręcącej się między kuchnią a salonem. Zastanawiałam się, dlaczego tak bardzo mnie nie lubi, a raczej — dlaczego pozwala sobie to okazywać. Alberto na pewno nie miał o mnie lepszej opinii ale od czasu pierwszego starcia, kiedy nie wiedział jeszcze kim jestem, wręcz się przede mną płaszczyl.

Gdy tylko zobaczyłam reflektory, naciągnęłam na głowę kaptur deszczowca i wyszłam. Zapadał zmierzch, Sebastiano zauważył mnie dopiero, kiedy otworzyłam drzwi samochodu.

— Czy na tym polega owo amerykańskie wyzwolenie kobiet, o którym wciąż czytam? — spytał. — Nie możesz pozwolić, żeby mężczyzna ci usłużył?

— To nie żadne wyzwolenie, tylko zdrowy rozsądek. Po co oboje mamy moknąć?

— Mam parasol.

Umilkłam z szacunkiem, on zaś po chwili dodał z niedowierzaniem:

— I po co to powiedziałem? Zupełnie jak angielski lokaj.

— Następnym razem pozwolę ci wysiąść.

Przy restauracji jednak nie dano mu szansy: portier miał swój własny parasol, największy jaki widziałam poza plażą. Nie wjeżdżaliśmy do śródmieścia; była to nowa restauracja na obrzeżach miasta, urządzona w dawnym klasztorze — przyjemna i dość fikuśna. Wybranym gościom — do których zaliczał się i Sebastiano — przydzielano stoliki w malutkich, pobielanych celach, odgradzonych od reszty lokalu dyskretną drewnianą kratą.

Ponieważ nigdy nie potrafię zostawić w spokoju tego, co dobre, zaraz na wstępie popsułam nastrój, wypytując Sebastiana o jego żebra. W końcu, kiedy widzieliśmy się ostatnio, przyciskał rękę do boku, jakby się spodziewał, że zaraz mu wypłyną wnętrzności. Po moim pytaniu skrzywił się i zbył mnie krótko: dziękuję za troskliwość, jestem już zupełnie zdrowy.

Wzięłam jego zniecierpliwienie za demonstrację zranionego męskiego ego i nie drażyłam tematu, ale on nagle, wciąż krzywiąc się, wyznał:

— Chyba muszę ci powiedzieć. Biłem się z myślami, czy powinienem, ale skoro jeździsz sama, szczególnie po ciemku... Widzisz, zarzuciło mnie, bo ktoś przebiegł mi tuż przed maską.

— Dobry Boże! Alberto?

— Nie Alberto. Ktoś, kogo nigdy dotąd nie widziałem, jakaś monstrualna postać, podobna do tych z horrorów. Dosłownie wyrósł spod ziemi. Musiałem ostro hamować i samochód wpadł w poślizg.

— Chyba wiem, kto to taki. Francesca zatrudniła chorego umysłowo człowieka do pomocy Albertowi. Zresztą fizycznie także jest upośledzony.

— Ach, rozumiem. Przyszło mi do głowy, że to jakiś włóczęga, ale przyznaję, że w pierwszej chwili ciarki mi przeszły po grzbiecie. Przypomniał mi się wielki Lon Chaney w jednej ze swych mistrzowskich kreacji.

— Wiem, co czujeś. Ja zetknęłam się z tym człowiekiem w biały dzień i też zrobiło mi się głupio. Nie sądzę, by zdawał sobie sprawę, że naraża na niebezpieczeństwo i siebie, i ciebie.

— Cieszę się, że to rozumiesz. Ci chorzy biedacy to przeważnie najłagodniejsi ludzie. Pewnie przy tym spotkaniu on przestraszył się bardziej od ciebie. To hańba, że społeczeństwo ma tak słabe pojęcie o chorobach umysłowych.

— Dzięki tym horrorom, za którymi tak przepadasz.

— Trzeba umieć odróżniać fakty od fantazji. — Po chwili dodał chytrze: — Czy wy, wyzwolone kobiety, nie marzycie czasem, że napada was jakiś przystojny pirat czy rozbójnik? Chociaż w rzeczywistości wcale sobie tego nie życzyście.

Nie miałam pretensji o tę subtelną złośliwość. Nie mógł wiedzieć, jak bliski jest prawdy.

Skupiłam się na karcie dań. Była ozdobiona rysunkami zabawnych grubych mnichów, wyprawiających różne rzeczy...

— Dobry Boże! — wykrzyknęłam, mrugając oczami.

Sebastiano się zaśmiał.

— Ciekawe rysunekzki, co? Chyba nie czujesz się urażona. Cudzoziemców czasem intryguje nasze rubaszne podejście do religii.

Zapewniłam go, że absolutnie mnie to nie razi. Dziewczęta w wieku dojrzewania mają także nie zawsze konwencjonalne Podejście do religii. Opowiedziałam mu o haśle, które zakonnica wykryła w szafce jednej z dziewcząt: „Święta Panienko,

która poczęłaś bez grzechu, spraw, bym mogła grzeszyć bez poczęcia”.

Rozbawiło go to, więc wymieniliśmy jeszcze kilka anegdotek przy sałatce, którą jak odkryłam, we Włoszech podaje się po głównym daniu. Tak się świetnie bawiłam, że z wielką niechęcią poruszyłam w końcu temat Pete’a. Wiedziałam, że zaraz na mnie nakrzyczy.

Nie wybuchnął, kiedy opowiedziałam mu o ostatnim ataku, ale obrzucił mnie spojrzeniem raczej dalekim od podziwu.

— I nic nie wspomniałaś Francesce? Kathy, nie mogę wprost uwierzyć w taką bezmyślność!

Nie zaprzeczyłam oskarżeniu.

— Wezwałabym cię, gdyby zaszła potrzeba. Och, do diabła, dlaczego miałabym to ukrywać? Nie podoba mi się sposób, w jaki Francesca postępuje z tym dzieckiem.

— Zakładam, że słucha moich wskazówek. Jesteś sentymentalnym stworzonkiem, Kathleen.

I temu zarzutowi nie zaprzeczyłam, chociaż obudził we mnie maleńką iskierkę sprzeciwu. Nie lubię być traktowana jak słodka idiotka.

— To ty wymyśliłaś, że ma mieszkać w domu bez guwernera czy nauczyciela? Bez kolegów w jego wieku? W całym domu nie ma nikogo, kto okazywałby mu choć odrobinę uczucia, z wyjątkiem kucharki, której zresztą prawie nie widuje.

— Mówiłam Francesce, że lepiej by się czuł w szkole. Są przecież znakomite placówki...

— Więc dlaczego cię nie posłuchała? Dlaczego nie nalegałaś?

— Zmusić do czegoś Francesce? — Jego śmiech był zaprawiony goryczą. — Czasem myślę, że dziedziczna szlachta to przekleństwo każdego kraju. Nie mają władzy, często są głupi, nie — wykształceni, a jednak wciąż spowija ich aura wyższości.

— Francesca miałaby poczucie misji, nawet gdyby urodziła się w slumsach. Rozumiem twój dylemat: to ona sprawuje opiekę nad chłopcem, ty zaś nie możesz jej zmusić do niczego, na co nie ma ochoty. Może więc ucieszy cię wiadomość, że zanoszą się na zmianę. W ciągu kilku dni.

— Co? Nic mi nie mówiła. Ale — dodał cierpko — ona nie uważa tego za konieczne. Ona nie zawiadomiłaby nawet fryzjera czy hydraulika, że zamierza zrezygnować z ich usług.

— Dajże spokój! Taki z ciebie duży, dorosły psychiatra, a nie możesz machnąć ręką na słabości Franceski?

— To prawda, jestem psychiatrą, ale także człowiekiem. — Pokręcił głową. — Ta nowina mnie niepokoi. Mniejsza o próżność, ale spodziewałem się, że zawiadomi mnie, dokąd odsyła

chłopca. Lekarz, który przejmie nad nim opiekę, powinien wiedzieć, jakie środki stosowałem i z jakim skutkiem. Kiedy ta zmiana ma nastąpić?

— Może w ogóle nie powinnam o tym wspominać.

— Nie powiem, że dowiedziałem się od ciebie, ale mam prawo znać prawdę.

Był teraz bardzo rzeczowy, ożywiony i profesjonalny. Musiałam się z nim zgodzić. Powiedziałam mu o planach Franceski.

— Zamyka rezydencję?! — wykrzyknął. — A ty... ty także wyjeżdżasz?

— Wiedziałaś, że prędzej czy później wyjadę. To nie jest mój dom.

— Jasne. Nie wiem, czemu miałem wrażenie, że będziesz tu siedzieć w nieskończoność. Chyba Francesca coś wspominała... Więc już się nie spotkamy?

Ujął moją dłoń i zajął mi głęboko w oczy. Jego rozczarowanie pochlebiało mi, ale wzbudziło też inne, bynajmniej niepożądane uczucia.

— No i kto tu jest sentymentalny?.. — rzuciłam lekko. — Kiedyś tu wrócę. Przynajmniej mam taką nadzieję. Nie wybrałam się w tę podróż dla przyjemności.

Siedzieliśmy jeszcze długo przy kawie i brandy, rozmawiając głównie o chłopcu, ale także o Włoszech, które Sebastiano kochał i nie mógł odżalować, że tak mało zwiedziłam.

— Na pewno jeszcze się zobaczymy przed twoim wyjazdem — powiedział.

— Wolę na to nie liczyć. Moje plany nie są pewne. I Francesca niechętnie patrzy na nasze spotkania, a nie chcę jej złościć, wymykając się ukradkiem.

— Więc też nie jesteś odporna na arystokratyczną aurę.

— To nie dlatego.

Nie chciałam mu mówić, dlaczego zależy mi na dobrych stosunkach z Francesca. W zasadzie nie zdecydowała jeszcze, czy Pozwoli mi zabrać Pete'a do Stanów. Gdyby Sebastiano się wygadał, mogłaby zrezygnować z mego pośrednictwa.

On jednak nie poddawał się tak łatwo. Przekonywał mnie przez całą drogę powrotną.

— Tyle jest we Włoszech do zobaczenia, do przeżycia. Twój przedwczesny wyjazd to po prostu obelga. Przecież nie musisz mieszkać z Francesca. Są inne miejsca.

Inne sypialnie, inne łóżka. Nie stawiałby sprawy tak otwarcie, gdybym nie odpowiedziała na jego aluzje. Pod fasadą nowoczesności zostało jeszcze dość konserwatysty, toteż z pewnym wahaniem składał propozycje trzymiesięcznej wdowie, na którą także padał promyczek owej arystokratycznej aury. Gdyby nie Pete... kto wie? Wcale nie jestem pewna, czybym nie uległa. Ale na razie mogłam tylko udawać, że nie rozumiem, do czego zmierza, narażając się na opinię osoby dość ciężko myślącej.

Nie wrócił do tego tematu, kiedy stanęliśmy przed frontowymi drzwiami.

— Nie idź jeszcze — mruknął. — Jest wcześnie, widzisz, w kilku oknach pali się światło.

Nie przepadam za igraszkami miłosnymi na przednim siedzeniu samochodu. Skoro Sebastianowi zależało na długim, namiętym pożegnaniu, miał po drodze z tuzin okazji, by zjechać i zatrzymać się w jakimś ustronnym miejscu. Znałam powód — cholernie dziecinny — dla którego czekał aż do samej willi i nie omieszkał nawet sprawdzić, czy domownicy nas obserwują.

Jedno z oświetlonych okien należało do mojego pokoju. Na tle złocistego prostokąta dostrzegłam cień. Mimo zamazanego przez deszcz obrazu, wiedziałam, co robi. Obserwuje samochód.

Emilia na swym wieczornym szlaku, ścieląca łóżko, porządkująca pokój? Nie, cień wydawał się wyższy i smuklejszy.

— Muszę iść — oświadczyłam. Wziął mnie za rękę.

— Trudniej mi się z tobą rozstać, niż myślałem. Na jesieni mam konferencję w Nowym Jorku...

Zgodziłam się spotkać z nim w Nowym Jorku, obiecałam zadzwonić przed wyjazdem i znaleźć trochę czasu. Zgodziłabym się nawet zamieszkać z nim i obrabować bank — sama nie wiedziałam, co mówię. Musiałam się upewnić, czy pokona podjazd bez wypadku. Drzwi były otwarte. Weszłam i pognałam na górę.

W pokoju nie zastałam nikogo. Na kominku palił się ogień, a łóżko było pościelone na noc. Na wierzchu leżało... coś, co wyglądało na rozpostarte ciało kobiety — nieprawdopodobnie szczupłej, w długiej, powłóczystej sukni, z głową ukrytą w cieniu zasłony.

Odnalazłam wyłącznik żyrandola i pokój zalała fala światła. To nie było ciało. To tylko nocna koszula, ułożona w trochę groteskowy kształt, jaki jej zwykle nadają pokojówki w eleganckich, staromodnych hotelach — spięta w talii, z szeroko rozrzuconymi rękawami. Nie, nigdy nie zatrzymywałam się w takich miejscach, ale czytałam albo słyszałam o takim zwyczaju. Najciekawsze było to, że koszula nie należała do mnie. Przypominała mi te, które nosiła Francesca — jedwabny szyfon, przezroczysty i leciutki jak mgiełka, obszyty koronkami i ozdobiony haftem.

Dotknęłam fałdów szatki, która wyglądała na zupełnie nową, ale prawda dotarła do mnie dopiero, kiedy zobaczyłam inne rzeczy. Leżały ułożone w stos na krześle, starannie poskładane, jak prosto ze sklepu. Staniki i majtki, nocne koszule, halki, wszystko z najcieńszego batystu i najdelikatniejszego jedwabiu, z zakładkami i pliskami.

To, co robiłam, robiłam absolutnie bezwiednie. Nie kierowała mną złość, niechęć czy duma, tylko zwykły sprzeciw: NIE.

Złapałam nocną koszulę i udałam się prosto do pokoju Franceski. Nie spała, słyszałam głosy. A skoro słyszałam je przez grube drzwi, pewnie besztła za coś Emilię.

Zapukałam.

— Kto tam?

Musiała wiedzieć, kto puka, inaczej nie zapytałaby po angielsku. Ale jej odpowiedziałam.

— To ja, Kathy. Chciałabym zamienić z tobą kilka słów.

— Chwileczkę.

Wypadło mi czekać dłużej niż chwileczkę. Sekundy mijały, a ja wciąż stałam. Kiedy wreszcie mi otworzyła, zrozumiałam powód tej zwłoki. Oprócz swej pokojówki Francesca nie pozwalała nikomu, absolutnie nikomu oglądać się bez makijażu. Nakładała go w pośpiechu, toteż nie udało się jej ukryć głębokich zmarszczek wokół ust.

Cofnęła się, by mnie wpuścić. Po raz pierwszy znalazłam się w sypialni Franceski. Przeważał tam jej ulubiony kolor kości słoniowej i stonowana biel, co przydawało wnętrzu spartańskiej surowości niemal klasztornej celi. Ale pościel na wąskim łóżku była jedwabna, a na blacie toaletki leżały kosmetyki i środki upiększające. Jedyne współczesny akcent stanowiło małe radio z budzikiem. W pokoju nie było nikogo, pewnie więc słyszałam głos z radia. Chyba że Emilia wyszła przez przyległy pokój, prawdopodobnie łazienkę, której drzwi zostały lekko uchylone.

Wyciągnęłam przed siebie koszulę.

— Nie mogę tego przyjąć, Francesco. Innych rzeczy także. Miło, że o mnie pomyślałeś, ale nie mogę.

Jedyną widoczną reakcją było leciutkie napięcie mięśni w kącikach ust. Jest zła, pomyślałam. Nie zachowałam się zbyt miłosiernie.

— Czy ci się nie podobają? — spytała po chwili.

— Są piękne. Ale... nie, sama bym ich raczej nie wybrała, nawet gdybym miała dość pieniędzy. Nie mam czasu na ręczne pranie i prasowanie bielizny.

— Pieniądze... — powtórzyła krzywiąc się z niesmakiem. — Już ci mówiłam, że masz do nich prawo.

Nawet w obecnym nastroju nie miałam czelności powiedzieć, że jeśli naprawdę coś mi się należy, to wołałabym gotówkę. Suma wydana na te koronkowe frywolności wystarczyłaby na mój roczny czynsz.

Dyskusja zakończyła się tak, jak poprzednio: skapitulowałam, a przynajmniej na to wyglądało. Nie mogłam jej denerwować na tym etapie. Obiecałam sobie, że wyjeżdżając, wszystko zostawię w szafie.

Po wyjściu zauważyłam, że drzwi obok pokoju Franceski są otwarte, podobnie jak drzwi prowadzące do nie zamieszkanego skrzydła. Emilia mogła wyjść właśnie tędy. Zamierzałam ją zapytać, czy była u mnie, ale teraz pytanie straciło sens, bo wtedy w oknie na pewno widziałam Francescę.

Powiew chłodnego powietrza musnął mi twarz. Ciemność w końcu długiego korytarza zdawała się poruszać i gęstnieć, jak cienie, które usiłują przybrać konkretny kształt. Powiew niósł z sobą dźwięk — szmer cichutkiego śmiechu, niemal na granicy słyszalności.

Kiedy wróciłam do siebie, roztrzęsiona i bez tchu, zauważyłam, że na wiotkim jedwabiu koszuli zostały zagniecenia. Cisnęłam ją na krzesło i położyłam się do łóżka.

I zaraz wyskoczyłam. Znow ten zniechęcony, aż za dobrze znany rytuał: rzut oka na śpiące dziecko, obrót klucza w zamku. W holu było zimno od panującej tam wilgoci, a niektóre żarówki się poprzepalały.

3

Zaczynałam liczyć dni. Oraz noce. Może to przez pogodę, ale zdecydowanie traciłam cierpliwość. Środa była kolejnym ponurym, słotnym dniem, co oznaczało, że nie mogłam zabrać Pete'a na dwór. Powinnam pojechać do Florencji, zwiedzić muzea, obejrzeć widoki, które przyciągają turystów z całego świata — w końcu Bóg wie kiedy znow będę w stanie pozwolić sobie na przyjazd do Europy. Nie traciłam nadziei, że kiedyś tu wrócę, ale na razie chciałam za wszelką cenę znaleźć się gdzie indziej.

Uznałam, że mam prawo wiedzieć, jak rozwijają się plany Franceski. Obiecałam przecież ojcu, że zadzwonię, kiedy uzyskam rezerwację, i dotąd tego nie zrobiłam. Przedstawiłam Francesce ten problem przy śniadaniu i jak zwykle jej pozbawione uśmiechu spojrzenie zmusiło mnie do chaotycznych wyjaśnień, które ją prawdopodobnie nudziły, a mnie napawały niesmakiem.

— Muszę dać znać rodzinie, kiedy wracam. Z Bostonu do Wayford jest kawał drogi do przejechania, moi bracia pracują, ojciec także, chociaż w niepełnym wymiarze, a matka nie znosi prowadzić...

— Rozumiem. Nie dzwoniłaś do ojca?

— Jeszcze nie. Ale mu obiecałam i on będzie się dziwił.

— Czy to byłaby dla ciebie wielka niedogodność, gdybyś poczekała do soboty? Widzisz — ciągnęła gładko — podjęłam pewne kroki w wiadomej sprawie. Obiecano, że do piątku zostanę powiadomiona. Może w ciągu dnia, może dopiero wieczorem, ale w sobotę rano będziesz mogła podać rodzicom termin.

Zachowywała się z jeszcze większą rezerwą niż zwykle i jej mętne odpowiedzi tylko mnie zdenerwowały. Musiała zdawać sobie z tego sprawę, bo dodała pojednawczo:

— Mam wszelkie powody sądzić, że będziesz mogła opuścić Florencję, tak jak planowałaś, czyli w niedzielę, a inne sprawy też ułożą się po twojej myśli.

— Tak? To cudownie. Bardzo się cieszę.

— Cieszysz się, co? — Przyglądała mi się badawczo. — Ja też, oczywiście, się cieszę. Szczerze mówiąc, to dla mnie wielka ulga, że ktoś inny przejmie opiekę nad chłopcem. Wiem, że nie bardzo się do tego nadaję. W zasadzie nie przepadam za dziećmi.

— Za Bartem też?

— On był inny.

Nie wyjaśniła, dlaczego. Może sama nie wiedziała. Rodzice próbują kochać wszystkie swoje dzieci jednakowo, ale czasem jakaś szczególna zaleta kogoś z nich wyzwala w ojcu lub matce silniejsze uczucie.

Nie marudziłam specjalnie po śniadaniu. Francesca robiła wrażenie bardzo zajętej. Zapytała (z nieznaczną tylko nutką ironii), czy nie wybrałabym się z nią i z Pete'em do lekarza. Miała to być już ostatnia wizyta i mogła się przeciągnąć, a ona ma kilka spraw do omówienia z doktorem Manettim. Podziękowałam uprzejmie i wyszłam.

Zanosilo się na długi i nudny dzień. Wiadomości trochę mnie pocieszyły, ale tym bardziej nie mogłam się doczekać, kiedy wreszcie otrząsnę z butów pył willi Morandinich. Myliłam się, sądząc, że ta podróż pomoże mi uwolnić się od Barta. Duch chłopca, jakim kiedyś był, i mężczyzny, na jakiego wyrósł, nawiedzał mnie w każdym korytarzu, przesuwając się w cieniach ogrodu. Wiedziałam, oczywiście, że to głupie. Duchy istnieją tylko w naszym umyśle, idą za nami krok w krok, nie związane czasem ani przestrzenią. Ale łatwiej by mi było odegnąć ten śmiejący się cień w jakimś innym miejscu.

Z braku czegoś lepszego do roboty udałam się na poszukiwanie Dawida. Nie było go w jego pokoju. Niechlujne strzępki haftów koptyjskich zaścielały prawie całą powierzchnię. Nad niektórymi ustawił lampy — zwykle stołowe lampy ze zwykłymi żarówkami. Większość strzępków nadal była wilgotna.

Jedynym miejscem, gdzie mógł się zaszyć, to strych, więc poszłam tam, korzystając z tylnych schodów. Już z daleka usłyszałam, jak mruczy do siebie komentarze na przemian z poetyckimi cytatami.

— Jak leci? — spytałam, zaglądając do środka.

Trzymał w ręku cały plik papierów. Wyrzucił je w powietrze i powiedział: „Zamknij, o, zamknij drzwi, poczciwe dziewczę (mówiłem, że zmęczony) / Ucisz kołatkę; powiedz, że chory, umarłem”.

— To nie Browning!

— Pope. * Jak ci idzie z Robertem?

— Powoli. — Zamknęłam drzwi. — Nie mogę uciszyć kołatki, bo jej tu nie ma, poza tym nie wiem, jak to się robi. Jest aż tak źle?

— Jest gorzej niż źle — odrzekł, próbując zebrać rozrzucone papiery. — Mam po prostu związane ręce. Liczyłem na co najmniej sześć tygodni.

— Bardzo mi przykro.

— Żadnej szansy, że zmieni zdanie?

— Chyba nie. Powiedziała mi dzisiaj, że prawdopodobnie będę mogła wyjechać w niedzielę. Nie mam pojęcia, kiedy ona...

— Co z dzieciakiem?

* Alexander Pope: „Epistles and Satires of Horace Imitated”. Cytat jest zniekształcony, w oryginale brzmi: *Shut, shut the door, good John...*

Mówił lekkim tonem, ale widziałam, że naprawdę się martwi.

— Jedzie ze mną. To jeszcze nie jest pewne na sto procent, więc nic mu nie mów, ale chyba się uda.

— Tego właśnie chciałaś?

— Cóż... Oczywiście. Tutaj żyje mu się dość kiepsko, nie sądzisz?

Nie odpowiedział. Przyglądał mi się bacznie, kąciki ust mu opadły, oczy się zwężyły. Modliłam się w duchu, żeby nie poruszał tematu, o którym obiecaliśmy sobie zapomnieć. Ja nie zapomniałam, nie potrafiłabym... ale on od tamtego czasu zachowywał się tak normalnie, że i mnie się to udawało.

— O co chodzi? — spytałam. — Mam zielony nos, czy co?

— Przepraszam. Nie dowierzam własnym wnioskom. Czyżbyś przyszła podać mi pomocną dłoń?

Zasadił mnie do roboty. Prawdziwej roboty. Ilekroć zaczęłam zachwycać się dziewiętnastowieczną suknią balową zawiniętą w przesycony kamforą papier czy albumem rodzinnych fotografii w grubej aksamitnej okładce, wyrwał mi skarb z ręki i dawał kolejny plik papierów do sortowania. Jeśli wysiłek stanowi o uczciwych zamiarach, to naprawdę szukał rękopisów. Reszta to tylko węszenie na oślep. Teraz, kiedy Francesca dała mu rozkaz wymarszu, nie zwracał sobie już głowy rodzinnymi „zbiorem”.

Wyrwałam się stamtąd bez większego trudu, kiedy nadeszła pora obiadu. Moja punktualność poszła zresztą na marne, bo Franceski nie było. Emilia wręczyła mi kolejny wytworny liścik, w którym moja gospodyni donosiła, że nie będzie jej również na kolacji.

— Czy Pietro pojechał z panią, czy może wrócił? — zapytałam Emilię.

— Jest tutaj, signora. W swoim pokoju.

— Jak zwykle — mruknęłam.

— Słucham?

— Nic. To wszystko, Emilio, nie musisz mnie obsługiwać, przywykłam do samodzielności.

Nadal zwlekała.

— Może signora ma ochotę na jakieś specjalne danie?

Mogła wcześniej porozumieć się ze mną co do menu obiadowego, ale tego nie zrobiła. Jej oczy były utkwione w serwetce na moich kolanach, a na ustach błąkał się chytry uśmiezek.

Zaprzeczyłam i nie podziękowałam za zainteresowanie.

4

Teraz, kiedy czas wyjazdu zbliżał się nieubłaganie, zainteresowały mnie nagle uzdolnienia naukowe Pete'a. Z nauczycielki zawsze wylezie nauczycielka. Moja dotychczasowa praktyka ograniczała się do czwartoklasistów, więc miałam bardzo mętne pojęcie, jak się do tego zabrać. Pete burczał pod nosem, kiedy poprosiłam go o odpowiedzi na kilka pytań, ale się zgodził. Przerobiliśmy parę problemów matematycznych, dyskutowaliśmy o dinozaurach, Ojcach Pielgrzymach i George'u Waszyngtonie, czytaliśmy fragmenty książki o kotach. Miał zaległości w matematyce, ale w innych przedmiotach wykazywał odpowiedni poziom wiedzy. Przyznał, że lubi historię. Matka czytywała mu książki na dobranoc i znał większość klasyki dziecięcej. Wiedział też piekielnie dużo o futbolu.

Wciąż padał przygnębiający kapuśniaczek, więc nie przyjąłam zaproszenia na trening kopania. Miałam w zanadrzu mnóstwo pomysłów na deszczowe dni, zaczerpniętych z pedagogicznych

pisemek, ale tak naprawdę żaden z nich nie robił wrażenia na dzieciach powyżej pięciu lat. Nawet Joe wystawił nas do wiatru.

— Kociaki potrzebują dużo snu — usprawiedliwiałam go, kiedy nie chciał gonić sznurka. — Mam pomysł: zorganizujemy wyprawę badawczą. Może znajdziemy miejsce, w którym da się grać w piłkę albo w chowanego?

Zgodził się, ale raczej bez zapału. Były przecież całe ciągi pokoi, zamkniętych i otwartych, umeblowanych i zamienionych w składy różności. Te puste nie nadawały się do ruchowych zabaw ze względu na małe rozmiary, a znów w umeblowanych groziło niebezpieczeństwo, że się coś połamie. Szukałam czegoś w rodzaju sali balowej albo wielkiej galerii. Na pewno każda wielka rezydencja musiała mieć salę balową. Nie potrafiłam jednak jej znaleźć, a Pete o niczym takim nie wiedział. Nudził się i bez skrepowania to okazywał.

— Może jest w tamtej części domu — powiedziałam. Staliśmy w korytarzu, z którego wchodziło się do pokoju Franceski. Pokazałam drzwi — teraz zamknięte — do pustego skrzydła.

Pete cofnął się gwałtownie.

— Nie, tam nie możemy chodzić.

— Czy to naprawdę takie niebezpieczne? Jest biały dzień, jeśli są jakieś dziury w podłodze, na pewno je zobaczymy.

— Nie lubię tam chodzić — szepnęła Pete. — Proszę, signora, proszę mnie nie zmuszać.

Wzięłam go za rękę.

— Jesteś okropnie zziębnięty — powiedziałam i zaraz dodałam: — Ja także. Pościgajmy się, dobra? Założę się, że pierwsza dobiegnę do schodów.

Skończyło się na tym, że poszliśmy szukać Dawida. Siedział przy pracy, pomrukując i klnąc pod nosem, ale udało się nam wyciągnąć go na szybką rundkę po terenie. Uznałam, że wolę deszcz od nudy, nie wspominając o okropnościach pustego skrzydła, które aż tak przerażały dziecko.

Bieg zabrał nam sporo czasu — to znaczy, nie tyle sam ruch, co wkładanie i zdejmowanie wierzchnich okryć, suszenie włosów i zmiana przemoczonych ubrań. Kiedy wróciliśmy, Joe nie spał już, więc wszyscy troje zabawialiśmy się przez godzinę, a potem nadeszła pora kolacji.

Dawid odszedł, wygłaszając obłudne uwagi o ludziach, którzy muszą pracować, podczas gdy inni trwonią czas na głupstwa. Ja w końcu wpadłam na pewien pomysł; Pete leżał rozciągnięty na dywaniku przed kominkiem i rysował portret Joego. Ogień się nie palił, choć w ten ponury dzień na pewno by się nam przydał, ale i tak było tu przytulniej niż w nieskazitelnym saloniku Franceski. Nie miałam ochoty jeść w samotności. Emilia na pewno świdrowałaby wzrokiem mój płaski brzuch i demonstrowała milcząco krytyczny stosunek do moich manier przy stole.

— A może razem zjemy kolację? — zaproponowałam.

— Naprawdę? — rozpromienił się Pete.

— Pójdę zapytać Rosę. Zaraz wracam.

Świetnie dogadywałyśmy się z Rosą. Ona знаła kilka słów po angielsku, a ja z dziesięć po włosku, ale naszą mocną stroną była gestykulacja. Mój pomysł wspólnej kolacji z Pete'em bardzo jej się spodobał.

— Powiedzieć Emilii? — zapytałam.

Uśmiechnęła się i wygłosiła jakąś zgryźliwą uwagę — przynajmniej na taką wyglądała, sądząc z towarzyszącego jej gestu. Nie drażyłam dalej tematu. W końcu zmiany w rozkładzie posiłków stanowiły niewygodę przede wszystkim dla kucharki.

Kiedy Rosa przyniosła jedzenie, towarzyszyła jej *tuttofare* z drugą tacą. Półmiski z pokrywkami zajęły całą powierzchnię stołu. Poza tym Pete dostał mleko, a ja butelkę wina.

— Wznieśmy toast — zaproponowałam, gdy zostaliśmy sami.

— Dobrze. Będę pił wino — obwieścił Pete, sięgając po butelkę.

— Nie, nie będziesz. Powinieneś nauczyć się jadać w amerykańskim stylu, skoro...

Zatrzymałam się w samą porę. Nie chciałam mu mówić, na co się zanosi. Wprawdzie według Franceski sprawa była w zasadzie przesądzona, ale gdyby plan upadł, dziecko okropnie by to przeżyło.

— Kiedy będziesz taki stary jak ja, wówczas możesz się truć, ile wlezie — ciągnęłam. — Na razie wino jest dla mnie, a dla ciebie mleko.

— To niesprawiedliwe — powiedział Pete, wysuwając dolną wargę.

— Życie w ogóle jest niesprawiedliwe — przyznałam. — Trzeba to znosić z humorem.

— Nienawidzę mleka. Szczególnie włoskiego, jest za gorące, nigdy nie zimne jak amerykańskie. Czasem wylewam je po kryjomu.

— Joe by się z tobą nie zgodził — zauważyłam, gdyż kociak właśnie wskoczył na stół i ruszał wąsikami. — Trzymaj go, Pete, bo zaraz się weźmie do kurczaka.

Pete uznał, że to bardzo śmieszne. Siedział i chichotał, więc ja sięgnęłam po kota. Joe wymknął mi się i podbiegł do szklanki z mlekiem. Zdążył łyknąć może ze dwa razy, nim złapałam go za kark.

— No to mleko mamy z głowy — powiedziałam, siląc się na surowość. — Bóg wie, że nie jestem drobiazgową, ale prawdopodobnie kot ma jednak jakieś bakterie.

— Mogę to wylać?

— Tak, lepiej wylej. Ale niech ci nie przyjdzie do głowy używanie Joego jako pretekstu, przynajmniej nie w mojej obecności. Drugi raz ten numer nie przejdzie.

Pete wrócił z łazienki ze szklanką wody, więc zrozumiałam, że mój wykład na temat amerykańskich zwyczajów odniósł jednak jakiś skutek. To oczywiście czysta fikcja, ale nie widziałam powodu, by przyznać, że alkoholizm wśród naszych nastolatków płeni się jak zaraza. Któż nie wie o tym lepiej niż nauczycielka?

Joe trzymał się z dala od talerzy tylko pod warunkiem, że rzucało mu się to i owo pod stół. Szczególnie zasmakował w kurczaku — pochłonął niesamowitą wprost ilość.

I to prawdopodobnie uratowało mu życie. Ledwie skończyliśmy kolację, kiedy zamiauczał przeciągle i zaczął wymiotować. Z pyszczka ciekła mu niteczka śliny.

— Zostaw go w spokoju — poleciłam Pete'owi, który próbował wstać z krzesła. — Za szybko jadł. On po prostu...

Kurczak poo-szedł, jakby powiedział Pete. Ale był to zaledwie początek. Grzbiet kociaka wygiął się spazmatycznie w łuk i zwierzątko padło na bok, przebijając łapkami. Pete rzucił się do niego, nim zdążyłam zaprotestować, i zaraz cofnął rękę, która ociekała krwią. Joe wyskoczył wysoko w górę i zaczął miotać się po pokoju, odbijając się od ścian, padając i skacząc na przemian, tłukąc się o meble.

Złapałam koc z łóżka i narzuciłam na kota. Ciepły tobolek Pod moimi rękami wyrywał się i wył, zupełnie jak tygrys, a nie mały kociak. Odgrodziłam Pete'a łokciem. Łzy ciekły mu po twarzy.

— Nic mu nie będzie, Pete. Wszystko w porządku, zostaw go mnie.

Miałam nadzieję, że nie kłamię. Atak mógł być spowodowany przez wiele czynników — od zarobaczenia do epilepsji. Jeśli podarowałam dziecku kota cierpiącego na jakąś straszną chorobę... Skręcone ciało w końcu zwiotczało, więc ostrożnie wyciągnęłam Joego spod koca i zawinęłam na wszelki wypadek w fałdę.

Żył. Przynajmniej na razie. Na pół przymknięte oczy były niesamowicie białe, dodatkowa powieka wskazywała, że zwierzę jest chore albo w stanie śpiączki. Puls bił jak szalony, w

nierównym tempie. Wszystko, co mogłam zrobić, to trzymać kota i starać się uspokoić histeryzującego chłopca. Nim dotrzemy do weterynarza, będzie — tak czy inaczej — po ataku.

Prawie zdecydowałam się na tę próbę, przynajmniej gdy serce kociaka zacznie bić równiej. Joe otworzył jedno oko i chyba nie spodobało mu się to, co zobaczył, bo zamknął je znowu, ale jego ciało zaczęło wibrować słabym mručeniem. Po krótkim czasie, wciąż ze szklistymi oczami, ale wyraźnie w lepszym stanie, zwinął się w kłębek w ramionach Pete'a, gotowy do drzemki.

— Co to było? Co mu zaszkodziło? — dopytywał się Pete z twarzą wciąż mokrą od łez.

— Nic poważnego. To się czasem zdarza.

Cóż to było, u diabła? Gorączkowo wertowałam w pamięci objawy. Wymioty, zakłócenia w pracy serca, skurcze mięśni... takie jak u Pete'a tamtej okropnej nocy...

I nagle — wiedziałam.

Jak mogłam być tak ślepa? Kociak to ostateczny dowód, ale powinnam domyślić się wcześniej. Widziałam to przecież — w mojej własnej klasie w trakcie quizu na temat zakupu Luizjany.* Przypomniałam sobie teraz, jak kipiąc ze złości, chodziłam po pokoju i opowiadałam Bartowi o ludziach, którzy sprzedają to świństwo dzieciom.

Wydarzenia tego wieczoru nasunęły mi przed oczy amatorski film, jaki kilkoro z moich dzieciaków wyprodukowało dla dodatkowej zasługi. Jedną z postaci tego filmu był duch Abigail Adams.* Efekt specjalny można uzyskać w bardzo prosty sposób i dzieciaki to uwielbiają. Abigail leży na łożu śmierci, a z jej ciała unosi się mglisty sobowtór, spaceruje tam i z powrotem, po czym znów wtapia się w oryginał. Ze mną działo się teraz to samo. Siedziałam na podłodze, trzymając Joe'go, oniemiała ze zgrozy, natomiast cień, mój sobowtór, kończył kolację, gawędził z Pete'em, obserwował kota, zabawiającego się resztkami jedzenia, dziękował Rosie, kiedy przyszła po tacę, otulał Pete'a kocem...

To cień całował chłopca na dobranoc, zamykał drzwi i przekręcał klucz, cień przebrał się w szlafrok i kapcie, cień stał przy drzwiach i słuchał, jak Francesca idzie korytarzem do swojego pokoju, cień odczekał, licząc minuty, aż dom ucichnie, po czym przekradł się po schodach z powrotem do dziecka i zamknął drzwi — od środka.

Dopiero kiedy opadłam na fotel, dwie połówki mojej osoby zatrzasnęły się w całość. Jedna z tych połówek musiała nieźle się nagłowić, bo teraz widziałam sprawę w całej upiornej okazałości.

Dwuetyloamid kwasu lizergowego. Mógł to być także jeden z innych halucynogennych środków, mescalina, DMT, nasiona powoju — ale prawie na sto procent miałam do czynienia z LSD, którego mała dawka powodowała takie właśnie objawy. W szklance mleka było na pewno więcej niż szczypta. Kot wchłonął minimalną ilość, ale przy małej wadze zareagował gwałtownie, choć szybko mu przeszło.

Czemu wcześniej nie rozpoznałam tego u dziecka? To proste. Z tych samych powodów, dla których i Sebastiano nigdy nie tłumaczył choroby Pete'a nadużywaniem narkotyków. Zawsze zanim zobaczył chłopca, objawy przechodziły. Mógł sobie drwić z tego, co Francesca przypisywała melodramatycznie „dziedzicznemu obłądowi”, ale zamiast tego podsuwał tylko konwencjonalne teorie swojej specjalności — „dziecięce skłonności samobójcze”, „przejściowy stan maniakalno — depresyjny, charakterystyczny dla okresu żałoby”, „chodzenie po nocy w stanie nieświadomości”. Historia Pete'a pasowała do tej diagnozy, natomiast wykluczała

* Zakup przez rząd Stanów Zjednoczonych terytorium obecnego stanu Luizjana od Francji miał miejsce w roku 1803.

* Abigail Adams (1744–1818) — żona prezydenta Johna Adamsa, matka Prezydenta Johna Quincy'ego Adamsa.

koncepcję narkotyków. Był przecież odizolowany od rówieśników i w ogóle od świata zewnętrznego.

Poza tym symptomy zatrucia LSD różnią się bardzo w zależności od dawki, indywidualnej tolerancji, siły bądź słabości psychicznej. Najbardziej powszechnym skutkiem jest to, na czym zależy użytkownikom proszku: intensyfikacja doznań. Kolory biją w oczy, faktura materiału staje się bardziej wyrazista, dźwięki się pogłębiają. Często zachodzi zjawisko zwane synestezją — wtedy jeden zmysł nakłada się na drugi. Ludzie „widzą” muzykę, „czują” kolor, „słyszą” światło. W trakcie jednego seansu nastroje wahają się od ekstazy do paniki. Do tego dochodzi podejrliwość, wrogość...

Swego czasu porządnie odrobiłam pracę domową z narkotyków. Nauczyciel, który dzisiaj to sobie odpuszcza, zaniedbuje swoje obowiązki. Trzeba znać fakty. Dzieciaki potrafią odróżnić fuszerkę, a prawda nie jest nigdy taka straszna jak to, co sobie wyobrażacie. Nazywanie LSD halucynogenem to nieścisłość, ponieważ środek ten rzadko kiedy wywołuje prawdziwe halucynacje. Użytkownicy odbierają rzeczywiste bodźce, a jeśli są w pełni świadomi, co się z nimi dzieje, potrafią nawet do pewnego stopnia kontrolować skutki. Do tak zwanych „odlotów” dochodzi przeważnie wtedy, jeśli dana osoba ma stany lękowe albo jest emocjonalnie upośledzona, albo nie wie, czego się spodziewać.

Pete nie wiedział. Nie zdawał sobie sprawy, że w ogóle połknął jakiś środek. Wyobrażałam sobie, jak budzi się w środku nocy, cały rozdygotany, z tłukącym się w piersi sercem, widzi, że znajomy pokój zmienił się w jakiś dom wariatów — czerwone krzesło nuci niskim barytonem, przez zakratowane okno deszcz strzela promieniami jaskrawego światła, piżama drażni skórę niczym papier ścierny. Czytałam o przypadku, kiedy pewien ćpun spojrzął w lustro i zobaczył, że twarz mu się wydłuża i rozłazi jak roztopiony wosk. Co Pete zobaczył w lustrze, zanim je rozbił? Jakiej upiornej transformacji uległa moja twarz, kiedy zasłaniał oczy i nie chciał na mnie patrzeć?

Musiałam zacisnąć zęby, żeby mi nie szczękały. Cienka bawełniana sukienka nie dawała dostatecznej osłony przed kwietniowym chłodem, ale to nie z zimna się trzęsłam. Pierwszy impuls, impuls, z którym dotąd jeszcze walczyłam, nakazywał brać dziecko i uciekać. Resztki zdrowego rozsądku przestrzegały mnie jednak, że doprowadziłyby to do totalnej klęski. Zbyt wiele spraw pozostawało niewyjaśnionych, poza tym byłam za bardzo wystawiona na ciosy — znajdowałam się w obcym kraju, nie miałam żadnych praw do dziecka, zaś moi przeciwnicy dysponowali siłą przebicia i wpływami, których mnie brakowało. Do wielu rozwiązań, jakie mogłabym znaleźć w Stanach, miałam tutaj odciętą drogę. Choć raz w życiu musiałam wziąć na wstrzymanie i pomyśleć, zanim coś zdziałam.

Myśleć. Myśleć. Postarać się przewidzieć ich następny ruch. Ile dni zostało? Mówiła o końcu tygodnia. Czy nie będzie wolą zaczekać, aż wyjadę... aż nie będzie na miejscu Dawida? Po co popełniać taki straszny czyn przy świadkach, skoro można się ich z łatwością pozbyć?

Chciałam w to wierzyć. Miałabym wtedy więcej czasu. Ale każdy strzęp dowodu zdawał się potwierdzać, że chodzi o piątek. Dwuznaczne aluzje, które przedtem wprawiły mnie w popłoch, nabrały teraz nowego, koszmarnego znaczenia. Powiedziała, że ostateczna decyzja co do przyszłości Pete'a zapadnie w piątek „może pod koniec dnia”. Prosiła, żebym wstrzymała się z telefonem do sobotniego ranka. Wtedy będę mogła poinformować rodziców o moich planach. Oczywiście będę chciała zostać na pogrzebie...

Gdyby w tej chwili weszła do pokoju, chyba rzuciłabym się jej do gardła. Nie miałam już cienia wątpliwości co do jej intencji, choć nadal nie rozumiałam motywu ani powodów, dla których nie chciała czekać, aż usunę się ze sceny. To będzie piątkowy wieczór. A ponieważ była tak pewna rezultatu, następny zamach okaże się inny niż dotąd: będzie brutalny i bezpośredni.

Nie, wcale tak łatwo nie uwierzyłam, że Francesca planuje morderstwo własnego wnuka. Wciąż obracałam w pamięci strzępki dowodów, próbując znaleźć inne wyjaśnienie. To, że Pete sam brał narkotyki — po prostu nie miało sensu. Jediną osobą, która mogła dostarczyć nielegalne środki, był Alberto, ale abstrahując od czystego niepodobieństwa takiego sojuszu, czułam, że Alberto nigdy by się na to nie ośmielił bez zgody Franceski. Równie nieprawdopodobne wydawało się, by Pete przywiózł narkotyki ze Stanów. Francesca skonfiskowała mu tamtejsze ubrania, książki, zabawki, gdzie więc mógłby je ukryć?

Marzyłam, by móc obsadzić Alberta w roli głównego przestępcy, ale ta koncepcja także nie trzymała się kupy. Gdyby Alberto chciał pozbyć się przeszkody, posłużyłby się pałą albo bronią palną. Oboje z Emilią muszą być w to wmieszani. Do zrealizowania pomysłu z kociakiem potrzebne były dwie osoby i to prawdopodobnie Emilia dosypała prochów do jedzenia chłopca. Ale żadne z nich nie potrafiłoby wykoncypować tak diabelsko subtelnego planu. Stanowili tylko narzędzia, a kierował nimi mózg należący do kogoś innego.

Francesca nie była jedyną podejrzaną. Istniały inne możliwości.

Dawid?

Nic o nim nie wiedziałam, poza tym, co sam mi opowiedział. Francesca zadowolona była listami polecającymi, ale skąd miała wiedzieć wszystko? To bardzo dziwne, że akurat teraz zgłosił swoje co najmniej niezwykle usługi. Zadbaj o dobre stosunki z kucharką. Nie mógł wprawdzie kręcić się po kuchni zawsze, kiedy przygotowywano posiłki dla chłopca, ale narkotyku nie podawano mu co wieczór. Nie miał dość czasu, by wydostać kociaka z pokoju Pete'a, ale jeśli Joe sam uciekł, to Dawid — zobaczywszy go na dworze — mógł uwolnić psa.

Za Dawidem jako przestępcą najbardziej przemawiała sprawa narkotyków. Nie chciałam, żeby to był on. Z początku nawet o tym nie pomyślałam. Ale kiedy siedziałam skulona i drżąca w ciemnościach, zmuszając się do myślenia przed podjęciem jakiejś akcji, przyszło mi to do głowy. Czyli jednak mądrze postąpiłam, nie uciekając z Pete'em natychmiast. Prawdopodobnie od razu pobieglabym do Dawida.

Znałam wiele książek o podobnej fabule. Często się zastanawiałam, jak bohaterka mogła być na tyle tępą, by pomylić tego szlachetnego z przestępcą. Myślałam wtedy z pogardą: „Czemu ta kretynka nie zwróci się do policji?” Teraz wiedziałam, dlaczego. Już widziałam siebie, jak wmawiam w lokalnego gliniarza, że dama należąca do jednej z najbardziej dystyngowanych rodzin w Toskanii planuje morderstwo wnuka. „A kimże to signorina sama jest, że śmie rzucać takie oskarżenia?” Ach, tylko przyjezdną, cudzoziemką, w dodatku świeżo wypuszczoną ze szpitala dla psychicznych.

Zdawałoby się, że ta noc będzie się ciągnąć w nieskończoność, a tymczasem okazała się stanowczo za krótka. Zanim zrozumiałam, co muszę zrobić, na prostokąt okna padł pochmurny cień świtu. Wydostać stąd chłopca. Sama, nie zwierając się nikomu, ponieważ nie ma nikogo godnego zaufania. Nie wyzbyłam się jeszcze wszystkich środków. Są ludzie, którzy mogą zaświadczyć o mojej reputacji. Nie jestem notowana w kartotekach policyjnych; chorowałam, ale to nie paranoja stanowi mój problem. Ciotka i wuj chłopca mogą przyjść mi z pomocą, a mój ojciec... Mój ojciec wskoczy w pierwszy samolot, jeśli znajdę się w opałach.

Zyskawszy na czasie, potrafię wykorzystać wszystkich tych sprzymierzeńców i wygrać bitwę, zwłaszcza mając przy sobie atutową kartę — Pete'a. Jedyne pytanie, jakie pozostaje, to gdzie chłopca ukryć. Nie mogę wywieźć go za granicę bez paszportu. Bez cienia skrupułów zaryzykowałabym oskarżenie o kidnaperstwo, gdybym tylko miała ten istotny dokument... Kiedy jednak rozważyłam wszystkie za i przeciw, doszłam do wniosku, że nic z tego nie wyjdzie. Lot trwa zbyt długo. Zanim samolot zdąży wylądować, przeciwnicy zorientują się, że jesteśmy na pokładzie i na lotnisku będzie nas oczekiwał komitet powitalny przedstawicieli prawa. Poza tym

paszport trzyma u siebie Francesca, a moje szanse zwędzenia go są równe zeru, bo Emilia śledzi każdy mój krok.

Tylko w jedno miejsce mogłam zabrać Pete'a. Miało ono tę zaletę, że było całkowicie irracjonalne. Na coś takiego wpadłby wyłącznie kretyn.

ROZDZIAŁ 10

Nadal zdarzały mi się senne koszmary — nie na temat Barta, ale w związku z tym ostatnim okropnym dniem. Niosę dziecko i próbuję biec po jakiejś ciemnej, lepkiej substancji, która klei mi się do nóg. W oddali widzę szare światło dnia, ale wokół mnie i z tyłu panuje ciemność, a w dodatku goni mnie pies. Jest coraz bliżej, brzęk przerwanego łańcucha staje się coraz głośniejszy. Z obu stron ścieżki rzucają się na nas niewyraźne kształty — Alberto mierzy do nas ze strzelby, Francesca sięga rękami, które wyciągają się, jakby były z gumy, na końcach palców ma zakrzywione szpony. Rozpaczliwym skokiem do przodu udaje mi się je ominąć, pies także zostaje w tyle, odgłosy słabną. Ścieżka przede mną jest wolna. I wtedy pojawia się ON. Zagradza drogę, śmieje się, proste, tłuste kosmyki zakrywają mu twarz. Prawie całą twarz.

Oto mój nastrój owego ostatniego dnia — czysta rozpacz i poczucie klęski. Chciałam działać — i nie mogłam. Jedyną korzystną okoliczność to fakt, że nadal przeważały chmury. Pierwszy raz w życiu modliłam się o deszcz. Łatwiej nam będzie wymknąć się nocą, pod osłoną ciemności, miną godziny, zanim ktoś odkryje naszą nieobecność. To najlepszy plan, ale w razie czego da się go zmienić. Nie śmiałam wierzyć, by Pete'owi do piątkowego wieczoru nic nie zagrażało. Musiałam być gotowa na każdą niespodziankę.

Skóra mi cierpła na myśl o spotkaniu z Francesca tego ranka. Bałam się, że nie potrafię ukryć tego, co wiem, że wszystko wyczyta z mojej twarzy. Z trudem, ale jakoś mi się udało. Wszystko można zrobić, jeśli się musi. Ona zresztą też była roztargniona, co mi trochę pomogło. Kiedy siadałyśmy do śniadania, trzymała w rękę jakąś listę.

— Pamiętasz, że masz dziś miarę? — brzmiały jej pierwsze słowa.

Nie pamiętałam. Zaczęłam obmyślać jakiś wykręt, bo nie zamierzałam spuścić Pete'a z oka na tak długo, ale nagle Francesca dodała:

— Niestety nie będę mogła ci towarzyszyć. Chyba ci nie przeszkadza, że pojedziesz sama, prawda?

— Może zabiorę Pietra — powiedziałam. — Kupimy parę drobiazgów na podróż, jakieś gry, komiksy.

— Jak chcesz.

Jedynym uczuciem, jakie odmalowało się na jej twarzy, było niedowierzanie, że towarzystwo chłopca może mi sprawiać przyjemność. No i bardzo dobrze. Skoro tak, to poszłam za ciosem:

— Obiad zjemy we Florencji.

Kiwnęła głową, dalej studiując swoją listę. Nie wierzyłam własnym oczom.

— Alberto nie musi nas odwozić — rzuciłam lekko. — Wezmę swój samochód.

Powinłam przewidzieć, że tak łatwo mi nie pójdzie. Francesca podniosła głowę i zmarszczyła brwi.

— To niemądry pomysł — powiedziała ostro. — Pada deszcz, a ty nie znasz drogi. Nie potrzebuję dziś Alberta, bo mam mnóstwo roboty na miejscu.

Bałam się upierać. Czułam, że balansuję na cienkiej linii, jedno nieodpowiednie słowo, jedno nie takie spojrzenie — i cały plan na nic. Francesca przyglądała mi się przenikliwie.

— Jesteś dziś jakaś nieswoja, Kathleen. Czy aby dobrze spałaś?

Byłam na to przygotowana.

— Tak naprawdę to nie. Martwiłam się o Pietra. Wydawał mi się wieczorem jakiś spięty. Kiedy w nocy do niego zajrzałam, okropnie się wiercił. Pomyślałam, że to przemęczenie, ale nie chciałam go zostawiać i... no cóż, zasnąłam w fotelu i obudziłam się dopiero rano.

Dość. Nie tłumaczyć się za bardzo. Musiałam mieć w zanadru jakieś wyjaśnienie na wypadek, gdyby wykryli, że spędziłam noc w pokoju Pete'a. Lepiej unikać takich zmian w ustalonym rozkładzie — na swoje usprawiedliwienie miałam tylko to, że stało się tak niechcący. A gdyby mi nie uwierzyli? Nie wiem, jak bym z tego wybrnęła.

Francesca najwyraźniej kupiła moje tłumaczenie.

— Podziwiam twoją sumienność, ale nie powinnaś się przemęczać. Musisz dbać o zdrowie, to bardzo ważne.

Zapewniłam ją, że czuję się świetnie, po prostu fantastycznie, ale wolałam już stąd wyjść. Mogłam ciągnąć tę grę, ale do pewnych granic.

Tyle co do nadziei, że wywożę go stamtąd przed zapadnięciem nocy. Jeśli się nie załamie, to podróż do Florencji umożliwi mi podjęcie pewnych istotnych kroków i uśpi czujność Franceski.

Pete łaskawie przyjął moje zaproszenie.

— Pójdziemy do kina? — spytał z nadzieją w głosie. — Odkąd tu przyjechałem, nie byłem ani razu w kinie. Lubię filmy o mordercach i rozbójnikach.

— Zobaczymy.

W każdym razie dobrze się bawił. Musiałam być dobrą aktorką, bo nie dostrzegł niczego dziwnego w moim zachowaniu. W domu mody się wynudził, ale udało mi się skrócić miarę do minimum, wmawiając zaskoczonej krawcowej, że wszystko jest świetnie tak, jak jest. Nie sądziłam, by z jakąkolwiek inną klientką poszło jej równie łatwo, a już na pewno nie z Francesca lub kimś z jej środowiska.

Albertowi dałam niezły wycisk, co sprawiło mi pewną satysfakcję. Kazałam mu jeździć po całym mieście w poszukiwaniu różnych rzeczy, a potem odprawiłam pańskim gestem. Poszliśmy z Pete'em na obiad oraz na bardzo długi film o napadzie na bank. W normalnych okolicznościach nigdy w życiu nie zabrałabym dziecka na film, w którym „bohater” strzela do strażników, masakruje świadków, po czym uprawia seks ze swoją dziewczyną, ale uznałam, że nie pora teraz na czepianie się kwestii moralnych. Ważne, żeby jak najdłużej utrzymać dzieciaka z dala od domu. Pozałatwiałam wszystkie sprawunki — wybrałam gry i lekturę dla Pete'a, kupiłam zamykany koszyk dla Joego, zrealizowałam czeki podróżne. Miałam ponad siedemset dolarów i wiedziałam, że mi się przydadzą. Nabyłam też płaszcz oraz czapkę dla Pete'a i kazałam je zapakować. Niezbyt to imponujące przebranie ale lepsze niż nic.

Na koniec zabrałam chłopca do trattorii, gdzie nafaszerowałam go niemal wszystkimi daniami z karty. Robiło się późno i Alberto zdradzał objawy niezadowolenia, ale chyba niczego nie podejrzewał. Nie był na tyle sprytny, by się domyślić, że specjalnie napycham dziecko, żeby nie mogło jeść kolacji. Pete z rozszerzonymi z zachwytu oczami zamawiał wszystko, na co miał ochotę, a ja dobrodusznie patrzyłam, jak pochłania na deser lody i jedno ciastko za drugim.

Zapadał zmierzch, kiedy dotarliśmy do willi. Stopniowo zaczynałam nabierać ducha. Nieskończenie długi dzień dobiegał końca. Jeszcze tylko jedno spotkanie z Francescą, potem wytrzymać jakoś parę godzin — i w drogę. Z pewnością czekały mnie różne przykrości, ale to nic, naprawdę martwiłam się wyłącznie o dziecko. Gdy znajdzie się w bezpiecznym miejscu, dam sobie radę z zarzutami, obelgami i wszystkim innym.

Pete popędził na górę, żeby pokazać Joemu koszyk. Miałam wątpliwości, czy kot będzie podzielał jego entuzjazm, toteż prosiłam chłopca, by stopniowo oswajał zwierzątko z nowym sprzętem. Gdyby Joe zaczął miauczeć podczas przenoszenia, wynikłyby kłopoty. Paczkę z płaszczem i czapką zabrałam do siebie i zamknęłam w walizce.

Następnie udałam się do kuchni, gdzie zawiadomiłam Rosę, że Pete jest już po kolacji i nie należy mu dawać nic do jedzenia ani picia. Kucharki byłam pewna na dziewięćdziesiąt dziewięć procent, ale nie mogłam liczyć na jej pomoc; za bardzo bała się Franceski.

Wróciwszy do pokoju, raz jeszcze rozważyłam starannie cały plan. Czy na pewno niczego nie zaniedbałam, czy powinnam coś jeszcze zrobić, przewidzieć jakąś niespodziankę? Odpowiedź na to ostatnie pytanie była pesymistycznie twierdząca. Przecież niespodzianka to coś, czego się nie da przewidzieć. Ale zrobiłam wszystko, co w mojej mocy, i doszłam do punktu, w którym myśli biegały na oślep jak chomik po kole.

Weszłam do saloniku bez pukania. Francescą siedziała przy biurku. Moje nagłe wtargnięcie wyraźnie ją spłoszyło, bo pióro w jej ręku drgnęło i nakreśliło na kartce brzydki zygzak.

— Przepraszam — powiedziałam.

Wolno i metodycznie Francesca zmięta papier i wrzuciła go do kosza. Zdenerwowała się — to jasne — ale jej nerwowość osłabiła moją. Bo oto wbrew wszelkiej logice w mojej głowie wykiełkowały wątpliwości. Czyżbym popełniła ten sam błąd, o który tak często mnie oskarżano? Czyżbym mylnie interpretowała fakty, budowała fantastyczne teorie na niedostatecznych podstawach? Znałam siebie na tyle dobrze, by wiedzieć, że to możliwe. Potworność spisku czyniła go niewiarygodnym. Nie po raz pierwszy zetknęłam się z taką możliwością, ale odpowiedź była prosta i bezsporna. Mylę się czy nie, zdrowa na umyśle czy wariatka, muszę przeprowadzić swój plan. Nie wolno mi ryzykować. Toteż na skrzywioną twarz Franceski zareagowałam słodkim uśmiechem, a kiedy zapytała, czy wszystko załatwiłam, odrzekłam bez zająknięcia:

— Tak, było bardzo miło. Zrealizowałam czeki podrózne i na szczęście przypomniałam sobie, żeby kupić koszyk dla kota.

— Kot? — Jej brwi wygięły się w łuk. — Przecież może zostać z Rosą. Ona nie wyjeżdża, ma opiekować się domem.

— Pietro jest do niego bardzo przywiązany. Kiedy dziecko czeka wielki wstrząs czy zmiana, powinno mieć przy sobie coś znajomego, co może przytulić. Kot nam nie sprawi żadnego kłopotu. Jutro zabiorę go do weterynarza i zdobędę potrzebne dokumenty.

— Rozumiem. — Wzruszyła ramionami i zmieniła temat. — A jak poszła miara?

— Doskonale. Wszystko będzie gotowe w sobotę po południu.

Kiwnęła głową. Oczywiście, że wszystko będzie gotowe. Pióro śmigało już po nowym arkusiku, więc powiedziałam:

— Widzę, że jesteś zajęta. Nie przeszkadzaj sobie, proszę. Czy mogę ci w czymś pomóc?

— Dziękuję, nie. Chociaż... może będziesz tak dobra i zadzwonisz na Emilię. Skończę tylko to pisać i zaraz ci służyć.

Ledwie dotknęłam dzwonka, pojawiła się Emilia. Patrząc, jak ustawia na stole kieliszki i karafkę, myślałam o pokusach, jakie niesie z sobą skupienie w jednym ręku takiej władzy — Lekki nacisk jednego palca, drgnięcie kilku małych mięśni może wyzwolić wybuch aktywności na skalę przemysłową. Jak łatwo przywyknąć do kontrolowania cudzego życia za pomocą jednego guzika!

Kiedy Francesca usiadła znowu przy mnie, uznała za stosowne przeprosić za swe roztargnienie.

— Przed podróżą zawsze jest tyle spraw do załatwienia!

— Ja też próbuję wszystko sobie zorganizować. Może zamiast czekać do niedzieli zwróciłabym jutro wynajęty samochód? Czy Alberto będzie mógł przywieźć mnie z powrotem?

— Oczywiście.

Uśmiech ocieplił się trochę. Pomysł wyraźnie przypadł jej do gustu. (Nie pytaj, dlaczego, nie dopatruj się dwuznaczności ani podtekstów — to wszystko jest już daleko za tobą. Po prostu trzymaj się planu).

Kobieta interesu została przy biurku, a przy mnie siedziała urocza gospodyni, lecz jej sposób bycia uległ pewnej zmianie. Nie, nie chodziło tu o nerwowość jako taką, raczej o tłumione podniecenie i nastrój wyczekiwania. Gdybym nie wiedziała, pomyślałabym, że Francesca nie może się doczekać wyjazdu. (Bo co? Bo w ustronnym szalecie w szwajcarskich Alpach czeka jakiś książe czy hrabia?) To dziwne roztargnienie i ukradkowe spojrzenia, w których kryła się złośliwa satysfakcja, zaczynały mi już działać na nerwy. Zastanawiałam się, czy mimo wszystko przebrnę przez ten wieczór bez wpadki.

Francesca bezwiednie dostarczyła mi kolejnego powodu do niepokoju.

— Zaprosiłam na kolację profesora Browna. Czuję się w obowiązku, bo przecież on wkrótce wyjeżdża.

Ostatnio starałam się unikać Dawida. Winien czy nie, współnik Franceski czy niezależny przestępca, nie grał żadnej roli w moim planie, stanowił tylko przeszkodę, której za wszelką cenę należało unikać. Nie byłam zachwycona perspektywą spędzenia całego wieczoru w jego towarzystwie.

Francesca zauważyła moją reakcję i chyba ją to rozbawiło.

— Mam nadzieję, Kathleen, że nie zanudzisz się na śmierć.

— On ma skłonność do wywlekania tematów, które napawają mnie obrzydzeniem. Ale ten jeden wieczór jakoś przeżyję.

Przynajmniej miałam taką nadzieję.

Dawid choć raz miał na sobie porządną koszulę i stosunkowo znośną marynarkę — prawdopodobnie było to bardziej ustępstwo na rzecz chłodu niż oznaka respektu dla gospodyni. Pod pachą trzymał brązowe tekturowe pudło.

— To te koptyjskie tkaniny, które chciała pani zobaczyć — wyjaśnił, składając pudło u stóp Franceski.

Oglądała je z wyraźnym niesmakiem. Były dalekie od czystości, a niektóre z resztkami pajęczyn. Nieświadomy swej gafy, Dawid po prostu promieniał. Przypominał psa, który przyniósł swej pani wyjątkowo śmierdzącego martwego szczura.

— Przesunę to, dobra? — Dawid zabrał się do przestawiania szkła. — Ułożę je tutaj. Obawiam się, że kilka sztuk jeszcze nie wyschło.

Rzeczywiście były mokre — cuchnęły wilgotnymi szmatami, chemikaliami i po prostu stęchlizną. A jednak wzbudziły zainteresowanie Franceski. Dotknęła paru sztuk, komentując ze znawstwem rodzaj haftu i wypytyując Dawida o wiek i historię eksponatów. Na koniec powiedziała:

— To szalenie interesujące, profesorze. Jestem panu wdzięczna za uratowanie tej kolekcji. Czy zechce mnie pan łaskawie poinformować, jak mam ją przechowywać?

— Cóż, problem w tym, że one wciąż nie są suche. Potrzebują odpowiedniej temperatury, kontroli wilgotności i szczelnej gabloty, ale jeśli zamknie je pani już teraz, przed dokładnym wysuszeniem, to się zmarnują. Liczyłem na trzy, może cztery dni więcej...

— Nie mam czterech dni — ucięła Francesca. — Czemu nie użyje pan lamp grzewczych?

— To ryzykowne. Nie mam odpowiedniego sprzętu...

— Będzie pan musiał dołożyć wszelkich starań. W przyszłym tygodniu zamykam dom, może nawet jeszcze wcześniej. Gdyby pan mógł wyjechać w sobotę albo w niedzielę...

— Jak pani sobie życzy.

Nie był to przyjemny posiłek. Dawid naburmuszony i skrepowany, Francesca roztargniona. Stanu swojego ducha nie muszę opisywać. Pozornie rozmowa przebiegała dokładnie tak, jak się spodziewałam: wielka dama odprawia niepotrzebnego już wyrobnika, ale zanim go ostatecznie wyrzuci, spodziewa się po nim rzeczy niemożliwych. Natomiast on czuje się głęboko urażony.

Jeśli były w tym jakieś podteksty, na pewno ich nie zauważyłam. Wykańczały mnie już same domysły.

Wreszcie kolacja dobiegła końca. Dawid wycofał się z pudłem pod pachą, zamierzając prawdopodobnie spędzić resztę wieczoru na suszeniu swoich szmatek. Ja zostałam jeszcze przez godzinę, podczas której znęcałam się nad rozpoczętą robótką. Ręce miałam stabilne, ale myślałam o czymś zupełnie innym.

Kiedy zegar wybił dziesiątą, wstałam. Zwyczajna procedura; Francesca lubiła wcześniej wstawać i o wpół do jedenastej szła do swojego pokoju. Kiedy życzyłam jej dobrej nocy, ogarnęło mnie dziwne uczucie. Wszystko w tym pokoju — meble, kominek, kobieta upozowana na sofie z igłą w białej dłoni — stało się płaskie, dwuwymiarowe jak malowidło. Zastygłe w czasie, lecz nierealne, martwe. Przypuszczam, że odpowiedziała na moje „dobranoc”, ale jej nie słyszałam. Malowane twarze nie mówią.

Nie byłam zdenerwowana ani przerażona. Jedyna korzyść z tego długiego, okropnego dnia polegała na tym, że czułam się wyprana z wszelkich emocji. Pozostał tylko kamienny spokój. Zdjęłam żakiet i spódnice, włożyłam szlafrok. Do kieszeni deszczowca napchałam niezbędnych rzeczy — paszport, pieniądze, kluczyki, portfel. Były to duże, nakładane kieszenie, dołożyłam więc na wierzch kilka drobiazków z ubrania, żeby na pewno nic nie wypadło.

Otworzyłam drzwi i zostawiłam je uchylone. Potem usiadłam i na oślep wybrałam książkę. Kiedy zobaczyłam, że to wiersze Browninga, omal nie cisnęłam tomiku na ziemię, ale to i tak nie miało znaczenia — nie byłam w stanie skupić się nawet na samym druku, a cóż dopiero na treści. Siedziałam z otwartą książką, przewracając strony; od czasu do czasu jakaś linijka przyciągała mój wzrok. „Wszystkie uśmiechy zgasły”^{*} — mówi Książę, wspominając swą ostatnią Księżnę, dość niewybredną w afektach. „Sir Roland pod Mroczną Wieżą stanął”^{*} — rzecz o sennych koszmarach: z przodu pali się gasnące słońce, wzgórze napierają na kamieniołom w zatoce... „Starzej się razem ze mną! Najlepsze dopiero nadejdzie...”^{*} O, z pewnością, Robercie, też mam taką nadzieję.

Przestałam już nawet udawać, że czytam. Mój zegarek wstrzymywał i tak powolny czas. Minutowa wskazówka stała od wieków, potem nagle skoczyła do przodu i znów się zatrzymała. Za kwadrans jedenasta Francesca poszła na górę. Na korytarzu zastukotały jej pantofle, potem otworzyły się i zamknęły drzwi. Pół godziny później odgłos otwierania się powtórzył. Krótki szmer rozmowy — to Emilia życzyła swej pani *buona notte*. Ciężkie kroki oddalające się w kierunku tylnych schodów — w stronę kwater służby.

Zamknęłam książkę. Wstałam. Zgasiłam światło i natychmiast ogarnęła mnie czerń. Noc była pochmurna, bardzo ciemna. Nie potrzebowałam światła ani go nie chciałam. Zdjęłam szlafrok, włożyłam spodnie i żakiet, zabrałam buty i paczkę z rzeczami Pete’a. Wyjęłam z szafy swój płaszcz i zastygłam przy drzwiach. Czekanie to niekiedy bardzo wyczerpujące zajęcie, wymaga ogromnego skupienia. No więc czekałam.

O wpół do pierwszej otworzyłam drzwi. W końcu holu, w pobliżu pokoju Franceski paliła się jedna lampa, druga oświetlała podest schodów. Szłam po omacku, wyczuwając nogą każdy stopień. Klucz był w zamku. Przekręciłam go i weszłam.

Słaba lampka w kącie pokoju Pete’a oślepiła mnie — po egipskich ciemnościach w holu wydała mi się przeraźliwie jasna. Kociak, zwinięty w zagłębieniu kolan chłopca, podniósł łepkę i pytająco miauknął, błyskając zielonymi latarkami oczu.

* „Moja ostatnia Księżna”, tłum. Juliusz Żuławski.

* Tłum. Juliusz Żuławski.

* „Rabbi ben Ezra”.

Oto pierwszy płotek. Jak powiedzieć dziesięcioletniemu chłopcu, że ktoś chce go zabić? Jak go przekonać, że musi wyjść z obcą, poznaną przed kilkoma dniami kobietą?

Joe pomógł mi go obudzić, skacząc i mruczając z zachwytu. Nareszcie znalazł inteligentną osobę, która wie, że noc to najlepsza pora do zabawy. Chłopiec poruszył się we śnie, i wtedy przemówiłam:

— Pete, obudź się, to ja Kathy. Nie hałasuj.

Wyciągnął rękę po kota.

— Signora? Już jest rano?

— Nie, jeszcze nie. Kochanie, muszę z tobą pomówić. To ważne. Sekret, rozumiesz? Tylko między nami, plus, oczywiście, Joe.

Usiadł, przecierając oczy. Wyglądał na mniej niż dziesięć lat — włosy mu sterczały w małych kępkach, kości ramion były kruche jak patyki. Z wielką niechęcią robiłam to, co musiałam. Ćwiczyłam to przemówienie tak często, że teraz wypadło płasko i nieprzekonywająco. Sama nie mogłam w nie uwierzyć.

— Musisz mnie wysłuchać, Pete. Bardzo uważnie. Ktoś próbuje wyrządzić ci krzywdę. Wcale nie jesteś chory. Te ataki... wiesz, te przykre przejścia... biorą się stąd, że ktoś dosypuje do twojego jedzenia pewnego proszku. Słyszałeś chyba o narkotykach. One sprawiają, że ludzie robią dziwne, niebezpieczne rzeczy. Chcę, żebyś ze mną poszedł... teraz... w pewne miejsce, gdzie będziesz bezpieczny. Ty i Joe. Wiem, że trudno ci w to uwierzyć, ale musisz...

Wtedy nastąpiła pierwsza niespodzianka tej nocy — jedyna przyjemna. Pete kiwał głową. Jego oczy o rozszerzonych źrenicach wyglądały jak dwa kawałki czarnego marmuru oprawione w połyskliwe srebro.

— Wierzysz mi, prawda? — spytałam przez ściśnięte gardło.

— Wiem. Ten proszek — wtedy nie wiedziałem, dopiero teraz... ale wiem, że nie jestem chory. Tylko się boję, wciąż się boję. I nikt mi nie wierzy. Dokąd pójdziemy, signora?

Moim lodowatym spokojem wstrząsnęło uczucie ulgi i wdzięczności. Pierwszy płotek za mną i nadal biegnę... A Pete zachowuje się z takim cudownym spokojem i nic a nic się nie boi.

— Znam takie miejsce, Pete, ale najpierw się ubierz. Włóż coś ciepłego i wygodnego... masz.

Wyciągnęłam z komody spodnie, koszulę, ciepłą bluzę i skarpetki. Pete usłuchał natychmiast, zdjął piżamę i sięgnął po ubranie. Chudym ciałkiem wstrząsnął dreszcz, ale raczej nie strachu.

— Musimy zabrać Joego.

— Jasne. Dlatego kupiłam ten koszyk. Oraz płaszcz i czapkę dla ciebie, nikt tych rzeczy nie widział, jeśli zaczną cię szukać...

— Wiem. Jak w kinie. Sprytnie to pani obmyśliła.

Na szczęście był zupełnie spokojny, znacznie spokojniejszy niż ja. Patrzyłam, jak zamyka kota w koszyku i pakuje do kieszeni ulubioną grę — tę, co mu dzisiaj kupiłam. Po namyśle wsadził do drugiej kieszeni kilka komiksów.

— Nie czytałem ich jeszcze — wyjaśnił. — No, signora, jestem gotów.

Stał wyprostowany i bez lęku w nietwarzowej czapce, naciągniętej na czoło i skrywającej włosy. Płaszcz okazał się za długi — sięgał mu za kolana i zakrywał ręce aż po knykcie. Uklękłam i zawinęłam mu rękawy. Przez chwilę miałam ochotę go przytulić, ale sobie na to nie pozwoliłam. Byliśmy dzielnymi poszukiwaczami przygód, partnerami w śmiałej ucieczce. To nie czas na sentymenty.

— W porządku — powiedziałam. — Oto nasz plan: schodzimy po tylnych schodach i przez kuchnię przedostajemy się do garażu. Wsiadasz razem z Joem na tylne siedzenie mojego samochodu i kucasz na podłodze. Mam nadzieję, że nikt nas nie zauważy, ale na wszelki wypadek...

— Wiem. Teraz, signora, ja pójdę pierwszy. Lepiej niż pani poruszam się w ciemności.

— Tak jest, proszę pana!

Obdarzył mnie uśmiechem pełnym wyższości, niczym generał do lojalnego podwładnego, który potrzebuje zachęty.

Zamknęłam drzwi i zabrałam klucz, żeby maksymalnie opóźnić alarm. Pete pozwolił mi nieść kota, który kręcił się niespokojnie i pomrukiwał. Miałam nadzieję, że nie zacznie miauczeć, ale koszyk miał klapkę, którą można było nasunąć na zakratowany otwór. Wybrałam ten model specjalnie z tego powodu. Był to nasz jedyny bagaż. Podróżowaliśmy bez obciążeń, poświęciłam nawet swoją torebkę.

Drugą przeszkodę mieliśmy za sobą, kiedy wymknęliśmy się z domu, przez nikogo niezauważeni. Nie spodziewałam się kłopotów na tym odcinku, ale następny mógł się okazać trudniejszy. Nie dało się wyprowadzić samochodu bez uruchomienia silnika — podwórko stajenne było idealnie poziome. Alberto i Emilia spali w domu, więc chodziło tylko o Dawida. Mógł się obudzić, ale w końcu to nie jego sprawa, kto przyjeżdża i wyjeżdża. Miałam nadzieję, że nie będzie się wtrącał, lecz jeszcze tyle innych rzeczy mogło pójść niezgodnie z planem...

Zakląłam cicho, widząc, że w oknie Dawida pali się światło. Po chwili wahania zdecydowałam, że nie będę czekać, aż zgaśnie. Dawid potrafił pracować całą noc.

Pete wstawił koszyk na tylne siedzenie.

— Signora — szepnął — czy uszkodzimy mercedesa? Miałam chęć dać sobie kopniaka, że o tym nie pomyślałam.

Problem polegał na tym, że nie wiedziałam, jak unieruchomić mercedesa. Nie umiałam otworzyć maski. Na szczęście żaden samochód nie pojedzie na dziurawych oponach. Przyjrzałam się wiszącym na ścianie narzędziom. Przez otwarte drzwi mojego samochodu padało dosyć światła, by umożliwić mi wybranie porządnego, ciężkiego szpikulca.

— Zajmę się tym — mruknęłam. — Wsiadaj do samochodu i kucnij.

Przebijanie opon nie poszło tak łatwo, jak myślałam. Zawsze mi się zdawało, że wystarczy najechać na pinezkę — i już ma się flaka, ale tutaj musiałam dźgać i kłuć bez końca, zanim wreszcie usłyszałam syk powietrza. Zdażyłam uporać się z dwiema tylnymi, kiedy objął mnie promień latarki.

Na chwilę stanęło mi serce. Nie usłyszałam żadnego ostrzegawczego odgłosu, a przecież cały czas nasłuchiwałam.

— Wyłącz to światło — powiedziałam drżącym ze złości i strachu głosem.

Odwrócił promień, ale latarki nie zgasił. Trzymając za sobą szpikulca, skradałam się do mojego auta.

— Co robisz? — spytał Dawid. Dopiero teraz usłyszałam, jak schodzi ze schodów.

— Zostawiłam coś w samochodzie.

— Coś, bez czego nie możesz się obyć o pierwszej w nocy?

— Co cię to obchodzi?

— Zaczyna mnie obchodzić. Skąd to dziwne wrażenie, że wymykasz się ukradkiem w tę bezksiężycową noc? Przyznaję, że ciemność sprzyja ucieczce.

— Jeśli chcę wyjechać, to moja sprawa. Co ci do tego?

— Nic. Mam w głębokim poważaniu, czy zostajesz tu, czy jedziesz prosto do diabła, pod warunkiem, że jesteś sama. Zajrzę tylko na tylne siedzenie i jeśli nie masz żadnego pasażera...

— Odejdź od tego auta, Dawidzie, bo przysięgam, że cię rozjadę!

Wydał dziwny, dwuznaczny dźwięk, który mógł być stłumionym przekleństwem albo szyderczym śmiechem. Mój pierwszy błąd! I kto wie, może ostatni. Jaka byłam dumna, że mam dość rozumu i odwagi, by podejrzewać Dawida! A przecież w gruncie rzeczy w to nie wierzyłam,

czułam w kościach, w głębi duszy i serca, że to nieprawda! Gdybym wierzyła, wiedziałabym, że oświetlone okno nad garażem zmniejsza nasze szanse do jednej na tysiąc. Musiałabym obmyślić jakiś inny plan. Teraz już za późno. Za późno na wszystko, z wyjątkiem... Zaczisnęłam palce na drewnianej rączce szpikulca. Czy potrafię go użyć? Muszę. Nie mogę dopuścić, by nas zatrzymał, by podniósł alarm. Droga do bramy stała otworem, ale sama brama pewnie jest zaryglowana, zanim ją otworzę, Dawid zdąży nas dogonić. Zresztą ma motocykl. Gdybym jakimś cudem wydostała się na zewnątrz, pojedzie za mną.

— Kathy — powiedział innym, łagodniejszym tonem. — Pomyśl, co robisz. Jeszcze masz wyjście. Może nie zdajesz sobie z tego sprawy...

Schodził na dół. Słyszałam ciche kroki na schodach, potem zobaczyłam w progu bezkształtny cień na tle jaśniejszych kamieni podwórka.

— Kathy, proszę, wysłuchaj mnie...

Omam nie padłam trupem. Głos dobiegał z ciemności u podnóża schodów. Dawid nadal był wewnątrz garażu!

Zwalisty cień w progu wybuchnął ochryplym śmiechem.

— *No, signora. Eccola — la carabina. Capisce?*

Chciał się upewnić, czy zrozumiałam. Pstryknął wyłącznik i zapaliło się światło. Alberto stał w progu, szczerząc zęby przez grube wargi. W wyciągniętych rękach trzymał strzelbę.

Wszystkie moje uczucia znikły w przyptywie zimnej furii.

— Szlag by trafił was wszystkich! — wrzasnęłam. — Nie tkniecie go, słyszycie? Najpierw musicie mnie zastrzelić! Przynajmniej policja da wam niezły wycisk, nim jej wmówicie, że to był wypadek!

Szarpnęłam drzwi i wsiadłam do samochodu. Kluczyki miałam w ręku. W świetle reflektorów widziałam, jak cień Alberta pędzi przez podwórko. Dziecko dyszało w tyle jak biegacz po wyścigu. Nie mieliśmy szans, ale nie zamierzałam się poddawać, dopóki mnie nie wywloką z samochodu, a wtedy także będę kopać i gryźć.

Przekręciłam kluczyk. Na pierwsze kasznięcie motoru Alberto odskoczył w tył, poruszając się lekkimi, zwinnymi ruchami boksera. Strzelbę trzymał luźno, niedbale. Nie było pośpiechu. Wystarczy jeden strzał.

Z głębi garażu, prosto w złowrogi blask, wypadł Dawid. Wiedziałam, że to on, ale go nie rozpoznałam — był tylko niewyraźną plamą ruchu, strumieniem szybkości. Rąbnął Alberta poniżej pasa, odrzucając go do tyłu. Strzelba upadła na ziemię. Dawid schylił się po nią, ale szofer — szybki jak kot — zdążył się już podnieść i ciężkim butem nastąpił mu na dłoń. Twarz Dawida zmieniła się w biały owal, a jego usta otworzyły się w krzyku, który słyszałam nawet przez zamknięte szyby. Wolną ręką chwycił Alberta za kostkę i pociągnął. Dwa ciała szcepiły się z sobą w wielką płataninę rąk i nóg. Nacisnęłam z całej siły pedał gazu.

Wykręcając, otarłam się o słupek. Wóz zadygotał i usłyszałam zgrzyt rozdzieranego metalu. Kołysząc się i zarzucając na boki przy objeżdżaniu domu, auto wypadło wreszcie na podjazd. Czarne szpony konarów orały szyby, w oddali majaczyła brama. Wcisnęłam hamulce, wyprowadziłam wóz z poślizgu i wysiadłam, zostawiając otwarte drzwi. Klucz wisiał na gwoździu po wewnętrznej stronie drzwi domku. Biegając do bramy, zobaczyłam, że Pete wysiadł także. Zaczęłam na niego krzyczeć, ale zaraz się zamknęłam. Zdołał wysunąć sztabę ze wsporników. Kiedy przekręciłam klucz, odciągnął jedną połowę bramy, a ja drugą. Płakał. Twarz mu błyszczała od łez w świetle reflektorów, ale nie wydał ani jednego dźwięku.

Kiedy wsiadłam do auta, zobaczyłam w tyle światła w willi — nie jedno, ale cały rząd wokół staj en. Nie bacząc na fontanny wody z kałuż, pędziłam po stromej drodze z szybkością, jakiej nigdy nie odważyłabym się rozwinąć w biały dzień. W końcu wpadliśmy w dziurę z takim

impetem, aż zadzwoniły mi zęby i musiałam puścić pedał gazu. Nie mogłam ryzykować pęknięcia osi czy złapania gumy.

Odzyskałam mowę dopiero wtedy, gdy przejechaliśmy przez uśpione miasteczko i wydostaliśmy się na główną drogę.

— W porządku tam, w tyle?

— W po — rządki — odpowiedział bardzo cichutki głosik.

— Chyba się udało. Przypomnij mi, żebym ci kiedyś powiedziała, że na mojej liście masz pierwszy numer.

Zamurowało go na chwilę.

— I pani na mojej też. Joe nie przepada za jazdą samochodem.

— Zauważyłam. — Protesty Joego były przeraźliwe i szczere.

— Większość kotów nie cierpi samochodów.

— Przesiadę się do przodu, dobrze?

Już miałam się nie zgodzić, to przecież niebezpieczne, ale nagle zrozumiałam, że potrzeba mu mojej bliskości. Ja także chciałam mieć go przy sobie. Cały czas działałam w stanie pozornego spokoju, który następuje po silnym wstrząsie.

— No chodź — powiedziałam. — Tylko uważaj.

Przelazł przez fotel i usadowił się wygodnie. Męskie skrępowanie zwalczyło łzy, bo twarz miał wprawdzie ponurą, ale suchą.

— Signora?

— Słucham.

— My nie jedziemy do doktora Manettiego, prawda?

— A chciałbyś?

— Nie! On by mnie odesłał z powrotem.

— Tak też myślałam. Pete, czy mówiłeś doktorowi Manettiemu, że ktoś chce cię skrzywdzić?

— Nie. Nie uwierzylby mi.

Niedobrze mi się robiło na myśl o cichym koszarze, jaki to dziecko przeżywało od wielu tygodni. Ale Pete miał pewną zdolność: dziecięcą, fatalistyczną akceptację nonsensu. Wiedział, że go nienawidzą i pragną jego śmierci. Nie musiał znać powodu. Świat dorosłych i tak jest niezrozumiały. Była to tylko kolejna manifestacja właściwej mu bezsensowności. A skoro tak, to nie pozostawało nic innego, jak przyjąć postawę chytrego, ściganego zwierzątka — nie ufać żadnemu z myśliwych.

— Nie jedziemy do doktora Manettiego — oznajmiłam. — Na początek zatelefonujemy do twojej cioci i wujka w Filadelfii.

— Oni mnie chyba nie chcą. Napisałem kilka listów, ale mi nie odpowiedzieli.

Mówił drewnianym, obojętnym głosem, lecz wiedziałam, że to jeszcze jedna i bynajmniej nie jedyna rana, jaką musiał znieść.

— Idę o zakład, że odpowiedzieli — odrzekłam szybko. — Listy nie zawsze docierają do adresatów. Pamiętasz, co się wydarzyło, kiedy dotarła do was wiadomość o katastrofie lotniczej? Byłeś wtedy u ciotki i wuja. Powiedzieli ci, że masz teraz mieszkać u babci, czy też ona po prostu cię zabrała?

Nie rozumiał implikacji historii, jaką mi opowiedział, ale potwierdzała ona moje najgorsze podejrzenia. Oraz najczulsze nadzieje. Nie, nikt mu o niczym nie mówił, tylko pewnego dnia ciotka Vera spakowała jego walizkę. Cały czas płakała przy tym pakowaniu, chociaż starała się, żeby on nie zauważył. Wujek Ben był zły, bardzo zły, miał zaczerwienioną twarz i mówił niskim, warczącym głosem. Pete musiał zostawić wiele swoich rzeczy. Do samolotu wolno zabrać tylko jedną walizkę. Tak powiedział wujek Bart.

— Chyba wujek Ben — sprostowałam pomyłkę.

Światła Florencji w dole były kałużą jasności. Dojeżdżaliśmy do celu.

— Nie, wujek Bart. Tak się kazał nazywać. On był dla mojego ojca jak brat i... — Urwał raptownie. — Och... Och, zapomniałem. Kazali mi przyrzec... Miałem nie wspominać o nim, bo pani to sprawia przykrość.

Jakoś udało mi się sprowadzić samochód z głównej drogi bez wypadku. Na szczęście nie było zbyt wielkiego ruchu.

— Zapomniałem — szeptał Pete. — Przeze mnie źle się pani poczuła...

— Nie, nie. Przez ciebie nigdy się źle nie czuję. Wręcz przeciwnie, teraz mi lepiej. Znacznie, znacznie lepiej.

ROZDZIAŁ 11

1

Angelo siedział w recepcji. Wiedziałam, że go tam zastanę, zawsze był przecież na miejscu. On także nie okazał zdziwienia, kiedy wkroczyłam do hotelu o drugiej w nocy z dzieckiem oraz kotem. W porównaniu z jego powściągliwością angielski kamerdyner to kłębek nerwów.

Tak, oczywiście, jest pokój. Czyż nie mówił, że dla mnie zawsze będzie miejsce? Nie zapytał, kim jest Pete, pokiwał tylko głową w uznaniu dla jego upodobań czytelniczych. Z równą życzliwością odniósł się do Joego i bez zmruczenia oka postarał się o zastępczy zestaw środków sanitarnych.

Dziecko śłaniało się ze zmęczenia i nawet Joe wyglądał na opadniętego z sił; w końcu przez całe pięćdziesiąt kilometrów był jak potępieniec. Zapakowałam obydwóch do łóżka. Pete ucieszył się, że może nie zdejmować bielizny. Zawsze uważał ciągłe przebieranie za okropną stratę czasu. Zasnęli, nim zdążyłam zamknąć drzwi.

Wy tłumaczyłam Pete'owi, co ma robić, w razie gdybym nie wróciła. Oczywiście wrócę, ale na wszelki wypadek... Kiedy zesłam na dół, Angelo znów siedział przy biurku. Owszem, zna całonocny bar kawowy (byłam tego pewna). Wysłałam go po kawę, a sama zajęłam biurko i wyciągnęłam kartkę z hotelowej papeterii.

Zanim Angelo wrócił, skończyłam list. Był długi, ale nie potrzebowałam się namyślać w trakcie pisania — wszystko miałam ułożone w głowie. Dostałam swoją kawę — mocną i czarną jak najlepsze espresso. Chociaż czułam wyjątkową jasność umysłu, wiedziałam, że do rana będę potrzebować dodatkowej dawki kofeiny.

Włożyłam arkusik do koperty i zakleiłam ją, mówiąc:

— Widzisz? Jeszcze jeden tajemniczy list.

— Aha — odrzekł Angelo.

Wyjęłam z kieszeni resztkę pieniędzy. Większą część dałam wcześniej Pete'owi, zostało mi ponad sto dolarów. Wręczyłam je razem z listem Angelowi; po raz pierwszy i ostatni zobaczyłam, jak opada mu szczęka.

— To dla ciebie — wyjaśniłam. — Masz tylko opłacić telefon do Stanów. Chłopiec zna nazwisko i adres. Jeśli do rana nie wrócę, pomożesz mu uzyskać połączenie. Próbuj aż do skutku, a potem zanieś ten list swojemu bratu — temu policjantowi.

— Aha.

— Może dzięki temu awansować. To bardzo poważna sprawa... kwestia życia i śmierci.

— I pokoju światowego?

— Tak jest, zapomniałam o tym. Mogę ci zaufać?

Angelo złożył list i schował do kieszonki koszuli. Potem rzucił zwitek lirów na ladę i delikatnym pstryknięciem odsunął go od siebie. W życiu nie widziałam bardziej teatralnego gestu.

2

Jechałam spokojnie, bez pośpiechu. Deszcz ustał, wiatr pędził chmury na wschód. Przedemną, w szczelinie między wzgórzami na przodzie migotała gwiazda. Jakżebym chciała uznać ją za dobry omen!

Wiedziałam, że wrócę, jeszcze zanim rewelacja Pete'a rozdarła mój świat niczym wiatr burzowe chmury. Dawid popełnił w stosunku do mnie ten sam błąd, co ja w stosunku do niego. Wiedząc to, co wiem teraz, rozumiałam, dlaczego gotów był podejrzewać mnie o najgorsze. Kiedy przypominałam sobie nasze rozmowy, doszłam do wniosku, że od początku przyświecały nam odmienne cele. Nie rozumieliśmy swoich motywów, mylnie interpretowaliśmy postęпки i słowa drugiej strony, kierując się fałszywymi uprzedzeniami. Dawid nie przypadkiem znalazł się w willi akurat w tym czasie. Przyjechał w określonym celu. Nie mógł powierzyć mi sekretu, ponieważ mi nie ufał, a nie ufał dlatego, że nie powiadomiłam go o tym jednym fakcie, który mógł zmienić jego nastawienie. Ale jak mogłam powiedzieć obcemu człowiekowi to, co próbowałam ukryć nawet przed sobą?

Teraz obrazek był gotów co do ostatniego szczegółu. Nie, nie przypominał układanki, złożonej z elementów, które same w sobie nie miały żadnego znaczenia. Kojarzył się raczej z intarsjowanymi różami na posadzce w holu willi. Każda część to kompletne dzieło — róża, listek, płatek. Ale brakowało centralnego motywu — łodygi łączącej je w całość. Kiedy ją znalazłam, powstał idealny wzór. Każda dwuznaczność została wyjaśniona, każde pytanie doczekało się odpowiedzi, wyszedł na jaw nawet motyw, którego uprzednio nie dostrzegłam.

Brama wciąż była otwarta — tak jak ją zostawiłam. Minęłam ją, nie zwalniając i zaparkowałam na szczycie wzgórza, w tym samym miejscu, gdzie przedtem. Nasiąknięta wilgocią ziemia tłumiła odgłos moich kroków, gdy brnęłam przez zarośniętą ścieżkę i wspinałam się po uszkodzonym murze.

Światło na stojącym podwórku wciąż się paliło, a gdy podeszłam bliżej, usłyszałam brzęk metalu o metal. Ktoś pracował w garażu — domyśliłam się, że to Alberto naprawia opony w mercedesie. U Dawida się nie świeciło. Nie spodziewałam się, że zabiorą go do jego pokoju, ale chciałam tam zajrzeć. Niestety, póki Alberto był w pobliżu, nie miałam żadnej szansy.

Zawróciłam i poszłam naokoło, długą drogą przez wszystkie ogrody, w kierunku domu.

Opisuję, co robiłam, a nie co czułam, bo na to po prostu nie ma słów. Fakt, że pomyliłam drogę, nie świadczy o stanie mojego umysłu, bo to mogło się zdarzyć tak czy inaczej. Pustka opuszczonych ogrodów wzmagala jeszcze wrażenie grozy. Wiatr jęczał w gałęziach, biały marmur pozbawionego rąk posągu połyskiwał w gąszczu splątanych pnaczy. Pędy jeżyn czepiały mi się nóg, rąk i włosów. I te mury — wszędzie mury, rzucające cienie dostatecznie duże, by ukryć cały zastęp wrogów, odcinające człowieka od normalnego świata, zagradzające drogę, którą musiałam pokonać. Wreszcie wydostałam się na otwartą przestrzeń i zobaczyłam w świetle gwiazd zwalone kolumny antycznej świątynki.

Musiałam posiedzieć parę minut, żeby wyrównać oddech. Próbowałam nie myśleć o czekającej mnie konfrontacji. Bałam się, że jeśli zacznę, to po prostu zawrócę i ucieknę. Cichy wewnętrzny głos, głos zdrowego rozsądku i tchórzostwa, szeptał mi chytrze do ucha: „Możesz zawrócić. Idź na policję, sprowadź pomoc. Wiesz na tyle dużo, że łatwo ich przekonasz. Na pewno ci uwierzą, są przecież inne, łatwe do udowodnienia fakty. Idź. Wymknij się tą samą drogą”.

Owszem, prawdopodobnie mogłabym przekonać policję... już niedługo. Tylko że „niedługo” to stanowczo za późno. Nie skrzywdzą Dawida, póki będą mogli posłużyć się nim do odzyskania chłopca. Ale w chwili gdy do bramy podjadą wozy policyjne, gdy tamci zdobędą pewność, że nie dosięgną Pete'a — Dawid będzie trupem. Ciało, zakopane gdzieś na pastwisku czy w lesie, może leżeć przez miesiące, lata, przez całą wieczność.

Podniosłam się na zeszywniałe nogi. Przez delikatną kratę ostatniej furtki widziałam frontowy trawnik — srebrzystozielone jezioro z pasemkami cieni. Fontanna jawiła się jako czarna masa monstualnych kształtów; przeżarty rdzą metal nie odbijał światła gwiazd. Przy zasłoniętych oknach pokoi recepcyjnych dom robił wrażenie opuszczonego, ale latarnie przy frontowych drzwiach świeciły jasno, jakby w oczekiwaniu na spóźnionego podróżnego.

Zastanawiałam się, jak by zareagowali, gdybym tak podeszła śmiało do drzwi i zapukała. Możliwe, że na tym się skończy. Nawet gdybym dostała się niepostrzeżenie do domu, słabe miałam szanse na odnalezienie Dawida. Mógł być wszędzie — w willi albo na zewnątrz. Ale nie byłam jeszcze gotowa, by stawić czoło drzwiom i temu, co czekało mnie w środku. Jeszcze nie teraz.

Nie wszystkie okna były ciemne. Na część tarasu padało światło z saloniku Franceski. Oczywiście, tam właśnie muszą siedzieć. Planują następne posunięcie, próbują znaleźć wyjście z sytuacji, w jaką ich wpakowałam.

Żeby dostać się pod właściwe okno, musiałam przemierzyć sporą część fasady. Byłam w drugim końcu, więc czekał mnie długi spacer. Przystanąłam w cieniu i starałam się poruszać jak najciszej, ale mimo to żwir chrzęścił mi pod nogami.

Weszłam po schodach na taras. Okna były zamknięte. Mimo odsuniętych zasłon przez firanki niewiele dało się zobaczyć. Francescę rozpoznałam bez kłopotu. Miała na sobie długi, powłóczysty szlafrok i siedziała na kanapce twarzą do okna. Mówiła do kogoś, gestykulując gwałtownie. Nie widziałam tej drugiej osoby, poza ramieniem w czarnym rękawie i dłonią opartą na ramieniu Franceski.

Przestała mówić. Po chwili wstała, zebrała fałdy szlafroka i powlokła się ciężko w stronę drzwi z opuszczoną głową.

Dopiero teraz mężczyzna ukazał się w całej postaci. Stał tyłem do mnie, obserwując Francescę. Nie zamierzałam się ruszać, a jednak to zrobiłam. Zbliżałam się krok po kroku, zahipnotyzowana horrorem. Może nawet wyrwał mi się cichy okrzyk. Mężczyzna musiał zauważyć kątem oka ruch za oknem, bo nagle się obrócił. Stałam w pełnym świetle i wpatrywałam się w niego rozszerzonymi oczami, niezdolna uczynić kroku.

Podszedł do drzwi i otworzył je szarpnięciem.

— Wiedziałem, że wrócisz, Kathy.

Podziwiając spokój we własnym głosie, powiedziałam:

— Cześć, Bart.

3

Wcale się nie zmienił. Smukły niczym pantera, w czarnych spodniach i golfie, z błyszczącymi srebrzystymi oczami, był w szczytowej formie — opalony i jak zawsze niewiarygodnie przystojny.

Weszłam do środka, a on zamknął okno.

— Nie wyglądasz na zdziwioną, *cara*. Sądziłem, że zemdlejesz z wrażenia i radości.

— Tak naprawdę nigdy nie uwierzyłam w twoją śmierć. Chyba od początku się domyślałam.

Ze śmiechu zwężyły mu się oczy.

— Tak, na tym polegał twój problem, co? Kiedy pomyślę o tych głupich konowalach, którzy próbowali leczyć cię z obsesji... Cóż, przykro mi, kochanie. Nie mogłem sobie pozwolić na wyjawienie ci prawdy.

— Jasne, że nie mogłeś. Czym jest moje zdrowie wobec twojego... czego właściwie, Bart? Życia? Wolności? Od czego uciekałeś?

Nie spodobał mu się ten dobór słów. Równe, ciemne brwi ściągnęły się w jedną kreskę. Zamiast się bronić, odpowiedział ciosem:

— Może od ciebie, Kathy. Pomyślałaś kiedyś o tym?

— Często.

Było to proste stwierdzenie faktu, ale dla Barta coś więcej: przyznanie się do ignorancji. Myślał, że zaakceptowała ten krzywdzący wykręt, że nie podejrzewam go o inne motywy. Zmarszczka na jego czole ustąpiła.

— Może zachowałbym się inaczej, gdybym wiedział — oświadczył łaskawie. — Czemu ukrywałaś, że jesteś w ciąży?

Dobrze, że mi przypomniał. Ten drobiazg wymknął mi się ostatnio z pamięci, a przecież prawdopodobnie stanowił najmocniejszą kartę przetargową.

— Sama nie wiedziałam...

Cofnęłam się odruchowo, gdy ruszył w moją stronę. Rozbawiło go to.

— Wciąż się mnie boisz, co, Kathy? Jak zawsze!

— Tak, jak zawsze. Sprawiało ci to przyjemność, prawda?

— Oczywiście. Tobie zresztą także. Nie udawaj, że było inaczej.

Wziął mnie w ramiona. Przeszył mnie dreszcz, a Bart zaśmiał się cicho. Obrócił ku sobie moją twarz; ucisk jego palców sprawiał mi ból. Przykrył moje usta wargami, a ja się zastanawiałam, czemu dopiero teraz pojęłam, że dla Barta pocałunek to demonstracja władzy, nie miłości.

Odsunął mnie szybkim, niedbałym ruchem, od którego zachwiałam się na nogach, przykładając rękę do obolałych ust.

— Z tym musimy poczekać — oświadczył. — Jak zwykle, porządnie narozrabiłaś. Gdzie chłopak?

— Ależ Bart — zrobiłam nadąsaną minę. — Wiesz, że doprowadzasz mnie do szału. Może rzeczywiście wyjechałam trochę nagle, niech to cholera. To twoja wina. Byłeś tu cały czas, prawda? Odgrywałaś te swoje sztuczki i dawałaś mi niezłe popalić...

— Nie mogłam się powstrzymać. Jesteś taka podatna, *cara*. Podobała ci się bielizna? — Uśmiechnął się jeszcze szerzej. — Kiedy mnie przyłapałaś przy bramie, omal nie zrzuciłem peruki i garbu i nie pokazałem ci się we własnej postaci, ale jeszcze nie byłem do końca przygotowany.

— Ty... to byłeś ty?

— Ten imbecyl? Jasne. Nigdy nie podejrzewałaś, co?

A jednak powinnam podejrzewać. Co powiedział Sebastiano? Lon Chaney, Dzwonnik z Notre Dame? Bart zawsze grał drugoplanowe role. Był świetnym mimem, ale fatalnym aktorem.

— Nie, wcale — odrzekłam. — Dobrze to zagrałeś.

— Aż za dobrze. Czy to przed imbecylem uciekałaś tej nocy? Jaki diabeł cię opętał, że narobiłaś tyle głupstw?

— Uciekałam przed Albertem. — Pozwoliłam sobie dać upust przynajmniej części mojego gniewu i urazy. — Do jasnej cholery, nie jestem aż taką idiotką, za jaką mnie uważasz! Ten tak zwany wypadek Pete'a to czyste partactwo. Alberto zastrzelił psa, bo stanęłam na jego drodze.

— Alberto? Ten bydlak nie trafiłby nawet w ścianę szopy. To twój własny, kochający mąż uratował życie tobie i... swojemu nienarodzonemu synowi.

— Wielkie dzięki.

— Nie bądź sarkastyczna, Kathy, to do ciebie nie pasuje. Więc myślałaś, że Alberto chciał usunąć dzieciaka z drogi?

— Myślałam, że to robota Franceski.

Bart odrzucił w tył głowę i wybuchnął śmiechem.

— Franceski? Coś ci się naprawdę poplątało, kotku. Owszem, nie przepada za tym brzdącem, za bardzo przypomina swojego ojca. To ja zawsze byłem jej faworytem. Ale nigdy nie posunęłaby się do... Nikt tu nie chciał jego krzywdy. Gdzie on jest?

— A gdzie jest Dawid?

Ledwie zamknęłam usta, wiedziałam, że popełniłam błąd. Bart zawsze z całego serca popierał zasadę odrębnej moralności. Jemu wolno było mieć inne kobiety, a ja musiałam to tolerować. Sama jednak nie mogłam uśmiechnąć się do nikogo choćby odrobinę ciepłej, nie wzbudzając natychmiast szału zazdrości — obrzydliwe pomówienia, nawet fizyczna przemoc — chociaż w ostatnim przypadku skierowanej wyłącznie przeciwko biedakowi, który zachował się wobec mnie uczciwie. Bart nigdy mnie nie uderzył — nie było takiej potrzeby. Potrafił zranić o wiele bardziej w inny sposób.

Musiałam go przekonać, że nie zależy mi na Dawidzie. Modliłam się w duchu, by nadal uważał go za nieszkodliwego, stojącego z boku widza. Z ostentacyjną powolnością usadowiłam się wygodnie, założyłam nogę na nogę. Obserwował mnie zwężonymi oczami.

— Bart — powiedziałam lekkim, niedbałym tonem — zawsze byłeś za bardzo impulsywny. Jak myślisz, co ten nieszczęsny wymoczek pomyślał, kiedy zobaczył, że Alberto wymachuje w moją stronę strzelbą? Skoczył na niego, chciał odegrać bohatera, a ty go za to zamknąłeś i teraz wykrwawia się na dywan. Powinieneś się wytłumaczyć, przeprosić go i uwolnić, zanim zaczniesz rozczulać się nad swoimi ranami, bo gotów cię pozwać do sądu.

— Wymoczek, tak? — powtórzył za mną Bart. — Jakaś ty nieuprzejma, kochanie. Myślałem, że czujesz do niego mięte.

Zaśmiałam się pogardliwie.

— On czyta Browninga.

Bart odwrócił głowę od lustra, w którym studiował swoje odbicie, uśmiechając się do siebie.

— Może to jest i myśl. Ale pozwolę tobie go przeprosić.

— Ani mi się śni. Zawsze spodziewasz się po mnie...

— A ja w tym czasie przywiozę do domu mojego biednego kuzynka. Gdzie on jest?

— W wesołym miasteczku.

— Co takiego?

— W wesołym miasteczku w Fiesole. Uznałam, że to sprytny pomysł. Dawid zna tam kogoś... faceta od karuzeli. Byliśmy tam któregoś dnia i Pete'owi bardzo się spodobało. Więc zostawiłam go z tym człowiekiem... Bartellim czy jakoś podobnie.

— Sprytny pomysł! To czyste wariactwo, moja ty upośledzona dziewczynko. Chyba przyda ci się kilka wizyt u tego lekarza od główki. Jak zwykle to ja muszę wszystko doprowadzać do porządku. Jadę po dzieciaka, a ty wytłumacz łaskawie swojemu przyjacielowi, że jego bohaterstwo okazało się zbyteczne. Spodziewam się, że będzie mu trochę łyso, kiedy dowie się prawdy.

— Och, no już dobrze. Gdzieżeś go zamknął?

— W magazynie, razem z resztą rupieci — rzucił lekko Bart. — Może trzeba go będzie trochę podreperować. W pomieszczeniu kredensowym jest trochę materiałów opatrunkowych.

— Więc je przynieś. Ja nie mam pojęcia, gdzie szukać. Ręce mi się trzęsły. Wsadziłam je do kieszeni.

— Zmieniłaś się — zauważył Bart, mierząc mnie uważnie wzrokiem. — Małej myszce wyrosły ostre ząbki. Wiesz, chyba bardziej mi się podobasz, kiedy się stawiasz.

— Z tym musimy poczekać. — Wiedziałam, że jeśli znów spróbuje mnie pocałować, zrobię coś głupiego. — Pośpiesz się, Bart, i skończmy już z tymi bzdurami. Chcę się położyć.

— Ja także, *cara*.

* * *

Kiedy znaleźliśmy środki opatrunkowe, Bart oświadczył, że pójdzie ze mną i wyjaśni sytuację Albertowi.

— Zostawiłem go na straży pod drzwiami — tłumaczył mi bez zająknięcia. — Kochany chłopiec cały się pienił. Myślałem, że to wariat, musiałem go zamknąć.

Ciekawa historyjka. Pomyślałam, że teraz sam Bart w nią wierzył.

Alberto siedział na najwyższym stopniu i palił papierosa. Strzelba leżała obok. Kiedy zobaczył Barta, poderwał się na baczność. Na jego okrutnej twarzy odmalowało się psie przywiązanie. Bart przemówił do niego po włosku, po czym zwrócił się do mnie:

— Nie sądzę, byś zrozumiała. Nigdy nie byłaś dobra w obcych językach. Powiedziałem mu, że masz opatrzyć facetowi rany i wytłumaczyć, w czym rzecz. Mniej więcej za godzinę będę z powrotem i dorzucę coś od siebie, a potem się go pozbędziemy.

— Po co ta zwłoka? Sama mu powiem...

— Nie może wyjechać, dopóki nie wrócę. Zabieram jego motor.

— Dlaczego?

— Bo odwaliał kawał roboty przy oponach, moja mała pomocniczko. Nie da się ich załatać. No, włącz tam, do cholery. I staraj się go przekonać.

* * *

Byli na tyle porządni, że zostawili mi światło — tę samą lampę na baterię, której używał do pracy. Nie dawała wiele światła — baterie wyraźnie zdychały. Przy tej bladej poświacie zobaczyłam go — leżał nieruchomo na podłodze. Bart nie raczył wspomnieć, że uznał za stosowne związać furiata. Serce mi na chwilę zamarło, bo pomyślałam, że być może zataił też inny nieistotny szczegół. Kiedy jednak uklękłam, Dawid otworzył jedno oko i zanim je znowu zamknął, obrzucił mnie krótkim spojrzeniem. Tylko to oko funkcjonowało normalnie. Drugie było kompletnie zapuchnięte, a dolna część twarzy przekrzywiona.

Zabrałam się do rozplątywania węzłów na jego związanych z tyłu przegubach, ale udało mi się tylko złamać paznokiec. Po pewnym czasie zapytał:

— Przyszłaś się napawać czy dzielić moją niewolę? To oczywiście nie mój interes, ale chciałbym mieć jasność w tym względzie.

— To jest o wiele bardziej skomplikowane. — Kolejny paznokiec wygiął się boleśnie, więc zakląłam. — Ale jesteśmy po tej samej stronie. Z Pete'em wszystko w porządku. Nie znajdują go.

— Więc co, u diabła, tu robisz?

— To też nie takie proste. Zresztą byłeś jednym z podejrzanych.

— Naprawdę? Nie wiem, czy dzięki temu czuję się lepiej. Supły okazały się za ciasne. Podeszłam do drzwi.

— Dawaj nóż — zwróciłam się do Alberta. — Tylko mi nie mów, że nie masz, kanalio. NÓŻ! Dawaj...

— Po włosku: *coltello* — odpowiedział mi Dawid.

Wreszcie dotarło do tej zakutej pały. Nie był jednak na tyle głupi, żeby dać mi nóż do ręki. Sam przeciął sznurki i wyszedł.

Kiedy wyciągnęłam rękę do Dawida, ten stęknął z niepokojem i zamachał słabo rękami.

— Nie dotykaj mnie!

— Nie mogę przeprowadzić planu, który mam w głowie, jeśli cię nie dotknę.

Przekreślił się i usiadł, opierając się o kufer podróżny.

— Jeśli masz na myśli to, co przypuszczam, to się nie krępuj. Zacisnę zęby jak prawdziwy bohater i postaram się nie jęczeć.

Nie była to sprzyjająca okazja do naszego pierwszego uścisku, ale potrzebowałam go, tak jak chory lekarstwa. Wargi Dawida starły świeże wspomnienie pocałunków Barta i w jednej chwili mnie uzdrowiły. Oderwałam się dopiero, kiedy poczułam krew i zdałam sobie sprawę, że to krew Dawida.

— Moja wina — szepnęłam. — Gdybym ci zaufała... chciałam, Dawidzie, naprawdę, ale się bałam, że...

— To nie była ani twoja, ani moja wina. Ktoś to kiedyś określił jako ogólną złośliwość rzeczy. Gdybym... Co się tak patrzysz?

— Nie masz pojęcia, jak miło słyszeć, że coś nie jest moją winą.

— Może i mam. Kathy, wiem, jak wszawo się czujesz, że musisz wybierać między swoim mężem i dzieckiem...

— Wszawo? Zaczekaj no chwilę. Postawmy sprawę jasno: jeszcze dwie godziny temu wierzyłam, że Bart nie żyje. Przecież zidentyfikowałam... nie, nie jego ciało, bo niewiele z niego zostało, ale widziałam jego zegarek — stopiony i szerniały, obrączkę... Kiedy zdecydowałam się na ucieczkę z Pete'em, byłam przekonana, że to Francesca chce zabić chłopca.

— A jak... zresztą, mniejsza o to, nieważne. — Jedyne otwarte oko patrzyło poważnie i współczująco z groteskowej maski twarzy. — Odkryłaś, że żyje, więc wróciłaś. Ty go ciągle...

— Chcesz powiedzieć: „kochasz”? — W moich ustach zbulgotał dziki, nienormalny śmiech. Po chwili ucichł. — Nienawidziłam go. Cieszyłam się, że zginął. Właśnie dlatego po wypadku rozpadłam się na dwie części — bo się cieszyłam, bo modliłam się, by los mnie od niego uwolnił.

4

Były inne kobiety, i to od samego początku. Były te chorobliwe napady furii z powodu innych mężczyzn, przy czym nie chodziło o zazdrość, tylko o poczucie własności. Ostateczny cios nastąpił, kiedy odkryłam, że mój mąż handluje narkotykami. Może byłoby to nawet łatwiejsze do zniesienia, gdyby sam je brał. Potraktowałabym to jako chorobę i szukałabym pomocy. Ale on nigdy nie tknął tego świństwa, z wyjątkiem odrobiny marihuany od czasu do czasu. Brzydził się ćpunami, wykorzystywał ich bez litości i skrupułów.

Noc przed wypadkiem spędził u jednej z kochanek. Nie zadzwonił, nie uprzedził mnie, że nie wróci do domu. Kiedy pojawił się rano, wyglądał jak typowy mąż z komiksu — miał nawet szminkę na kołnierzyku i cuchnął. Zrobiłam kosmiczną awanturę. Spodziewał się tego zresztą. Wrzucił parę rzeczy do walizki i wypadł z domu. Na odchodnym powiedział:

— Pożałujesz tego, Kathy. To twoja wina, nigdy mnie nie rozumiałaś, nawet nie próbowałaś...

Zawsze podwoził autostopowiczki. Lubił ryzykować, popisywać się muskularni, odgrywać macho. Ciało, które odnaleziono, spalone nie do rozpoznania, musiało należeć do jakiegoś

wybranego specjalnie włóczęgi, kogoś w jego wieku i o podobnej sylwetce. Zaplanował to wszystko wcześniej i czekał na odpowiednią pogodę — niedługo, w końcu był styczeń. Burzę zapowiedziano poprzedniego dnia. Szkoły zamknięto, ruch na drogach zamarł.

Teraz wiedziałam, czemu to zrobił. Prędzej czy później czekały go kłopoty — z policją i kolegami w biznesie. Oszukiwał ich bez skrępow, jeśli tylko uważał, że mu się uda wyjść cało. Ale nie dlatego upozorował własną śmierć. Kilka tygodni wcześniej przeczytał o katastrofie lotniczej. Wiedział, że teraz tylko mały chłopiec stoi na przeszkodzie w uzyskaniu godności, których zawsze pragnął i które bezprawnie sobie przypisywał. *Il conte* Bartolommeo, pan na włościach Morandinich. Musiały być warte więcej, niż przypuszczałam. Sama ziemia stanowiła spory majątek.

Kiedy Pete mi powiedział, że to Bart zabrał go od wujostwa, zobaczyłam wszystko jak w blasku błyskawicy, która nagle oświetliła ciemny krajobraz. Nagle zrozumiałam, że wszystko da się wyjaśnić za pomocą jednego, prostego założenia: że Bart żyje. To on skorzystałby na śmierci chłopca. On miał dostęp do narkotyków. To nie duchy ani wspomnienia mnie dręczyły, tylko sam Bart. Był tam cały czas. Teraz nawet dziwne zachowanie Franceski stało się zrozumiałe. Kiedy uchylała się od wypowiedzi na temat przyszłości Pete'a, nie wiedziała, co planuje Bart. Zbywał jej pytania, mówiąc: „Zostaw to mnie. Wszystko załatwię”. Nie zależało jej na tyle, by się miała upierać. Nie podejrzewała go. Ludzie wierzą w to, w co chcą wierzyć.

Mój nieoczekiwany przyjazd zmusił Barta do przedwczesnego działania. Przedtem mu się nie śpieszyło, czekał na odpowiednią porę. Pół roku, rok, aby stworzyć obraz dziecka dręczonego szaleństwem, doprowadzonego rozpaczą do „dziedzicznego obłądu”. Prędzej czy później jedna z eskapad Pete'a zakończyłaby się fatalnie, a po stosownym okresie żałoby nowy hrabia Morandini przyjąłby oficjalnie swój tytuł. Nie byłoby żadnych kłopotów z policją, nawet jeśli w Stanach grunt mu się zaczynał palić pod nogami. Przedwczesna śmierć zamknęła jego kartotekę; po roku, tysiące kilometrów dalej, kto by się dopatrzył jakiegoś związku? W każdym razie Bart tak rozumował. On także miał ową szczęsną ludzką zdolność do wierzenia tylko w to, w co chce wierzyć.

Był gotów zamknąć także i moją kartotekę. Kiedy nadeszły listy ode mnie, prawdopodobnie powiedział Francesce, że nie mam żadnych praw, bo wcale się ze mną nie ożenił. Nawet kiedy stanęłam w drzwiach, chciała się mnie pozbyć, ale nagle przyszło jej do głowy, że mogę nosić dziecko Barta. Bo Pete'a bezwiednie spisała na straty. Chorowite, psychicznie upośledzone dziecko, które wciąż spotykały jakieś wypadki, nigdy nie sprostą wymaganiom nazwiska. Dla niej Bart już był hrabią Morandinim, a rzekomy embrion jego dziedzicem.

Jakież nieproporcjonalnie koszmarnie konsekwencje sprowadziło jedno nieszkodliwe kłamstwo na każdego, kto się w nie wplątał! Francesca musiała od dawna namawiać Barta do wyznania mi prawdy; on wykręcał się ze wszystkich sił, wymyślając coraz to nowe preteksty. Szczyt nastąpił w chwili, gdy oznajmiłam Francesce, że wyjeżdżam. „Ale nie zdecydowałabyś się na to, gdyby Bart tu był” — powiedziała wtedy. Moja decyzja przyśpieszyła działania Barta. Nie mógł już dłużej zbywać Franceski.

I właśnie to miało nastąpić w ten wyczekiwany piątek: wielka niespodzianka, radosne połączenie kochanków. Wyjechalibyśmy na drugi miodowy miesiąc — oczywiście z całym kufrem stosownych strojów dla małżonki, żeby nie przyniosła wstydu swemu eleganckiemu mężowi i nowej rodzinie. Niedługo potem zniknąłby ze sceny niewygodny dotychczasowy właściciel tytułu. Świat jest przecież pełen niebezpieczeństw — pędzące samochody, dzikie zwierzęta, trujące rośliny... Czasem nieszczęśliwe dzieci uciekają z domu... Czasem nie udaje się ich odnaleźć...

Opowiadanie nie zajęło mi dużo czasu. Dawid bez przerwy pojękiwał i kłął, kiedy go opatrywałam, ale słuchał pilnie. Na koniec powiedział:

— Wystarczy. Nie mów nic więcej, Kathy, to mnie tylko wkurza, poza tym nie ma czasu. Lepiej wynieśmy się stąd w cholere, zanim wróci twój krwiożerczy małżonek.

— Nic nie szkodzi. Zamierza cię wypuścić.

— Co proszę? Może nie jest specjalnie lotny, ale...

— Jest dostatecznie lotny pod pewnymi względami, ale jednocześnie tak próżny, że często nie docenia innych. Myśli, że wciąż jestem pod jego urokiem. Mam ci w jego imieniu wytłumaczyć, że zaszło fatalne nieporozumienie. Nic nie wiesz o niebezpieczeństwie, jakie grozi Pete'owi. Rzuciłeś się na Alberta, bo myślałeś, że chce mnie zaatakować. Mam cię w tym przekonaniu utwierdzić i oświadczyć, że nie potrzebujemy już twoich usług. Gdy tylko Bart wróci...

Głos mi się załamał. Dawid wolno kręcił głową.

— Moja droga dziewczynka... Moje naiwne biedactwo...

Zakryłam twarz rękami.

— To ja jestem ta niezbyt lotna.

— Po tym, co przeżyłaś tej nocy, większość ludzi znalazłaby się w stanie katatonicznego szoku. Niełatwo zaakceptować fakt, że ktoś, kogo już raz... Skąd on właściwie wróci? Dokąd pojechał?

— Do Fiesole — powiedziałam apatycznie. — Powiedziałam mu, że zawiozłam Pete'a do jednego z pracowników wesołego miasteczka. Dawidzie, okropnie się boję. Myślałam, że jestem taka sprytna, a przeoczyłam tyle spraw, które powinnam przewidzieć. Jeśli wróci bez Pete'a, będzie wściekły. Zrozumie, że skłamałam.

— Ależ to był genialny pomysł, Kathy! Lepszy, niż ci się wydawało. Wesołe miasteczko przenosi się dziś w nocy do Lukki. Całe godziny upłyną, nim Bart ich wyśledzi i odkryje, że Pete'a tam nie ma. To znaczy, że mamy na głowie tylko Alberta.

— Czy w tych tajnych służbach, Interpolu czy jak się nazywa ta twoja instytucja, nie uczyli cię żadnego karate albo kung-fu?

Wyraz jego twarzy oznaczał chyba zaskoczenie, chociaż trudno powiedzieć.

— Jedyne instytucje, w jakiej jestem zatrudniony, to Uniwersytet Stanu Kolorado. Ktoś tam chyba uczy karate, ale dla młodszych wykładowców te zajęcia nie są obowiązkowe.

— Uniwersytet... Więc nie jesteś z policji? Nie przyjechałeś tu ścigać Barta za handel narkotykami?

Dawid zaczął się śmiać, ale zaraz przestał i dotknął ostrożnie wargi.

— Komedia omyłek — mruknął. — Byłaby bardzo śmieszna, gdyby nie prowadziła do katastrofy. Nie jestem gliniarzem, kotku. Ba, gdybym był... Jestem wujek Don. — I po chwili dodał: — Gwiazda baseballu.

Zamurowało mnie.

— Wujek Pete'a? Ale jak... Przepraszam, ale mózg mi paruje. Dawid... Don...

— Dawid to moje drugie imię. A na nazwisko naprawdę mam Brown. Nie mogłem go zmienić, bo musiałem pokazać hrabinie prawdziwe listy polecające. Uznałem, że nie pamięta panińskiego nazwiska mojej siostry, jest zresztą dość pospolite.

— Więc matka Pete'a była twoją siostrą!

— Tak. — Twarz mu stężała. — Guida także świetnie znałem. Ostatni raz widziałem Pete'a, kiedy miał około pięciu lat. Nosilem wtedy brodę. Nie mógł mnie zapamiętać, ostatni rok

spędziłem w Europie — dostałem grant, właśnie mi się kończy. Guido i Amy zostawili Pete'a z Verą. Spotkałem się z nimi — jak się okazało, po raz ostatni — późną jesienią w Londynie. Wciąż jeszcze przebywałem w Anglii, kiedy usłyszałem o katastrofie, ale nie miałem pojęcia, że oboje byli na pokładzie, dopiero Vera mi powiedziała. Nim wróciłem do domu, Bart zdążył zabrać chłopca. Możesz sobie wyobrazić, co Vera przeżyła. Straciła dwoje ludzi, których kochała — a potem jeszcze chłopca. Miała nadzieję, że go zatrzyma, a tymczasem pozbawili ją nawet możliwości korespondencji. Hrabina jej powiedziała, że lekarz nakazał absolutne odcięcie od przeszłości.

Wróciłem więc do Anglii, ale pozostawałem w kontakcie z Verą i nie podobało mi się to, co słyszałem. Guido wspominał kiedyś swego kuzyna — nie żeby spodziewał się z jego strony jakichś kłopotów, po prostu wyniknął taki temat. Mówił, że z Barta jest niezły numer, wspominał jakieś śmierdzące sprawy... W każdym razie wydało mi się podejrzanym, że to właśnie Bart przyjechał po Pete'a, a im bardziej myślałem o całej sytuacji, tym bardziej mnie to niepokoiło. Postanowiłem, że pojedę do Włoch i co nieco się rozejrzę. Trochę czasu zabrało mi zdobycie potrzebnych referencji. Naprawdę szukam starych pamiętników i nawet prosiłem kiedyś Guida, by udostępnił mi rodzinne papiery. Z hrabiną jednak ten numer by nie przeszedł, więc zdecydowałem, że bezpieczniej będzie nie mówić jej, kim jestem. Nigdy nie przepadała za rodziną Brownów.

Jeszcze zanim przyjechałaś i zanim zetknąłem się z Pete'em, wiedziałem, że nie jest mu tutaj dobrze, ale nie dostrzegłem żadnych oznak okrucieństwa ani złego traktowania, co dałoby mi powód do interwencji. Dopiero incydent z psem nasunął mi różne pomysły. Pogadałem z Rosą i okazało się, że takich incydentów było więcej. I wtedy naprawdę zrobiło mi się zimno. — Mówiąc, grzebał cały czas w pudłach. Nie musiał wyjaśniać, czego szuka. — A ty uznałaś mnie za czarny charakter! — dodał z wyrzutem.

Zabolało, chociaż ja popełniłam tę samą omyłkę.

— Widzisz, ja wiedziałem coś, czego ty nie wiedziałaś. — Dawid podniósł pękniętą marmurową podstawę lampy, pokręcił głową i odłożył rzecz na bok. — Mianowicie to, że Bart żyje. Nie miałem nawet pojęcia o tym, co go spotkało. Wypadki samochodowe stały się codziennością, nie trafiają na łamy ogólnokrajowych gazet. Domyślałem się, że on tu jest, nawet widziałem go kilka razy — zawsze w nocy, za kierownicą mercedesa albo w ogrodzie. Nie rozumiałem, czemu się kryje, ale bałem się zapytać, żeby się nie zdradzić.

A potem zjawiłaś się ty i Rosa opowiedziała mi romantyczną historię o ciężarnej, załamanej wdowie, tak jak sama ją usłyszała. Wtedy właśnie dowiedziałem się o „śmierci” Barta. Zapytałem Rosę o mężczyznę, którego widywałem, a ona na to, że nikogo tu nie ma poza pewnym półgłówkiem, pomocnikiem Alberta. Co miałem myśleć? To oczywiste. Że twój mąż upozorował własną śmierć, a ty, po stosownej przerwie, przyjechałaś, by się z nim połączyć. Z ostrożnych komentarzy Guida wynikało, że Bart ma wszelkie powody, by życzyć sobie uznania za zmarłego. Kiedy zrozumiałem, że ktoś planuje śmiertelny wypadek dla Pete'a, nie miałem wątpliwości, kto za tym stoi.

— Ale widywałeś mnie z Pete'em. Powinieneś wiedzieć... Usiadł z podwiniętymi nogami.

— Nie chciałem w to wierzyć, Kathy. Nie sądziłem, że naprawdę jesteś w to zamieszana. Ale myślałem, że wciąż jesteś zakochana w swoim mężu, a oceny zakochanych nie zawsze — są trafne. Jeśli tak bardzo ci na nim zależało, mogłaś ślepo spełniać jego polecenia, nie dopuszczając do siebie podejrzeń. Wiedziałem, że sprawy sięgnęły zenitu, kiedy hrabina dała mi kopa, więc gdy zobaczyłem cię w garażu, obawiałem się, że lada moment nastąpi wypadek... że zabierasz dziecko do Barta. Dopiero kiedy zjawił się Alberto i skłętaś nas obu, nagle mnie oświeciło. Wybaczysz?

— Chyba będę musiała, ponieważ szlachetnie pominąłeś kwestię mojego braku zaufania. Co robisz?

Zdażył już wcześniej zgromadzić sporą kolekcję małych, lecz ciężkich przedmiotów, począwszy od mosiężnej kołatki do miniaturowego marmurowego popiersia jakiegoś brodatego dygnitarza.

— Środki obrony — wyjaśnił, napychając kieszenie.

— Myślałam, że szukasz czegoś podobnego do maczugi czy...

— Maczugi? Kotku, gdybym znalazł szablę, nie potrafiłbym jej użyć. Nie zamierzam znaleźć się w zasięgu ręki tego goryla. I tak już raz spraf mnie na kwaśne jabłko. I nie proponuj żadnych sprytnych sztuczek w rodzaju wciągnięcia go w zasadzkę i walnięcia w łeb. Trzeba by porządnej dechy, żeby choć zachwiał się na nogach, wiem, co mówię, próbowałem.

— Więc co...

Podciągnął się na nogi, opierając się ciężko o stół. Widziałam, że chciał maksymalnie opóźnić ten moment.

— Poprzesuwamy meble. Nie sędzę, by nas niepokoił, póki tu siedzimy, ale lepiej zachowujmy się cicho, dobra?

To było niemożliwe. Musieliśmy przepchać kilka wielkich gratów, takich jak masywny kredens, i nie dało się uniknąć hałasu. Na miejscu Alberta zainteresowałabym się dziwnymi odgłosami, ale jemu wyraźnie brakowało ciekawości. Ślepe posłuszeństwo z domieszką sadyzmu to wszystko, na co go stać. Kiedy skończyliśmy robotę, do sforsowania drzwi nie wystarczyłyby nawet Alberto. Drogę zagradzała potężna barykada z mebli i ciężkich skrzyń.

— Wystarczy — rzekł Dawid, trzymając się za obolałe boki. — Idziemy. Módl się, żeby nie wpadło im na myśl zamknąć tych drugich drzwi.

Przejście na drugi koniec okazało się ćwiczeniem godnym alpinisty — trzeba było wdrapywać się na skrzynie, przełazić pod stołami, przeciskać się między beczkami i kuframi. Kilka ciosów Alberta musiało trafić Dawida w okolice pasa, bo wciąż z trudem łapał oddech i miotał całe wiązanki dziewiętnastowiecznych przekleństw. Użalenie się nad nim byłoby jednak stratą czasu. Gdyby Bart go dopadł, skończyłoby się znacznie gorzej.

Drzwi nie były zamknięte na klucz. Zamiast je otworzyć, Dawid podniósł lampę, której nie omieszkał zabrać, i przyjrzał mi się uważnie.

— Nic ci nie jest, Kathy?

— Cokolwiek się zdarzy, warto było to przeżyć.

— Nie pleć. — Uśmiechnął się i odsunął mi splątane włosy z czoła, nie odrywając przez chwilę palców. — Zanim ruszymy w noc, ustalmy, dokąd właściwie pójdziemy. Nie wiem, co jest za tymi drzwiami, nigdy tędy nie chodziłem. Jaka jest najkrótsza droga na zewnątrz?

— Nie ma stąd krótkiej drogi. Mam nadzieję, że pamiętam, jak szłam. Albo przez kuchnię, albo głównym wejściem. Nie jestem pewna, czy są jakieś inne drzwi, zresztą mogą być pozamykane, a wtedy znajdziemy się w ślepej uliczce. Nie chodzi tylko o Alberta, gdzieś w pobliżu krąży Emilia, no i Francesca. Rosie i *tuttofare* na pewno wmówiono, że jesteś zdesperowanym zbrodniarzem, i przykazano wszcząć alarm, gdy tylko nas zobaczą. Chyba najlepiej będzie postawić na frontowe drzwi — przynajmniej wiem, jak je otworzyć.

— W porządku. A potem hajda w ogrody, tam w razie potrzeby można bez końca bawić się w chowanego.

— Wyłącznie w razie potrzeby. Zostawiłam samochód przy drodze, na szczycie wzgórza. Jeśli uda się tam dotrzeć, to jesteśmy w domu.

— Dobra. — Położył mi łagodnie rękę na ramieniu. — Przysługuje mi tylko jedna bohaterska odsiecz w ciągu jednej nocy. Jeśli nas rozdziela, nie czekaj, tylko spływaj.

Ciemniejące sińce i blizny zrobiły karykaturę z jego twarzy, która i tak nie była specjalnie godna uwagi. W tej chwili jednak wydała mi się piękniejsza od klasycznych rysów posągów Michała Anioła.

— To samo dotyczy ciebie.

— Jasne. „Szyja w szyję, krok w krok, nie zmieniając rytmu... Ani słowa jedno do drugiego”.

Zgasił światło. Staliśmy w ciemności, póki oczy nam nie przywykły. Stopniowo zaczęły się wyłaniać kształty okien, zasłoniętych do połowy przez stosy pudeł i jaśniejszych, niżbym sobie życzyła. Tam gdzie staliśmy, było tak przeraźliwie ciemno, że raczej usłyszałam, niż zobaczyłam, jak Dawid otwiera drzwi.

— Schody — szepnęłam. — Ile?

— Cholera wie. Zachichotał cicho.

Popierałam decyzję, by nie zapalać lampy, ale kiedy brnęliśmy po omacku przez labirynt pokoi i korytarzy, zastanawia —

łam się, czy jacyś prawdziwi lub książkowi więźniowie uciekali kiedyś w tak groteskowy sposób. Obijaliśmy sobie nogi o ostre krawędzie mebli, potykaliśmy się o krzesła, wpadaliśmy na framugi, szukając na oślep wyjścia. Nawet w świetle dnia zdumiewał mnie brak jakiegokolwiek planu w tej części domu.

Kiedy w jednym z pokojów dla służby Dawid padł jak długi na niskie żelazne łóżko, powodując potworny zgrzyt zardzewiałych sprężyn, dał wreszcie za wygraną i zapalił lampę. Śmiał się całą gębą jak idiota, a ja mu wtórowałam. To już nie był James Bond ani Jane Eyre, tylko sami bracia Mara.

Wiedziałam, skąd się u mnie wzięła ta głupia niefrasobliwość. To przez Dawida. Może u Browninga znalazłoby się dla niego odpowiednie słowo, bo te, które mnie przychodziły do głowy, absolutnie nie pasowały.

— Boję się wstać — powiedział cicho. — Myślisz, że pod tym jest coś żywego? Gdzie my, u diabła, jesteśmy?

Rozejrzałam się po pokoju. Wyglądał dokładnie tak samo jak tuzin innych w tym korytarzu, ale teraz przynajmniej wiedziałam, gdzie jesteśmy.

— Otworzyłam złe drzwi. Te, o które nam chodzi, muszą być znacznie dalej. Prowadzą do drugiego magazynu, dalej jest duży pokój z frontowymi oknami, a stamtąd wychodzi się na korytarz przy pokoju Pete’a. Potem...

— Rozumiem. — Dźwignął się z łóżka, które znów okropnie zaskrzypiało. — Będziemy musieli użyć jednak tej lampy. Mogę opowiadać znajomym, jak mnie bito i torturowano, ale prędzej szlag mnie trafi, niż się przyznam, że zламаłem nogę, potykając się o nocnik.

Z lampą było nam znacznie łatwiej. Dawid zgasił ją znowu, kiedy wyszliśmy na korytarz ciągnący się w poprzek frontu. Od tego miejsca oboje znaliśmy drogę.

Kiedy mijaliśmy pokój Pete’a, Dawid ścisnął mnie za rękę. Wiedziałam, że myślimy o tym samym. Cokolwiek się z nami stanie, chłopiec już nigdy nie będzie tu zamknięty. Jeśli nie wrócę do Grande Albergo, list trafi na policję, a moje zniknięcie potwierdzi zawarte w nim zarzuty. Z tego, co mówił Dawid, wynikało, że ciotka i wuj przyjmą Pete’a z otwartymi ramionami. Będzie mu u nich dobrze. Pozostawało mieć nadzieję, że i nam się wszystko ułoży.

Schodami na pierwsze Pietro, na wreszcie oświetlony korytarz. Cicho, jak makiem siał. Francesca musiała się już położyć. Dawid podał mi lampę, a sam sięgnął do kieszeni dzinsów po „środki obronne”. I znowu na dół, na szeroki podest. Dawid zatrzymał się i wyjrzał przez balustradę. Żarówki żyrandola oświetlały wypolerowany marmur posadzki, odbijały się w błyszczących, mosiężnych klamkach, zamku i łańcuchu.

— Drzwi nie są zaryglowane! Możemy...

— Pst. — Położył mi palec na ustach.

Wtedy i ja usłyszałam: daleki pomruk, potem głośny warkot — i na koniec trzask i chrzęst żwiru. Dawid zrezygnował z ulubionych poetyckich cytatów na rzecz bardziej soczystego komentarza:

— Wrócił, skurwiel jeden! Wszędzie poznam głos tego motoru. Ciekawe, czy...

Oczywiście, Bart skorzysta z frontowych drzwi. Tylko dostawcy i służba wchodzą od tyłu. Usłyszałam tupot nóg na tarasie, potem otworzyły się z impetem ciężkie, dębowe drzwi. Ledwie mieliśmy czas, by cofnąć się w cień, ale gdyby Bart spojrział w górę, na pewno by nas zauważył. Dawid wyjął z kieszeni mosiężną kołatkę i zacisnął na niej palce. „Szybka piłka”, przemknęła mi przez głowę idiotyczna myśl.

Bart nie spojrział w górę ani się nie zatrzymał. Był nieprzytomny ze złości. Nie zamykając drzwi, przebiegł przez hol i zniknął pod schodami. Trzasnęły kolejne drzwi.

— Biegiem! — szepnął Dawid, ujmując mnie za rękę.

Nie mieliśmy wiele czasu. Bart pomknął tylnymi schodami jak pocisk, a gdy odkryje naszą barykadę, to chyba eksploduje. Nie będzie tracił czasu na jej forsowanie, jest dostatecznie sprytny, by się domyślić, cośmy zrobili. Na pewno zna każdy centymetr tego domu, każde drzwi, każdy pokój.

Może zabrzmiał to jak absurd, ale z największą niechęcią opuszczałam dom. Taras i schodki były takie widoczne, tak dobrze oświetlone, a do samochodu mieliśmy kawałek drogi. Nagle zobaczyłam u podnóża schodków leżący na boku motocykl.

Popelniliśmy wtedy fatalny błąd, ale pokusa była prawie nie do odparcia: szybki transport, praktycznie u naszych stóp. Jak znałam Barta — zostawił bramę otwartą, a nie mieliśmy dostępu do innego sprawnego pojazdu.

Dawid podniósł motor i wsiadł, ja wskoczyłam na siodełko, obejmując go w pasie. Kopnął pedał — rozgrzany silnik natychmiast zaskoczył. Ryk był dostatecznie głośny, by zaalarmować całą okolicę.

Nie ujechaliśmy paru metrów, kiedy poczułam, że maszyna przechyla się i ściąga na bok. Coś niedobrego działo się z układem sterowniczym. Albo uległ uszkodzeniu, kiedy Bart cisnął motorem o ziemię, albo dało o sobie znać szaleńcze tempo, w jakim pokonywał wyboistą drogę. Wzięliśmy zakręt za szeroko, gałęzie przejechały nam po głowach i ledwie minęliśmy pień drzewa. To znaczy — ja minęłam, ale nie Dawida kolano, i wstrząs odrzucił go jeszcze dalej. Wpadliśmy w poślizg na przechyle i sunęliśmy prosto na drzewa. W ostatniej sekundzie Dawid zrobił jedyną możliwą rzecz — zeskoczył w bok, pociągając mnie za sobą. Rąbnęliśmy o ziemię, a motor uderzył w drzewo i wylądował na nas. Zanim zdążyliśmy się wyplątać, wiedziałam, że jest za późno. Przez gałęzie drzew świecił na nas promień latarki, a kiedy Dawid próbował się podnieść, kolano odmówiło mu posłuszeństwa. Upadł na bok i szepnął ostatkiem tchu:

— Uciekaj!

Chyba mogłam spróbować. Zarośla były dość gęste i dawały sporo cienia. Ale i tak by mnie namierzyli, kierując się odgłosami, a od bramy dzielił mnie jeszcze szmat drogi. W tej chwili rozległ się suchy trzask, między konarami świsnęła kula i wiedziałam, że decyzja nie należy już do mnie. Na moją głowę posypały się drobne gałązki i sosnowe szpilki.

— No dobra, już po ucieczce — odezwał się Bart. — Mam nadzieję, że dobrze ci zrobiła odrobina ruchu.

Zacisnął palce na moim ramieniu i poderwał mnie na nogi. Strzelbę trzymał w drugiej ręce. Alberto przyświecał mu latarką. Bart mówił tym samym chłodnym, zadowolonym głosem:

— Ty mała suko, zawsze wiedziałem, że masz prostackie gusty, ale nie spodziewałem się takiego upadku. Musiałaś być zdesperowana, że się z nim zadałaś.

Spojrzałam na Dawida, który mrugał oczami, oślepiiony strumieniem światła. Trudno byłoby znaleźć męskiego osobnika bardziej odartego z godności.

— Masz rację, Bart — przyznałam. — Masz absolutną rację. Rzeczywiście byłam zdesperowana.

Nie bardzo wiedział, jak ma to rozumieć. Ironii się nie d patrzył, ale wyczuwał jakiś podtekst. Zacisnął palce jeszcze mocniej, aż musiałam zagryźć wargi, by nie krzyknąć z bólu.

Ruszyliśmy z powrotem do willi. Bart ciągle mnie szarpał i potrząsał mną jak dziecko, które wyładowuje złość na pluszowej zabawce. Głupie, ale bolesne. Bardziej jednak martwił mnie Dawid, który włókł się z tyłu. Raz usłyszałam jakiś hałas i sapnięcie — domyśliłam się, że upadł. Alberto zarechotał.

Kiedy wyszliśmy na otwartą przestrzeń przed fontanną, Bart przystanął. Sądziłam, że zabierze nas do domu, ale kiedy zaczął przygotowywać scenę — zmuszając mnie do ukłęknięcia u jego stóp i ustawiając w stosownej odległości Alberta i Dawida — zrozumiałam. Miejsce akcji: willa w pobliżu Florencji. Zastanawiałam się, jaką rolę zarezerwował dla siebie, bohatera czy czarnego charakteru. Ale jemu było to obojętne, jeśli tylko grał pierwsze skrzypce.

Próbowałam wstać, ale znów mnie zepchnął.

— Gdzie chłopak?

— Już ci mówiłam. W wesołym miasteczku.

— Ty parszywa kłamczucho! Szukałem go tam.

— W takim razie źle szukałeś albo pytałeś niewłaściwych ludzi. Nie trąbiłam o tym naokoło.

Przez twarz przemknął mu ledwie dostrzegalny cień niepewności. To dlatego wrócił wcześniej, niż oczekiwaliśmy. Nie szukał zbyt dokładnie. Cierpliwość nigdy nie należała do zasobu jego cnót, a arogancki sposób bycia bynajmniej mu nie zjednał niezależnych ludzi z wesołego miasteczka. Na pewno Bart zaczął im rozkazywać, a oni mu poradzili, gdzie ma sobie te rozkazy wsadzić.

— To się nie trzyma kupy, Kathy. Jak mogę ci ufać, skoro o mało mnie nie zdradziłaś? Długo znasz tego stracha na wróble?

— Dopiero tu go poznałam. Naprawdę, Bart.

— Ale wolisz go od własnego męża. Jakich kłamstw mu o mnie naopowiadałaś? Co to właściwie było, jeśli nie ucieczka z kochankiem?

Niestety, w tym cały szkopał. Albo uciekałam z kochankiem, albo próbowałam wymknąć się mordercy. Nie mogę przeczyć jednemu zarzutowi, nie przyznając się do drugiego. Starłam się wymyślić trzecią możliwość, ale nic mi nie przychodziło do głowy.

Dawid zakaszłał.

— Chciałbym coś powiedzieć.

— Jedyne informacje, na której mi zależy, to miejsce pobytu chłopca.

— Nie wiem, gdzie on jest, a gdybym wiedział, to też bym nie powiedział.

Tym razem udało mi się wstać i patrząc na Dawida, potrząsnąć energicznie głową. Ale ani on, ani Bart nie zwracali na mnie uwagi.

— Dlaczego? — spytał cicho Bart.

— Nie wygłupiajmy się, dobra? Jesteś rozsądnym facetem, wiesz, kiedy trzeba się wycofać. Policja wie, że tu jesteś. Wie także o twoich sprawkach i o tym, co próbowałeś zrobić dziecku. Będą tu lada chwila. Jeśli wyniesiesz się stąd natychmiast, to może ci się uda wymknąć.

Była to rozsądna, sensowna propozycja. Gdyby Dawid miał do czynienia z rozsądnym, sensownym człowiekiem, mógłby osiągnąć pożądany skutek. Ale Bart zamiast odpowiedzi przyłożył strzelbę do ramienia.

Oczy Dawida rozszerzyły się bardziej z zaskoczenia niż ze strachu. Nie przyszło mu do głowy, że Bart mógłby popełnić coś tak głupiego jak morderstwo z premedytacją na oczach dwóch świadków. Mnie natomiast bynajmniej to nie dziwiło. Propozycja Dawida zagroziła najczulej pielęgowanemu wizerunkowi własnej osoby Barta: wspaniały kochanek, genialny taktik. Palec Barta nacisnął cyngiel, a ja chwyciłam za kolbę. Kula poszła w ziemię. Odrzut mnie powalił, w uszach wciąż rozbrzmiewał mi huk eksplozji.

Kiedy opanowałam rozbiegany wzrok, zobaczyłam, że Bart stoi spokojnie ze strzelbą w ręku, a Alberto trzyma Dawida w zapaśniczym zwarciu. Cała trójka patrzyła w górę, na szczyt schodów.

Światło z tyłu podkreślało smukłość wyprostowanej sylwetki, ale twarz pozostawała w cieniu. W powłóczystym szlafroku z szerokimi, obszytymi futrem rękawami Francesca wyglądała jak postać z renesansowego dramatu — księżna, która ogłasza wyrok na zdrajców, królowa oczekująca powrotu ukochanego z wojny. Towarzysząca jej Emilia, cała w czerni, mogła grać rolę wrednej duenny, gospodyni albo wiedźmy, rzucającej klątwę na stary dwór.

— Wracaj do środka, Francesco — powiedział Bart po angielsku.

Przypuszczam, że ten wyuczony język wychodził mu teraz łatwiej i bardziej naturalnie. A może chciał po prostu, żebym zrozumiała, że on wciąż jeszcze tu rządzi.

— Chyba postradałeś zmysły — odparła w tym samym języku. — Cokolwiek ona zrobiła, nie wolno ci narażać dziecka!

— Skąd mam wiedzieć, że jest moje? — zapytał kochający mąż. — Odkąd tu jest, zaliczyła stracha na wróble i doktorka od czubków, a to tylko koniec długiej listy.

— Jesteś obrzydliwy — wycodziła Francesca przez zęby.

Zanim powiedziała coś więcej, Emilia wysunęła się naprzód i pociągnęła ją za rękaw. Nie rozumiałam jej syczącej, wrogiej wypowiedzi, ale Bart zrozumiał. Kąciki jego ust wykrzywiły się w złośliwym uśmiechu.

— No, no. Kto by pomyślał? Zgadnij, o co chodzi, kochana żoneczko. Otóż Emilia twierdzi, że wcale nie jesteś w ciąży.

— Co za różnica? — burknęłam niecierpliwie.

Francesca drgnęła.

— To nieprawda? — spytała.

— Widzisz, to jednak robi różnicę — wtrącił Bart, szczerząc zęby. — Chyba nie sądzisz, że Francesca tolerowałaby cię tutaj dla twoich pięknych oczu? Ona...

— Stałaby z boku i patrzyła, jak popełniasz dwa morderstwa, tak? Co jej nakłamałeś, żeby wytłumaczyć, dlaczego wywozłam Pete'a? Nie wie przecież, że chciałeś jego śmierci, że próbowałeś...

Wyciągnął do mnie rękę. Spodziewałam się ciosu i próbowałam zrobić unik, ale on tylko mnie szarpnął, postawił przed sobą i zacisnął mi dłoń na ustach i szyi tak boleśnie, że nie mogłam się poruszyć. Dawid, potulny i bezwładny w uścisku Alberta, pchnął mu nagle głowę do tyłu. Szofer wrzasnął i puścił go, przykładając obie ręce do nosa. Dawid ruszył w naszą stronę.

— Ani kroku dalej — syknął Bart. — Bo złamię jej kark.

Francesca stała nieruchomo, obojętna jak widz na trochę niesmacznej sztuce.

— Wracaj do domu — powtórzył Bart. — Dam sobie radę. Mam prawo, mój honor został splamiony.

Francesca się nie poruszyła. Bart zmienił ton na łagodniejszy, lekko przy pochlebny.

— Okłamała cię, *carissima*. Chyba nie wierzysz tej obcej kobiecie bardziej niż mnie?

Wiedział, że wygrał. W pieszczotliwym głosie kryła się słabo zakamufLOWANA nuta triumfu. Ręka na mojej szyi zakleszczyła się jeszcze bardziej; palce i kciuk pracowały rytmicznie, na przemian uciskając i zwalniając nerwy i żyły. Przed oczami tańczyły mi ciemne plamy.

Francesca wyprostowała się i przemówiła wolno i tak wyraźnie, że nawet ja zrozumiałam.

— Alberto, strzelba. Zabierz mu i przynieś do mnie. Olbrzymie cielsko szofera kołysało się w przód i w tył, jak gdyby niewidzialne ręce szarpały je w dwóch różnych kierunkach. Emilia wydała długi, przenikliwy krzyk. To była z jej strony jedyna oznaka emocji, jedyna, powiedziałabym, ludzka cecha... albo też uznanie porażki. Alberto ruszył wolno w stronę Barta. Ten się jeszcze wahał. Krzyczał coś do Alberta po włosku, łamiącym się z niedowierzania, piskliwym głosem. Szofer szedł dalej, Bart zaczął się cofać. Przeszkadzałam mu teraz, więc odepchnął mnie na bok, bez skrupułów, ale i bez złości, tak jak się usuwa przedmiot zagrażający drodze. Znow wywinęłam orła, padając na żwir, zbyt zaskoczona, by czuć ból. Dawid pomógł mi wstać i przywarliśmy do siebie jak dzieci, które w ciemności zobaczyły potwory.

Bart nie mówił już swym pięknym, starannie modulowanym głosem, tylko chrapliwie, monotownie, jakby brakowało mu tchu. Zwracał się błagalnie to do Franceski, która stała nieruchomo niczym marmurowy posąg, to do Alberta, który uparcie posuwał się naprzód, to do Emilii, wreszcie — co zadziwiające, ale i przerażające — do mnie:

— Kathy, powiedz jej, że kłamałaś, szlag by cię trafił, no powiedz, to ty mnie w to wciągnęłaś, to wszystko twoja wina...

Okazało się, że były to jego ostatnie słowa. Cofnął się aż do schodków, potknął się o nie i stał, utkwivszy oczy w Alberta. Szofer skoczył do niego, wyciągnął rękę...

Bart podniósł strzelbę. Muszka mogła być najwyżej o trzydzieści centymetrów od piersi Alberta, kiedy nacisnął spust.

Ciemna ciecz chlusnęła na balustradę. Alberto zatoczył się do tyłu, potem do przodu, wreszcie jego ciało odbiło się od kamiennej poręczy. Padł na ziemię z nadal wyciągniętą ręką. Tylko zeszywniałe palce zdołały dotknąć Barta, ale to wystarczyło, by ten stracił równowagę. Gdyby rzucił strzelbę i chwycił się balustrady, może by się uratował. Ale on, wciąż ściskając kurczowo broń, runął na wznak do tyłu i uderzył głową o ostrą krawędź kamiennego stopnia.

Zdawało się, że echo tego głuchego łoskotu przez całe godziny rozbrzmiewa w naszych uszach. Tylko jeden dźwięk, tylko jeden ruch — i oto wszyscy zastygliśmy w miejscu, niczym aktorzy w finale jakiejś niewiarygodnej czarnej komedii po zapadnięciu kurtyny. Jedyna postać z prawdziwej tragedii to milcząca kobieta, która stała nieruchomo na szczycie schodów. Była w tym momencie czymś więcej, a zarazem mniej niż człowiekiem — ucieleśnieniem zimnego, abstrakcyjnego pojęcia, jak Sprawiedliwość czy Kara. Przez chwilę patrzyła w dół, potem odwróciła się i spokojnie poszła do domu.

To Emilia zwlokła się ze schodów z twarzą zalaną łzami, żeby podnieść — nie, wcale nie swojego, tylko mojego męża. Wzięła go w ramiona i przytuliła jego głowę do piersi. Miał otwarte oczy — zmatowiałe i mętne niczym sadzawki stojącej wody.

* * *

Często się zastanawiałam, czy Francesca wiedziała, jakie skutki pociągnie za sobą jej ostatni rozkaz. Musiała zdawać sobie sprawę, że Bart nigdy nie naraziłby swego autorytetu, szczególnie w domu, w którym zawsze był panem. Zastanawiałam się także, jakie niepojęte świadectwo przeważało szalę na moją korzyść. Chciałabym wierzyć, że miało to coś wspólnego z jej uczuciami w stosunku do mojej osoby. Nie miłość czy sympatia, ale coś — przynajmniej dla

mnie — cenniejszego. Co ona takiego powiedziała? „Szanuję te przymioty, chociaż bez zachwyty”.

Nigdy się tego nie dowiem. Nigdy więcej jej nie widziałam. Moje listy pozostawiała bez odpowiedzi. Mogłam tylko uszanować jej życzenie i dać spokój.

* * *

Powlekliśmy się z Dawidem w stronę bramy. Utykał jak zreumatyzowany staruszek, ja zaś byłam tak wyczerpana, że każdy krok stawiałam z niebywałym wysiłkiem. Żadne z nas się nie odezwało. Jak później zauważył Dawid, trudno w takiej sytuacji o dialog, który nie, zabrzmiałby banalnie.

Brama była otwarta, tak jak ją Bart zostawił.

— Zaczekaj tutaj, dobrze? — zaproponowałam. — Przyprawdę samochód.

— Zgoda — odrzekł z prostotą Dawid. — Stara baseballowa kontuzja — dodał, pokazując potłuczone kolano.

Uśmiechnęłam się słabo. Kiedy go wyminęłam, złapał mnie za rękę.

— Wróć szybko, Kathy.

Szczyty gór ciemniały na tle porannej zorzy.

— „Szary wstaje już brzask... Znam powrotną drogę. Tylko mnie nie strasz!”

Idąc pod górę, ku wschodzącemu słońcu, usłyszałam za sobą śmiech... jakże inny niż tamten.